

S
Y
R
E
N
Y

JOSEPH
KNOX

OSTRY JAK BRZYTWA URBAN NOIR -
ZUPEŁNIE WYJĄTKOWY!
LEE CHILD



JOSEPH KNOX

S Y R E N Y

TŁUMACZENIE ANNA GRALAK


OTWARTE
KRAKÓW 2017

Dla Johanny

*„Przeszłość jest teraz częścią mojej
przyszłości, teraźniejszość zupełnie
wymknęła mi się z rąk”.*
Joy Division, Heart and Soul

Po tym wszystkim wróciłem na nocną zmianę. W świetle dnia nigdy więcej by mi nie zaufali. Czas upływał mi na odbieraniu telefonów alarmowych o czwartej nad ranem, wchodzeniu i schodzeniu po nieczynnych ruchomych schodach i na usilnym powstrzymywaniu się od myślenia. Kiedyś byłem w tym dobry. Kilka miesięcy później ledwie mogłem uwierzyć, że znowu widzę swój oddech w powietrzu. Wrócił listopad.

– Leje jak cholera – powiedział Sutti, odmawiając wyjścia z samochodu.

Czasami to były ziarna gradu, a czasami breja. Dziś wieczorem ściana deszczu chwytająca światło i oczyszczająca ulice. Potrzebowały tego. Partner podał mi swoją gazetę i wysiadłem z samochodu, trzymając ją nad głową jak parasol.

Przyjechaliśmy na wezwanie menedżera charytatywnego sklepu z używanymi rzeczami. Patrzyłem na jego poruszające się usta. Chciał, żebym usunął jakichś bezdomnych, którzy schronili się przy wejściu do budynku. To, co mówił, nie miało większego sensu, ale i tak niewiele mnie to obchodziło. W nosie miał kruczoczarne włosy pozbijane w kępki, coś jak zaczątek wąsika Hitlera. Spojrzałem na mężczyznę i kobietę śpiących obok wejścia, powiedziałem menedżerowi, że marnuje czas policji, po czym wróciłem w deszczu do samochodu.

Wgramoliłem się do środka i oddałem Sutti'emu mokrą gazetę. To była kara za to, że ze mną nie poszedł. Spojrzał na mnie z wyrzutem, a potem skupił się na ociekającej wodą, podwiniętej stronie.

– Widzisz to? – spytał, podsuwając mi gazetę i obserwując moją reakcję. – Śmierć w kiepskim stylu, nie?

Zdjęcie rozmazało się w deszczu, tekst również, ale i tak wiedziałem, że to ona. Jedna z trzech dziewczyn, które przelotnie znałem poprzedniego roku. Podtytuł informował, że w chwili śmierci miała dwadzieścia trzy lata. Kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy, miała dwadzieścia dwa. Spojrzałem przez okno na powracający listopad. Była ostatnią z nich. Sutti przechylił się w moją stronę i znacząco odkaslnął.

– No, mów – powiedział. – Co tam się tak naprawdę stało?

Spojrzałem na niego spokojnie.

– Pytasz niewłaściwą osobę.

Ja wiedziałem tylko, gdzie to się zaczęło. Wiedziałem o trzech wymierzonych we mnie ciosach i znałem wszystkie powody, dla których nie mogłem odmówić. Nie umiałbym wyjaśnić, o co chodziło tym dziewczynom, kobietom, które na chwilę znalazły się w moim życiu. Na chwilę je zmieniły. Nie zrozumiałyby ich śmiechu, ich oburzenia, ich sekretów. Przez resztę nocy moje oczy podążały w stronę ludzi na ulicy, dziewczyn, kobiet, i czułem się tak, jakbym patrzył na życie, którego nie przeżyją.

Wróciłem do domu wcześniej rano, zrobiłem sobie drinka i usiadłem. Skakałem po stacjach radiowych, aż w końcu nie byłem w stanie dłużej tego odkładać. Ponownie przeczytałem gazetę i po raz pierwszy od miesiący pozwoliłem sobie na to, żeby pomyśleć o tamtych wydarzeniach.

„Przez ciebie umieram”, powiedziała.

Co tam się tak naprawdę stało?

I

UNKNOWN PLEASURES

Jakaś młoda para przeszła na drugą stronę, żeby mnie ominąć, i usłyszałem pobrzękiwanie monet w czyjejs kieszeni.

Ulica, którą widzisz codziennie, może wyglądać obco, gdy leżysz twarzą do ziemi, i dlatego dopiero po chwili domyśliłem się, gdzie jestem. Chodnik zamarznął. Nisko wisząca mgła rozmazywała powietrze i wszystko, co przez nią przebijało, było w jakiś sposób zmienione. Odebrała ostrość całemu miastu, pozbawiając blasku kolejny piątkowy wieczór.

Zdrętwiało mi lewe ramię i obróciłem się, żeby sprawdzić, która godzina. Tarcza zegarka była roztrzaskana. Zakładając, że stanął, gdy uderzyłem o ziemię, i że od tej pory minęło tylko kilka minut, miałem jeszcze ponad godzinę. Mogłem włożyć suche ubranie i zjawić się w barze ze sporym wyprzedzeniem, żeby zobaczyć przekazanie forsy. Pomacałem ścianę i wstałem. Bolała mnie twarz, a mózg sprawiał wrażenie, jakby się obluzował i grzechotał w czaszce, wymazując numery PIN i imiona przyjaciół z dzieciństwa.

Patrzyłem, jak młoda para znika we mgle. Mimo istnienia mediów społecznościowych, monitoringu i struktur państwa nadal żyjemy w świecie, w którym można zniknąć, jeśli się tego chce. A czasem nawet jeśli się nie chce. Minął mniej więcej miesiąc, odkąd wyciekła moja historia.

Miesiąc, odkąd zaginałem.

Dotknąłem tyłu głowy, w którą przed chwilą ktoś mnie uderzył, i to mocno. Portfel nadal miałem w kieszeni, co oznaczało, że nie zostałem obrabowany. Ostrzegano mnie. Wokół nie było nikogo, ale czułem na sobie spojrzenia.

Ulica się zakołysała, więc przytrzymałem się słupa latarni, żeby na powrót znieruchomiła. Potem, idąc, pokonywałem długie odcinki z zamkniętymi oczami, w ogóle nie przejmując się tym, że na coś wpadam.

Skręciłem za rogiem i znalazłem się na Back Piccadilly, natychmiast rozpoznając sfatygowane budynki z czerwonej cegły po ich zewnętrznych schodach przeciwpożarowych. Ciągną się po obu stronach wąskiej uliczki, tworząc klaustrofobiczne przejście. W wieczornym deszczu odbijało się światło księżyca i szedłem tamtędy bardziej przez sentyment niż z jakiegokolwiek innego powodu. Po drugiej stronie była całodobowa kawiarnia, w której w poprzednim życiu spędziłem trochę czasu. Minęły lata, odkąd przestałem tam chodzić, a miasto zmieniło się tak bardzo, że na pewno nie zobaczyłbym w niej żadnych znajomych twarzy.

Po kilku krokach usłyszałem, jak gdzieś za mną rusza samochód. Silnik z warkotem obudził się do życia, zbierając siły przed przejściem w łagodne burczenie. Światło zalało wąską drogę i u moich stóp wyrósł przekrzywiony cień sylwetki.

Chudszej, niż pamiętałem.

Spojrzałem przez ramię w oślepiające reflektory. Samochód z włączonym silnikiem stał u wlotu uliczki. Nie było się czemu przyglądać. Odwróciłem się i poszedłem dalej. Gdy znalazłem się w połowie, światło reflektorów zadrżało. Ruszyło za mną.

Silnik zwiększył obroty i samochód podjechał. Brzmiało to tak, jakby był zaledwie pół metra albo metr za mną, i już wiedziałem, że tak naprawdę wcale nie zniknąłem. Czułem światła palące mi kark. Nie chciałem się więcej odwracać i patrzeć przez nie na kierowcę. Bałem się, kogo mógłbym zobaczyć.

Wcisnąłem się we wnękę, żeby przepuścić samochód. Przez kilka sekund stał w miejscu. Mrużąc oczy w świetle, zobaczyłem bmw. Tylko lśniący czarny lakier i chrom. W płucach czułem noc. Krew buzowała mi w żyłach. Szyba przesunęła się w dół, ale nie widziałem, kto jest w środku.

– Detektyw Waits? – odezwał się jakiś mężczyzna.

– A kto pyta?

Usłyszałem śmiech kobiety dobiegający z miejsca pasażera.

– To nie jest pytanie, przystojniaku. Wsiadaj.

Deszcz stukający o przednią szybę drwił ze mnie. Moje żyły wydawały się cienkie i słabe. Siedziałem na tylnym siedzeniu, próbując dla rozrywki zacisnąć dłoń w pięść. Pomyślałem o amfie w kieszeni płaszcza.

– Więc to prawda, co mówią? – spytał kierowca, czytając w moich myślach.

Z wyglądu dobiegał pięćdziesiątki. Miał szerokie ramiona i ilekroć kręcił kierownicą, kołysał nimi jak bokser wagi średniej. Był ubrany w dopasowaną grafitową marynarkę, prawie w kolorze swoich włosów. Gdy spoglądał we wsteczne lustro, robił to od niechcenia, patrząc w moim kierunku, jakbym był przezroczysty. Kobieta była wypłowiałą blondynką z grubym kucykiem.

Milczałem.

Poczułem chłód swojego przemoczonego ubrania i zacisnąłem zęby, żeby powstrzymać drżenie. Jedynym elementem w samochodzie, który nie pochodził prosto z salonu, było policyjne radio. Włączone. Czułem zapach drogich waniliowych perfum, ale nie rozpoznawałem marki. Nie pasowały jednak do żadnej z dwóch osób siedzących z przodu. Pachniały pieniędzmi i młodością.

Zdecydowanie oddalaliśmy się od miejsca, w którym byłem przed chwilą. Od nocnego życia, od oślepiającego światła. Mijaliśmy puste sklepy i podupadające lokalne firmy. Olbrzymie puste budynki. Umierającą główną ulicę.

– Czego chce? – spytałem.

Mężczyzna nawiązał ze mną kontakt wzrokowy w lusterku.

– Nie pytałem.

Skęciliśmy w Deansgate.

Ta licząca prawie dwa kilometry ulica ciągnie się z jednego końca miasta na drugi. Oferuje mnóstwo atrakcji, od restauracji tylko z zaproszeniami po jadalnię dla bezdomnych, a między jednymi a drugimi wszystko, co tylko można sobie wyobrazić.

– No więc gdzie on jest?

– W Beetham Tower.

Chyba zakląłem.

– Już tam kiedyś byłeś, prawda? – spytała kobieta.

Najwyższy budynek zlokalizowany poza stolicą, Beetham Tower, to jeden z kilku drapaczy chmur w mieście. Plany były takie, żeby coraz bardziej piąć się w górę, każda budowla miała być o kilka metrów wyższa od poprzedniej, jak na jakimś olbrzymim wykresie z matowego metalu obrazującym nieprzerwany postęp. Deweloperzy uznali, że mogą zarobić miliony na wynajmie samotnym mężczyznom i kobietom małych, bardzo drogich apartamentów, naszego jedyne go towaru. Chodzili jednak z głowami w chmurach. Gdy gospodarka wokół nich zaczęła się walić, właściciele, inwestorzy i budowlańcy stracili wszystko. Liczba samobójstw wśród mężczyzn lekko wzrosła, a pozostali jakoś ciągnęli dalej.

Teraz większość tych opuszczonych placów budowy rozmontowuje się na złom. Inne się zostawia, żeby gniły, gromadząc deszczówkę w odsłoniętych fundamentach i rdzewiejąc jak otwarte rany w ziemi. W czasie trzyletniej budowy bywały chwile, gdy wydawało się, że nawet Beetham Tower nie zostanie dokończona. Rosła jednak na przekór wszystkiemu, wysuwając się jak środkowy palec skierowany do całego miasta.

Skęciliśmy z Deansgate i zatrzymaliśmy się pod zadaszeniem dla samochodów obok wieżowca. Rozpromieniony portier ubrany jak Sinatra pochylił się nad szybą. Natychmiast rozpoznał naszego kierowcę, przestał się uśmiechać i dał ręką znak, żebyśmy wjechali na podziemny parking.

Wieżowcem Beetham Tower dzielą się hotel Hilton, lokale mieszkalne i umieszczone na samej górze, urządzone na indywidualne zamówienie penthouse'y. Sama budowla ma smukły kształt, ale czteropiętrowa dobudówka u jej podstawy jest znacznie bardziej rozłożysta. To nieuniknione, bo mieści salę balową i basen, atrakcje dla uśmiechniętych synów i córek najbogatszych dwóch procent populacji miasta. Ściany holu i baru są prawie wyłącznie ze szkła. Zostało to tak zaprojektowane, że gdyby ktoś przypadkiem chciał spojrzeć na zewnątrz, zobaczyłby jedynie własne odbicie.

Już tu kiedyś byłem.

W ubiegłym roku pewna młoda kobieta zabiła się, wypadając przez okno na dziewiętnastym piętrze. Dasa Ruzicka pracowała w branży erotycznej, była nieletnia. Pochodziła z Czech. Gdy miała czternaście lat, ojciec sprzedał ją lokalnemu handlarzowi i przemycono ją przez Europę. Łatwo było brać dziewczyny z takich miejsc, bo bardzo często ginęły bez śladu. Każda wtapiała się w tło, na którym zwykle się znikało. Był jednak inny, bardziej elementarny powód, dla którego ją zabrano.

Dasa była piękna. I nie miało to nic wspólnego z wychudzoną wersją piękna, którą promuje się w dzisiejszych czasach. Ona przywracała temu słowu znaczenie. Jej jasna cera w naturalny sposób nadawała się do seksroboty, bo mimo całego smutku, którego najprawdopodobniej w nadmiarze dostarczyło jej życie, jakimś cudem wciąż wyglądała niewinnie. Stałym elementem mojej pracy była frustracja związana z traktowaniem kobiet jak przedmioty do pieprzenia i okładania piściami. Do wyrzucania przez okna. Zastanawiałem się, jak to o nas świadczy, że najgorsze, co kobieta może zrobić, to mieć wdzięk.

Byłem pewny, że Dasa nie przebiłaby się przez okno z taką siłą. W pokoju hotelowym, z którego wypadła, nikogo jednak nie znaleziono. Zatrzymałem gości i pracowników obsługi na wiele godzin i przesłuchiwałem każdego, kto miał kartę magnetyczną, która dawała wstęp na to piętro. Gdy poskarżyło się wystarczająco wielu bogaczy, przysłali na moje miejsce komisarza. Zaprowadziłem go do pustego pokoju na dziewiętnastym piętrze i próbowałem wyjaśnić sytuację.

Nie chciał mnie słuchać, więc wycofałem się pod drzwi ze wzrokiem skupionym na oknie. Na mieście w dole. Uświadomił sobie, co zamierzam zrobić, i krzyknął, żebym przestał. Pobiegłem w stronę okna, przede wszystkim po to, żeby zobaczyć jego minę, ale zdołał stanąć mi na drodze, zanim w nie uderzyłem.

Był to drugi z trzech wymierzonych we mnie ciosów, które koniec końców doprowadziły do tego, że wylądowałem na pierwszych stronach gazet. Do mojej zupełnej kompromitacji. Do konieczności przyjęcia jedynej roboty, jaka mi pozostała.

Śmierć Dasy uznano za samobójstwo.

Od tamtej pory nie byłem w Beetham Tower.

– Sierżant Conway – przedstawiła się funkcjonariuszka, wyciągając do mnie rękę.

Gdy czekaliśmy w holu, jej kolega rozmawiał z recepcjonistką. Powiedziałbym, że jak na policjanta z wydziału do spraw specjalnych zbyt się spoufalał. Rozległ się ryk śmiechu od strony grupy mężczyzn w smokingach, którzy wchodzili przez olbrzymie zdobione drzwi obrotowe. Zaczęli tańczyć pod żyrandolem wielkości rodzinnego samochodu. Patrzyłem na sierżant Conway i pragnąłem, żeby na nich spadł.

– Dlaczego tak cię nie lubi? – spytała, wskazując głową swojego partnera.

Mężczyzna odwrócił się od kontuaru i ruszył w naszą stronę, a ona wyprostowała się, jakby moja odpowiedź przestała ją interesować.

Winda sunęła bez końca ku penthouse'om – w tej części wieżowca nigdy wcześniej nie byłem. Mężczyzna użył karty, która dawała dostęp do najwyższych pięter. Zniekształcona przez głośniki, tandetna wersja *My Heart Will Go On* dobiegła końca, powoli ucichła, a potem zaczęła się od początku. Podobnie jak wszystko w tym budynku, winda była cała w lustrach i stali.

Patrzyłem na swoje buty.

Zatrzymaliśmy się na czterdziestym piątym piętrze i drzwi otworzyły się z szumem. Zanim mechaniczny głos w windzie dokończył swoją kwestię, mężczyzna mocno chwycił mnie za ramię.

Poszliśmy długim, gustownie minimalistycznym korytarzem, zostawiając sierżant Conway w tyle. Minęliśmy dwa inne apartamenty, jedyne na tym piętrze oprócz tego, do którego zmierzaliśmy, a potem stanęliśmy przed czarnymi jak smoła drzwiami. Mężczyzna otworzył je kartą, po czym skierował mnie do salonu olbrzymiej anonimowej rezydencji.

W prasie dużo się pisało o tych penthouse'ach. Oferta była skierowana wyłącznie do megabogaczy. Sam apartament zupełnie nie był wart swojej ceny, ale płaciło się za coś innego. Za przebywanie sto siedemdziesiąt metrów nad ziemią. Za jedyną w życiu okazję, żeby spojrzeć z góry na miliony ludzi albo zmusić ich do zadzierania głów, jeśli samemu miało się wystarczająco dużą, by chcieli i mogli ją zobaczyć.

W pokoju było ciemno, oświetlało go jedynie neonowe miasto na dole. Trzy ściany salonu zbudowano z olbrzymich tafli szkła i oferowały niemal panoramiczny widok.

– Usiądź – powiedział grafitowy. Stałem dalej. – Jak sobie chcesz. Za chwilę do ciebie przyjdzie. – Po tych słowach obrócił się na pięcie i ruszył w stronę drzwi. Otworzył je tylko na taką szerokość, żeby móc przejść, i postarał się, żeby nie trzasnęły podczas zamykania.

Dyskrecja.

Gdy się zamknęły, od razu ruszyłem za nim i spojrzałem przez dziurkę od klucza. W korytarzu było zupełnie pusto i zastanawiałem się, czy mógł się poruszać aż tak szybko. Przez chwilę myślałem, że przykucnął, żeby zniknąć mi z pola widzenia, ale taki pomysł był zbyt niedorzeczny.

– Jesteśmy sami, Waits, jeśli to pana zastanawia.

Odwróciłem się w stronę głosu. Zobaczyłem ciemną sylwetkę mężczyzny na tle łuny nad miastem.

– Skąd ma pan to limo? – spytał z tym swoim charakterystycznym akcentem z Oxbridge.

Dotknąłem oka.

– Byłem w odpowiednim miejscu w odpowiednim czasie.

– Już myślałem, że to detektyw Kernick tak pana nie lubi.

– Rzeczywiście, wydawał się zawiedziony, że ktoś go ubiegł.

– Też odniosłem takie wrażenie. – Mężczyzna wszedł w strefę słabego światła i uśmiechnął się. – Powinienem się przedstawić. Poseł David Rossiter.

Podszedłem do niego. Był wysoki, władczy. Miał około czterdziestu pięciu lat, był ubrany w elegancki garnitur i ujmująco bezpośredni, jak przystało na dobrego polityka. Miał też mocny uścisk kogoś, kto żyje ze spotykania się z ludźmi: użył obu rąk, żeby drugą nakryć moją. Skórę miał ciepłą, ale jego obrączka była zimna w dotyku.

– Proszę, niech pan usiądzie – powiedział. Po chwili zastanowienia zrobiłem to i on także. – Ciekawe.

– Co takiego, panie Rossiter?

– Wskazałem miejsce po mojej lewej, a pan wybrał to po prawej. I proszę mi mówić David. – Uśmiechnąłem się, czując tępy ból w obu oczach. – Pewnie się pan zastanawia, po co tu pana zaprosiłem, Aidanie.

– Waits – powiedziałem. – Zakładam, że nie w celach towarzyskich.

– Jak pan woli, Waits. Interesuje się pan polityką?

– Tylko jeśli nie mam innego wyjścia.

Znowu się uśmiechnął, patrząc prosto na mnie i za każdym razem zapewniając mnie tym spojrzeniem, że rozbawiłem go w jakiś szczególny sposób. Widywałem go na pierwszych stronach gazet, gdzie tak samo patrzył na zbrodniarzy wojennych.

– Nie zakładam, że wie pan, kim jestem.

– Jest pan posłem Davidem Rossiterem.

– A co panu wiadomo na temat mojej kariery? – spytał, czelując ostatnie słowo.

– Tylko to, co piszą w gazetach.

– Kto jak kto, ale pan powinien wiedzieć, że lepiej nie wierzyć w to, co piszą w gazetach. „Skompromitowany detektyw Aidan Waits...”

Zignorowałem to.

– Pański ojciec był posłem i dobrze na tym wyszedł. Pan jednak zaczynał jako większy idealista. Gdy pana brat poszedł na polityczny front, pan kombinował jako adwokat. Ożenił się pan młodo i małżeństwo jest udane. Ale chyba trudno, żeby się nie udało z dziedziczną wódczaną fortuną.

Znowu ten uśmiech.

– Wszedł pan do polityki w dziwnym okresie. Torysi mieli za sobą cztery lata z dala od władzy, a gdy pan dołączył, czekały ich cztery kolejne. Mimo to dodał pan starej gwardii wiarygodności. Nie trzymał się pan kurczowo linii partii, popierał pan małżeństwa homoseksualistów, prawa kobiet. Nawet imigrację. Odpowiedni rodzaj zuchwałości, żeby dostać się do Rady Ministrów. Nikt nie był zaskoczony, gdy mianowano pana ministrem sprawiedliwości, zwłaszcza że wywodził się pan z kręgów prawniczych. I pewnie sprzyja panu

także to, że jest pan eleganckim, rodzinnym człowiekiem mającym dwie ładne córki.

– Powinien pan napisać moją biografię – powiedział. Przy ostatnim słowie ściszył głos na widok moich trzęsących się rąk. Bez zastanowienia wstał i nalał dwa kieliszki koniaku z barku w kącie pokoju.

– Dzięki – powiedziałem, gdy podał mi jeden z nich.

– A politycznie gdzie pan ląduje? – spytał, siadając z powrotem.

– Ciągle jeszcze jestem w powietrzu.

– Niezdecydowany?

– Po prostu polityka wydaje mi się zbyt mało konkretna, żeby mogła rozwiązać problemy, z jakimi się stykam.

Upił łyk, przez sekundę potrzymał alkohol w ustach, po czym przełknął.

– Ratuje pan świat po jednej osobie? – Pokiwał głową. – Pewnie jest to jakieś rozwiązanie. – Poruszył się na kanapie. – A gdybym w takim razie opowiedział panu o jednej osobie? O jednej osobie rozpaczliwie potrzebującej ratunku?

– Powiedziałbym, że są ludzie, którzy nadają się do tego lepiej niż ja.

– Już panu mówiłem, że nie wierzę w to, co piszą w gazetach.

Napiłem się.

– Zrobiłbym, co w mojej mocy, ale ten stary grafit na korytarzu też by sobie poradził. Prawdopodobnie lepiej.

Chyba mu się to spodobało.

– Tak naprawdę, Waits, jest pan jedynym człowiekiem, który może mi pomóc. Co panu mówi nazwisko Zain Carver?

Nie odpowiedziałem.

– Dziś rano – ciągnął – rozmawiałem z pańskim przełożonym. Z kapitalnym gościem o nazwisku Parrs.

– Dlaczego dopiero teraz się o tym dowiaduję?

– Zniknął pan z radaru. Znalezienie pana zajęło detektywowi Kernickowi kilka godzin.

– Cieszę się, że zachował przy tym tyle dyskrecji. Ta beemka od razu wkomponowała się w tło.

– Przepraszam pana. Wydział do spraw specjalnych zbyt gładko wtapia się w zamożne dzielnice.

– Ja wtapiam się w te złe.

– I właśnie dlatego pan tutaj jest...

– Nie mogę rozmawiać z panem o Carverze, dopóki nie pomówię z komisarzem Parrsem.

Rossiter przyglądał mi się przez chwilę, a potem wyjął telefon z kieszeni marynarki i wyciągnął go w moją stronę.

– Wolałbym, żeby to pan wybrał numer – powiedziałem.

Uśmiechnął się, przewinął listę kontaktów i zaczekał, aż ktoś odbierze. Parrs jak zwykle odezwał się natychmiast.

– Mam tu tego twojego Waitsa – powiedział Rossiter do słuchawki. – Pasuje do roli. Bardzo autentyczny. Przyjął nawet drinka na służbie. Ale nie chce ze mną rozmawiać, dopóki nie porozmawia z tobą. – Znowu podsunął mi telefon, a ja go wziąłem.

– Dzień dobry, panie komisarzu.

– Waits – powiedział komisarz Parrs. Jego szkocki akcent przypominał ciche warczenie. – Zrobisz wszystko, o co poprosi pan minister. Porozmawiamy jutro. – W słuchawce zapadła cisza i oddałem telefon Rossiterowi.

– Zain Carver – powtórzył.

– Handlarz narkotyków.

– A dla pana?

– Słabe ogniwo, jeśli będę miał szczęście.

– Ma pan za zadanie się do niego zbliżyć?

– Mam wrażenie, że moje zadania niedługo się zmienią. – Nie odezwał się. – Jeśli Carverowi dobrze idzie, to dlatego, że jest jedyny w swoim rodzaju. Biznesmen wśród oprychów. Mam za zadanie sprawdzić, czy da się to wykorzystać.

– Jak wykorzystać?

– W zasadzie na trzy sposoby. Gdyby go odpowiednio przycisnąć, mógłby donosić na innych handlarzy. Nie jest największy ani najsprytniejszy, ale mógłby pogrążyć kogoś, kto taki jest. Mógłby też nam powiedzieć, którzy funkcjonariusze policji są na jego liście płac. A co najciekawsze, może być po prostu przykrywką.

– Dla kogo?

– Możliwe, że ma nad sobą z kilkunastu ludzi, o których nigdy nie słyszeliśmy.

– Ciekaw jestem, co pan z tego wszystkiego ma? Przecież pana nazwisko zmieszano z błotem...

– Moje nazwisko od początku było niewiele warte. Po co pan mnie tu ściągnął, panie Rossiter?

Nalał sobie następnego drinka. Usłyszałem, jak jego zęby zderzają się ze szkłem.

– Co pan wie na temat mojej córki? Tej młodszej, Isabelle.

– Ładna dziewczyna, dość młoda. Ma osiemnaście, dziewiętnaście lat?

– Siedemnaście – powiedział. – I zadaje się z tym całym Carverem.

– Jest niepełnoletnia. Niech pan tam pośle radiowóz i sprowadzi ją do domu.

– To samo zasugerował komisarz Parrs. Obawiam się jednak, że potrzeba tu trochę większej finezji. – Patrzyłem na wielkie krople deszczu uderzające o szyby wokół nas. Przez kilka sekund mogłem odróżnić każdą z nich, a potem zrobiły się cięższe, szybsze i pokój otoczyła rozmazana plama. Czekałem. – Taki zorientowany gość jak pan pewnie pamięta, kiedy po raz ostatni pisano o Isabelle.

– Zaskłabła – powiedziałem. – Z wyczerpania.

Nie poruszył się.

– Próba samobójcza?

Pokiwał głową.

– Isabelle cierpi na depresję. To część spadku po rodzinie ze strony jej matki. Zdarzały się też inne próby, ale nigdy aż tak dramatyczne jak ta ostatnia. Było za dużo krwi, za dużo zamieszania, żeby zataić to przed prasą. No więc powiedzieliśmy, że to z wyczerpania. – Wpatrywał się w jakiś punkt po mojej prawej stronie, przeżywając to wszystko od nowa. – Osobiście poszedłem do naczelnych i ich ubłagałem.

– Rozumiem – powiedziałem.

– Naprawdę? – odparł, po czym złagodził pytanie, zmieniając je w inne. – Wie pan, co jest jedyną rzeczą gorszą od tego, że twoja córka dźga się w szyję? – Pokręciłem przecząco głową. – To, że po odzyskaniu przytomności wraca do domu i nienawidzi cię za to, że uratowałeś jej życie. – Dopił drinka. – Rozmawiała ze mną. Powiedziała, że rozumie, w jakim jest stanie, rozumie, że miewa gorsze dni. I bardzo spokojnie dodała, że to nie był jeden z nich. Że tego dnia myślała trzeźwo i nie potrafi mi wybaczyć, że zadzwoniłem po karetkę.

– Córka posła musi pokonać daleką drogę, żeby skończyć u boku Zaina Carvera.

– No cóż, pokonała daleką drogę – powiedział. – Poznała go chyba przez kogoś z przyjaciół. Z tego co wiem, mieszka w Fairview od miesiąca.

– Od miesiąca? – Nie odezwał się. Fairview to była nazwa domu Zaina Carvera. Ogromnej wiktoriańskiej posiadłości na południu miasta, w okolicy pełnej studentów. Dom słynął z imprez przyciągających wszystkich: od studenckich obiektów westchnień po lokalnych celebrytów. – Nie wiem, co Parrs panu powiedział, ale mam rozkaz trzymać się od nich z daleka. Obserwuję przekazywanie pieniędzy, piję z pomniejszych dilerami...

– I nieźle się pan spisuje – wszedł mi w słowo. – Dziś pańskie rozkazy się zmieniają. Ma pan przekroczyć ten próg. Ubrudzić sobie ręce. Nawiązać kontakt z ważnymi graczami.

– I z pana córką?

– Nie mogę ryzykować, że policja przywiezie ją do domu.

– Z całym szacunkiem, skoro prasa posłuchała pana raz, to posłucha i drugi. Zresztą czy warto się przejmować skandalem, jeśli dzięki niemu uda się sprowadzić córkę do domu?

– Skandalem? – powiedział. – Gdybym dzięki temu mógł ją odzyskać, zrezygnowałbym z pracy bez mrugnięcia okiem. – Uwierzyłem mu, ale powinienem był to potraktować jak ostrzeżenie. Mówił o Isabelle, jakby już nie żyła. Opanował się. – Nie mogę znowu być tym, przez kogo zrobi sobie krzywdę. Rozumie pan?

Może bym zrozumiał, gdybym wyraźnie widział jego twarz, ale spowijała nas ciemność.

Wzruszyłem ramionami.

– Jest pan młody. Zobacz pan. Dla dziecka człowiek jest gotów zrobić wszystko.

– Co miałbym zrobić dla pańskiego?

Milczał, jakby jeszcze się nad tym dobrze nie zastanowił.

– Może pan się do niej zbliżyć? Sprawdzić, czy nic jej nie jest?

– Mógłbym nawet spytać, jak się miewa.

– Naprawdę wolałbym, żeby nie nawiązywał pan z nią bezpośredniego kontaktu.

– Nie ułatwia mi pan zadania, panie Rossiter.

– Nie chcę sprowadzać córki do domu wbrew jej woli. A tym bardziej nie chcę, żeby zrobiła to policja.

– Pańska córka nie domyśliłaby się, że jestem z policji – powiedziałem. – Nawet facet z wydziału do spraw specjalnych, który czeka na korytarzu, musiał się bardzo natrudzić, żeby to odkryć. – Nie odpowiedział. – Niech pan posłucha, to są źli ludzie.

– Jak pan myśli, w jakiego rodzaju kłopoty się wpakowała? Seks? – To słowo dużo go kosztowało.

– Nie wiem, nie sędzę. Carver uważa się za dżentelmena. Za biznesmena.

– To chyba dobrze?

– Zależy, jakie ma pan doświadczenia z biznesmenami. Moim zdaniem to niebezpieczna zabawa. Istnieją inne sposoby, żeby wykorzystać dziewczynę, zwłaszcza taką ze znanym nazwiskiem. W mieście są dilerzy, którzy nie mieliby dla niej litości. Szybko wróciłyby do domu i na terapię, bez względu na to, jak bardzo pana nienawidzi.

Z wysiłkiem zignorował zniewagę.

– A Zain Carver?

– On jest inny. Są większe szanse, że wie, z kim naprawdę ma do czynienia. Większe szanse, że ją oczarował. Carver handluje ósemką i...

– Ósemką?

– Heroinę – wyjaśniłem. – „H” to ósma litera alfabetu. Całkiem przyzwoita nazwa handlowa, ale przede wszystkim chodzi o to, że brzmi niewinnie na rogu ulicy albo w klubie.

– Wykluczone. Isabelle ma pewne problemy, ale nie sięgnęłaby...

– Nikt by nie sięgnął, dopóki tego nie zrobi. W każdym razie to miasto uniwersyteckie. Od kilku lat Carver dobrze wychodzi na sprzedaży narkotyków na imprezy. Czy on wie, że to pana córka?

– Możliwe. – Przełknął ślinę. – Choć Isabelle zazwyczaj się tego wstydzi.

– Nawet gdyby wiedział, grałby w niebezpieczną grę, nie mając pojęcia o tym, że nie chce jej pan po prostu ściągnąć z powrotem do domu.

– Hm – mruknął, przesuając w zamyśleniu obrączkę.

– Uciekała już kiedyś?

– Tylko do pięciogwiazdkowych hoteli, za które płaciła moją kartą.

– Mógłby mi pan dać jej zdjęcie?

Rossiter sięgnął do kieszeni na piersi. Wyjął zdjęcie i podał mi, osłaniając je drugą ręką jak płomień. Isabelle była bladą, ładną dziewczyną o płowych włosach i inteligentnych niebieskich oczach. Spoglądała w jakiś punkt nad aparatem. Na osobę, która go trzymała, pomyślałem.

– Niech pan posłucha. – Pochylił się. – Przepraszam za ten żart o picciu na służbie. Na pewno przeżywa pan wielki stres.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

– Potrzebuje pan ode mnie czegoś jeszcze? – spytał.

– Jak się nazywa ten przyjaciel, który zapoznał ją z Carverem?

– Obawiam się, że nie znam jej nazwiska.

– Jej?

– Jego, ich. Ktokolwiek to był.

– Może pana żona...

– Alexa nie czuje się dobrze. Nie wolno jej niepokoić.

– Rozumiem. A dlaczego tak bardzo zaczęło panu zależeć na powrocie Isabelle? – Uniósł brew. – Skoro nie ma jej już od miesiąca.

– Dobrze pytanie. – Zaciśnął zęby. – Chyba mogę panu powiedzieć. Toczę wojnę na dwóch frontach. Alexa też cierpi na depresję. Od jakiegoś czasu nasze stosunki są... napięte. Obawiam się, że Isabelle gdzieś nam w tym wszystkim zaginęła.

– Jak mam się z panem kontaktować?

Podał mi wytłaczaną wizytówkę. Przesunąłem palcami po wypukłych literach.

- Zastanie mnie pan pod tym numerem o każdej porze, w dzień i w nocy.
 - No cóż, dziękuję za drinka. Będę w kontakcie.
- Zostawiłem go przygarbionego na kanapie. Wyglądał na zmęczonego i samotnego.

Rubik należał do tych przepastnych barów, które wraz z upływem wieczoru ewoluują w kluby nocne. W uczciwszych czasach zapewniał Haçienda nieźle zyski, goszcząc wszystkie liczące się zespoły postpunkowe. Ale to była już przeszłość. Mieścił się tuż obok Locks Street i zwrócony był w stronę kanału biegnącego przez całe miasto. Salę piwną podświetlano na czerwono i w godzinach pracy brakowało tam jakiegokolwiek innego oświetlenia. Była to jedna z największych sal w kraju, zdolna pomieścić kilka tysięcy ludzi.

Na trzech piętrach działały cztery bary.

Od trzech tygodni obserwowałem tam menedżera głównego baru. Był wielkim facetem hodującym permanentny popołudniowy zarost, który traktował jako swój znak firmowy. Sprawiał wrażenie człowieka wyrachowanego i czujnego. Zwłaszcza w piątkowe wieczory, gdy przekazywał olbrzymie kwoty za narkotyki któremuś z pracowników Zaina Carvera. Ustaliłem, że dostarcza się tu dragi, a potem menedżer baru udziela innym klubom w okolicy franczyzy na ich sprzedaż.

To był sprytny system.

Kilku naćpanych ludzi najlepiej ukryć wśród kilku tysięcy pijanych. Z punktu widzenia Zaina Carvera oznaczało to przetrzucenie całego ryzyka na menedżera baru. Ten miał urozmaiconą ofertę, dysponował dragami wszelkiego rodzaju. Każdemu z nich odpowiadał określony numer. Koka była trójką, ecstazy piątką, ket jedenastką. Klienci unosili odpowiednią liczbę palców i obsługiwano ich, nawet nie wspominając o narkotykach.

Prawdziwy sekret sukcesu Carvera polegał na tym, że facet miał więcej wspólnego z przestępcą w białym kołnierzyku niż z ulicznym zbirem. Po prostu jednego dnia dostarczał towar, a drugiego odbierał pieniądze. Jego powiązanie z Isabelle Rossiter stawało się przez to interesującą anomalią.

Dzisiaj był dzień wypłaty.

Przez spotkanie z Davidem Rossiterem zjawiłem się za późno, żeby zobaczyć przekazanie pieniędzy, ale teraz sytuacja wyglądała inaczej. Przyszła pora na działania bezpośrednie.

Nietrudno było zauważyć dziewczynę, która robiła za kuriera. Wyróżniała się przy barze, jak zwykle zamawiając wódkę w zgrabnym wysokim kieliszku. Włożyła czarne rajstopy i krótkie czarne buty, błyskała sztucznym uśmiechem zza jaskraworóżowej szminki. Miała długie, kasztanowe włosy, a jej zamszowa kurtka w stylu vintage prawdopodobnie była starsza od niej. Dziewczyna była młoda, miała dwadzieścia kilka lat. Podręcznikowy przykład ukrywania się w najbardziej widocznym miejscu.

Gdy przewróciłem jej kieliszek, zniosła to dobrze. Na chwilę jej gęste rzęsy uniosły się z oburzeniem. Jednak równie szybko skinęła na menedżera baru i zamówiła następną wódkę, odzyskując chłodną obojętność, która, jak zakładałem, figurowała w opisie jej stanowiska pracy.

– Przepraszam.

– Nie ma sprawy – powiedziała.

– Cath, prawda? – Na moment znieruchomiała, a potem odwróciła głowę, żeby na mnie

spojrzeć. – Chyba poznaliśmy się na jednej z imprez u Zaina...

– Czyżby. – Nie było znaku zapytania.

– No wiesz, widzieliśmy się tylko przez chwilę.

W rzeczywistości parę razy widziałem, jak rozmawiała z Carverem, ale nigdy nie nawiązałem kontaktu z żadnym z nich. Smutne, nieładne dziewczyny stojące w głębi sali podały mi jej imię. Mówiły o niej, jakby była sławna. „Cath – powiedziały – to jedna z jego ulubienic”. Zaczynała tak jak one, w głębi sali, nie znając nikogo, a potem wypracowała sobie lepszą pozycję, z imprezowej dziewczyny stała się partnerką. Zakładały, że zawdzięcza to swojemu uporowi, że mogą ciężiej pracować w pokojach i też osiągną to co ona. Te bystrzejsze mogły zdać sobie sprawę, zanim będzie za późno, że dla nich nigdy nie nadejdzie ten dzień.

Menedżer baru przyniósł jej nowego drinka, patrząc na mnie spode łba. Coś mi zaświtało. Odniosłem wrażenie, że skądś go znam, i zastanawiałem się, czy on też mnie rozpoznał. Catherine z drinkiem w ręku wydała się spokojniejsza, odwróciła się do mnie z ładnym, miłym uśmiechem. Zupełnie innym od tego jaskrawego aktorskiego grymasu, który malował się na jej twarzy wcześniej. Przypominała wybitnego aktora, który w każdą rolę wkłada dokładnie tyle prawdy, żeby wypaść przekonująco. Nawet jeśli w połowie zdania zmieniała wcielenie, żadne z nich nie wydawało się fałszywe.

– Wiesz – powiedziała – teraz z pewnością cię zapamiętam...

– Pozwól, że zapłacę za drinka.

– Kiedy następnym razem będziesz przewracał dziewczynie drinka, żeby jej postawić następnego, upewnij się, czy nie pije na koszt firmy.

Wykonała ruch, jakby zamierzała odejść.

– Gdybym go nie przewrócił, nie chciałabyś ze mną rozmawiać – powiedziałem do jej pleców.

Odwróciła się.

– A wiesz, może i bym chciała. Pasuje ci to podbite oko. Bez niego twoja twarz by zniknęła.

– Jak tylko limo zaczyna schodzić, szukam kogoś, kto znowu mi przywali.

– Jasne. Powiedz mi coś...

– Aidan.

– Aidan. – Przestała się uśmiechać. – Naprawdę szukasz kłopotów? – Nie odpowiedziałem. – Więc to przypadek, że kręcisz się w niebezpiecznych miejscach? – Jej wzrok podążył w stronę menedżera baru, a potem wrócił do mnie. Spojrzałem na barmana. Stał i obserwował nas z rękami splecionymi na szerokiej klatce piersiowej.

– Tak – powiedziałem. – Jasne, że tak.

– No to pozwól, że dam ci pewną radę. – Podeszła bliżej. – Wracaj do domu. Oszczędź sobie następnego lima.

– Jak powiedziałaś, bez niego moja twarz by zniknęła.

Znowu spojrzała na menedżera baru.

– Skarbie, zniknięcie to chyba nie najgorszy pomysł.

– Wybacz, że zawracałem ci głowę.

Zadowolony barman oddalił się, by obsłużyć grupę dziewczyn. Catherine podniosła kieliszek i pociągnęła zdrowy łyk. Odstawiając go, dyskretnie wsunęła pod spód karteczkę.

– Chyba mógłbyś kiedyś postawić mi drinka... – Jej uśmiech znowu był szeroki i sztuczny,

ale chyba przez chwilę widziałem w nim coś szczerego.

– Pewnie bym go przewrócił. Dobranoc.

Przeszła przez salę rozkołysanym, wdzięcznym krokiem i zniknęła za drzwiami.

Przykryłem dłonią karteczkę, którą zostawiła pod kieliszkiem, i odczekałem chwilę. Potem wyszedłem i ruszyłem ulicą do wynajętego mieszkania, w którym się zatrzymałem. Wyrzuciłem zepsuty zegarek, wziąłem trochę amfy i przebrałem się.

Winę za trzeci wymierzony we mnie cios ponosiłem wyłącznie ja sam. Miałem szczęście, że potem w ogóle dostałem jakąś robotę, nawet jeśli polegała ona na chodzeniu od baru do baru za kurierkami Franczyzy.

Pracowałem na cmentarnej szychcie przez kilka tygodni z przerwami. Żebrałem, kradłem i pożyczalem od innych dzienne zmiany, a potem zamieniałem je na nocki. Uwielbiałem patrzeć, jak między dziewiątą wieczorem a piątą rano miasto, które znam, przeobraża się w coś innego. Uśmiechnięte buźki na oknach namazane przez dzieci przeszywało neonowe światło.

Lubiłem tych ludzi.

Byli młodzi, pijani i zakochani. Dziewczyny były jak błyskawice, a faceci nie mogli przestać gadać. Nocą transseksualiści, goci i geje brali w posiadanie główną ulicę, nadając jej koloru i wykrzykując chórem słowa, których nawet nie znałem. I to działało. Byłem mniej więcej trzeźwy. Mniej więcej trzymałem się z dala od kłopotów.

Jedynym problemem był mój szef. Inspektor Peter Sutcliffe. Tak, naprawdę się tak nazywał*. Być może jego los został przesądzony, gdy tylko wpisali to nazwisko na jego akcie urodzenia. Być może naśmiewano się z niego w młodości, kojarząc go od razu z powszechnie znienawidzoną postacią. Tak czy inaczej, nazwisko drania pasowało do niego jak ulał. Nazywali go Suttty. Dzięki ksywce łatwiej było uniknąć niezręcznej sytuacji, ale jednocześnie żartowano sobie z jego nadwrażliwości na światło**.

Suttty był blady jak trup, miał alergię na światło dzienne.

Dowiedziałem się o nim wielu rzeczy, niekoniecznie dobrych. Zacząłem pracować na cmentarnej zmianie, mając romantyczną wizję nocnego życia, którą rzeczywistość szybko zweryfikowała. Nie wiedziałem o wampirach, dilerach wychodzących tylko nocą, i nie mógłbym wam nic powiedzieć o gangach – o tym, który co sprzedawał i jak można je było odróżnić. Bez trudu rozpoznawałem tylko ludzi śmiechu. Nazywano ich tak z powodu dwucentymetrowych blizn w kącikach ust. Okaleczali ich dilerzy, znakując w ten sposób tych, którzy spóźnili się z zapłatą albo za bardzo pyskowali.

Suttty poznawał Rushboyów i Whalleyów po samym sposobie, w jaki gwizdali, żeby zwrócić na siebie uwagę. Potrafił zauważyć Burnsidera, który zapuścił się za daleko na południe. Umiał wskazać kurierki Franczyzy, syreny, sunące od klubu do klubu. A poza tym miał wręcz nadprzyrodzony dar wyczuwania kłopotów.

Zaczynała się niedziela, była mniej więcej druga albo trzecia w nocy, i pracowaliśmy na Oxford Road. Ta ulica, łącząca studenckie kwatery z uniwersytetem, a dalej uniwersytet z centrum miasta, widzi to, co najlepsze, i to, co najgorsze. Pracujące dziewczyny i gości nagabujących prostytutki z samochodów, dilerów i ich klientów.

Prowadzi także do jednej z najbardziej wychwalanych atrakcji miasta. Do strefy curry. Setek pakistańskich, bangladeskich i kaszmirskich restauracji ciągnących się jedna przy drugiej jak okiem sięgnąć. Do kwitnącej, tętniącej życiem muzulmańskiej społeczności. Interesowała nas ona z powodu pewnej taktyki, którą niedawno zauważyliśmy.

Sutty nazywał ją „numerem z chustą”. Młode kobiety w burkach, zwyczajny widok na tej ulicy o każdej porze, kamuflaż dla ruchów ciała. Wiadomo było, że niektórzy dilerzy pracują w takim stroju, i część co bardziej nerwowych ćpunów też zaczęła się tak nosić. Doprowadzało to Sutty’ego do wściekłości. Prawdopodobnie ciemnoskóry. Prawdopodobnie narkoman. Jego wróg do kwadratu.

Staliśmy przy jakiejś czynnej całej dobrej budzie, pijąc kawę, a Sutty palił papierosa. Dźgnął mnie w żebra i wskazał głową prosto przed siebie.

– Oto nasza dziewczyna.

– Co? Gdzie?

Miał na myśli niską kobietę w czarnej burce po drugiej stronie ulicy.

– Jak dla mnie wygląda na kogoś, kto wraca do domu.

– Chodź – powiedział, lawirując między samochodami. Pokazał kierowcom uniwersalny gest, a ja ruszyłem za nim. Podbiegł do kobiety i stanął przed nią, zagradzając jej drogę. Próbowwała go ominąć, ale podniósł rękę.

– *Allahu akbar* – powiedział, sapiąc.

Kobieta nie odpowiedziała.

– No, dalej – zakomenderował Sutty. – Zdejmuj to z głowy.

Rozejrzała się na boki. Wyglądała jak schwytna w pułapkę. W końcu zdjęła burkę. Miała rzadkie, cienkie włosy koloru słomy. Była biała, bez wątplenia uzależniona, prawie tak blada jak Sutty. Gdy do nich podszedłem, zobaczyłem, że została naznaczona. Miała dwucentymetrowe blizny po obu stronach ust.

– No i co się tak szczerzysz? – powiedział Sutty, śmiejąc się z własnego dowcipu. Twarz kobiety nawet nie drgnęła. – Pokaż mi, co masz w ręce, skarbie. – Prawą dłoń, zaciśniętą w pięść, kurczowo trzymała u boku. Niechętnie ją wyciągnęła i otworzyła. W środku były dwa zapocone i wymiętoszone banknoty dziesięciofuntowe. Sutty wziął je, mówiąc: „Bardzo dziękuję”, i odwrócił się, żeby odejść.

Gapiała się na swoją pustą rękę. Potem obejrzała się zdezorientowana i popatrzyła na mnie.

– Proszę pana – zawołałem za nim. Zabrzmiało to słabo. – Proszę pana... – powtórzyłem. Nie odwrócił się, więc krzyknąłem: – SUTCLIFFE!

Zatrzymał się, spojrzął na mnie. Jego twarz nie wyrażała niczego.

– Nie może pan tego zrobić – powiedziałem.

Przez chwilę sterczał bez ruchu w strumieniu ludzi, którzy nas mijali. Wreszcie pokiwał głową. Podszedł do dziewczyny, pogrzebał w kieszeniach i oddał jej banknoty. Potem wziął ją za ramię i przysunął do mnie.

– Przeszukaj ją – powiedział. Spojrzałem na niego. – Przeszukaj ją, kurwa, to rozkaz.

Niechętnie odwróciłem się do kobiety. Obok przechodzili ludzie, starając się omijać Sutty’ego szerokim łukiem. Znowu wyciągnęła rękę, otworzyła tę z pieniędzmi. Tylko że teraz między banknotami widniała wciśnięta tam torebka koki, której wcześniej nie było. Sutty podszedł i zmarszczył brwi, jakby go to zaskoczyło.

Cmoknął z dezaprobatą, wykręcił kobiecie ręce i zakuł ją w kajdanki. Ciągnąc ją przez ulicę do czekającego radiowozu, błyskał paskudnym uśmiechem.

– Dobrze zrobiłem, że oddałem jej tę kasę, co?

W samochodzie płakała. Zgłosiliśmy ją i przekazaliśmy drągi do magazynu dowodów

rzeczowych. Niezbyt długo zmagalem się z sumieniem. Następnego dnia wszedłem do komendy głównej policji przy stacji Central Park, wpisałem się do książki i pojechałem windą na piąte piętro. Wprowadziłem kod bezpieczeństwa i wszedłem do strefy chronionej, gdzie skonfiskowane narkotyki przechowywano w szafkach na dowody. Wziąłem kokainę, a na jej miejsce podłożyłem talk. I na tym by się skończyło. Ale tak się złożyło, że zrobiłem to akurat w dniu, gdy komisarz Parrs zarządził przegląd szafek. Pamiętam, jak szedłem korytarzem i krew huczała mi w uszach.

A potem cichy, szczebiotliwy głos.

– Przepraszam, detektywie...

Od razu wiedziałem. Przez dwie godziny siedziałem śmiertelnie wystraszony przed gabinetem komisarza Parrsa. Gdy otworzył drzwi i wezwał mnie do środka, rozmawialiśmy po raz pierwszy w życiu. Kazał mi usiąść i obrał kurs, który później wydał mi się bardzo w jego stylu.

Milczał.

Siedzieliśmy w ciszy, aż w końcu nie byłem w stanie dłużej tego znieść. Opowiedziałem mu swoją historię, przyjmując do wiadomości, że kończę karierę, zanim się zaczęła. Nie zaprzeczał, ale gdy zamilkłem, a on rozparł się w fotelu, żeby to przemyśleć, odniosłem wrażenie, że w jego oku widzę błysk zainteresowania.

Ten szkocki akcent.

– Myślisz, że zasady cię nie obowiązują, Waits?

– Sutcliffe...

– Sutcliffe'em zajmę się sam. Zajrzałem do twojej kartoteki. W zasadzie jest w porządku, mimo że masz lekkie skłonności do samotnictwa. Możliwe, że szukam właśnie kogoś takiego jak ty.

– Słucham?

– Synu, powiem wprost. Zamierzam ci dać dwie możliwości do wyboru. Szczerze doradzam pierwszą. – Czekałem. – Mogę cię z miejsca zwolnić. Wnieść zarzuty. Doprowadzić do skazania i zademonstrować ci wnętrze celi. Poza tym poszedłbym z tym do gazet, powiedziałbym wszystkim, że jesteś umoczony. Załatwiłbym ci bezrobocie do końca życia.

– A ta druga możliwość?

– Możesz dla mnie wykonać pewną robótkę. Pogłoski o tym, co zrobiłeś, krążą już po całej komendzie. W południe będą krążyły po całym mieście. Możemy na tym skorzystać.

– W jaki sposób?

Pochylił się.

– Potrzebuję kogoś, kto wygląda na umoczonego.

Przedstawił mi zarys planu.

To tajemnica poliszynele, powiedział, że Zain Carver ma na swojej liście płac funkcjonariuszy policji. Przez lata ginęły dowody, organizowano nieudane, bezowocne naloty na jego nieruchomości. Moje zadanie miało polegać na ustaleniu, kto siedzi u niego w kieszeni. Na sprawianiu wrażenia, że jestem jeszcze bardziej skorumpowany niż oni. Na przekazaniu trefnych informacji i zastawieniu pułapki.

– Tak czy inaczej – ciągnął Parrs – zostaniesz zawieszony w trybie natychmiastowym i będzie cię czekał proces. Nie dostaniesz żadnych spraw. Będziesz miał czas, żeby wnikać

w szeregi czarnych charakterów. – Posłał mi diabelski uśmiech. – Jeśli zechcesz być moim człowiekiem, jeśli podejmiesz słuszną decyzję, zarzuty, o których mówimy, będą mogły zwyczajnie zniknąć...

– I radzi mi pan, żebym wybrał pierwszą możliwość?

– Pierwsza możliwość zrujnuje ci karierę. Druga może ci zrujnować życie.

– Kiedy mam podjąć decyzję?

– Coś ci powiem: zaraz zacznę spisywać zarzuty. – Sięgnął po długopis i pstryknął nim. – Jeśli nie chcesz iść do więzienia, nie pozwól mi dotrzeć do końca kartki.

Pierwsza możliwość była zła, ale najbardziej wystraszyła mnie wzmianka o celi. Dorastałem w domu dziecka. Zaliczyłem wystarczająco dużo prycz, stołówek i godzin policyjnych. Spojrzałem na Parrsa. Pisał szybko, a widząc słowa na kartce – „zmowa”, „korupcja” – zrozumiałem, że tak naprawdę wcale nie mam wyboru.

– Dobrze, zrobię to – powiedziałem.

Myślałem, że nie mam nic do stracenia. Początkowo perspektywa wtopienia się we Francyzę nawet mi się podobała. Strach komisarza Parrsa, że zostanę zdemaskowany, graniczył z paranoją i tylko trzy osoby wiedziały, że zejść do podziemia.

Oddałem mieszkanie i umieściłem swoje rzeczy w komórce. Przenosiłem się do centrum miasta. Do samego jądra, gdzie miałem chodzić od baru do baru, śledząc Francyzę. Zastanawiałem się, co powiem ludziom z dawnego życia, ale gdy oznajmiłem dziewczynie, z którą wtedy sypiałem, że przez jakiś czas mnie nie będzie, roześmiała się. „Nie będzie cię? – zapytała, wrzucając swoje rzeczy do torby. – Przecież tak naprawdę nigdy cię tu nie było”.

Przestałem chodzić do pracy. Zniknąłem. Przygotowano bajeczkę dla prasy i wszyscy uwierzyli w to, co przeczytali o mnie w gazetach.

„Skompromitowany detektyw Aidan Waits”.

Mój umysł ciężko pracował, szukając powiązań. Obracałem w palcach karteczkę, którą Catherine zostawiła na barze. Było to zaproszenie na afterparty w Fairview. W domu Zaina Carvera. Mogłem tam pójść wieczorem i namierzyć Isabelle Rossiter.

Znalazłem butelkę wina i włożyłem kurtkę. Amfa natychmiast mnie ożywiła. Przez chwilę stałem przy oknie, oddychając głęboko, patrząc na niekończące się bloki.

Wieżowce z nieustannie rozświetlonymi oknami.

* Peter William Sutcliffe (ur. 1946) to seryjny zabójca zwany Rozpruwaczem z Yorkshire. W latach 1975–1980 mordował i okaleczał kobiety w okolicach Leeds i Bradford. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

** Suty wymawia się podobnie jak ang. sooty – pokryty sadzą, przyciemniony.

Załomotałem do drzwi i czekałem.

Basowe dźwięki dudniły w budynku jak puls. Drżące okna i ściany sprawiały wrażenie, jakby dom przysuwał się do mnie cal po calu. Głośna muzyka przyciągała z ulicy obcych ludzi, którzy nie mieli odwagi zapukać i zbijali się w grupki na końcu ścieżki, obserwując mnie, jakbym był ich przywódcą.

Fairview znajdowało się na granicy między West Didsbury i Withington, dwiema najzamożniejszymi dzielnicami na obrzeżach miasta. Wyglądało jak przodek jakiejś szlacheckiej rodziny budynków, który dostał od losu wszystko co najlepsze. Chwyciłem za szyjkę butelkę czerwonego wina i kilka razy uderzyłem dnem w drzwi.

Otworzyła mi dziewczyna w czarnej wieczorowej sukience. Miała kredowobiałą cerę i naturalne rude włosy. Coś do mnie powiedziała, ale jej słowa zagłuszyła dobiegająca ze środka muzyka. Oczy miała obramowane tuszem i to właśnie one, w połączeniu z ponadczasową sukienką i tymi zagubionymi słowami, nadawały jej wygląd gwiazdy niemego kina z lat dwudziestych. Stałem z bezradną miną. Widocznie przywykła do takiej reakcji, bo wyjęła mi z ręki karteczkę od Catherine i skinęła, zapraszając mnie do środka.

Powietrze wewnątrz wydało mi się gęste. Był to dom wariatów wypełniony gwarem i śmiechem, a gdziekolwiek spojrziałem, widziałem spoconych ludzi, którzy tańczyli i całowali się. Odwracając się, żeby podziękować rudej, która otworzyła drzwi, zobaczyłem, że już je za mną zamknęła i wróciła do przerwanej rozmowy z innym mężczyzną. Tak jak się spodziewałem, wyróżniałem się w tym otoczeniu, bo bliżej mi było do trzydziestki niż do dwudziestki.

Nigdzie nie widziałem Catherine, ale moją uwagę przykuła inna dziewczyna. Stała po prawej i wyglądała jak ktoś z zupełnie innej bajki. Oślepiający blond jej punkowej fryzury zastąpił naturalny kolor włosów, które okalały ładną twarz. Miała wspaniałą, szczupłą figurę siedemnastolatki, ale ubiór nieco ją postarzał. Wodziła wokół pustym wzrokiem i żuła kosmyk włosów, przyciągając znaczące spojrzenia pewnych siebie, nieco starszych chłopaków.

Isabelle Rossiter.

Miała na szyi jasną postrzępioną apaszkę, której nieustannie dotykała, sprawdzając, czy wciąż jest na miejscu. Jej ojciec powiedział, że dźgnęła się w szyję, więc zakładałem, że apaszka zasłania bliznę.

Odsunąłem się od drzwi, mruknąwszy jakieś podziękowanie za to, że mnie wpuszczono, i rzuciłem rudej spojrzenie konającego. Przyjęła je z niewzruszoną obojętnością pięknej kobiety, która codziennie zabija setki mężczyzn. Przyjaźnie skinąłem do Isabelle Rossiter i wszedłem dalej.

Korytarz był zapchany ludźmi. Przeciskałem się między nimi, rozdzielając gęstwinę nawalonych dwudziestoparolatków pijących prosto z butelek. Niektórzy mieli szkliste oczy po wstrzyknięciu albo wypaleniu ósemki, ale gwoździem programu było tego wieczoru ecstasy. Piątka. Byłem zbyt obcy, żeby dołączyć do tańczących w sąsiednim pokoju, i zbyt zmęczony, żeby stawiać opór falom nawalonych ludzi w korytarzu, a wejście na piętro było niemożliwe.

Schody stały się niewidzialne za sprawą par stojących w kolejkach do toalet, pryszniców, sypialni i seksu.

– Mogę się napić? – powiedziała mi do ucha jakaś dziewczyna.

Zobaczyłem błysk porcelanowej skóry, białych zębów i obłądnie jasnych włosów. Pomyślałem o zdjęciu, które dał mi jej ojciec. Isabelle Rossiter była teraz chudsza, ale nie wyróżniała się w tym otoczeniu. Inne dziewczyny miały od pięciu do dziesięciu lat więcej niż ona, lecz ich figury były podobne. Jakby zeszlifowały się prawie na śmierć, pozbywając się wszystkiego, co wystaje.

– Jasne – powiedziałem, podając jej butelkę.

Zanim zdążyła wytrzeć usta, przestała się mną interesować. Rozglądała się, jakby miała nadzieję, że ktoś nas obserwuje. Gdy ruch na korytarzu zmusił nas, żebyśmy się do siebie przysunęli, zmierzyła mnie wzrokiem. Znowu spojrzała mi w oczy i wydawała się zawiedziona.

– Skąd się tu wzięłeś? – spytała, przekrzykując muzykę.

Było to inteligentne pytanie. Przez swój wiek, sposób zachowania, przez swoje ciemne ubranie wyróżniałem się w tym młodym, pełnym życia, kolorowym towarzystwie.

– Pomyślałem, że masz ochotę się napić.

Pokazała mi idealnie białe zęby.

– Skąd znasz Sarah Jane?

– Sarah Jane?

– Tę rudą, której przed chwilą padłeś do stóp.

– Pierwszy raz ją widzę.

– Wpuszcza tylko tych, których zna...

– To dzięki mojej twarzy.

– Dzięki twojej twarzy? – Po raz pierwszy porządnie mi się przyjrzała. – Masz na myśli to limo?

– Limo to tylko skutek błędnej identyfikacji.

– Jasne, jasne – powiedziała, pociągając następny łyk z mojej butelki. Przechodzący ludzie popchnęli nas jeszcze bardziej ku sobie. – Założę się, że zrobiłeś sobie makijaż, żeby groźniej wyglądać.

– Jaki makijaż? Po prostu chodzę na imprezy i obrażam największego faceta, którego uda mi się znaleźć.

Uniosła brew.

– Poznałeś Zaina?

Staliśmy tak blisko siebie, że prawie dotykaliśmy się ustami. Pochyliłem się w stronę jej szyi, żeby mogła mnie usłyszeć mimo głośnej muzyki.

– Jest tu dzisiaj?

– Nie widziałam go.

– Ale go znasz?

– No – powiedziała z obojętnym wyrazem twarzy.

– Z tego co słyszałem, dostałbym od niego coś więcej niż limo.

– Mówiłeś, że skąd znasz Sarah Jane?

– Mówiłem, że jej nie znam.

Odsunęła się ode mnie.

– No więc co tutaj robisz?

– Poznaję fajne dziewczyny...

– U Zaina nie ma fajnych dziewczyn.

– A ty?

Zmarszczyła nos na tę wazelinę.

– Nie byłam zbyt fajna, kiedy się tu zjawiłam, a teraz jestem jeszcze gorsza.

– Jak to „gorsza”?

Zaczęła się odwracać i wziąłem od niej butelkę.

– Chciałam ją zabrać – powiedziała.

– Wielka szkoda.

– Daj spokój... Mógłbyś przynajmniej dać mi się napić.

Przytaknąłem i wypłem łyk.

Przechyliła głowę. Starła się wyglądać na znudzoną.

– Obciągnę ci za to.

Ludzie przeciskający się przez korytarz zmusili nas do zbliżenia się jeszcze bardziej i chyba zauważyłem, jak się rumieni. Podałem jej butelkę i trochę się odsunąłem.

– Masz, jest za darmo.

Przez kilka sekund przyglądała się butelce w swoim ręku.

– Przepraszam – powiedziała. Lekko się uśmiechnęła, była zakłopotana. – Nie wiem, co się dzisiaj ze mną dzieje. – Odsunęła się i wchłonął ją wzbierający tłum.

Dryfowałem od pokoju do pokoju z prądem imprezy. Tylko jedne drzwi były zamknięte i byłem ciekaw, co się za nimi znajduje. Tego wieczoru nie zobaczyłem więcej Sarah Jane, tej rudej, ani Isabelle Rossiter. Carver i Catherine chyba w ogóle się nie pojawili. Odniosłem dziwne wrażenie, że są razem w zupełnie innym miejscu. Że to wszystko zostało zaaranżowane na mój użytek. Zastanawiałem się, w co Parrs mnie wpakował.

W sobotę obudziłem się wcześniej. Był ostatni dzień października. Znalazłem wizytówkę Davida Rossitera i wystukałem dziesięć z jedenastu cyfr, ale zrezygnowałem. Zamiast tego wybrałem zupełnie inny numer. Komisarz Parrs odebrał po pierwszym sygnale.

– Waits – powiedział.

Parrs zawsze odbierał telefony w taki sam sposób. Jakby właśnie wpatrywał się w słuchawkę, czekając, aż na wyświetlaczu pojawi się twoje nazwisko. Miał niski, warkliwy głos i lekki szkocki akcent.

– Dzień dobry, panie komisarzu.

– Jak tam Rossiter? – spytał.

– Starszy czy młodszy członek rodziny?

– Najpierw starszy.

– Wypiliśmy drinka. Byłem zaskoczony. Między innymi tym, że pana tam nie było.

– Hm – mruknął. – Decyzja zapadła na wyższym szczeblu. Podjął ją minister razem z naszą ukochaną panią nadkomisarz.

– A co ona ma do tego?

– Uznała, że gdybym się tam znalazł, sprawa mogłaby nabrać oficjalnego charakteru. Stanowczo uważa, że ze względu na pozory i legalność naszej roboty te dwie dziedziny twojej działalności powinno się trzymać z dala od siebie.

– Miło z jej strony – powiedziałem.

– Hm – powtórzył.

Ilekcio mówił o nadkomisarz Chase, w jego głosie pobrzmiwało powątpiewanie, które cieszyło moje uszy. Pod każdym innym względem Parrs był nieprzenikniony. Mnie wydawało się zrozumiałe, że wcisnęła mu sprawę Rossitera, ale Parrs miał do niej o to żal. Podwójny, dlatego że rozkaz wydała kobieta.

– Nie zapominaj, dla kogo pracujesz i jakie masz priorytety – wdarł się w moje myśli. – Zresztą za parę tygodni i tak miałeś nawiązać kontakt z Franczyzą. Tylko dlatego się na to zgodziłem.

– Rozumiem.

– Wczoraj byłeś w tym domu.

Nie widziałem go, więc nie umiałem ocenić, czy zadaje mi pytanie, czy też mówi o tym, co już wie.

– Tak jest.

– I?

– I nie zastałem Carvera.

– Narkotyki?

– Krążyły, ale tylko w studenckich ilościach.

– No więc co z tą Isabelle Rossiter?

– Była tam. Pan Rossiter prosił, żebym zachował dystans, ale chyba wszystko z nią w porządku.

Pomyślałem o tym, jak wzięła ode mnie butelkę, i cieszyłem się, że nie kłamię Parrsowi prosto w oczy.

– Mieszka tam?

– Z tego co zauważyłem, to tak. Chciałem zadzwonić do ministra, ale pomyślałem, że najpierw porozmawiam z panem.

– Będziesz go o wszystkim informował, ale dopiero jak sprawdzisz, o czym chcę, żeby był informowany. Może znać ogólny zarys sytuacji. Widziałeś poranną gazetę?

– Nie, jeszcze nie.

– Oczywiście, że nie. Zdziwiłbym się, gdybyś powiedział, że widziałeś już dzisiaj swój prysznic i maszynkę do golenia. Planowałem, że jak już nawiążesz kontakt z Franczyzą, pod koniec roku zamieszczę w prasie apel w sprawie Greenlaw. Ale skoro realizujemy plan z wyprzedzeniem, udało mi się to opublikować w dzisiejszym „Evening News”. Na początku przyszedł tydzień będzie powtórka.

Mimo swojej nazwy „Evening News” wychodziło rano. Musiałbym mieć szczęście, żeby je jeszcze zdobyć.

– Czemu ma służyć ten apel?

– Odkąd zniknęła, minęło mniej więcej dziesięć lat.

Słyszałem jego głośny oddech. Mimo rzekomego zainteresowania handlem narkotykami miałem wrażenie, że komisarza fascynuje przede wszystkim zniknięcie Joanny Greenlaw. Osławiona nierozwiązana sprawa mająca związek z Franczyzą.

– Jej rodzina jest w to zaangażowana?

– Ona nie miała rodziny. W wieku piętnastu lat urodziła dziecko, ale oddała je do adopcji. Chcę zobaczyć, jak Zain Carver zareaguje na ten apel. A jeśli nie zareaguje, masz go do tego skłonić.

– Spróbuję.

– Niech go to rozzłości – odparł. Parrsa nie obchodziło, że narazi mnie na niebezpieczeństwo. Pewnie traktował to jak dodatkową korzyść. On też nie miał nic do stracenia.

– Poza tym działaj zgodnie z planem.

– Tak jest.

– Coś jeszcze?

Pomyślałem o rumieniącej się Isabelle z winem w ręce. Nie miałem ochoty podsuwać szantażyście także i jej życia.

– To chyba wszystko – powiedziałem.

Apel w sprawie Greenlaw był dodatkową inicjatywą komisarza. Nie mieścił się w ramach naszej początkowej umowy, zgodnie z którą miałem badać Franczyzę jak jakiś delikatny ekosystem. Był kamieniem wrzuconym do sadzawki. Zmieniał moją tajną operację w samobójczą misję.

Joanna Greenlaw była czymś więcej niż miejską legendą.

Na początku stulecia pracowała jako kurierka Zaina Carvera. Jego pierwsza. Na zawsze zapisała się w pamięci policjantów, gdy zgodziła się przeciwko niemu zeznawać. Stara gwardia nadal używała jej nazwiska w odniesieniu do działań mających małe szanse powodzenia.

„Synu, niczego na niego nie znajdziesz. Potrzebowałbyś pieprzonej Joanny Greenlaw”.

Wstałem, ubrałem się i znalazłem egzemplarz „Evening News”. Tekst od razu rzucał się w oczy.

„POLICJA APELUJE O INFORMACJE W SPRAWIE ZNIKNIĘCIA GREENLAW”

Dziesięć lat.

Napisano, że Greenlaw była powszechnie lubianą dwudziestosześcioletnią dziewczyną, która miała powiązania ze światem przestępczym. Gdy się od niego odcięła i zaczęła nowe życie, zaginęła bez śladu. Prawda była trochę bardziej skomplikowana.

To ona wpadła na to, żeby Carver udzielał barom franczyzy. Wcześniej był płótką. Sprzedawał rekreacyjne ilości miękkich narkotyków, zastanawiając się, co zrobić ze swoim życiem. Franczyza wszystko zmieniła. Miał cechy niespotykane dotąd na niestabilnym rynku narkotykowym w mieście: profesjonalizm i umiejętność strategicznego myślenia. Niestety towarzyszyła im ambicja. Gdy się uparł, żeby rozszerzyć działalność, na scenie pojawiła się krew. Joanna zgłosiła się na policję po tym, jak zabito inną kurierkę, jej przyjaciółkę.

Zastosowano wobec niej wyjątkowe środki – ekonomiczną wersję programu ochrony świadków – i zainstalowano ją w opuszczonym domu przy Thursfield. Przy tej ulicy duchów w Salford stały same rudery. Puste i położone na odludziu, niewarte tego, by je wyremontować ani nawet zrównać z ziemią. Idealnie nadające się na kryjówkę.

Z powodu małej skali operacji zabrakło kogoś, kto pilnowałby drzwi. Jeden z funkcjonariuszy zajrzał tam pod koniec zmiany i zaczął się niepokoić. Nikt nie odpowiadał na jego ponawiane pukanie, więc wyważył drzwi kopniakiem. Po wejściu do środka musiał wytrzeć buty. Cały próg był wymazany czarną i białą farbą.

Przyjrzałem się zdjęciu obok apelu policji. Joanna miała ciemne, naturalnie kręcone włosy i była ubrana w długi gruby pulower oraz czarne legginsy. Wyglądała raczej jak studentka akademii sztuk pięknych niż dilerka. Jej twarz miała nieokreślony wyraz, coś pomiędzy nikłym uśmiechem a zdziwieniem. Stała w salonie obok kominka, tak mocno wciśnięta we wnękę w ścianie, że wyglądała, jakby chciała w niej zniknąć.

Dziesięć lat temu.

Funkcjonariusz szukał jej w domu, ale nie znalazł, podobnie jak jej walizki i ubrań.

Z tego co wiedzieliśmy, nikt więcej nie widział Joanny Greenlaw. Osobiście wolałem nie dociekać, co Zain Carver miał z tym wspólnego.

W następnym tygodniu wróciłem do żmudnej obserwacji z poprzedniego miesiąca. Nawiedzałem lokalne bary, szacowałem, jak daleko sięga Franczyza. Zwykle lubiłem te chwile samotności, ale piątkowa impreza nie dawała mi spokoju. Chciałem wejść w życie ludzi, których tam poznałem, i tych, których nie poznałem. Utrzymywanie podwójnej tożsamości wywoływało pewien dreszcz emocji, ale chodziło o coś więcej. Miałem wrażenie, że to druga szansa, żebym zakosztował trochę życia, które wcześniej mnie omijało.

W poniedziałek zadzwoniłem do Davida Rossitera, by mu przekazać najnowsze informacje w sprawie córki. Nalegał, żebym wpadł na kawę do jego penthouse'u i podzielił się wrażeniami.

– Mogę się zjawić w ciągu godziny – powiedziałem.

– Wyślę samochód.

Dopiero kiedy się rozłączyliśmy, uświadomiłem sobie, że nigdy mu nie mówiłem, gdzie mieszkam. Dziesięć minut później podjechało czarne bmw. Detektyw Kernick, tym razem sam. Bez słowa powiózł mnie do Beetham Tower. Wjechał ze mną windą. Muzyka w tle płynęła z niezmaconym spokojem. Gdy znowu znalazłem się na czterdziestym piątym piętrze, poczułem dreszcz emocji, coś jak wyładowanie elektryczne. Detektyw Kernick poprowadził mnie korytarzem do tego samego apartamentu co poprzednio. Otworzył drzwi i zamknął je za mną, a sam został na zewnątrz.

Słabe zimowe światło nadawało pomieszczeniu odcień sepii. Tym razem David Rossiter już czekał na mnie w salonie. Nawet na siedząco robił imponujące wrażenie. Odezwał się dopiero, gdy Kernick zamknął drzwi.

– Dzień dobry, Waits – powiedział, wstając, żeby uścisnąć mi rękę.

– Dzień dobry.

– Proszę, niech pan siada.

Usiedliśmy.

– Naprawdę mam niewiele do powiedzenia.

– Sam to ocenię, jeśli pan pozwoli.

– No więc po naszym piątkowym spotkaniu poszedłem do baru przy Locks. Mniej więcej od miesiąca obserwuję tam człowieka, który, jak sądzę, ma powiązania z Franczyzą.

– Jak nazywa się ten bar?

– Obawiam się, że nie mogę powiedzieć.

Uniósł brew.

– Jak rozumiem, moja praca dla pana to coś w rodzaju osobistej przysługi. A dochodzenie jest w toku. Nie mogę panu mówić wszystkiego...

Zamyślił się.

– Niech pan kontynuuje.

– Interesują mnie piątki, bo właśnie wtedy Carver odbiera swoją forszę.

– W jaki sposób?

– Zatrudnia grupę młodych kobiet, które udają, że przyszły się zabawić. Gawędzą i flirtują z obsługą baru, a potem biorą pieniądze i jadą taksówką do domu Carvera.

– To bezpieczne?

– Tak, jeśli jest się właścicielem tej sieci taksówek. Po naszej rozmowie nawiązałem kontakt z jedną z tych dziewczyn i zaprosiła mnie do domu Carvera. W piątkowe wieczory przeważnie są tam imprezy. Narkotyki, DJ-e, tańce i tak dalej.

– Narkotyki?

– Głównie ecstasy.

– A Isabelle?

– Chyba wszystko z nią w porządku.

– W porządku?

– Wyglądało na to, że dobrze się bawi.

Znalazłem się na samym skraju prawdy, ale z tego co widziałem, Isabelle nie zrobiła nic, co uzasadniałoby szpiegowanie jej. I nic, o czym natychmiast musiałby się dowiedzieć jej ojciec. Nastąpiła chwila ciszy, gdy Rossiter przyswajał te informacje.

– Jakies domysły? – spytał.

– Nie miewam domysłów, wiem tylko to, co widzę.

– Tak, pewnie tak. – Zdecydowanie spojrział mi w oczy. – Ale to nie wystarczy, Waits. Skąd miałby pan wiedzieć, co jest istotne dla Isabelle? Co jest istotne dla mnie? Powie mi pan wszystko i sam zadecyduję. Z pewnością wie pan, co pan robi, ale jest pan młody. Nie zauważa pan wszystkich szczegółów, a jeśli nawet, to nie zawsze dostrzega pan ich wagę.

– Z całym szacunkiem...

– Szacunku mam pod dostatkiem. Tym razem potrzebuję faktów.

Przez chwilę obaj milczeliśmy.

– Panie Rossiter, dlaczego zdejmuje pan obrączkę?

W jego oczach pojawił się błysk.

– Słucham?

– Pytam o obrączkę. Dlaczego ją pan zdejmuje?

Dotknął palcami skroni.

– Nie jestem pewien, o co panu...

– Gdy po raz pierwszy uścisnęliśmy sobie dłonie, obrączka była zimna. Ale pan miał ciepłą skórkę. Dzisiaj jest tak samo. Jeśli w przyszłości będzie pan musiał zdjąć obrączkę, powinien ją pan włożyć do kieszeni spodni. Gdzieś, gdzie zachowa mniej więcej taką temperaturę, jaką ma pana ciało. Po wrzuceniu jej do kieszeni zdjętego płaszcza, zwłaszcza jeśli wychodzi pan w taką pogodę, będzie zimniejsza od pana dłoni. Nasunie niewygodne pytania.

– Co to ma być?

– Szczegół, który zauważyłem.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, Rossiter wpatrywał się w jakiś punkt nad moim ramieniem. Odniosłem przez to wrażenie, że w pomieszczeniu jest ktoś jeszcze, że za mną stoi. Nie poruszyłem się. W końcu wzrok Rossitera przeniósł się z powrotem na mnie. Uśmiechnął się chłodno.

– To wszystko na dzisiaj.

W tygodniu dawkowałem sobie co ciekawsze zadania w regularnych odstępach. Gdy zbliżał się piątek, czas spowalniał i z niecierpliwością wyczekiwałem kolejnej imprezy. Tylko Rubik, bar przy Locks, dostarczał mi podobnych wrażeń.

Obserwowałem personel. Jego ruchy.

Był to centralny węzeł biznesu Zaina Carvera. Jego integralną część stanowił menedżer baru. Pewnego dnia wziąłem książkę w miękkiej oprawie i obserwowałem go, sącząc piwo. Cokolwiek robił, od przygotowania drinka po przyjmowanie napiwku, robił z nienawiścią.

Poza tym miałem wrażenie, że skądś go znam.

Gdy już nabrałem pewności, poszedłem na Saint Peter's Square. Biblioteka centralna niedawno ponownie otworzyła podwoje po czteroletnim remoncie. Ten olbrzymi okrągły gmach nawiązywał do klasycznej rzymskiej architektury i wyróżniał się wśród otaczających go szarych biurowców. Byłem tam po raz pierwszy od renowacji i musiałem spytać o drogę do archiwum czasopism.

Przerzucałem niekończące się artykuły w „Evening News”, aż w końcu znalazłem to, czego szukałem. Zdjęcie menedżera baru. Nie miał brody, stał uśmiechnięty na schodach sądu, pocąc się w tanim trzyczęściowym garniturze. Wyglądał, jakby wygrał w regionalnym turnieju gry w rzutki.

„SMITHSON UNIEWINNIONY”

Glen Smithson, menedżer baru, został aresztowany za zgwałcenie na randce Eleanor Carroll, osiemnastoletniej studentki pierwszego roku, która po raz pierwszy w życiu opuściła Irlandię. Mimo że miał na koncie kradzież, przemoc domową i sprzedaż flunitrazepamu, sprawa się posypała. Sędzia gromił detektywów za „zanieczyszczone, sfałszowane i zaginione dowody”. Czytając między wierszami, zastanawiałem się, czy dziewczynę też zastraszone. Wycofała oskarżenie, rzuciła studia i wróciła do domu.

Franczyza w pełnej okazałości.

Długo przyglądałem się temu zdjęciu.

Wszyscy inni, których dotąd poznałem, mieli osobowość. Mogłem uwierzyć, że są ludźmi wykonującymi jakąś robotę w podejrzanym świecie. Ale menedżer baru tylko nienawidził. I to było interesujące.

Listopad. Fairview. Piątkowy wieczór. To samo ciężkie pulsowanie muzyki dudniącej za ścianami. To samo stado ludzi stojących na końcu ścieżki, czekających, żeby wejść, lecz nie do końca mających odwagę. Ja już raz wszedłem i wyszedłem, ale i tak się denerwowałem. Przed wyruszeniem w drogę wziąłem pigułę, a po dotarciu na miejsce drugą. Tym razem nie zapukałem. Gdy już miałem to zrobić, drzwi się otworzyły. Sarah Jane, ruda z włosami jak sprężynki, z białą skórą i w innej czarnej sukience, przechyliła głowę. Jej spojrzenie mówiło: „Pamiętam cię”, ale niewiele więcej.

Była piękną kobietą z gatunku tych okrutnych. Kimś, kogo mógłbyś sobie przypomnieć na łożu śmierci, zastanawiając się, gdzie się podziła twoja odwaga w dniu, w którym się poznaliście, oraz dlaczego ujawnia się tylko w niewłaściwych chwilach i przy osobach, które nie są tego warte.

Wszedłem do środka, a ona zamknęła za mną drzwi. Na imprezie było jeszcze tłoczniej niż w ubiegłym tygodniu. Życie tętniło w każdym kącie i ściany wyglądały, jakby się pociły. Odwróciłem się, żeby podziękować Sarah Jane, i odgadłem przyczynę tej zmiany.

Zobaczyłem Zaina Carvera.

Stał obok niej, emanując urokiem i zimnym, czystym złem. Jako najstarszy mężczyzna na imprezie – miał jakieś trzydzieści sześć lat – dysponował wystarczającą ilością forsy i narkotyków, żeby pozbyć się każdego piętna. Ubrany był swobodnie, ale w ciuchy od projektantów, jak jakiś hip-hopowy przedsiębiorca. Mieszaniec o olśniewającym, promiennym uśmiechu. Był właścicielem tego domu, ale przez swój wzrost musiał garbić się w korytarzu. Stwarzało to wrażenie, że podtrzymuje sufit, i chyba mu się to podobało. Rodzice zostawili mu Fairview razem z małym portfelem nieruchomości i rocznym dochodem. Nie było potrzeby, żeby obracał się w tak brutalnym świecie, ale przypuszczam, że właśnie po tym można poznać faceta z rodziny bogatej od wielu pokoleń. Nikt tak skwapliwie jak on nie zabiega o pomnożenie tego bogactwa.

Sarah Jane była lekko odwrócona w moją stronę i zamierzała coś powiedzieć.

Carver ją ubiegł.

– Ale mam rację, prawda? – spytał. W jego głosie było coś w rodzaju południowego akcentu właściwego tylko tym, którzy nie mieszkają na południu.

Zwróciła się do niego, mówiąc szybko i cicho. Słuchał jej jednym uchem, przeglądając wiadomości w telefonie. Moje pojawienie się zmieniło atmosferę i zastanawiałem się, czy nie wyjść. Zamiast tego ostrożnie odsunąłem się od drzwi, kiwnąwszy głową w stronę tych dwojga.

Przez kilka minut piłem w holu, a potem znowu zobaczyłem Sarah Jane. Na tle innych dziewczyn, ich zaprawionej żółcią i kojarzącej się z niewydolnością wątroby sztucznej opalenizny, wyróżniała się białą, porcelanową cerą. Z wrogą, pełną dystansu swobodą przeniknęła jak duch przez ścianę ludzi.

Zawołałem ją po imieniu, przekrzykując muzykę, ale się nie odwróciła. Gdy za nią ruszyłem, ktoś pchnął mnie mocno od tyłu. Runąłem na tych, co stali przede mną, a odzyskując

równowagę, zobaczyłem, że nasz gospodarz celebryta Zain Carver idzie za nią, przeciskając się przez tłum.

Sięgnąłem w stronę jego ramienia, ale ktoś odciągnął mnie do tyłu. Przypominał małą górę, nawaloną i wściekłą z powodu rozlanego drinka. Rozpoznałem w nim cyngla Carvera. Nazywał się Danny Gripe.

Dla przyjaciół Grip.

Popchnął mnie.

– O co ci, kurwa, chodzi?

Było w nim coś dziwnego. Oczy prawie wyłaziły mu z czaszki, lewa ręka wydawała się mniejsza od prawej i miejscami miał mocno przerzedzone włosy. Popatrywał to na mnie, to na swoją potłuczoną szklanke, udając zatruwienie mocą grawitacji.

– Spytałem, o co ci, kurwa, chodzi.

Nie odpowiedziałem. Nie wiedziałem. Popchnął mnie jeszcze raz, a ja się roześmiałem. Jego usta skurczyły się do małego, wydętego kółeczka oburzenia. Nie było szans na bójkę w takiej ciasnocie, ale gdy zacisnął zdrową pięść, jacyś ludzie go powstrzymali.

Mogłem teraz wyjść albo ruszyć dalej za Sarah Jane i Carverem. Odwróciłem się niechętnie i zacząłem przepychać się przez tłum w ich stronę. Słusznie czy nie, Carver miał reputację gościa, który sprawia, że kobiety znikają.

Wszedłem do kuchni i zobaczyłem jakieś dziesięć osób stojących przy zamkniętych drzwiach tarasowych prowadzących do ogrodu. Muzyka była tu mocno stłumiona i słyszałem ich ściszone głosy. Nieszczęśliwa para już przeszła dalej. Zbliżyłem się do drzwi tarasowych i zobaczyłem zarys sylwetek na końcu ścieżki. Zaciekle się kłócili. Widziałem ich oddechy w zimnym powietrzu, ale nie słyszałem, co mówią. Postać Carvera górowała nad sylwetką Sarah Jane. Spodziewałem się najgorszego i krzyknąłem przez ramię do ludzi w kuchni:

– Hej, wyjdźcie stąd wszyscy! Zain potrzebuje trochę prywatności.

Jego imię wypłoszyło większość gapiów z powrotem na korytarz. Jeden z mężczyzn ociągał się z wyjściem, próbował ominąć mnie wzrokiem i wyrzec na zewnątrz.

– Co on tam robi? – spytał z podziwem w głosie.

– Oświadcza się – powiedziałem. – A jak ci się, kurwa, wydaje, co on tam robi?

Obruszył się, jakbym uraził jego uczucia.

W środku paliło się światło, więc widziałem Carvera i Sarah Jane w odbiciu mojej własnej twarzy. Wyglądali jak dwugłowy potwór, ale zaczęli się szamotać, a potem się rozdzielili. Nacisnąłem na szybę i wykonałem ruch, jakbym chciał otworzyć drzwi, i wtedy jedna postać uderzyła drugą w twarz.

Odsunęli się od siebie i bez ruchu stali w mroku. Widziałem ich oddechy w oświetlonym latarniami listopadowym zmierzchu. Gorączkowo buchali kłębami pary, która wypełniła przestrzeń między nimi. Po kilku sekundach chyba się uspokoili, ich oddechy w powietrzu zrzędyły, aż w końcu całkiem się rozproszyły.

Skupiłem wzrok na swoim odbiciu w szybie. Na mojej twarzy nie malował się niepokój ani szok, lecz zwykła ciekawość.

Odwróciłem się i ze zdziwieniem zobaczyłem, że Isabelle Rossiter przygląda mi się, stojąc w kącie. Z butelką wina w rękę oparła się plecami o ścianę i czułem, że widziała moją minę odbitą w szybie. Jej jasne włosy błyszcząły w świetle jak neon.

– Witaj ponownie.

– A, cześć – powiedziała, jakby dopiero teraz mnie zauważyła. Podeszła lekkim krokiem, nie skupiając na niczym wzroku. Wskazała głową na Carvera i Sarah Jane. – Czasami potrafia być dla siebie naprawdę dobrzy.

– Dobrzy?

Wzruszyła ramionami.

– Widziałam, jak się przy nim uśmiecha.

– To taka rzadkość?

– A uśmiechnęła się do ciebie?

– Na razie pracuję nad tobą.

– Mnie też przydałby się uśmiech – powiedziała. – Co zamierzasz?

– To zależy.

– Od czego?

– Od tego, kiedy się urodziłaś. – Uniosła brew. Skojarzyła mi się ze swoim ojcem. – Po prostu fascynuję się astrologią – powiedziałem.

– Na pewno byśmy do siebie pasowali...

– Naprawdę? Masz jakieś imię?

– Jesteś staromodny. To nudne. – Uśmiechnęła się pogardliwie. – Potrzebujesz tylko mojego numeru. – Teraz mówiła już półzartem i bardziej ją za to polubiłem. Gdy ruszyłem do wyjścia, wzięła mnie za rękę. Porzuciła rolę *femme fatale*.

– Isabelle. Mam na imię Isabelle.

– Trzy sylaby? Na pewno nie zapamiętam.

Wreszcie się uśmiechnęła.

– Przyjaciele mówią mi Izzy.

– Przyjaciele? – powiedziałem. Spojrzałem przez okno. Carver i Sarah Jane z kamiennymi twarzami wracali do domu. Moje odbicie w szybie drzwi tarasowych wciąż na mnie patrzyło, ale teraz nie było już nawet zaciekawione. Było okrutne. – Uważasz ich za przyjaciół?

Pociągnęła mnie za rękę.

– Skąd znasz Sarah Jane?

– Mówiłem ci, że jej nie znam.

– A ja ci mówiłam, że ona nie wpuszcza nikogo, jeśli nie wie, kto to jest. – Podała mi butelkę wina. – Pomyślałam, że ci się należy. Teraz jesteśmy kwita. – Uśmiechnąłem się do niej słabo i wyszedłem z kuchni, wtapiając się z powrotem w gąszcz dwudziestoletnich gówniarzy.

„Nie wpuszcza nikogo, jeśli nie wie, kto to jest”.

Zastanawiałem się, czy to było ostrzeżenie. Ludzie poruszali się powoli, ale prawie udało mi się dotrzeć do drzwi wejściowych, zanim na moim ramieniu zacisnęła się wielka gorąca dłoń. Odwróciłem się i zobaczyłem gapiącego się na mnie Zaina Carvera z zakrwawionym nosem. Wskazał głową w stronę kuchni, a potem nachylił się do mojego ucha i powiedział:

– Na słówko, bracie.

Tłum imprezowiczów gładko rozstąpił się przed Carverem, raczej przez wzgląd na jego reputację niż posturę. Na mnie spoglądano z blednącym uśmiechem, a nawet ze współczuciem. Ludzie widzieli zakrwawiony nos, który zafundowała mu Sarah Jane. W sąsiednim pomieszczeniu nadal dudniła muzyka, lecz prawie jej nie słyszałem. Carver wszedł do kuchni. Wziąłem głęboki oddech i poszedłem za nim.

Isabelle zniknęła, ale było nas trzech. Zain Carver, ja i Grip, ten, z którym wcześniej miałem spięcie. Wyglądał jak zwłoki przywrócone do życia. W jasnym kuchennym świetle zobaczyłem, że lewą rękę naprawdę ma mniejszą od prawej, ale na tym nie koniec. Cała lewa strona jego ciała była skrzywiona i skurczona. Wybałuszone oczy miał koszmarnie przekrwione.

– To on – powiedział.

– Zamknij drzwi – polecił Carver nie wiadomo komu.

Wyciągnąłem rękę, żeby to zrobić, i gdy dotknąłem klamki, poczułem pot na dłoni. Odcinałem sobie jedną z możliwych dróg ucieczki i jakiś chemiczny instynkt przetrwania mówił mi: „Nie rób tego”. Starąłem się nie zwracać na to uwagi. Po zamknięciu drzwi muzyka prawie zupełnie ucichła.

– To on – powtórzył Grip. – Zamachnął się na mnie, kurwa.

Carver uśmiechnął się w milczeniu. W kuchni paliło się kilka świateł, każde z nich było zwrócone w innym kierunku. Stał w takim miejscu, że rzucał dwa wyraźne cienie.

– Zamachnąłeś się na Gripa? – spytał.

– Nie.

Grip splunął do zlewu, jakby poczuł gorzki smak w ustach. Jego lewa ręka nie poruszała się w naturalny sposób razem z resztą ciała, ale ciągnęła się za nim jakby po namyśle.

– Więc kłamie? – spytał Carver.

– Coś mu się pomyliło. Na pewno często mu się to zdarza.

Grip zrobił krok do przodu, ale się rozmyślił. Zamiast tego wziął butelkę wina za szyjkę i roztrzaskał ją o ścianę. Skierował ostry koniec w moją stronę i powiedział:

– Mów dalej, zasrańcu.

Na podłodze utworzyła się kałuża z czerwonego wina pełna szkła.

Carver spojrzał na niego.

– To był wypadek, jestem pewny. Ten gość...

– Aidan – podsunąłem.

Gdy mu przerwałem, na chwilę zamilkł.

– Aidan wykazał dość przytomności umysłu, żeby wyprosić ludzi z kuchni, kiedy ja... – uśmiechnął się pogardliwie, szukając właściwego słowa – rozmawiałem z Sarah.

Grip milczał. Wyglądał, jakby przewijał w umyśle wszystkie znane sobie słowa, szukając tego odpowiedniego. Nadal trzymał szyjkę roztrzaskanej butelki.

– Gdzie jest Sarah Jane? – spytałem.

Carver skinął w stronę Gripa. Ten przeszedł przez kuchnię, popchnął mnie ramieniem i wyszedł. Przez chwilę, gdy drzwi znowu były otwarte, muzyka i hałas wdarły się z powrotem do kuchni. Jakiś raper w takt smętnych dźwięków krzyczał coś o zacyznaniu od zera.

Potem drzwi się zamknęły.

Carver wyjął telefon, oparł się o blat i zaczął przeglądać wiadomości. Raz po raz zatrzymywał się, wystukiwał krótkie odpowiedzi, a potem czytał dalej. Zanim się odezwał, minęło parę minut. Nie podniósł głowy.

– Dlaczego pytasz o Sarah Jane?

Zacząłem odpowiadać, ale wszedł mi w słowo.

– Dlaczego kręcisz się w Rubiku? Dlaczego mówiłeś Cath, że już tu byłeś?

– Bo byłem.

– Daj spokój. – Pogardliwie się uśmiechnął. – W zeszły piątek, kiedy jej tak powiedziałaś, to nie była prawda...

Milczałem.

– Zauważono cię, Aid. – Dalej przeglądał wiadomości. – I nie mam na myśli tylko Cath ani tylko Rubika. Obsługa Hex widziała cię siedem razy w ciągu dwóch tygodni. Podobnie w The Basement, a poza tym nagrała cię kamera w The Whistleshop. – Były to mniejsze, satelickie kluby, w których działała Franczyza. Rozrzucone na terenie od Locks po centrum miasta, a nawet w północnej dzielnicy. Carver spojrzał na mnie, a potem znowu zajął się telefonem. – Tajemniczy biały chłopcze. Stajesz się moim najlepszym klientem.

– Pomyślałem, że to dobry sposób, żeby się tu dostać.

– Udawanie aż do skutku? Nie tutaj, bracie. Powiedziałem Cath, żeby podsunęła ci zaproszenie, jeśli zobaczy, że chcesz.

– Dlaczego?

– Ciągłe się pojawiaasz. Jesteś uparty. – Wzruszył ramionami. – Uznałem, że masz mi coś do powiedzenia. Tylko szybko, bo ze sto nieprzeczytanych wiadomości domaga się mojej uwagi.

– Nie jestem nikim szczególnym, naprawdę...

– Psy są u mnie o szczebel niżej niż nikt szczególny. Detektyw Waits, prawda? – Podniósł głowę i spojrzał w jakiś punkt nad moim ramieniem. Gdy się odwróciłem, zobaczyłem Gripa stojącego za drzwiami tarasowymi. Palił papierosa, wciąż trzymając w ręce szyjkę roztrzaskanej butelki. Puścił do mnie oko. Musiało go to zboleć. Poczulem pot zbierający się u nasady pleców. Zwierzęcy instynkt przetrwania mówił: „Uciekaj”. Carver roześmiał się i znowu skupił na telefonie. – Nie rób takiej zmartwionej miny, bracie. Czytam gazety. Nie wejdzie tu nikt, kogo nie znam.

– Mnie nie znasz.

– Kradzież narkotyków z magazynu dowodów rzeczowych? Branie łapówek? Wiem wystarczająco dużo. Pasujesz do mojej ulubionej kategorii gliniarzy. Z jedną różnicą. Wykopali cię. „Zawieszony, postępowanie w toku”. – Czytał w telefonie artykuł na mój temat. Przewinął w dół i skrzywił się. – Kiepsko wyszedłeś na tym zdjęciu, Aid. – Zmrużył oczy. – Ale przynajmniej nie masz lima.

– Jeszcze mnie nie wykopali.

– Niewiele brakuje. A ja i tak mam mnóstwo przyjaciół. Niektórym z nich udało się zachować stanowiska. Więc jeśli to już wszystko...

– A masz przyjaciół w brygadzie duchów, która cię rozpracowuje? – Oderwał oczy od telefonu na najdłuższą chwilę, odkąd zaczęliśmy rozmawiać. – Przyjaciół, którzy przynajmniej wiedzą, co to jest brygada duchów?

– No, mów dalej.

– To nieoficjalna operacja wymierzona przeciwko skorumpowanym policjantom.

– Jak to nieoficjalna?

– Mają specjalne uprawnienia i skupiają się na funkcjonariuszach, którzy niszczą dowody i informują o działaniach służb. – Milczał. – Wygląda na to, że część twoich przyjaciół pasuje do tego rysopisu.

– Dlaczego moi przyjaciele mieliby o tym nie wiedzieć?

– Wszystko jest poufne. Biorą w tym udział tylko siwe głowy.

Pogardliwie się uśmiechnął.

– Dlaczego jakieś siwe głowy ścigające sprzedajnych gliniarzy miałyby się mną interesować?

– Bo masz farta, Zain. Ciągłe jest twój szczęśliwy dzień. Codziennie od dziesięciu lat.

Skinął w stronę Gripa za szybą. Zobaczyłem, jak tamten się odwraca i idzie ścieżką w głąb ogrodu. Carver upił drinka, odepchnął się od blatu i podszedł do drzwi.

W jego wyglądzie było coś niepokojącego. Nie chodziło tylko o posturę. Poruszał się jak aktor na scenie ustawionej pośrodku widowni, zawsze świadomy otoczenia i jego wpływu. Gdy był w pomieszczeniu, niskie sufity, ustawienie świateł i telefony stawały się rekwizytami i używał ich wedle swojej woli, żeby się rozrosnąć albo skurczyć. Nawet jego akcent ulegał lekkim zmianom w zależności od tego, z kim rozmawiał. Chodziło jednak o coś więcej. W niepokojący sposób naśladował cechy ludzi, wśród których się obracał. Powściągliwą bierność Sarah Jane albo kontrolowaną agresję Gripa. Przy mnie stał się nieprzenikniony i trudny do rozgryzienia. Czułem się, jakbym rozmawiał ze swoim odbiciem w gabinecie krzywych luster.

– Może po prostu mam szczęście, bracie. Co ci mogę powiedzieć?

– Pewnie ich też to zastanawia. Co może nam powiedzieć Zain Carver, jeśli szczęście przestanie mu sprzyjać?

– Dlaczego akurat ty przynosisz mi tę wiadomość?

Teraz już obaj mówiliśmy cicho.

– Nie przychodzę do ciebie jako człowiek na zakręcie, bo na nim nie jestem. Ale jak sam powiedziałeś – wskazałem głową na jego telefon – kiepsko wyszedłem na tamtym zdjęciu. Koniec mojej pracy wiązał się z pewnym rozgłosem i zastanawiam się, czy zostało mi jeszcze coś cennego. To poważna sprawa, dotyczy bogatych ludzi. Dokąd więc miałbym pójść?

– Skoro ta brygada duchów jest tajna, to jakim cudem o niej wiesz?

– Takim samym cudem jak ten, przez który wylądowałem tutaj.

– Pracowałeś przy tym? – Nie odpowiedziałem i znowu postanowił zgadnąć. – Nie. – Zaczął się śmiać. – Przyskrzynili cię?

– Właśnie w tym rzecz. Mieli okazję, ale tego nie zrobili. Bez względu na to, co brałem z magazynu dowodów lub czego stamtąd nie brałem, zgodnie z obowiązującymi standardami nikt nie powinien był tego zauważyć. I nie zauważał. Aż pewnego dnia ograniczono mi wstęp na piąte piętro.

– Więc ktoś poszedł po rozum do głowy.

– Nie. Ktoś zastawił pułapkę. Ściągnął mnie do pokoju przesłuchań i zaczął wypytywać. Służbę pełnił gliniarz spoza miasta, czytał z kartki. W mojej głowie zapaliła się pierwsza ostrzegawcza lampka. Nie chcieli zdradzić, kto się tym zajmuje na szczeblu lokalnym. Pytania skupiały się na kłopotach z forszą, osobach trzecich, szantażu. Zapaliła się druga lampka: mieli już gotowy profil. To było coś więcej niż wykroczenie, za które można wylecieć z pracy. Groził mi długi wyrok. Ale kiedy zdali sobie sprawę, że nie jestem jednym z tych, którzy ich interesują, bez słowa przenieśli mnie z komendy głównej. Trzecia lampka: nie chcieli rozgłosu. A ja cały czas się zastanawiałem, kto ma takie wpływy, żeby mnie zauważyć, ograniczyć mi wstęp, a potem wyciszyć sprawę. Potem zacząłem się zastanawiać, dlaczego zadaje sobie tyle trudu. – Carver schował telefon do kieszeni i skupiał się już wyłącznie na mnie. – Jedyнным sensownym wyjaśnieniem było to, że wpadłem w policyjną pułapkę, a im zależało na kimś ważniejszym ode mnie. Bardziej umocznym. Aresztowanie w komendzie głównej mogłoby skłonić ich prawdziwy cel do przejścia do podziemia. No więc odsunęli mnie od operacji i kilka tygodni później postawili jakieś marne zarzuty. Te, o których czytałeś w gazecie.

– I tak po prostu wpadłeś na to, że istnieje jakaś brygada duchów?

– Lepiej: ja ją znalazłem. Wiedziałem, że zajmuje się tym ktoś z góry i że korzenie sprawy sięgają komendy głównej. No więc przez kilka dni obserwowałem, kto wchodzi i wychodzi. Wykreśliłem ze swojej listy mnóstwo nazwisk, inne dopisałem. A potem zobaczyłem Dereka Wrighta.

– Powiniennem go znać?

– To generalny inspektor policji. Podobno w marcu przeszedł na emeryturę, a mimo to w październiku zjawił się w pracy. Potem zauważyłem Redgrave'a, następną siwą głowę, który rzekomo przeszedł na emeryturę, a później Tillmana. Emerytowani gliniarze wchodzi i wychodzą chyłkiem tylnymi drzwiami. To dlatego twoi przyjaciele nic o tym nie wiedzą.

– I na czym według ciebie upływają dni tym siwym głowom?

– Na przekopywaniu akt dawnych spraw, szukaniu prawidłowości, podejmowaniu stosownych działań. Idę o zakład, że w sprawach, w których Zainowi Carverowi się poszczęściło, ciągle wypływają nazwiska tych samych detektywów. – Zamilkłem, żeby na chwilę zawisło to w powietrzu, a potem dodałem: – No więc pozostaje tylko wyrzucić na tych detektywów odpowiedni nacisk, postraszyć ich więzieniem. A gdy już siwe głowy skłonią twoich tak zwanych przyjaciół, żeby pomogli zastawić na ciebie pułapkę, szczęście się od ciebie odwróci.

Carver masował sobie żuchwę knykiem. Też miałem ten zły zwyczaj i próbowałem sobie przypomnieć, czy robiłem to w jego obecności.

– Dlaczego miałbym w to wierzyć? – spytał. – Wylali cię, szukasz czegoś, na czym można by jeszcze zarobić...

– Możesz wierzyć lub nie. Ale jeśli masz w służbach jakiegoś przyjaciela, mógłby to z grubsza sprawdzić bez większego trudu.

Wpatrywał się we mnie.

– No, mów. Jak?

– Jeśli będzie obserwował wschodnie wyjście komendy głównej między piątą a szóstą po południu, zobaczy, jak wychodzą stamtąd Wright, Redgrave i Tillman.

– Codziennie?

– Z tego co zauważyłem, są tam od wtorku do piątku. Wright i Tillman zjawiają się zwykle między ósmą a dziewiątą. Z Redgrave'em bywa różnie.

Nie ukrywał, że się nad tym zastanawia.

– Co będziesz z tego miał?

– Co się stało z Sarah Jane?

Starłem się sprawiać wrażenie rozdartego. Skierowałem rozmowę w stronę spraw osobistych. Zmarszczył brwi, jakby chciał powiedzieć: „Za kogo ty się, kurwa, uważasz?”. Nie odwróciłem wzroku. Przez chwilę żaden z nas się nie poruszył, a potem on zaczął się śmiać.

– Chcesz wiedzieć, czy zakopałem ją w cemencie w głębi ogrodu?

– Ja też czytam gazety.

Uśmiech zastygł mu na ustach i Carver zrobił krok w moją stronę.

– Chciałbyś porozmawiać o Joannie? – Milczałem, więc mnie popchnął. – Co?

Wątpiłem, żeby naprawdę puściły mu nerwy. Po prostu pokazywał, że istnieje taka możliwość.

– Mówiłem ci, że nie przychodzę tu jako człowiek na zakręcie, bo na nim nie jestem. Dla biznesmena mogę pracować od zaraz. Ale dla mordercy to nie wiem.

– Sarah Jane poszła ochłonąć, ale wróci. – Przez chwilę milczał. – Czasami myślę, że Joanna też. Nie czytałem tego apelu policji, ale cieszę się, że go opublikowali. Nie powinni byli o niej zapominać na tak długo. Ja nie zapomniałem.

– Co się z nią stało?

Znowu zmarszczył brwi. Jego telefon zaczął wibrować i Zain poklepał się po kieszeniach.

– Wright, Redgrave i Tillman? – Pokiwałem głową. – Przyjdź za tydzień. Jeśli coś jest na rzeczy, wynagrodzę cię. – Odebrał telefon, a ja ruszyłem do drzwi. Zanim do nich dotarłem, powiedział podniesionym głosem: – Wiesz, mówiłem prawdę.

Brzmiało to szczerze, ale nie wiedziałem, czy mówi do telefonu, czy do mnie.

Tego wieczoru nie widziałem już więcej Carvera, a gdy niebawem ucichła muzyka, wyglądało to tak, jakby ludzie padli trupem tam, gdzie stali. Podłoga była usiana nieruchomymi ciałami. Czując ulgę, pociągnąłem spory łyk wina od Isabelle. Postanowiłem wejść po schodach, które już opustoszały, i z każdym krokiem czułem większy spokój. Nieustanny rytm muzyki ustąpił miejsca dzwonieniu w uszach, które wydawało się żywe i wesołe.

Dotarłem na piętro i skręciłem w prawo, wchodząc do olbrzymiej, pachnącej łazienki. Na sedesie zobaczyłem zarys siedzącej dziewczyny. Deska była opuszczona, a dziewczyna ubrana. Schowała twarz w dłoniach, wyglądając jak uosobienie strachu przed ciążą. Włączyłem światło. Była to Isabelle Rossiter. W opłakanym stanie, bez przytomności, ale oddychała.

Podniosłem ją i delikatnie posadziłem na podłodze. Ważyła tak mało, jakby jej nie było. Umyłem dwie porzucone szklanki, napełniłem je wodą i siedziałem przy niej w milczeniu, gdy raz po raz odzyskiwała przytomność i piła. Jeszcze zanim usiadłem, obraz przed oczami zaczął mi się rozmazywać, a teraz wszystko straciło ostrość, poruszało się w zwolnionym tempie. Poczułem, jak moja perspektywa się zmienia.

Wino.

„Pomyślałam, że ci się należy. Teraz jesteśmy kwita”.

Sposób działania kojarzył się z silnym środkiem uspokajającym. Flunitrazepamem albo GHB. Miałem nadzieję, że nie wypilem aż tyle, żeby zwałił mnie z nóg, ale z pewnością mógł przytępić umysł. Podnosząc się z podłogi, chyba się śmiałem.

Isabelle znowu trzymała twarz w dłoniach. Jej punkowa fryzura była zmierzwiona, a nogi gołe. Kolorowy lakier na paznokciach bosych stóp upodabniał ją do dziecka. Pochyliłem się, żeby ją szturchnąć i obudzić, ale zobaczyłem, że zsunęła jej się apaszka.

Uniosłem jej głowę.

Blizna na szyi była większa, niż przypuszczałem. I ciemniejsza, biorąc pod uwagę, że rana zagoiła się ponad rok temu. Miała kształt zbliżony do litery Z. Dwie głębokie, wyraźne linie połączone pośrodku jaśniejszą. Próbując się zabić, dźgnęła się w szyję, obróciła nóż i zrobiła drugą, głębszą ranę.

Lekko związałem postrzępione końce apaszki wokół jej szyi, starając się zasłonić bliznę. Przykryłem nogi Isabelle grubym suchym ręcznikiem, wyłączyłem światło i zostawiłem ją.

Lekko oszołomiony otworzyłem pierwsze drzwi, do których doszedłem, i odczekałem, żeby oczy przyzwyczaiły się do półmroku. Było to olbrzymie pomieszczenie z szerokim łóżkiem po jednej stronie i jakimiś parami śpiącymi na dywanie. Potykając się o nie, podszedłem do łóżka, gdzie usłyszałem chrapanie mężczyzny. Zepchnąłem go na podłogę i położyłem się, wykończony i dygoczący. Mój dudniący puls poruszał całym ciałem i pokój wirował.

Czas galopował tam i z powrotem, równie dobrze mogła upłynąć godzina, jak i kilka minut. Głośno otworzyły się drzwi. Zobaczyłem, jak ludzie na ziemi odsuwają się od światła. Gdy drzwi się zamknęły, udałem, że śpię.

Znowu było ciemno.

Rozległy się miękkie, niepewne kroki dziewczyny drepczącej przez pokój w stronę łóżka. Położyła się obok mnie i przysunęła. Pachniała papierosami i świeżym powietrzem, ale przez jej ubranie przebijała woń potu.

– Witaj ponownie – szepnęła mi Catherine do ucha.

Pokój obracał się jak karuzela i jej głos skojarzył mi się z latarnią morską. Nasze palce splotły się w ciemności, wzięła mnie za rękę i powoli poprowadziła ją w górę swoich ud. Była ciepła między nogami i uświadomiłem sobie, że nie ma bielizny.

– Nadal szukasz kłopotów? – Roześmiała się. Stwardniałem pod wpływem tego cudownego dźwięku i jej płytkiego oddechu. Rozpięła mi spodnie i poczułem na sobie jej poruszającą się rękę. Nawet wtedy odbierałem to bardziej jako wspomnienie. Albo wspomnienie czegoś, o czym ktoś mi opowiedział. Po kilku minutach doszedłem, a ona obsypała moją twarz i szyję lekkimi zdyszanyymi pocałunkami.

Chyba powiedziała „Zain”.

Odsunąłem się wyczerpany i usłyszałem ciężki oddech. Starąłem się oddychać ciszej, przez usta, ale dźwięk nie umilkł. Dobiegał z ciemności w głębi pokoju. Odpłynąłem w mocny, pozbawiony marzeń sen.

Gdy otworzyłem oczy, gwałtownie usiadłem i zobaczyłem, jak przez zasłony wpada przeredzone światło dnia. Pokój zawirował. Doświadczenie podpowiadało, że nic mi nie będzie, dopóki nie zacznę wirować w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Przewróciłem się na drugi bok i zobaczyłem, że łóżko jest puste. Catherine już poszła. Nadal czułem jej zapach na poduszce. Niepewnie wstałem i wyszedłem z pokoju. W domu panował już ruch, ale na podeście i na schodach nikogo nie spotkałem. Zszedłem na parter i przystając w opuszczonym korytarzu, usłyszałem stłumione głosy za zamkniętymi drzwiami.

– Sheldon White? – powiedziała jedna z dziewczyn.

Nie skojarzyłem jej z imieniem, ale w tonie jej głosu usłyszałem coś znajomego.

To był strach.

Mogłem otworzyć te drzwi i dołączyć do towarzystwa, ale wtedy nie przypuszczałem, że ta jednorazowa przygoda ma jakiegokolwiek znaczenie. W ogóle wtedy nie myślałem. Otworzyłem drzwi wejściowe, ciesząc się, że nikogo nie spotkałem, i wszedłem z powrotem w listopad.

Mrużąc oczy w świetle, na schodach Carvera zobaczyłem coś, co wyglądało jak wielka ptasia kupa. Czarne na białym. Gdy nad tą plamą przechodziłem, wciąż jeszcze była mokra.

– Wyglądasz paskudnie – powiedział Parrs, dając mi znak, żebym usiadł.

Był poniedziałkowy ranek. Szkocki akcent Parrsa nadal się wyróżniał, ale cała postać wtapiała się w tło. Był mężczyzną szarym niemal pod każdym względem. Włosy i ubranie miały wyblakłe, odkąd awansował na komisarza. Pasowało to do niego, sugerowało głębokie życie wewnętrzne. Siedzieliśmy w obskurnej garkuchni przy Oxford Road. Nie byłoby dobrze, gdybym pokazał się w komendzie głównej.

Podsunałem mu gazetę.

Parrs otworzył ją i zaczął czytać.

Mijały minuty, a on siedział i marszczył brwi nad moim raportem.

Nad zredagowanym przeglądem najważniejszych wydarzeń.

Pominałem zażycie przeze mnie narkotyków i moją jednorazową nocną przygodę, starałem się umniejszyć także upadek Isabelle. Gdyby ktoś się dowiedział, gdyby ktoś spytał, powiedziałbym, że zrobiłem to, żeby ją chronić. Tak naprawdę nie byłem jednak pewny, dlaczego zachowałem te fakty dla siebie. Może nie ufałem komisarzowi Parrsowi. Nie ufałem posłowi Davidowi Rossiterowi.

Od ostatniej imprezy dzielił mnie weekend, ale nadal byłem na haju. Bzyczące żarówki i szumiący termoobieg w piekarniku brzmiały jak syntezatory. Parrs przestał czytać i spojrzał na mnie znad gazety. Uświadomiłem sobie, że odkąd usiadłem, cały czas stukam stopą w nogę krzesła, i przestałem. Jego palec wskazujący mocno przywarł do kartki, zaznaczając jedno miejsce. Przeczytał tę linijkę jeszcze raz.

– Co myślisz o Carverze? – warknął, jakby przed chwilą zadał to pytanie i nie doczekał się odpowiedzi.

– Ma charakter. Na pewno ma przyjaciół w policji. Jak mu powiedziałem o brygadzie duchów, zamienił się w słuch.

– Zainteresuje się tym?

– Jeśli jego człowiek zobaczy, jak Wright, Redgrave i Tillman kilka razy wychodzą z komendy, to chyba będziemy w domu.

– Kto mieszka w Fairview?

Spojrzałem przez ramię na drzwi. Byliśmy jedynymi klientami.

– Na pewno Carver i Grip – powiedziałem. – Dziewczyny: chyba Catherine, Sarah Jane i Isabelle. Barman nie.

– A jak było w piątek?

– Tak samo jak poprzednio. Nie dzieje się tam nic strasznego, ale wyczuwa się mnóstwo złych wibracji. Specyficzna atmosfera.

– W prasie ukazuje się pełno artykułów o zaginięciu byłej dziewczyny ich szefa. – Parrs uśmiechnął się, uradowany tą myślą. – Dogryźleś Carverowi w kwestii Joanny Greenlaw?

– Chyba trafiłem w czuły punkt. Odgryźł się.

– Tak?

– Ale sprawy nie potoczyły się tak, jak pan myśli. Powiedział, że nie widział apelu, ale cieszy się, że coś się dzieje. Powiedział też, że nie należało zapominać o Joannie Greenlaw na tak długo.

– Co o tym sądzisz?

– Wyglądał, jakby mówił szczerze, ale we wszystkim, co robi, jest trochę aktorstwa.

– Zdradził się, że wie coś więcej?

– Nie – odrzekłem, zastanawiając się, czy komisarz powiedział mi o wszystkim. – Mówił, że czasami wciąż jeszcze ma nadzieję, że Joanna wejdzie do Fairview. Jego wersja brzmi tak, że zaginęła dziesięć lat temu. Apel policji trafił w czuły punkt, ale... – Zawiesiłem głos.

– Myślisz, że jest w tym jakieś drugie dno?

– Może Carver zawsze jest tak dobrze poinformowany, ale odniosłem wrażenie, że zauważyli mnie dlatego, że wzmocnili ochronę.

– Hm – mruknął Parrs.

– Słyszałem, jak ktoś wspomina o Sheldonie Whicie i...

Przeszył mnie wzrokiem.

– Kto wymówił to nazwisko?

– Jedna z dziewczyn w Fairview.

Zamknął gazetę z moim raportem w środku. Gdy znowu się odezwał, mówił ciszej niż zwykle.

– Synu, Sheldon White to duch minionych świąt Bożego Narodzenia. Rządził kiedyś u Burnsiderów. Właśnie wyszedł po siedmioletniej odsiadce.

– Rozumiem.

W jego oczach pojawił się błysk.

– Jemu też przyglądano się w związku ze zniknięciem Joanny Greenlaw. – Prychnął pod nosem. – Jeśli mówią o Sheldonie Whicie, to na pewno są zaniepokojeni.

– Dlaczego dowiaduję się o tym dopiero teraz?

Prawie zapomniał, że tam jestem.

– Chcę, żebyś się skupił na Carverze.

– Nie może pan dalej mnie tam posyłać, skoro znam tylko połowę historii.

Spojrzał na mnie z wściekłością.

– Synu, mogę z tobą zrobić, co zechcę. Jeśli masz ochotę się wycofać, pošlę cię na dno razem z nimi. – Ponownie otworzył gazetę i odniósł się do moich zapisków. – Isabelle Rossiter. Opowiedz mi o niej.

Uświadomiłem sobie, że znowu stukam nogą, i przestałem.

– Jest zagubiona, ale nie bardziej niż większość siedemnastolatków.

– Siedemnaście lat – powiedział Parrs, pocierając twarz. – Jak myślisz, co ona tam robi?

– Carver otacza się mnóstwem młodych dziewczyn. Przypuszczam, że Isabelle dołączy do reszty i zacznie odbierać gotówkę z barów. Nadaje się do tej roli.

– Synu, pozory czasem mylą. Wydaje się zrównoważona?

– Bardziej niż ja w jej wieku.

– Jakoś mnie to nie uspokaja.

– Widziałem bliznę na jej szyi. Cokolwiek sobie zrobiła, to nie było wołanie o pomoc.

– Hm – mruknął Parris bez większego zainteresowania. – Kiedy znowu się tam wybierasz? – Był spragniony kolejnych informacji. Najchętniej od razu zawiózłby mnie do Fairview.

– Carver zaprosił mnie na następną imprezę.

– Aha. – Parris się uśmiechnął. – Piątkowe rozmowy na głównianym szczycie.

Gdy komisarz się uśmiechał, zmarszczki wokół jego oczu pogłębiały się i wyglądały jak skrzela rekina.

– Dowiem się, co jego człowiek miał do powiedzenia na temat naszej brygady duchów. Pokiwał głową, a potem przez chwilę mi się przyglądał.

– Nie daj się ponieść tej całej zaszranej historii z Isabelle Rossiter. Jaśnie pani nadkomisarz Chase może wsadzać cycki we wszystko, co jej się podoba, ale nie pozwolę, żeby jakaś zdzira naraziła na szwank moje dochodzenie. Nadal masz się skupiać wyłącznie na Franczyzie.

„Tej całej zaszranej historii z Isabelle Rossiter”.

– Tak jest – odrzekłem.

– Powiedz mi coś jeszcze. Tylko szczerze.

Wytrzymałem jego spojrzenie i kiwnąłem głową.

– Bierzesz, synu?

Znowu przestałem stukać nogą.

– Nie – powiedziałem.

Wstałem i wyszedłem, zanim zdążyli przyjąć od nas zamówienie.

Sprawdziłem, czy kabina jest zamknięta, i usypałem kreskę na grzbiecie dłoni. Był środowy wieczór. Odbyłem tę samą trasę po pubach Franczyzy co w poprzednim tygodniu, zapisując w myślach, kogo zobaczyłem i gdzie. Piłem w The Basement, małym podziemnym barze z lepką podłogą i bez naturalnego światła.

Gdy wyszedłem z męskiej toalety, paliło mnie w gardle i wszystko pachniało amfą. Wydawało mi się, że świat przyspieszył, ale mógł to być efekt wstrząsu, jaki przeżyłem na widok Sarah Jane. Jej ognistorudych włosów, olśniewającego kroju sukienki. Dziś wieczorem pracowała. Nigdy nie widziałem jej w Rubiku, ale chyba zbierała forszę w mniejszych, satelickich barach.

– Cześć – powiedziałem, gdy odwróciła się od barmana.

Rzuciła mi przelotne spojrzenie i wyszła z sali, kierując się ku schodom i ulicy. Pewnie i tak by mnie zignorowała, ale zastanawiałem się, czy Carver podzielił się z nią tym, co ode mnie usłyszał.

Brygada duchów.

Wright, Redgrave i Tillman kursowali do komendy głównej i z powrotem jak na zawołanie. Skorumpowany policjant, który dostał cynk, nie miał innego wyjścia, jak tylko czekać, obserwować i potwierdzić to, co dotąd powiedziałem. Ale mogłem się o tym przekonać dopiero w piątek. Na kolejnej imprezie. Gdybym zdobył ich zaufanie albo coś zbliżonego do zaufania, miałbym okazję przygotować grunt pod policyjną zasadzkę.

To był emocjonujący okres i choć nie podchodziłem do Franczyzy z takim zapałem jak komisarz, zaczynałem dostrzegać atrakcyjność tej operacji. Zniknięcie Joanny Greenlaw przed dziesięcioma laty. Pseudoimperium Zaina Carvera. Jego bary i jego dziewczyny. Jego syreny. Zauroczona tym wszystkim Isabelle Rossiter. A teraz jeszcze dodatkowy wątek Sheldona White'a i jego urazy, kolejny cios z przeszłości.

Gdyby się udało, tydzień później nasz cel siedziałby za kratkami, a ja wróciłbym do dawnego życia, zszarganego nazwiska i całej reszty. Aresztowano by Zaina Carvera, zamknięto jego bary, a jego dziewczyny by się rozpiezchły. Kto wie, co zrobiłaby Isabelle.

Ciągle wracam do tej chwili. Do chwili poprzedzającej utratę kontroli. Gdyby się udało, mógłbym sobie oszczędzić mnóstwa kłopotów, mnóstwa bólu. Może nawet przy okazji ocaliłbym komuś życie.

Wypiłem piwo, żeby złagodzić pieczenie gardła. Po amfie czułem się wszechobecny i nietykalny. Byłem wszędzie, wprawiałem w ruch sto różnych elementów. Ludzie byli tylko obiektami widzianymi z daleka. Nieustannie rozświetlonymi oknami wieżowca.

Następnych kilka dni spędziłem z dala od Franczyzy. Odcięty od niej. Jakaś siła ciągnęła mnie jednak w stronę Fairview. Gdy nadszedł piątek i znowu znalazłem się na ścieżce do domu Carvera, szedłem szybko. Nie zwalniając kroku, minąłem ludzi marzących o tym, żeby znaleźć się w środku, i gapiów zwabionych dudnieniem basu. Nie wiedziałem, w co się pakuję. Mogło się wydarzyć wszystko.

Sarah Jane otworzyła drzwi i odsunęła się, nie patrząc na mnie. W holu za nią tętniło życie. Stroboskopowe światła rozbłyskiwały i gasły w rytm basowych dźwięków muzyki. Wszedłem do środka, a ona zamknęła drzwi przed dwojgiem ludzi idących za mną.

– Witaj ponownie – powiedziałem, przekrzykując gwar.

Przerwała mi.

– Chce się z tobą zobaczyć.

W tłumie za nią zauważyłem Catherine. Długie kasztanowe włosy kontrastujące z tłem ściany. Pomyślałem o naszej wspólnej nocy. Nie mogłem uwierzyć, że wydarzyła się naprawdę. Catherine stała oparta w korytarzu i rozmawiała z mężczyzną odwróconym do mnie plecami. Światła sprawiały, że w jednej chwili była doskonale widoczna, a w drugiej zniknęła. Na mój widok wytrzeszczyła oczy.

– Hej – powiedziała Sarah Jane, pstrykając mi palcami przed nosem.

– Prowadź.

Trudno było iść za nią w tłumie. Zbyt wiele osób w małej przestrzeni. Ludzie rozstępowali się przed Sarah Jane, jakby była z rodziny królewskiej, a tuż za nią znów zbijali się w gęstą masę. Stroboskop wszystko spowalniał, upodabniając tę drogę do serii zdjęć. Zerknąłem przez ramię w stronę Catherine. Mężczyzna nadal do niej mówił, ale ona patrzyła na mnie. Próbowwała mi coś przekazać.

– Uważaj, jak idziesz – powiedział Grip, mocno trącając mnie w ramię.

Spojrzałem na niego. Pstryknął mnie w czoło i się uśmiechnął. Gdy to zrobił, pękła mu dolna warga i kropla krwi spłynęła na brodę. Nie widziałem już Sarah Jane i przecisnąłem się w stronę kuchni. Zdążyłem w samą porę, żeby zobaczyć, jak otwiera drzwi i wychodzi przez nie, nie sprawdzając, czy nadal za nią idę. Pociłem się pod wpływem żaru tłumu, który na nią nie miał najmniejszego wpływu.

Obok drzwi stała samotnie Isabelle Rossiter. Miała na sobie tę samą postrzępioną apaszkę i ciuchy w tym samym punkowym stylu. Spoglądała na swoje wyblakłe, schodzone martensy. Widząc, że idę za Sarah Jane, zawołała, przekrzykując muzykę:

– Mówiłeś, że jej nie znasz!

Minąłem ją, wszedłem do kuchni i zamknąłem drzwi. Światło było przygaszone, stałe, a muzyka stłumiona. Zain Carver czekał tam, gdzie zostawiłem go tydzień temu. Opierał się o blat, przewijając wiadomości w telefonie. Obok miał butelkę jakiegoś drogiego alkoholu i dwa kieliszki. Skończył czytać wiadomość, a potem spojrzał na Sarah Jane.

– Zostaw nas na chwilę, skarbie.

Znowu zajął się telefonem. Posłała mu uśmiech, jakby chciała powiedzieć, żeby spierdalał, a potem obróciła się na pięcie i zamknęła za sobą drzwi.

– Widzisz – powiedział. – Żyje i kasa.

– Czy ona wie?

– Nie ode mnie. A czemu pytasz?

– Jakoś chłodno mnie traktuje.

– W takim razie wszystko robisz jak należy. Zwykle ma o kilka stopni niższą temperaturę. Czekałem, a on pisał esemesa.

– Koniaku? – odezwał się w końcu, wskazując głową butelkę.

– Pewnie.

Odłożył telefon, zerwał z butelki pieczęć, nalał dwie duże porcje i podał mi jedną. Szklanka była w sam raz, doskonale leżała w mojej dłoni.

Przytrzymał swoją w górze, wznosząc toast.

– Za nowych przyjaciół.

Obydwaj się uśmiechnęliśmy i stuknęliśmy się szklankami. Hennessy. Wcześniej nigdy nie piłem, przynajmniej świadomie, trunku tej marki. Smakował wybornie. Poczulem znajomy efekt dobrego alkoholu ponownie rozniecającego we mnie ogień, o którym nie wiedziałem, że zgasł.

Carver spojrzał na mnie.

– Wright, Redgrave i Tillman. Wszystkich widziano, jak w tym tygodniu wchodzili do komendy głównej.

– Co o tym sądzi twój człowiek?

– To, co sądzi, wystarczyło, żebym znowu cię tu wezwał, Aid. Przeprowadził w tej sprawie „dyskretne dochodzenie”. – Wypowiedział te słowa, naśladując człowieka, od którego je usłyszał. Z nikim mi się to nie skojarzyło. – Przyjaźni się tam z dziewczyną z biur na szóstym piętrze. Ci twoi goście mają zamknięty pokój, przydzielony na stałe: 6.21A. Dziewczynie nie udało się dowiedzieć, kto wydał zezwolenie, ale dostało je coś o nazwie Komitet Budowy Pomnika przy Park Road.

– Trzej ważni detektywi stawiają pomnik ku czci poległych...

– Właśnie – Carver się uśmiechnął. – Do czegoś takiego potrzeba co najmniej pięciu skurwieli. Nie przekazałem swojemu człowiekowi całej historii, ale sam się domyślił. Dodał dwa do dwóch i też zaczął mówić o brygadzie duchów.

– Zmartwił się?

Carver sięgnął po telefon, który podczas naszej rozmowy regularnie wibrował, sygnalizując nadejście wiadomości, i znowu zaczął przewijać ich listę. Wiadomość dla mnie była taka, że moja rola dobiegła końca.

– Powiedziałem, że cię wynagrodzę, więc podaj cenę. A tak przy okazji, hennessy jest twój.

– W takim razie... – Podniosłem butelkę, przyjrzałem się jej i zrobiłem nam obu solidną dolewkę. – Dziesięć?

– To dużo za dużo, koleś. Spróbuj jeszcze raz.

Napiłem się. Rozbłysłem.

– Siedem.

– Raczej pięć. – Uśmiechnął się. – Pogadaj z Gripem.

- Mam wrażenie, że on mnie nie lubi.
- On nikogo nie lubi. Przejmujesz się tym?
- Jeśli zamierza utrudniać mi życie.
- Nie zamierza – powiedział Carver, przeglądając wiadomości. – On o wszystkim wie. Oczekałem jeszcze chwilę, podczas której Carver pisał esemesa.
- No i co teraz?
- Zmarszczył brwi.
- Lepiej, żebyś nie wiedział.

Byłem pewny, że ta lekceważąca postawa ma mnie do czegoś sprowokować. Do próby podbicia stawki za pomocą dalszych informacji.

Pora na autoreklamę.

- Możliwe, że mam do powiedzenia coś więcej.
- Na jaki temat?
- Na temat pewnych dziwactw brygady duchów. Wartych więcej niż piąta.
- No to wal.
- Dlaczego robią coś takiego na miejscu, w komendzie głównej? – Carver wzruszył ramionami. – Żeby mieć dobry dostęp do papierowych akt – powiedziałem.
- W dzisiejszych czasach nic nie jest na papierze.
- Z jakiegoś powodu ciągle siedzą w tym budynku. A konkretnie w tym pokoju. Co więcej, nikt inny nie ma tam wstępu. Nie mogą korzystać z policyjnej sieci danych w komendzie głównej ani ze wspólnych nośników. One są zbyt oczywiste, zbyt widoczne, zbyt łatwo do nich dotrzeć.

– No i?

– Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wszystko, co mają na ciebie, na mnie i na twojego człowieka, znajduje się w tym pomieszczeniu. Zapewne na osobnym twardym dysku. – Carver znowu odłożył telefon i skupił się wyłącznie na mnie. – Wyczyść go i nie będą mieli nic.

– Jak?

– Zanim do ciebie przyszedłem, obserwowałem to miejsce przez dwa tygodnie. Wright, Redgrave i Tillman nigdy nie przychodzą w poniedziałek. Twój człowiek obserwował wejście w ubiegłym tygodniu. Widział ich wtedy?

Zastanowił się.

- W poniedziałek nie.
- Musiałby tylko dostać się do tego pomieszczenia.
- I to wszystko?

– Ukrywają się w najbardziej widocznym miejscu. Wiemy, gdzie ono jest i kiedy jest puste. Poza zamkiem w drzwiach nie mogą zastosować żadnych środków bezpieczeństwa, bo zwróciliby na siebie uwagę. Zresztą nikt przy zdrowych zmysłach nie interesowałby się... Jak to się nazywało? Komitetem Budowy Pomnika przy Park Road, w dodatku działającym na szóstym piętrze. – Czułem, że jest zaintrygowany. – Twój człowiek mógłby dostać się do tego pokoju w najbliższy poniedziałek.

– Hm.

– Może pójść tam od razu. Albo odłożyć to do następnego tygodnia.

Carver spojrzał na mnie.

– Chyba rzeczywiście to jest warte więcej niż piątaka.

Pogadaliśmy jeszcze trochę i dopiliśmy koniak. Carver pił powściągliwie, ale i tak się wstawił. Odsyłając mnie na imprezę, nalegał, żebym wziął butelkę, i odkryłem, że nagle stałem się lubiany.

Grip podszedł do mnie z boku. Był mokry od potu i poruszał się niezdarnie. Chrząknął i podał mi reklamówkę. Gdy skinąłem głową, poczłapał z powrotem w tłum. W reklamówce były pieniądze. Pięć równej wielkości plików pięćdziesięciofuntowych banknotów. Z trudem wepchnąłem je do kieszeni kurtki.

Szukałem Isabelle. Zastanawiałem się, czy coś ją łączy z Sarah Jane. Słyszałem rozczarowanie w jej głosie, gdy zobaczyła nas razem. Wystraszył mnie brak zainteresowania, jaki okazywał jej komisarz. „Tej całej zasranej historii z Isabelle Rossiter”. Jej własny ojciec dopiero po miesiącu zauważył, że zniknęła. Nie pozwól jej zniknąć, pomyślałem.

– Świątujesz? – spytała Catherine, wskazując ruchem głowy na butelkę.

– Nieustannie. – Podałem jej koniak. Uśmiechnęła się do mnie. Był to prawdziwy uśmiech, taki, jakiego nie widziałem od dawna. Śmiały się jej oczy. To wszystko nie pasowało do tego miejsca. Ani do tego, co było między nami. Upiła łyk, skrzywiła się i oddała mi butelkę.

– Jak dla mnie trochę za bogaty.

Pomyślałem o gotówce w mojej kieszeni.

– Jeśli wolisz biedniejsze, to chyba trafiłaś na właściwego człowieka.

Znowu się uśmiechnęła.

– Chyba?

– No wiesz, mogę przynajmniej zmarnować trochę twojego czasu.

– Albo przez przypadek przewrócić mojego drinka...

– Nadal mi przykro z tego powodu.

– Niepotrzebnie. Dzięki temu oderwałam się od Neila.

– Od Neila?

– Menedżera baru w Rubiku. Wydaje mu się, że jestem jego własnością. Ten facet jest jak rzep.

– Jak rzep?

– Klei się do wszystkich dziewczyn.

– Ten z modnym zarostem?

– Właśnie on. Wygląda, jakby nie spał całą noc, próbując rozwiązać zagadkę jakiegoś morderstwa albo coś. – Roześmiałem się. „Neil”. A więc Glen Smithson, randkowy gwałciciel oczyszczony z zarzutów, posługiwał się innym nazwiskiem. Dobrze widzieć. – Większość mężczyzn nie ma odwagi z nami rozmawiać – powiedziała.

– Czuję się wyróżniony.

– Naprawdę? Dlaczego przewróciłeś mojego drinka, Aidan?

– Chciałem cię poznać.

– Nie Zaina?

– Najpierw ciebie – powiedziałem. Uświadomiłem sobie, że mówię szczerze.

Położyła mi rękę na piersi i spojrzała w oczy.

– No to zmarnuj trochę mojego czasu. – Powiedziała to tak, jakby rzucała mi wyzwanie.

– Mogę ci zmarnować trochę życia. – Wypiliśmy jeszcze i zaczęliśmy się przesuwać w przód i w tył razem z tłumem, aż niepostrzeżenie znaleźliśmy się znowu na piętrze. Gdy ją pocałowałem, poczułem, że wszystko może się zmienić. Moja osobowość, moje ciało. Moje życie. Kiedy się od siebie odsunęliśmy, nadal byłem sobą. Na razie dawało się to jednak wytrzymać. Stała obok mnie. Widząc, jak na nią patrzę, roześmiała się i uderzyła mnie w klatkę piersiową. Potem znowu się pocałowaliśmy.

Wyszedłem jakąś godzinę później. Zamknąłem za sobą drzwi i poczułem coś mokrego na palcach. Spojrzałem na nie. Czarne na białym, jak rozmazane ptasie gówno, które tydzień wcześniej widziałem na schodach. Wokół nie było żadnych ptaków i zbliżyłem palec do nosa. Pachniały farbą. Poszedłem ścieżką, wycierając po drodze rękę w liść.

Gdy wróciłem do północnej dzielnicy, już po dwunastej, wszystko było przyjemnie rozmazane. Napilem się wody, wziąłem dwie tabletki przeciwbólowe i usiadłem na łóżku. Zobaczyłem, że mam nową wiadomość. Wysłano ją z numeru, którego nie znałem, i brzmiała po prostu:

Zain wie.

Następnego dnia wstałem wcześniej. Zanim wziąłem prysznic, zobaczyłem na palcach zaschniętą czarną i białą farbę. Pomyślałem o ptasim gównie, nad którym tydzień wcześniej przeszedłem po wyjściu od Carvera. Potem pomyślałem o zaginięciu Joanny Greenlaw.

„Cały próg był wymazany czarną i białą farbą”.

Sięgnąłem po telefon. Musiałem porozmawiać z ekspertem, a znałem tylko jednego. Wziąłem głęboki oddech i wybrałem numer Suttty’ego. Nie widziałem go, odkąd aresztowaliśmy kobietę w burce. Wiedział tylko tyle, że następnego dnia ukradłem narkotyki z magazynu dowodów i zostałem zawieszony. Jeśli nadal pracował na nocnej zmianie, mogłem go zastać w łóżku, bo pewnie odsypiał.

Odebrał z przeciągłym westchnieniem.

– Taa...

– Suttty?

– Taa...

– Tu Waits.

– Waits? – To go obudziło. – Czego, kurwa, chcesz?

– Potrzebuję pomocy...

– To więcej, niż mogę ci dać, synu. Masz pieprzony tupet, żeby do mnie dzwonić po tym numerze, który wykręciłeś.

– Wiem.

– W ogóle nie powinniśmy rozmawiać. Jeśli twoja sprawa trafi do sądu, będę przeciwko tobie zeznawał. I zrobię to z przyjemnością.

– Wiem. Nie dzwoniłbym, gdyby to nie było pilne...

– Nie mam, kurwa, forsy i nie mam, kurwa, czasu, więc...

– Nie chodzi o forszę. Chodzi o znaki rozpoznawcze gangów. – Nie odezwał się, ale wiedziałem, że go to zaintryguje. – Jesteś jedyną osobą, która zna ten temat na wylot.

– Po co ci to?

– Do prywatnej roboty. W ochronie.

– Zapłacisz?

– Sto funciaków, poświęcisz godzinę. – Prychnął. – Dwieście. Więcej nie dam rady.

Cmoknął kilka razy, zastanawiając się.

– Gdzie?

– W mieście? Moglibyśmy się spotkać w The Temple?

The Temple, bar urządzony w dawnych podziemnych toaletach publicznych, należał do frontmana sławnego lokalnego zespołu. Utrzymywał stosownie obskurny wystrój i rozsądne ceny. Był to ulubiony bar Suttty’ego.

– Przynieś forszę – powiedział i rozłączył się.

Zszedłem do The Temple i poczułem, jak moje oczy przystosowują się do ciemności. Nigdy nie było tam zbyt dużo miejsca, ale w środku stała najlepsza szafa grająca w mieście. Dzisiaj płynęło z niej *Exile on the Main Street*. Suttty siedział przy barze z kuflem guinnessa. Na mój widok podniósł go i rąbnął nim o bar.

– Jeszcze dwa – powiedział do barmanki. – On płaci.

Usiadłem, zapłaciłem za piwo i upiłem łyk.

– Jak leci?

– Forsa – powiedział, drapiąc się po całym ciele. Podałem mu ją. Wziąłem z pięciu kawałków, które dał mi Carver. Cztery pięćdziesięciofuntowe banknoty.

Suttty przeliczył dwa razy.

– Dobra, no to mów...

– Joanna Greenlaw – powiedziałem.

– To ma być ta prywatna robota w ochronie?

– To jej kontekst. Jak gliniarze przyszli do domu, coś było na schodach.

– Czarna i biała farba. – Pociągnął nosem. – Stary znak Burnsiderów.

– Więc...

– Więc głównie z tego, każdy mógł ją tam zostawić. Przyglądali się jej dziesięć lat temu, ale trochę zwykłej farby to marny punkt zaczepienia.

– Co o nich wiesz?

– Wszystko. – Wzruszył ramionami. – Burnside Estate to był kompleks przemysłowy. Trzy kilometry na północ od miasta, jadąc wzdłuż rzeki Irwell. – Pociągnął łyk i poczułem, że się rozkręca. – Powstał nad jej brzegiem, żeby fabryki mogły wysyłać i odbierać towar łodziami. Kiedy w latach osiemdziesiątych przemysł przeniósł się za granicę, zamknięto to wszystko. I powstała dziura, którą znamy dzisiaj.

– Nigdy tam nie byłem.

– Oszczędzę ci podróży. Opuszczone magazyny. Ćpuny, zdziiry, bezdomni.

– A Burnsiderzy?

– Niewielu z nich zostało. Utrzymują się ze sprzedaży smoły.

– Smoły?

– No. Powstaje podczas gotowania fentanylu. Jest sto razy mocniejsza niż morfina. Łatwo zrobić, łatwo zdobyć. – Uśmiechnął się. – Odłot, że kości się trzęsą, ale duże ryzyko infekcji. Amputacji. I tak dalej.

– A ta farba...

– Już jej nawet nie używają. Znaczyli nią swój teren. W dzisiejszych czasach w zasadzie nie mają swojego terenu.

– A to dlaczego?

Zmierzył mnie wzrokiem.

– Po co ci to?

– Osoba, dla której pracuję, znajduje czarną i białą farbę przed swoimi drzwiami. Skojarzyłem to. – Przez chwilę milczałem. – I pomyślałem, że mógłbym wyciągnąć od tej osoby trochę forsy dla ciebie. W ramach przeprosin...

Pociągnął nosem.

– Czarna i biała farba przed drzwiami tego kogoś to prędzej przejście dla pieszych niż Burnsiderzy. Oni są skończeni. Siedzą w swoim pudełku i nie zamierzają z niego wychodzić.

– A dlaczego tam weszli?

– Przez Zaina Carvera. Jakies dziesięć lat temu zaczął się bawić z dużymi chłopcami. Nigdy nie towarzyszył temu zbyt wielki rozlew krwi, ale nawet ćpuny zauważyły, co się dzieje. Ósemka jest czystsza niż smoła, a do tego ma rozsądną cenę. Poza tym nikt cię nie potnie za spóźnienie z płatnością. Carver podniósł status tej branży, jeśli można tak powiedzieć. Burnsiderzy to już przeszłość. Podobnie jak ten ich znak.

Pociągnąłem łyk guinnessa. Zastanowiłem się. To, że znak był przestarzały, nie wykluczało jego związku ze sprawą. Zwłaszcza jeśli ktoś chciał w ten sposób nawiązać do okresu świetności, w którym stosowano go na szerszą skalę. Teraz jednak jego użycie nie wydawało się powiązane z gangiem. O ile mi było wiadomo, nie towarzyszyły mu pogroźki ani przemoc. Miał wydzwitek osobisty. Odnosił się do zniknięcia Joanny Greenlaw.

– A skoro już rozmawiamy... – Suttty wyjął z kieszeni kopertę. – To przyszło do ciebie na komisariat. Niestety musiałem otworzyć...

Wziąłem od niego tę kopertę i wyciągnąłem z niej kartkę. Była pomięta. Kilkakrotnie czytana i przekazywana dalej. Spojrzałem na podpis. Starąłem się ukryć zaskoczenie. Włożyłem kartkę z powrotem i wsunąłem kopertę do kieszeni.

– Zabawne. – Suttty pociągnął nosem. Uśmiechnął się. – Twierdziłeś, że wychowałeś się w domu dziecka.

Zmieniłem temat.

– Mówi ci coś nazwisko Sheldon White?

Znowu na mnie spojrzął.

– Jasne, ale... przecież on siedzi...

– Niedawno wyszedł.

– Co ty powiesz. – Zastanowił się. – W takim razie zapomnij o tym, co przed chwilą mówiłem. Z perspektywy Burnsiderów to może wiele zmieniać.

Wróciłem do domu. Powiesiłem kurtkę. List nadal tkwił w kieszeni, ale więcej go nie otworzyłem.

Pierwszym wymierzonym we mnie ciosem była moja przeszłość. To, kim byłem i gdzie się urodziłem. Lubiłem się starzeć, bo każda sekunda oddalała mnie od dzieciństwa. A przynajmniej tak mi się wydawało. Później, gdy Parrs złapał mnie w swoje szpony, przekonałem się, że naprawdę nie sposób uciec od przeszłości. Że to wstęp do jakiegoś pieprzonego dowcipu, który rozśmiesza widzów w trzecim akcie.

Nasza matka nas nie chciała.

Nigdy nikomu o tym nie mówiłem, nawet gdyby mogło to cokolwiek zmienić, a z biegiem lat sam o tym zapominałem. W ogóle nie pamiętam już zbyt wiele z młodości. Niektórzy potrafią opowiadać o swoim dzieciństwie z drobiazgową precyzją albo przynajmniej wyrecytować jakąś anegdotę. Ja mam wrażenie, że to się działo w poprzednim życiu, a czasami żałuję, że nie jest jeszcze bardziej odległe. Zapominając pewne szczegóły, sprawiasz jednak zawód nie tylko innym ludziom, ale i sobie. Ten nikiący uśmiech na twarzy starego przyjaciela, kiedy widzi, że nie pamiętasz jakiejś wspólnej historii.

Zacząłem zapominać o mojej młodszej siostrze.

Przechowuję w umyśle jej wyraźny obraz, ale nie wiem, czy jest wierny. Wygląda na nim jak pucołowaty, zaniedbany berbec. Podarta sukienka, jedna podkolanówka podciągnięta, a druga opuszczona dają wyobrażenie o jej charakterze. Jest skora do awantur i zabawna jak postać ze slapstickowej komedii. Niewinna i odważna. Ale też dojrzała jak na swój wiek. Myśląca. Ma niezwykle gorące czoło. Nawet nie podnosi głowy, kiedy ogrzewam na nim ręce, po prostu dalej zajmuje się tym, co akurat rozbiera na części albo składa z powrotem. Pamiętam jej loki i malutkie, zmarszczone w skupieniu brwi.

I pamiętam, jak się wzdrygała, gdy dorośli w domu poruszali się zbyt szybko wokół niej. Gdy sobie o tym przypomniałem, pobiegłem do drzwi. Zastygłem na środku ulicy. Potem stałem pod prysznicem, nie myśląc o niczym, i nagle usiadłem z twarzą w dłoniach. Nie potrafiłem spojrzeć na ten list. To był pierwszy wymierzony we mnie cios. Moja przeszłość. To, kim byłem i gdzie się urodziłem.

Zadzwoiłem do komisarza Parrsa.

– Piłka w grze.

– Poniedziałek?

– Pokój 6.21A. Jego człowiek najprawdopodobniej zajrzy tam w tym tygodniu i jeśli teren będzie czysty, włamie się w następny poniedziałek.

– Dopilnuję, żeby był. Dobra robota, synu. Masz jeszcze coś do przekazania?

Pomyślałem o lodowatej pogardzie Sarah Jane. O dezaprobacie Isabelle. O jej zniknięciu z imprezy. O krwawym uśmiechu Grippa i o tym prawdziwym Catherine. „Czułem, że wszystko może się zmienić”. Pomyślałem o swojej rozmowie z Suttym. O farbie. O pieniądzach. O pięciu kawałkach gotówką. To było więcej, niż kiedykolwiek miałem. Zniosłem je do skrytki, gdzie leżało kilka przedmiotów z mojego dawnego życia. Tylko do zakończenia tej roboty. Pomyślałem o wiadomości od anonimowego nadawcy.

Zain wie.

– Nie, to wszystko – powiedziałem.

II

SUBSTANCE

Sobota. Kabina była skąpana w ultrafiolecie. Bary w centrum miasta stosują taki zabieg, żeby uzależnieni nie widzieli żył w rękach i nie mogli się szprycować. Rubik nie był wyjątkiem. Czasami ćpuny znajdowały żyłę na ulicy, zaznaczały miejsce długopisem, a potem szły do toalety oświetlonej ultrafioletem i od razu wbijały w nie igłę. Gdy odpływały, marmurowoogie, te krzyżyki na ich rękach wyglądały jak małe, krwiste pocałunki na kartce urodzinowej.

Upewniłem się, że drzwi są zamknięte, i stanąłem na opuszczonej desce. Za pomocą śrubokręta, który ze sobą przyniosłem, ostrożnie odkręciłem śrubki wokół lampy i zdjąłem ją z sufitu. Od tygodni obserwowałem barmana Smithsona. Mimo że miał gorliwą ekipę sprzątającą, spędzał w tej toalecie mnóstwo czasu. Włożyłem rękę do niewielkiego otworu i pomacałem.

Woreczki.

W pierwszym, który wyciągnąłem, była koka. Były tam też trzy różne rodzaje pigulek, a dalej torebka strunowa z malutkimi, gotowymi do wstrzyknięcia woreczkami ósemki. Odłożyłem na miejsce prawie wszystkie narkotyki, przykręciłem lampę z powrotem i zszedłem z sedesu.

Usypałem kreskę koki na grzbiecie dłoni. Trzęsła mi się cała ręka. Zamknąłem oczy i głęboko wciągnąłem powietrze, napinając się, próbując odzyskać kontrolę nad ciałem. Gdy znowu spojrzałem w dół, mój wzrok skupił się na jakimś graffiti pod spłuczką.

„Zapomnij najbliższą noc” – głosił napis.

Gapiałem się na niego przez pełną minutę, a potem ostrożnie przesypałem kokę z powrotem do przezroczystego foliowego woreczka.

Spuściłem wodę, odryglowałem drzwi i wyszedłem.

Bar się budził. Koszmarne godziny odeszły jak sen i wszyscy mieli nadzieję, że następne będą szczęśliwe. Szeregi dziennej klienteli powiększały się o ludzi, którzy wyszli z pracy, spotykali się ze znajomymi. Przy barze zobaczyłem Catherine zamawiającą jak zwykle czystą wódkę w wysokim kieliszku. Jej kasztanowe włosy luźno opadały na ramiona. Jakby od niechcenia przyspieszały tętno wszystkich facetów na sali.

Była z nią Isabelle Rossiter.

Po raz pierwszy widziałem je razem. Zastanawiałem się, czy to Catherine była tą przyjaciółką, która sprowadziła ją do Franczyzy. Miałem nadzieję, że nie. Nagle uświadomiłem sobie, że działałam na szkodę Catherine i prawdopodobnie wyląduje przeze mnie w więzieniu. Zauważyłem swoje odbicie w kuflu piwa i odsunąłem go. Isabelle dotykała swojego dekoltu i nieśmiało flirtowała z menedżerem baru o szerokiej klatce piersiowej. Pomyślałem o artykule, który o nim czytałem.

„SMITHSON UNIEWINNIONY”

Menedżer baru powiedział coś, co sprawiło, że Catherine podniosła głowę. Zaczęli się kłócić.

W pewnym momencie Catherine stanęła między nim a Isabelle.

Usłyszałem, jak mówi:

– Dość tego.

W końcu Isabelle ją uspokoiła, chyba udało jej się dojść do jakiegoś porozumienia z tym gościem. Catherine zostawiła ich i poszła do stolika w rogu. Menedżer baru powiedział coś do pracującej z nim dziewczyny, wyszedł zza kontuaru i zniknął za drzwiami wejściowymi. Isabelle odczekała chwilę, a potem poszła za nim. Mężczyźni przy stolikach się na nią gapili, przyciągała ich oczy jak magnes. Obserwowałem Catherine, żeby się przekonać, czy pójdzie za Isabelle, ale nie poszła.

Gdy podszedłem, barmanka obsługiwała trzy osoby naraz. Była wesołą, jasnowłosą Australijką. Studentka, pomyślałem.

– Poproszę poczwórną wódkę.

– Spróbuj czegoś legalnego.

– Ona dostała – powiedziałem, pokazując na Catherine w rogu. Barmanka spojrzała w tamtą stronę, a potem uśmiechnęła się do mnie.

– Skarbie, ona jest kimś wyjątkowym. Ty nie.

– W takim razie poproszę Jamesona z wodą sodową. – Dałem jej napiwek za uszczypliwość, upiłem łyk i odwróciłem się od baru. Przeszedłem tak, żeby Catherine mnie zauważyła, i usiadłem przy sąsiednim stoliku, odwrócony do niej plecami. Gdy zastanawiałem się, co robić, usłyszałem za sobą szurnięcie krzesła, a potem stukot obcasów na drewnianej podłodze. Lewa ręka znowu zaczęła mi drżeć i pożałowałem, że czegoś nie wziąłem.

– Aidan – powiedziała Catherine. Moje spojrzenie przesunęło się w górę. Od czarnych zamszowych szpilek przez skórzaną wąską spódnicę i bluzkę z głębokim dekoltem po kasztanowe włosy luźno opadające na ramiona. Znałem tę dziewczynę od zaledwie kilku tygodni. Gdy spojrzałem jej w oczy, to było jak cud.

– Cath.

Uśmiechnęła się.

– Widzę, że nadal szukasz kogoś, kto podbije ci oko.

– Ale z każdym dniem idzie mi lepiej, prawda? Przysiądziesz się?

Wzięła swoją wódkę z tamtego stolika.

– Kto najlepiej rokuje? – spytała, siadając naprzeciwko mnie.

– W pewnej chwili myślałem, że przyłoży mi Carver, ale ta chwila minęła.

– Na pewno jeszcze wróci. – Czułem, że nadal jest poirytowana tym, co zaszło między Isabelle a barmanem, i dlatego nasza rozmowa była nieco lakoniczna. – A tak w ogóle co o nim sądzisz?

– O Zainie? Organizuje dobre imprezy.

– To wszystko?

– Nie spędziłem z nim za wiele czasu.

– Rozmawiał z tobą. Wierz mi, większości ludzi nie poświęca aż tyle uwagi...

– A co ty o nim sądzisz?

Nie odpowiedziała. Nie pozwoliła, żebym zmienił temat.

– Aid, dlaczego ciągle kręcisz się w pobliżu?

Spaliśmy ze sobą dwa razy i zaczęła sobie uświadamiać, że nic o mnie nie wie.

– Szukam pracy. Właśnie o tym rozmawiałem z Zainem w piątek.

– Chcesz zostać jedną z jego dziewczyn?

– Tak o sobie myślisz?

– Aż tyle o sobie nie myślę. – Na chwilę zamilkła. – Ale nie jestem niczyją własnością, jeśli o to pytasz.

– Nawet ludzi, którzy ci płacą?

– Nawet ludzi, którzy mnie pieprzą.

Po mojej prawej barmanka upuściła tacę ze szklankami. Rozprysły się i połowa stolików zaczęła bić brawo.

– Nie cierpię, kiedy ktoś to robi – powiedziałem.

– Upuszcza szklanki?

– Zwraca uwagę na czyjąś pomyłkę.

– Pomyłkę?

– Nie miałem na myśli...

– Nie. – Uciszyła mnie uściskiem ręki. – Dałam ci szansę, ale ty wolałeś mówić o czymś innym. Zresztą teraz to nieważne. – Zabrała swoje rzeczy i wstała. – Dobranoc, Aidan.

Dziewczyny zwykle uśmiechały się do mnie, jakby ten ich uśmiech był na kartki, jakby oszczędzały go dla kogoś innego, na później, ale Catherine była inna.

Zawsze uśmiechała się szczerze. Zawsze ją okłamywałem.

Wstałem, ale ona już wychodziła, stukając obcasami na drewnianej podłodze. Zatrzymała się i odwróciła.

– Zostajesz?

– Chyba tak – powiedziałem, mając nadzieję, że usiądzie z powrotem.

– Możesz powiedzieć mojej przyjaciółce, że już poszłam?

– Tej dziewczynie z jasnymi włosami?

Pokiwała głową.

– Tej dziewczynie z jasnymi włosami. Wiesz, powinieneś poszukać pracy gdzie indziej. Może znajdziesz lepszą. – Odwróciła się i wyszła. Była to jedna z niewielu chwil, w których próbowała ze mną porozmawiać. Pomyślałem, że powinienem był powiedzieć coś innego. Coś lepszego.

Isabelle Rossiter wróciła mniej więcej godzinę później. Spódnica podjechała jej w górę o kolejne dwa centymetry. Przemknęła przez salę w stronę damskiej toalety. Menedżer baru wrócił pięć minut wcześniej. Obserwował ją tak jak inni mężczyźni na sali, kątem oka. Gdy wyszła z toalety, rozejrzała się niepewnie i chyłkiem podeszła do baru, za którym już nie stał jej nowy przyjaciel.

Domyśliłem się, że po tym, co tam razem robili, cokolwiek to było, kazał jej spadać.

Barmanka minęła ją, podchodząc do innych klientów i unikając pytania o wiek, a Isabelle skurczyła się, jakby miała całkiem zniknąć. Po kilku minutach powolutku okrążyła bar z zadowolonym, nieobecny wyrazem twarzy. Wytarła nos, wyjęła telefon i bez przekonania udawała, że coś czyta. Na sali było dość chłodno, ale ją pokrywała cieniutka warstewka potu. Domyśliłem się, że była na haju.

Gdy menedżer baru śmiał się z czegoś razem z klientem, zobaczył, jak Isabelle przeciska się ku niemu przez tłum. Ostentacyjnie się odwrócił, krzyknął coś o rurach i wyszedł tyłem, żeby uniknąć spotkania. Isabelle wyglądała jak dziecko zgubione w supermarkecie.

Klient, z którym rozmawiał menedżer baru, odwrócił się do niej. Twarz miał czerwoną jak podczas zawału i spuchniętą od alkoholu. Jego lewa ręka zsunęła się z blatu i otarła o jej udo. Gdy na niego spojrzała, przysunął do jej ucha zwiniętą dłoń i coś powiedział. Miała siedemnaście lat. On musiał mieć pod sześćdziesiątkę. Zmarszczyła brwi, odsunęła się i przecząco pokręciła głową.

– Nie – powiedziała, posyłając mu własną wersję uśmiechu na kartki. – Dzięki.

Przeżyje, pomyślałem. Też kiedyś byłem młody. Uważałem, że seks i pieniądze to wszystko. Ruszyła do drzwi powolnym, posuwistym krokiem. Mężczyzna z czerwoną twarzą odwrócił się i podniósł jej spódnicę. Opuściła ją i poszła dalej, ale przy barze rozległy się oklaski.

Znowu wpatrywałem się w swojego drinka, widziałem w szkle swoją karykaturę. Wstałem powoli, mając nadzieję, że gdy wyjdę, Isabelle już tam nie będzie. Stała jednak na chodniku, wpatrując się w swój oddech w powietrzu.

– Isabelle – powiedziałem. Odwróciła się z szerokim, wyreżyserowanym uśmiechem. Uśmiechała się, choć jej oczy zdradzały, że w pierwszej chwili mnie nie skojarzyła. Jej ręce podążyły w stronę torebki. – Poznaliśmy się u Zaina...

– Astrolog – powiedziała, rozpromieniając się i robiąc krok w moją stronę. – Co słyhać?

– Po prostu wpadłem na drinka. Właściwie to dobrze, że cię spotkałem. – Spoważniała. Chyba się tego nie spodziewała. – Spotkałem Cath. Prosiła, żebym ci przekazał, że już poszła.

– Aha. – Wydawała się urażona. – Mówiła dokąd?

– Nie. Ale była czymś zdenerwowana. – Skrzywiła się, żeby ukryć rumieniec. Było mi niezręcznie tak nalegać, ale musiałem z nią porozmawiać. – Mój kumpel też właśnie wyszedł, a chętnie bym się jeszcze napił. Jeśli masz ochotę, ja stawiam... – Przez chwilę się zastanawiała, a potem minęła mnie, wracając do baru. Wyglądała, jakby grała jakąś rolę.

Zeszliśmy z parkietu, trzęsąc się, ale próbując to robić w takt muzyki. Ja stawiałem, a Isabelle raz po raz wybuchała śmiechem. Pochylała się przy tym, a potem gwałtownie cofała, zasłaniając usta rękami. Błysk odprysniętego pomarańczowego lakieru i szminki w tym samym kolorze. Raz po raz spoglądała ponad moim ramieniem i wiedziałem, że chce, żeby ktoś nas razem zobaczył.

Mogliśmy spokojnie usiąść przy stoliku w rogu, przy którym wcześniej siedziała Catherine. Dano sygnał do składania ostatnich zamówień i prawie wszyscy byli na nogach, tańczyli albo stali w kolejce do baru. Nawet porzucona wódka Cath stała nietknięta. Mniej więcej w tym czasie kochankowie zaczynają dobierać się w pary i Isabelle opadła na oparcie, obserwując wychodzących razem chłopaków i dziewczyny. Jedni trzymali się pod rękę, inni szli z kamiennymi twarzami.

Przekrzykując muzykę, rzuciła:

– Ciekawe, którzy dopiero się poznali, a którzy są już parą.

– Ci bardzo sobą zachwyceni dopiero się poznali. Ci, którzy się do siebie nie odzywają, są parą.

Zakołysała drinkiem, starając się, żeby zabrzmiało to obojętnie:

– Tak jak Zain i Sarah?

Spojrzałem na nią. Drżała, odkąd usiedliśmy, ale próbowała to ukryć. Znowu zacząłem się zastanawiać, co wzięła. Czy było to to samo, czego spróbowałem w Fairview.

– Izzy, pamiętasz tę butelkę wina, którą mi dałaś na imprezie? Skąd ją wzięłaś?

Próbowała sobie przypomnieć.

– Nie wiem, może od Neila?

Barman wrzucił jej coś do alkoholu. Chyba się domyślała, o co mogę teraz spytać, więc zaczęła improwizować. Utkwiła we mnie spojrzenie i wyjęła papierosa, jakby zakaz palenia nigdy nie obowiązywał. Ręce trzęsły jej się tak bardzo, że musiałem pomóc jej go zapalić. Zaciągnęła się i wydmuchnęła dym prosto w moją twarz.

– Nie przepadasz za Zainem, prawda? – spytała, zmieniając temat.

– Nieszczególnie.

– Dlaczego?

– To pasożyt. – Zmarszczyła brwi. – Wykorzystuje ludzi – dodałem.

– To inaczej niż ty. – Próbowałem się uśmiechnąć, ale jej młodość nadała tej opinii wydzwięk prozaicznego faktu. Wyrazistość zdjęcia rentgenowskiego. – Ty wykorzystujesz swoje wady – powiedziała. – Tak samo jak ja.

– A jakie masz wady?

Udała, że nie słyszy, i zaczęła poruszać głową w takt muzyki. Ogłuszające elektroniczne efekty dźwiękowe i tekst o szalonej nocy.

– Uwielbiam tę piosenkę – powiedziała. Czekalem. – Ludzie za mną nie przepadają. Za tobą

też. – Szczękała zębami i głęboko zaciągnęła się papierosem. – W pewnym sensie to dobrze. To znaczy, że możemy ich zaskoczyć.

– Kogo zaskoczyć? Zaina Carvera?

Wpatrywała się w dym wypływający z jej ust.

– On to coś innego...

– Niż co?

– Kredyt, długi, praca.

– Więc robisz sobie rok przerwy przed pójściem na studia?

– Czemu nie?

– Możesz się obudzić z ręką w nocniku.

– *No future* – powiedziała, doskonale naśladowując Johnny'ego Rottena. Obydwoje się roześmialiśmy. – Masz rację, pewnie lepiej byłoby jeździć bez celu z plecakiem z ludźmi w moim wieku.

Stuknąłem szklanką o jej szklankę.

– Handel dragami od razu wydał się atrakcyjniejszy.

– Wiesz, jesteś w porządku. Cała reszta ciągle powtarza, żebym wracała do domu.

– Na przykład kto?

– Zain, Cathy, Grip. Oni wszyscy.

– A gdzie jest twój dom, Izzy?

– Nie chcę o tym rozmawiać...

– Jak się tu w ogóle znalazłaś? – Spojrzała na mnie. – Po prostu jakoś tu nie pasujesz.

– Dlaczego?

– Wyglądasz, jakbyś wychowała się w dostatku.

– Spierdalaj – powiedziała. – A ty wyglądasz, jakbyś wychował się w biedzie.

– I dlatego tu jestem.

Przez chwilę gotowała się ze złości.

– Z mojej perspektywy wygląda to tak, że dorastałam wśród samych anorektyczek. Wśród chłopaków, którzy chcieli tylko trzymać mnie za rękę i pisać o mnie wiersze...

– Chyba niewiele słów rymuje się z Isabelle.

– Nie – powiedziała. – Niewiele.

– Ale oni dorosną. Poprawią się.

– Dorastając, człowiek się poprawia? – Nie odpowiedziałem. Strząsnęła popiół na stół, przypalając mi rękę, i podjęła: – Niedawno rozmawiałeś z Zainem. Powiedziałeś mu, że wykorzystuje ludzi?

– Nie, jakoś się nie złożyło.

– Czego chciał?

– Rady.

– Rady?

– Chce odmalować dom. Zastanawiał się, czy pastelowa zieleń będzie pasowała do jego rozmarzonych oczu.

– Powiedziałeś, że wykorzystuje ludzi...

– No tak, ale pogadajmy o czymś innym.

– Daj spokój – odparła. – Powiedz mi, kogo wykorzystuje.

Siedziałem bez słowa, aż w końcu dostrzegła coś w moim spojrzeniu.

– Spierdalaj – powtórzyła, tym razem na poważnie. Zgasła papierosa na stoliku. Na filtrze pozostał ślad po jej pomarańczowej szmince. – Sama podejmuję decyzje. – Zacisnęła apaszkę i pomyślałem o bliźnie na jej szyi. Odwróciłem wzrok, spojrzałem na salę i zobaczyłem, że menedżer baru znowu wpatruje się we mnie nieruchomymi oczami. Pomyślałem o jego uniewinnieniu. O dowodach, które zaginęły i o zaprawionym winie, które dał Isabelle. Dziś wieczorem musiałby mieć do czynienia ze mną.

Pomachałem do niego.

Isabelle sięgnęła po kieliszek wódki zostawiony przez Catherine i zaczęła pić. Żadne z nas nie mrugnęło, dopóki nie zniknęła mniej więcej jedna trzecia.

– Przestań – powiedziałem, wyciągając rękę nad stolikiem, żeby odebrać jej kieliszek. Byliśmy dwojgiem ludzi w tysięcznym tłumie i przez chwilę siedzieliśmy w ogłuszającej ciszy.

– Spójrz na nas – odezwała się wreszcie. – Wyglądamy, jakbyśmy już byli parą.

Nastąpił nieuchronny koniec i rozbłysły światła, odsłaniając wszystkich. Kobiety i mężczyźni, którzy w chłodnej ciemności wyglądali tak żywo, sprawiali teraz wrażenie podeptanych i sponiewieranych. Muzyka, która przedtem zdawała się podtrzymywać sufit, zniknęła z sali, pozostawiając ją wymarłą i pustą. Menedżer baru zbierał szklanki i zbliżał się do nas, lawirując między stolikami. Cały czas wpatrywał się we mnie zapadniętymi oczami wyglądającymi jak popielniczki. Gdy podszedł, zauważyłem, że na jego wymiętej twarzy maluje się niezadowolenie.

– Zamykamy – oznajmił, ciężko stawiając na naszym stoliku kosz z niedopitymi drinkami. Isabelle zaczęła krwawić z nosa i przeglądała się w małym lusterku. – Zaczekaj na mnie – dodał, zwracając się do niej. Zarumieniła się, spojrzała na niego i lekko kiwnęła głową.

– Myślałem, żeby ją odprowadzić – powiedziałem.

– A to dlaczego?

– W dzisiejszych czasach nigdy nie wiadomo, kto się kręci po ulicach.

– Dokucz ci? – spytał ją. Rzuciła mi przeciągłe, zrezygnowane spojrzenie. Gdzieś w jej oczach zobaczyłem, że haj mija, ale nie zachowywała się normalnie. Pomyślałem, że się go boi.

– No – powiedziała cicho. – Dokucz.

Menedżer baru wytarł nos i zwiesił głowę. Potem szeroko się uśmiechnął. Podniósł kosz ze szklankami i gwałtownie wyrzucił go w górę. Wszystko spadło na mnie. Cały byłem w odłamkach szkła, zlewkach i piwie. Zobaczyłem krew zmieszaną z cieczą spływającą mi po nogach. Isabelle skuliła się na krześle. Rozległy się zduszone okrzyki. Rozmowy wokół nas gwałtownie ucichły. Grupa mężczyzn zaczęła bić brawo. Zrezygnowani ludzie, którzy cicho wychodzili, patrzyli w naszą stronę.

– Najmocniej przepraszam – powiedział menedżer baru, nadal się uśmiechając. Wyjął chusteczkę z kieszeni koszuli i pochylił się, żeby delikatnie zetrzeć odrobinę płynu z mojej twarzy. Robiąc to, mocno uderzył mnie w ramię, a plakietka z jego imieniem zetknęła się z moim obojczykiem.

Odyskałem oddech i dźwignąłem się na nogi, przewracając krzesło. Na twarzy czułem odłamki szkła.

– Neil – odezwała się barmanka. Stała za menedżerem i trzymała go za ramię, żeby się

uspokoił. Zatoczyłem się do przodu, ale mocno mnie odepchnął. Kolejne osoby wychodzące z baru zatrzymały się, żeby przyjrzeć się naszej kłótni, niektórzy śmiali się i pokrzykiwali. Gapiło się tylu ludzi, że poczułem się paskudnie. Jak pijak.

– Przepraszam – powiedziałem do Isabelle i o mało nie przewróciłem się o własne krzesło, idąc do toalety i mijając po drodze co najmniej dziesięć świdrujących mnie par oczu.

– Zaczekaj na zewnątrz – rzucił do niej menedżer baru.

Gdy wszedłem do męskiej toalety, zakrwawiony, przemoczony od pasa w dół i cuchnący alkoholem, dwaj mężczyźni, którzy tam rozmawiali, wymienili spojrzenia i wyszli. Pomyślałem o Isabelle, o jej cichnym głosie, a potem o uśmiechniętym Smithsonie na schodach sądu. Przechodząc obok lustra, zauważyłem kątem oka swoją czerwoną twarz. Trząśłem się.

Poszedłem prosto do kabiny, w której zacząłem wieczór, stanąłem na sedesie i oderwałem lampę od sufitu. Odpadło także dwie trzecie otaczającego ją gipsu i kilka woreczków z narkotykami pacnęło na podłogę wokół mnie. Rozrywałem je jeden po drugim i wysypywałem zawartość do toalety. Spuszczałem wodę, dopóki na powierzchni nie zostało tylko kilka unoszących się pigułek. Spuściłem po raz ostatni i wyszedłem z kabiny.

Gdy otworzyły się drzwi, wiedziałem, że to on. Odwróciłem się powoli. Smugi światła wyglądały jak duchy. Menedżer baru podszedł do mnie pewnym krokiem i pchnął mnie na ścianę. Mój obojczyk zawył z bólu.

Barman chwycił mnie za żuchwę i ścisnął.

– Ona jest moja – syknął, patrząc mi w oczy. Obraz mi się rozmazał, a barman był tak blisko, że czułem zapach wódki w jego oddechu. Wymierzył mi jeden policzek, drugi, a potem cofnął dłoń, szykując się do trzeciego.

Kiwnąłem głową i puścił mnie. Spojrzał na swoje odbicie w lustrze i jednocześnie szybko się zamachnął. Wzdrygnąłem się, a on cicho się roześmiał. Zadowolony ze swojego wyglądu, powoli i groźnie ruszył w stronę wyjścia. Dawał do zrozumienia, że w każdej chwili może zawrócić i mnie zabić. Odczekałem, aż się oddali, naciśnię klamkę i otworzy drzwi.

– Glen – powiedziałem.

Odwrócił się na dźwięk swojego prawdziwego imienia.

– Coś ty, kurwa, powiedział?

Drzwi gwałtownie się zamknęły.

– Glen.

– Kto mnie tak nazwał? – spytał, wpatrując się we mnie. – Kto mnie tak, kurwa, nazwał?

– Tak się nazywasz, prawda? Glen Smithson? – Zrobił dwa duże kroki w moją stronę i znowu przygwoździł mnie do ściany.

Zabrakło mi powietrza w płucach.

– Mam na imię Neil – powiedział, unosząc swoją plakietkę. – Zapamiętaj to sobie.

– Pomyliłem się – powiedziałem. – Wziąłem cię za tego gościa z gazet...

Glen Smithson tak mocno walnął mnie w klatkę piersiową, że o mało nie zemdlałem. Zsuwając się po ścianie, zobaczyłem, że pod wpływem siły uderzenia światło w toalecie zaczęło migotać. Byłem na podłodze i rozpaczliwie próbowałem złapać oddech. Smithson stał nade mną i głośno sapał. Potem kucnął i powiedział, że jeśli stamtąd nie zniknę, to mnie zabije.

Uwierzyłem mu.

– Spierdalaj – powiedział, kopiąc mnie w stronę wyjścia. Dotarłem do drzwi i przytrzymałem

się ich, żeby nie stracić równowagi. Gdy spojrzałem za siebie, w mrugającym świetle wyglądał jak jakieś zjawisko nadprzyrodzone. Wymknąłem się chyłkiem, mokry już nie tylko od alkoholu, ale i od potu.

Ogromna, nienaturalnie oświetlona sala była pusta. Trzęsąc się, sięgnąłem po najbliższe krzesło i pociągnąłem je do toalety. Otworzyłem drzwi i zobaczyłem Smithsona czeszącego się przed lustrem.

– Czego? – warknął.

– Chyba mruga ci ultrafiolet.

Patrzył na mnie z wściekłością, dopóki nie dotarł do niego sens moich słów. Powoli odwrócił się w stronę kabiny, w której znalazłem ukryte narkotyki. Otworzył drzwi. Gdy spojrzał na zniszczone oświetlenie i zdał sobie sprawę, co się stało, rozdziawił usta.

Szkoda, że nie widziałem jego twarzy, gdy zauważył puste woreczki. Pył wokół sedesu. Pigułki unoszące się wśród szczyń i gówna. Wiedział, co Zain Carver robi z rękami i nogami ludzi, którzy gubią jego towar.

Pozwoliłem drzwiom się zatrzasnąć i podparłem krzesłem klamkę po zewnętrznej stronie. W ciszy zamkniętej, olbrzymiej pustej sali słyszałem, jak ręka Smithsona raz po raz wali w drzwi toalety za moimi plecami. Ten dźwięk niósł się echem po całym pomieszczeniu, regularny i donośny jak tętno czegoś, co nas połknęło. Popchnąłem drzwi wyjścia ewakuacyjnego. Świeże listopadowe powietrze zmroziło piwo i pot na mojej skórze.

Isabelle stała pod latarnią. Wydawała się niebieska. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że idę do niej ja, a nie barman. Uśmiechnąłem się. Zrozumiała to opacznie, zrobiła krok do tyłu i potknęła się o dziurę w chodniku.

– Co się stało? – spytała niewyraźnie. Wziąłem ją za ramię i pociągnąłem w stronę postaju taksówek. – Coś ty narobił?

Jej buty szurały o chodnik. Gdy podeszliśmy do taksówki, próbowała mi się wyrwać i puściłem jej ramię. Upadła na ziemię. Cieszyłem się, że nie wraca do domu z barmanem. Kiedy ją podnosiłem, zupełnie nic nie ważyła. Straciła przytomność obok mnie na tylnym siedzeniu i kierowca puścił do mnie oko we wstecznym lusterku.

– Dobry chłopak – powiedział.

Po tym, co zobaczyłem w barze, postanowiłem zabrać ją z powrotem do rodziny i niech szlag trafi życzenia Rossitera. Poszukałem w jej torebce jakiegoś dowodu osobistego, jakiegoś adresu domu jej ojca. Jechaliśmy w stronę jego okręgu wyborczego. Przyglądałem się Isabelle. Od czasu do czasu się poruszała i chyba udało jej się osiągnąć coś niemożliwego. Znowu wyglądała jak dziewczyna ze zdjęcia.

Jej telefon nie był zabezpieczony hasłem i wszedłem do skrzynki z wysłanymi wiadomościami. Znalazłem go. Jedyne go esemesa wysłanego na mój numer:

Zain wie.

Przypomniałem sobie, jak dwa razy mówiła, że nie wpuszczono by mnie, gdyby mnie nie znano. Zastanawiałem się, jak daleko to sięga. Czy ta wiadomość to żart, ostrzeżenie czy może jakiś zawiły fortel autorstwa samego Carvera? Czy znalazł mój numer? Dał go Isabelle? Użył jej telefonu? Przejrzałem jej zdjęcia i zobaczyłem sceny z nocnego życia z udziałem członków Franczyzy. Wyglądało na to, że są też jakieś wiadomości głosowe, ale gdy Isabelle poruszyła się przez sen, odłożyłem jej telefon z powrotem do torebki.

Gdy znalazłem pieniądze, serce zamarło mi w piersi.

Nie mogłem potwierdzić swojego przypuszczenia, bo kierowca gapił się na Isabelle we wstecznym lusterku, więc odczekałem dziesięć minut, aż wjechaliśmy w bardziej zatłoczoną ulicę i przesunął lusterko, żeby zaglądać jej pod spódnicę. Gdy znowu tam zajrzał, przesunąłem kciukiem po pliku. Setki funtów w dziesiątkach i dwudziestkach owinięte czerwonymi gumkami. Odebrała pieniądze, gdy zniknęła z menedżerem baru.

Gapiłem się przez okno. Widziałem przemykające obok neony wielkiego miasta, a potem śpiącą Isabelle odbitą w szybie.

– Mógłby pan się tu zatrzymać? – powiedziałem. Kierowca wrzucił kierunkowskaz i skręcił.
– Chyba musimy zawrócić.

Do Fairview dotarliśmy po północy. Na ulicy było cicho. Pochyliłem się, żeby zapłacić kierowcy, i zobaczyłem, że ma erekcję rozpierającą zatłuszczone dżinsy. Przesunął po nich ręką, grzebiąc w saszetce z pieniędzmi.

– Nie mam wydać – powiedział.

Kiwnąłem głową i wyciągnąłem Isabelle z samochodu.

– Zaczeka pan chwilę?

Zerknął na nieprzytomną dziewczynę na moim ramieniu i puścił oko.

– Jasne, stary.

Zdjąłem kurtkę i okryłem nią jej ramiona. Podtrzymując Isabelle, odwróciłem się w stronę domu Carvera. Noc wydawała się nieskończona. W najbliższej latarni przepaliła się żarówka, ale nawet w niemal czarnej jak smoła ciemności zauważyłem, że jesteśmy obserwowani.

Na końcu ścieżki prowadzącej do domu Carvera żarzyły się dwa koniuszki papierosów. Chciałem posłać ją tam samą, żeby go do siebie nie zrażać, ale gdy podeszliśmy bliżej, nie byłem już taki pewny. Jeden z papierosów został rzucony na ziemię i przydeptany, przez co jego właściciel stał się niewidzialny.

Usłyszałem za sobą warkot włączanego silnika i odwróciwszy się, zobaczyłem, że taksówka powoli odjeżdża. Zatrzymała się kawałek dalej. W blasku jej bocznych świateł ujrzałem zarys przygarbionej dziewczyny siedzącej na murku. Podniosła głowę i zaśmiała się z czegoś, co kierowca powiedział zza szyby, a potem wstała i podeszła do niego. Zamienili jeszcze kilka słów, po czym okrążyła taksówkę i wsiadła od strony pasażera. Samochód znowu ruszył, skręcił za róg i zabrał ze sobą światło.

Pierdolić go.

Gdy znowu spojrzałem na dom, zobaczyłem, że drugi papieros też zgasł. Nie widziałem osoby, która go paliła. Isabelle nadal na mnie wisiała. Szybko ruszyłem ścieżką i mocno zapukałem do drzwi.

Tej nocy w domu było cicho, zupełnie inaczej niż podczas moich pierwszych wizyt. Słychać było jedynie wiatr kołyszący drzewami, które rosły wzdłuż ścieżki. Poczułem, jak poziom adrenaliny w moich żyłach się obniża, przywracając mi człowieczeństwo. Poczułem ból w obojczyku, w który trafił barman, i niewielki ciężar Isabelle na ramieniu. Oparłem się o drzwi i straciłem poczucie czasu. Wyprostowałem się dopiero na dźwięk odsuwane rygła.

Drzwi się otworzyły, stała za nimi Sarah Jane. Jej rude włosy były mokre i bezładnie rozrzucone na ramionach, przez co jej skóra wydawała się bledsza niż zwykle. Widocznie wzięła prysznic przed pójściem spać. Uświadomiłem sobie, że miałem nadzieję zobaczyć Catherine. Sarah Jane spojrzała na Isabelle, wciąż nieprzytomną, a potem na mnie, jakbym był wszystkimi draniami świata naraz.

– Co się stało?

– Jeśli dopisze jej szczęście, to sobie nie przypomni.

– Jeszcze nigdy jej nie dopisało. Lepiej wprowadź ją do środka.

Odsunęła się, a ja wniósłem Isabelle i zamknąłem drzwi ramieniem. Echo, które rozległo się w domu, było jak wspomnienie imprezy. Bez balangowiczów wewnątrz wyglądało całkiem przyzwoicie. Były tam obrazy olejne, ozdoby, zabytkowe krzesła z bielonego drewna.

– Tędy – powiedziała niechętnie Sarah Jane. Otworzyła zamek w najbliższych drzwiach i weszliśmy do uporządkowanego, słabo oświetlonego gabinetu. Ilekroć zjawiałem się tu wcześniej, to pomieszczenie było niedostępne. Posadziłem Isabelle na skórzanej kanapie. Poruszyła się, ale nie obudziła.

– Masz trochę wody? – spytałem.

Sarah Jane przez chwilę stała nieruchomo, a potem odwróciła się na pięcie i wyszła z pokoju. Wydawała się jakaś inna. Wróciła, niosąc wodę i tabletki przeciwbólowe.

– Tabletek jej nie dawaj. Nie jestem pewny, co wzięła.

Sarah Jane z powątpiewaniem spojrzała na moje przesiąknięte piwem ciuchy.

– Kiedy ją znalazłem, już była w takim stanie.

Zrozumiałem, co się w niej zmieniło. Nie miała makijażu i wyglądała przez to rozbijająco. Bez tła w postaci czarnego eyelinera, z którym mogłyby się stopić, jej rzęsy wydawały się delikatne i długie. Tworzyły lepszą oprawę dla zielonych oczu, bardziej poruszającą i intymną, i ona o tym wiedziała.

Przytrzymałem głowę Isabelle i po raz drugi w ciągu kilku tygodni pomogłem jej wypić szklankę wody. Potem wyjąłem z jej torebki pieniądze i skinąłem na Sarah Jane. Wyszliśmy z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi.

– Gdzie ona była? To znaczy kiedy ją znalazłeś.

– W tym barze, w Rubiku. Niedaleko Locks.

– Dobrze, że przyniosłeś jej rzeczy...

– Zwłaszcza że są takie ciężkie – powiedziałem, podając jej pieniądze. Nie odrywała ode mnie oczu, przesuwając kciukiem po banknotach, i wzięła głęboki wdech.

– Dlaczego to tu przyniosłeś?

– Bo nie należy do mnie.

– A ona?

– Ona też do mnie nie należy.

– Szkoda.

– Nie jest tu mile widziana?

– Tego nie powiedziałam.

– Ale prawie.

– Po prostu mamy talent do przyciągania zbłąkanych dusz...

Poczułem się tak, jakby mówiła raczej o mnie niż o Isabelle.

– No cóż, w każdym razie nie będę dłużej zawracał ci głowy.

Spojrzała na gotówkę w swojej dłoni, a potem na mnie.

– Nie zostaliśmy sobie przedstawieni...

– Aidan – powiedziałem, wyciągając rękę. Ucisnęła ją najslabiej, jak to możliwe. Miała zimną skórę. Zastanawiałem się, czy to ona paliła przed chwilą papierosa na zewnątrz, a jeśli tak, to z kim.

– Jestem Sarah Jane. – Wypowiedziała swoje imię, jakby było pracą, której nie znosi.

– Sarah, czy Zain musi się o tym dowiedzieć?

– A jak myślisz?

– Że mogłabyś jej narobić kłopotów.

– Już do tego przywykła. – Czekałem. – Nastolatka. Ciągłe się prowadzi z dziwnymi mężczyznami.

– Z dziwnymi mężczyznami?

– Nie jesteś pierwszy, Aidan. Zresztą od tygodni próbujesz się tu dostać. Może mogłabym ci pomóc, mówiąc Zainowi, że uratowałeś jego pieniądze?

– Nie fatyguj się z mojego powodu.

– Niczego nie zrobię z twojego powodu, detektywie. – Spojrzałem na nią. – Nie przejmuj się. Nikt oprócz mnie o tym nie wie.

Pomijając Zaina i Gripa. Wcześniej Zain mówił, że nie wspominał o mnie Sarah Jane. Albo powiedział jej później, albo sama się domyśliła.

– To ty wysłałaś do mnie esemesa z telefonu Isabelle? – Uśmiechnęła się, ale raczej po to, żeby trzymać mnie na dystans, niż żeby pozwolić mi się zbliżyć. – Skąd wzięłaś mój numer?

– Chyba powinienś już iść.

– Chyba masz rację. – Usłyszeliśmy, jak w sąsiednim pokoju porusza się Isabelle. – Czy ona nie powinna być w domu? Mam na myśli jej prawdziwy dom.

– Tam też ma kłopoty. Niektóre dziewczyny po prostu je generują.

– Jakże to życzliwe z twojej strony.

– Gdyby nie moja życzliwość, już by jej tutaj nie było – powiedziała, przechodząc obok mnie w stronę drzwi. – Chyba wspominałeś coś o wyjściu?

– Pewnie na zewnątrz i tak jest cieplej. Wydawało mi się, że kiedy tu szedłem, widziałem znajomą twarz.

– Tak?

– No, Burnsidera.

– Co? – Odsunęła się od drzwi.

– Jak myślisz, Sarah, kto tam jest? Sheldon White? – Chciałem zobaczyć, jak zareaguje na to nazwisko.

– A kto to taki? – zapytała. Nie zabrzmiało to przekonująco. Otworzyłem drzwi i wyszedłem w ciemność. Gdy się odwróciłem, odsunęła się ode mnie i wycofała do domu.

– To facet, przez którego zniknęła poprzednia dziewczyna Zaina. Na twoim miejscu bym na niego uważał. – Znowu usłyszałem wiatr w drzewach i karetkę pogotowia gdzieś w oddali.

– Zabierz ją ze sobą – zawołała za mną Sarah Jane.

– Przecież przed chwilą mówiłaś...

– Mieszka w pokoju za rogiem. – Pochyliła się nad stolikiem i napisała w notesie adres. – I jest dla ciebie stanowczo za młoda, detektywie. Na twoim miejscu miałabym to na uwadze.

– Dzięki – powiedziałem, biorąc od niej karteczkę. Mimo pośpiechu pismo Sarah Jane było wąskie i zgrabne. Pasowało do niej. Wszedłem z powrotem do gabinetu po Isabelle. Poruszyła się i choć miała zamknięte oczy, zastanawiałem się, czy nas słyszała.

Gdy dotarliśmy do końca ścieżki, przystanęłem. Odwróciłem się, spojrzałem na dom.

W oknie na piętrze było widać lekką poświatę, prawdopodobnie z wyświetlacza komórki. Mimo tego, co powiedziałem, miałem nadzieję, że Carver widział, jak dostarczam jego pieniądze do domu.

Isabelle mieszkała w rzucającym się w oczy, brutalistycznym betonowym bloku. Przed krachem zamierzano w nim urządzić biura, ale w połowie budowy zmieniono kurs i zdecydowano się na mieszkania. Krzywy napis nad drzwiami namalowany czerwoną farbą w spreju apelował:

„STUL KURWA PYSK”

Wewnątrz były olbrzymie schody z wykładziną w kolorze wysychającej trawy. Isabelle obejmowała mnie ramieniem i trzymała się prosto, ale jej stopy wlekły się po podłodze. Wchodząc na górę, od czasu do czasu słyszałem głosy za drzwiami. Jedyнным stałym dźwiękiem było ciche brzęczenie jarzeniówek nad naszymi głowami.

Jej mieszkanie okazało się małą, smutną norą. Włączyłem światło: nagą, jaskrawo świecącą żarówkę pośrodku sufitu. Była zbyt mocna dla tego pomieszczenia i zostawiała w moich oczach piekielne neonowe plamki, nawet gdy mrugałem albo się odwracałem. Była to kawalerka, jedno średniej wielkości pomieszczenie z wersalką i łazienką.

Położyłem Isabelle na wersalce i przez chwilę się rozglądałem, próbując uzasadnić swoją obecność w tym miejscu. Pod ścianą wisały ubrania na wieszakach, jasne letnie sukienki, które wyglądały na nienoszone. Było tam też biurko w opłakanym stanie, a na oknie wisały zasłony. W łazience zobaczyłem kilka przyborów toaletowych i ręcznik z napisem „SMILE” ułożonym z jaskrawoczerwonych liter. Wyglądał sarkastycznie.

I to wszystko.

Znalazłem trochę wódki, zmieszałem ją z kranówką i usiadłem w kącie, skąd widziałem zarówno Isabelle, jak i drzwi. W mieszkaniu panował większy porządek, niż powinien. Jakby nikt w nim nie mieszkał. A już z pewnością nie siedemnastolatka, która od miesiąca jest na gigancie. Coś odezwało się echem w mojej głowie i uświadomiłem sobie, co mi przypomina ten pokój.

Penthouse jej ojca.

Były różne pod każdym względem, pomijając wystudiowaną anonimowość. Ten brak zdefiniowania, jakiegokolwiek osobowości sprawiał, że oba pomieszczenia wydawały mi się wręcz jedyne w swoim rodzaju. Przez kilka lat obijałem się po domach ofiar, niewinnych ludzi niemających nic do ukrycia. Zwykle były zagracone nagromadzonymi przedmiotami określającymi ich doświadczenie życiowe. Tu było zupełnie inaczej. Przypominało to dom kogoś, kto zrobił coś złego.

Uświadomiłem sobie, że podobna atmosfera panowała w domu Davida Rossitera.

Wódka mnie obudziła i wstałem, żeby lepiej się rozejrzeć. Jedyнным interesującym obiektem było biurko z Ikei wcisnięte pod ścianę najbardziej oddaloną od drzwi. Już na początku zostało źle skręcone i od tamtej pory nikt się nim nie przejmował.

Isabelle nadal spała.

Nie znalazłem pamiętnika ani notesu, ale natrafiłem na zdjęcia. Kilka plików lśniących czarno-białych zdjęć wydrukowanych na domowej drukarce o dużej rozdzielczości. Zdawały się ukazywać Isabelle Rossiter z innego wymiaru, jakby nastąpiło jakieś ważne rozwidlenie dróg, posyłając jedną ku szczęściu, a drugą skazując na potępienie.

Spojrzałem przez ramię.

Dziewczyna ze zdjęć, miewająca napady śmiechu w gronie przyjaciół, stojąca pod rękę z chłopakami, wydawała się kimś z zupełnie innego świata niż anorektyczny strzęp na wersalce. Na tych zdjęciach była pewna radość i cieszyłem się, że kiedyś ją czuła.

Zastanawiałem się, dlaczego przestała.

Gdy wysuwałem dolną szufladę, coś w niej zabrzęczało. Była pełna potłuczonego szkła, szczątków lustra. Zacząłem przesuwając odłamki, spodziewając się śladów proszku, być może skrzęta, i z zaskoczeniem zauważyłem zakrzepłą krew. Oglądając odłamki, uświadomiłem sobie, że schowano tam więcej niż jedno potłuczone lustro. Były tam elementy trzech albo czterech tafli szkła o różnym kształcie.

Isabelle po raz ostatni spojrzała na swoje zdjęcia, na osobę, którą kiedyś była, a potem się odwróciła. Nie przypadkiem porzuciła swoje dotychczasowe życie. Po raz pierwszy dotarło do mnie, że być może wcale nie ucieka od problemów bogatej dziewczynki.

Znowu pomyślałem o telefonie i podszedłem do Isabelle, wstrzymując oddech. Nie odrywając od niej wzroku, wyjąłem z jej torebki komórkę i powoli się odsunąłem. Wszedłem do łazienki, zamknąłem drzwi i wybrałem numer poczty głosowej.

„Masz jedną nową wiadomość. Otrzymana dzisiaj”.

Przerwa, oddech, a potem głos.

Ten charakterystyczny akcent z Oxbridge.

„Isabelle, chciałbym, żebyś odebrała telefon. Wiem, że jestem ostatnią osobą, z którą masz ochotę rozmawiać, ale musimy pomówić. Była tu policja, pytali o ciebie. O to, gdzie jesteś. Wspomnieli o Zainie Carverze. Powiedzieli, że jest zamieszany w handel narkotykami. Isabelle, mogę cię ochronić, ale proszę, zadzwoń do mnie. – Nastąpiła chwila ciszy. – Wiesz, że cię kocham”.

David Rossiter. Okłamywał córkę w kwestii jej położenia, próbując tak ją zmanipulować, żeby wróciła do domu. Zdziwiłem się, słysząc jego głos. Wcześniej dawał mi do zrozumienia, że nie jest w stanie się z nią skontaktować. Rozłączyłem się i otworzyłem drzwi.

Isabelle stała boso obok wersalki. Miała potargane włosy i rozmazany makijaż. Nie nosiła wysokich obcasów, ale bez butów wydawała się znacznie niższa. Ta utrata wzrostu w połączeniu z bosymi stopami sprawiła, że wyglądała przeraźliwie młodo.

Jej wzrok pobiegł w stronę telefonu w mojej dłoni.

– Co robisz?

– Ja tylko...

– Grzebałeś w moich rzeczach?

Położyłem telefon na podłodze.

– Izzy, przywiozłem cię do domu. Po prostu szukałem czegoś, czym mógłbym się zająć. – Wtedy zobaczyłem, że jej dłoń zaciska się na kluczach do mieszkania, trzymając najdłuższy z nich jak nóż.

– Proszę, poszukaj sobie zajęcia gdzie indziej.

– Oczywiście. – Ostrożnie przesunąłem się wzdłuż ściany w stronę drzwi. – Przepraszam – powiedziałem, gdy już je otworzyłem.

– Wiem, że dla niego pracujesz.

Odwrociłem się, ale nie odpowiedziałem. Zsunęła się jej apaszka i widziałem bliznę na szyi. Kiedyś próbowała się zabić. Potem próbowała uciec z domu. Próbowała narkotyków i związku ze starszym mężczyzną. A to wszystko kryło się pod apaszką, która zsunęła się z szyi. W jej cichnym głosie, w tym paskudnym pokoju, w jej zimnych sinych stopach z odprysniętym lakierem na paznokciach. Miała siedemnaście lat i usiłowała się nie rozpłakać.

– Izzy...

– Po prostu wyjdź.

– Możemy o tym porozmawiać? – spytałem. – Jutro. – Przeszła z nogi na nogę i długo mi się przyglądała, aż zauważyłem, że przez nylonowe zasłony przenika światło dnia.

– Jeśli najpierw nie porozmawiasz z nim.

– Nigdy się nie dowie, że tu byłem.

– Nigdy w życiu nie miałam przed nim tajemnic. – Zobaczyłem, że uchodzi z niej całe powietrze, jakby tuż przed atakiem paniki. Ciągnęła cichym głosem: – Płaci moim chłopakom, żeby mu mówili, co ze mną robią. Upija ich i nagrywa. Czasami puszcza mi te nagrania. – Wzięła oddech. – On wie wszystko.

– Nigdy się nie dowie, że tu byłem – powtórzyłem. Chciałem, żeby poczuła się bezpieczna, więc wyszedłem i zamknąłem za sobą drzwi.

– Możesz tu przyjść – powiedziała cicho.

Nie byłem pewny, czy ma na myśli tę chwilę, czy następny dzień, więc przytrzymałem ręką drzwi i nasłuchiwałem. Usłyszałem, jak opada z powrotem na wersalkę i głęboko oddycha. Przez chwilę nad sobą panowała, ale potem zaczęła oddychać szybciej. Roześmiała się, a później rozpłakała. Brzmiało to tak, jakby śmiała się i płakała jednocześnie. Zastanawiałem się, czy to przez narkotyki – cokolwiek brała – czy przez to, że po przebudzeniu zastała w swoim mieszkaniu obcego mężczyznę. Nie chciałem wierzyć w to, co powiedziała o ciągłej kontroli. Brzmiało to jak paranoja, urojenia.

Wyczerpany pojechałem nocnym autobusem do swojego wynajętego mieszkania i położyłem się na łóżku. Nie mogłem zasnąć. Zanim zadzwoniłem, przez dwie godziny trzymałem wizytówkę w ręce. Odebrał po drugim sygnale.

– Słucham, Waits.

– Musimy porozmawiać.

– Wyślę samochód – powiedział Rossiter.

Siedząc i czekając na pukanie, nie potrafiłem przestać myśleć o graffiti, które widziałem w barze.

„Zapomnij najbliższą noc”.

Wróciłem do domu, myśląc o rodzinie. O nieobecnych rodzicach, o tajemnicach i kłamstwach. Pogmerałem w kieszeni w poszukiwaniu listu, który przekazał mi Suttty. Położyłem go na stole, ale nie potrafiłem otworzyć. Isabelle Rossiter i ja mieliśmy ze sobą więcej wspólnego, niż przypuszczałem. Gdy opuściłem rodzinę, nie ufałem nikomu.

The Oaks był olbrzymim wiktoriańskim ośrodkiem. Teraz już zamkniętym, zabitym deskami i opustoszałym. Dorośli wydawali mi się bezimienni, pozbawieni twarzy, i miałem trudności z odróżnieniem jednego od drugiego. Gdy tam trafiliśmy, miałem osiem lat, a moja siostra pięć. Byłem śmiertelnie przerażony. Pamiętam, jak płonęły mi policzki, ilekroć Annie spoglądała na mnie, oczekując wyjaśnienia, co się dzieje, a ja nie mogłem jej go udzielić, bo sam nie wiedziałem.

Sypialnia dla chłopców była pełna takich dzieci jak ja. Mniej więcej w moim wieku, nowych. Teraz wiem, że różne rodzaje osobowości – cicha, ponura, ekstrawagancka i agresywna – były jedynie różnymi sposobami wyrażenia strachu. Przypuszczam, że moja plasowała się gdzieś pośrodku.

Wszystko obserwowałem, a na swój temat zdradzałem najmniej, jak się dało.

Nie pozwolono nam przywieźć swoich rzeczy, więc fakty z własnego życia traktowałem jako rodzaj waluty. Nie były cenne, ale stały się ostatnią rzeczą, która mi pozostała i którą mogłem przy sobie schować. By używać ich wyłącznie w wyjątkowych sytuacjach. To zły nawyk, z którym nigdy do końca nie zerwałem.

Sпалиśmy z Annie w osobnych pomieszczeniach, ale większość dnia spędzaliśmy razem. Przeważnie po prostu miałem ją na oku. Obserwowałem, jak się bawi, choć udawałem, że tego nie robię. Bałem się, gdy pytała, kiedy wrócimy do domu. Gdzie jest mama. Bałem się, gdy opowiadała mi swoje kolejne sny.

Po niedługim czasie po raz pierwszy spróbowano umieścić nas w rodzinie. Nigdy nam tego nie wyjaśniono ani nie wyrażono się o tym w taki sposób. Myśl, że dziecko wie, iż bierze udział w przesłuchaniu dla nowych rodziców, jest zbyt okropna dla sumienia opiekunów. Po prostu powiedziano nam, że poznamy pewnych miłych ludzi i że mamy być grzeczni.

Tak naprawdę większość dzieci wie, co się dzieje, i nawet w tym wieku czuje, kto zostanie wybrany pierwszy. Placówki starają się unikać rozłączania rodzeństwa, ale bądźmy realistami, kto ma wystarczająco duży dom? Albo serce?

Pamiętam, jak szedłem korytarzem w stronę gabinetu dyrektora. Denerwowałem się i byłem opryskliwy dla siostry. Nie potrafiła się porządnie ubrać, nie wiedziała, jakie to ważne. Gdy dotarliśmy do gabinetu, zajęła się nami jedna z bezimiennych, pozbawionych twarzy kobiet. Pomieszczenie pachniało pastą do podłóg i każda powierzchnia lśniła brązowym lakierem. Pod jedną ze ścian stał onieśmielający regał, a pod drugą biurko. Między nimi znajdowało się okno z widokiem na podwórko, a obok okna stała kanapa chesterfield. Siedziała na niej młoda para. Wyglądali, jakby wpadli tu w drodze do kościoła.

Gdy weszliśmy, wstali.

Pani tak bardzo uśmiechała się do Annie, że pomyślałem, że na pewno ją zna. Na mój widok jej uśmiech bladł. Odpowiedzieliśmy na kilka prostych pytań. Jak mamy na imię i ile mamy lat. Co lubimy jeść i w co najchętniej się bawimy.

Kobieta bez twarzy poprosiła nas, żebyśmy poszli się pobawić. Annie z westchnieniem podeszła do pudła z zabawkami i wysypała jego zawartość. Chodziła wśród leżących na podłodze zabawek, oglądając je, jakby to była jej codzienna praca. Jej lekko zmarszczone brwi mówiły, że nie wie, że jest obserwowana albo jej to nie obchodzi.

Przeniosłem wzrok z Annie na parę.

Zobaczyłem, jak ci ludzie promienieją.

Zrozumiałem, że Annie postępuje właściwie.

Potem wykazałem się pewną nadgorliwością. Zacząłem się z nią bawić na poważnie, starałem się, żebyśmy wyglądali na nierozłącznych. Gdy przyszła pora się pożegnać, dosłownie owinałem się wokół siostry. Potem przez kilka dni byłem podekscytowany i nerwowy, ale ta para więcej nie przyjechała.

Pomyślałem o nieobecnych rodzicach. O tajemnicach i kłamstwach.

Gdy rozległo się pukanie do drzwi, już nie spałem. Deszcz stukał jak obcasy na brukowanej ulicy. Otworzyłem i zobaczyłem detektywa Kernicka. Spojrzał nad moim ramieniem na pokój i odwrócił się, nawet na mnie nie patrząc.

Poszedłem za nim do samochodu i znowu odbyłem podróż po Deansgate. Wciąż jeszcze był ranek, lecz ciężka deszczowa zasłona zakryła Beetham Tower, na chwilę poprawiając panoramę miasta. Wjechaliśmy windą na czterdzieste piąte piętro, ale czułem, że coś się zmieniło. Kernick odeskortaował mnie korytarzem do apartamentu Rossitera. Otworzył drzwi za pomocą swojej karty i skinął do mnie, żebym wszedł. Sam został na korytarzu.

Rossiter siedział w fotelu. Stałem tak przez minutę, podczas gdy on czytał z kartki, którą trzymał na kolanach, i raz po raz pocierał prawą skroń. Gdy dotarł do końca dokumentu, podniósł go, trzymając między palcem wskazującym a kciukiem, i spojrzał na drugą stronę.

Chmury, które widziałem z ziemi, owijały się wokół budynku i w pokoju było ciemno, oświetlała go tylko jedna lampka na stoliku kawowym. Z miejsca, w którym stałem, zobaczyłem, że druga strona kartki jest pusta. Rossiter położył ją z powrotem na kolanach i zaczął czytać po raz drugi.

– Przyjdę później.

– Niech pan siada – powiedział, nie podnosząc głowy. Przeszedłem przez pokój i usiadłem. Rossiter poprawił spinki do mankietów, jakby gdzieś się wybierał.

– Zajęty z pana chłopiec.

Zignorowałem go.

– Obawiam się, że doszło do eskalacji.

– Ma pan na myśli dochodzenie?

– Pańską córkę.

– Tak?

– Objaśniłem panu model biznesowy Carvera?

– Bardzo pobieżnie – powiedział znudzonym tonem. – Narkotyki w pubach i klubach, dziewczyny zbierające pieniądze.

– Myślę, że Isabelle też je dla niego zbiera.

– Myśli pan.

– Wiem.

– Powiedział pan, że wie tylko to, co widzi. Widział to pan czy nie?

– Z daleka.

– Z daleka – powiedział, spoglądając na mnie po raz pierwszy. – Proszę mówić dalej.

– Poza tym mam niewiele do powiedzenia. Reszta ma związek z trwającym śledztwem w sprawie poważnych przestępstw, które jej nie dotyczy.

– Niech zgadnę. W obecnej sytuacji jest narażona na niebezpieczeństwo. Na tak wielkie niebezpieczeństwo, że nie należy jej z tej sytuacji zbyt gwałtownie wyciągać.

– Przeciwnie. Należy ją z tego wyciągnąć, nawet jeśli będzie gryzła i kopała. Teraz, dzisiaj. – Milczał. – Bez względu na to, jakie macie problemy, na pewno jest jakieś miejsce, w którym mogłaby się zatrzymać. U przyjaciela albo krewnego.

– To wszystko?

– A co jeszcze chciałby pan usłyszeć?

– Zakładałem, że najlepsze zostawia pan na koniec.

– Panie Rossiter, niech pan posłucha, widziałem pańską córkę. Myślałem, że chciałby pan o tym wiedzieć.

– Niech pan da spokój, Waits. Zrobił pan o wiele więcej, niż tylko ją widział.

Nie odpowiedziałem.

Na stole między nami leżała szara koperta. Rossiter pochylił się i przesunął ją po szkle w moją stronę. Była opatrzona napisem: „I.R. 30 października”.

– Niech pan otworzy – powiedział.

Odsunąłem kopertę z powrotem.

– Niech pan sam to zrobi.

Wypuścił powietrze przez nos. Była to teatralna frustracja, rodzaj wyćwiczonego tikku często stosowanego przez uczestników debat. Przykrył ją rozbajającym uśmiechem i rozdarł kopertę.

W środku były zdjęcia.

Rzucił je na stół. Prześlizgnąwszy się po blacie, wylądowały na moich kolanach. Były kolorowe, ale niewyraźne. Najprawdopodobniej zrobione telefonem. Widziałem pot lśniący na skórze Isabelle.

Zdjęcia ukazywały nas dwoje, razem, na pierwszej imprezie w Fairview, na której byłem. Na jednym trzymałem ją blisko siebie w zatłoczonym korytarzu. Wpatrywaliśmy się sobie w oczy, a nasze ciała były złączone na wysokości bioder. Na drugim ujęciu podawałem Isabelle butelkę. Na następnym było widać, jak pije. Każde kolejne zdjęcie pokazywało, jak coraz bardziej się do siebie zbliżamy, a na ostatnim byliśmy całkiem spleceni.

Prawie dotykaliśmy się ustami.

Rossiter obserwował mnie spod opuszczonych do połowy powiek, oceniając moją reakcję. Gdy wreszcie się odezwał, odsunął się w fotelu, jakby chciał się znaleźć jak najdalej ode mnie.

– Chce pan coś oświadczyć?

– To...

– Nie to co myślę? Niech mi pan tu nie pieprzy, Waits. – Poszukał w kieszeniach papierosa i zapalił. – Może zamiast tego zacznie pan jeszcze raz. Od początku. I proszę nie pomijać soczystych kawałków.

Wstałem, podszedłem do drzwi i otworzyłem je. Detektyw Kernick nadal tkwił po drugiej stronie. Zamknąłem mu drzwi przed nosem. Stałem tam przez chwilę, a potem znowu podszedłem do Rossitera i usiadłem.

Gdy wyszedłem z penthouse'u, zaczynało się ściemniać. Zupełnie jakby między poranną mgłą a wczesnym wieczorem w ogóle nie było dnia. Detektyw Kernick już zniknął, więc sam zjechałem windą i stanąłem obok postoju taksówek na Deansgate. Podałem kierowcy adres Isabelle. Z jednej strony uważałem, że Franczyza jest dla niej lepsza niż dom rodzinny, ale z drugiej – nie była tam bezpieczna. Musiał istnieć inny sposób.

Gdy dotarłem na miejsce, miasto oświetlał blask księżyca i zastanawiałem się, czy w ogóle ją zastanę. Drzwi do jej budynku były otwarte i niestrzeżone. Wszedłem na trzecie piętro, nie spotykając nikogo po drodze. Te same bezcielesne głosy za zamkniętymi drzwiami, te same bzyczące halogenowe żarówki.

Przesunąłem ręką po drzwiach, czując fakturę drewna. Przypominałem sobie gorzką poprzednią noc. Zobaczyłem, że drzwi są lekko uchylone, i popchnąłem je.

Uderzyła mnie stęchła woń seksu.

Isabelle leżała naga na dywanie, wpatrując się w drzwi. Miała otwarte oczy i igłę w ramieniu. Jej białe włosy zrobiły się matowe.

Była zupełnie cicha, nieruchoma i martwa.

Cała lewa strona jej ciała przybrała błękitny odcień. W niektórych miejscach widziałem sieć splatających się, tworzących wzór żył. Ręka z wbity igłą miała ciemniejszy odcień, wokół wkłucia była prawie czarna. Odwróciłem się, z całej siły kopnąłem w drzwi, a potem do niej podszedłem.

– Izzy...

Moja ręka na chwilę zawisła nad jej czołem, zanim zdołałem go dotknąć. Pot na jej skórze był zimny. Bez zastanowienia wyszedłem na korytarz i zamknąłem drzwi. Czułem słabość w nogach i ciężko oparłem się o ścianę, próbując myśleć.

Pot z jej skóry wytarłem o spodnie.

Ludzie nie umierają z przedawkowania. Umierają przez złe igły, przez złych dilerów, przez życie na ulicy, ale prawie nigdy nie umierają z przedawkowania. Powinienem był wrócić do środka i uderzyć ją w twarz. Wezwać pogotowie i wsadzić ją pod prysznic. Ale tylko tam stałem. Czas minął i usłyszałem, że ktoś wchodzi po schodach.

Spanikowałem, odepchnąłem się od ściany w stronę drzwi Isabelle, udając, że do niej przyszedłem, i mając nadzieję, że ta osoba pójdzie dalej. Gdy się zbliżyła, lekko zastukałem w drewno. Kątem oka widziałem cień kogoś idącego korytarzem w moją stronę. Gdy kształt się zbliżył, skupiłem wzrok na drzwiach. Postać się zatrzymała. Odwróciłem się.

– Cześć – powiedziała Catherine, zaskoczona moim widokiem. – Jest w domu?

– Nie odzywa się – powiedziałem.

Ostentacyjnie przewróciła oczami.

– No, Izzy, pobudka. – Dwa razy walnęła w drzwi, a gdy się uchylili, odruchowo posłała mi lekki uśmiech. Nie powstrzymałem jej, gdy mnie mijała i wchodziła do mieszkania. Gwałtownie

zaczerpnęła powietrza i zrozumiałem, że to się dzieje naprawdę. Wszedłem za nią i zamknąłem drzwi.

Catherine uniosła ręce do ust. Była tak nieświadoma mojej obecności, że czułem się jak podglądacz, jakbym obserwował czyjś prywatny smutek.

Kucnąłem obok Isabelle i niepotrzebnie spróbowałem zmierzyć jej puls. Koniuszki moich palców były lepkie, czułem w nich mrowienie i prawie nic poza tym. Odłożyłem rękę Isabelle na podłogę, kładąc ją delikatnie, jakbym wciąż mógł ją obudzić. Isabelle wpatrywała się we mnie swoim ostatnim spojrzeniem. Nie było to błogie zamroczenie kojarzące się z heroiną.

To było przerażenie.

Żuchwę miała napiętą, zęby zaciśnięte, a mięśnie twarzy zastygłe w grymasie. Gdy przesunąłem dłoń po jej powiekach, odniosłem wrażenie, że wyczuwam chwilowy opór, jakby jeszcze tliło się w niej życie. Przez chwilę trwaliśmy w bezruchu, a potem Catherine odkaszlnęła, jakby zamierzała coś powiedzieć. Zamiast tego przyglądała tylko ubraniu i spokojnie weszła do łazienki, odwracając oczy od zwłok. Zamknęła za sobą drzwi i zaczęła wymiotować.

Stałem i pozwalałem oczom błądzić po nagim ciele Isabelle. Niczego nie czułem, patrząc na jej skórę, na błękitną lewą stronę jej ciała, ale na widok starej blizny na jej szyi zaszklily mi się oczy. Za życia tak bardzo starała się ją zasłonić. Mocno wystawały jej żebra, przypominały pręty klatki. Jej nagość, jej piękno, jej młodość – to wszystko połączyło się w jakieś przesłanie, które chyba mi umykało. W jakąś ostateczną, okrutną krytykę życia.

No future.

Jej lewa ręka miała tak ciemny odcień, że nie widziałem, czy są na niej inne ślady po wkluciacz. Ale na prawej ich nie było. Nogi miała złączone i przechylone na jedną stronę. Odniosłem wrażenie, że widzę na nich jakąś wysypkę.

Rozległ się odgłos spuszczonej wody i Catherine otworzyła drzwi. Na twarzy miała lekkie ślady czarnych od tuszu łez i wychodząc, wycierała usta ręcznikiem. Trzęsły jej się nogi i oparła się o ścianę, żeby odzyskać równowagę. Chyba była w szoku. Zatrzymała się, widząc mnie obok Isabelle.

– Po co tu przyszedłeś? – spytała. Wzrok miała skupiony na drzwiach prowadzących na korytarz. Rozpaczliwie, pomyślałem. Czułem, jak jej umysł pracuje, jak się zastanawia, czy zabiłem jej przyjaciółkę, czy zdoła dopaść do drzwi, zanim ja ją dopadnę.

– Wczoraj wieczorem odwiozłem ją do domu. Prosiła, żebym dzisiaj przyszedł.

Catherine pokiwała głową, nie do końca mi wierząc.

– Muszę już iść – powiedziała, ruszając do wyjścia.

Zagroziłem jej drogę.

– A ty po co tu przyszedłeś?

– Miałymy pracować dziś wieczorem – powiedziała. – Zbierać pieniądze.

– Kiedy po raz ostatni z nią rozmawiałaś?

– Wczoraj w Rubiku. – Starła się stłumić oskarżenie w swoim głosie. – Jak cię poprosiłam, żebyś jej przekazał, że już poszłam.

– O co się kłóciłyście z menedżerem baru? – Spojrzała na mnie zdziwiona. – Obserwowałem was. Powiedziałaś: „Dość tego”. Czego?

– Kim ty jesteś?

– Czego dość?

– Chyba picia. Wypiłyśmy więcej, niż należało.

– Catherine.

Wzruszyła ramionami.

– Podrywał ją.

– Wcześniej też się to zdarzało?

– Nie wiem. Neil lubi młode, ale granica jest cienka. Zain by go zabił, gdyby się dowiedział.

Pomyślałem o barmanie. O spuszczeniu narkotyków w sedesie, które prawdopodobnie zmusiło go do przejścia do podziemia.

– Powiedz mi, skąd brała towar.

– Nie wiem, Zain nie pozwala nam ćpać...

– Ten facet jest święty. Skąd to wzięła?

– Nie wiem.

Sięgnąłem do kieszeni po telefon.

– Tylko nie dzwoń na policję – powiedziała. – Sami możemy się tym zająć.

– Dziewczyny w rodzaju Isabelle Rossiter nie mogą tak po prostu zniknąć.

– Ale ona zniknęła, już uciekła z domu.

Zacząłem wybierać numer.

Catherine położyła mi rękę na ramieniu.

– Moglibyśmy zadzwonić anonimowo, jak już stąd wyjdziemy...

– Znaleźliby nas. Wierz mi. – Objąłem ją jedną ręką, a w słuchawce odezwał się dyspozytor.

Powiedziałem mu, że znaleźliśmy martwą nastolatkę po przedawkowaniu i podałem mu adres. Fog Lane. Gdy zaczął zadawać dodatkowe pytania, rozłączyłem się. Wiedziałem, że wszystko, co chciałem ukryć przed Parrsem, przed Rossiterem, będzie musiało wyjść na jaw.

Catherine wyglądała, jakby znowu miała zwymiotować. Poszedłem do lodówki, szukając wódki, którą znalazłem poprzedniej nocy. Butelka nadal tam była. Wziąłem trzy palące łyki i podałem ją Catherine.

– Napij się.

– Nie mogę – powiedziała.

– To ci dobrze zrobi.

– Nie mogę.

Opuściłem głowę, żeby spojrzeć jej w oczy.

– Nie teraz...

– Jak to?

Spojrzała na mnie z bardzo daleka.

– Jestem w ciąży – powiedziała cicho.

Poczułem żyłą gwałtownie pulsującą w głowie. Ostry ból przeszył mój obojczyk, a tępy blaknące limo. Stałem zupełnie nieruchomo, zaciskając pięści, i czekałem, aż to minie.

– Co?

– Powiedziała, że...

– Jesteś pewna?

Spojrzała na mnie. Pogmerała w torebce i wyjęła z niej test ciążowy. Wziąłem go od niej. Przynurzałem do światła. Wynik był pozytywny.

Oddałem jej go bez słowa.

– Tej pierwszej nocy w Fairview...

Przez chwilę żadne z nas się nie odzywało.

– Co zamierzasz zrobić?

– Nie pytasz, co zamierzamy zrobić? – powiedziała. – Chyba urodzę w więzieniu.

Usłyszałem syreny na ulicy. Pomyślałem o pytaniach, które mogą jej zadać, i o odpowiedziach, których mogłaby im udzielić. Przeszyła mnie nienawiść do samego siebie i w tym momencie także do Catherine. Żałowałem, że w ogóle ich wszystkich poznałem. Odsunęła się ode mnie, okrążyła zwłoki Isabelle i usiadła na wersalce.

– Nie – powiedziałem, podnosząc ją za ramię. – Musisz stąd iść.

– Co?

– Nie będę cię w to mieszał, musisz stąd iść.

– Już tu są.

Pociągnąłem ją za sobą na korytarz i w stronę schodów. Spojrzałem w dół i zobaczyłem dwóch policjantów wchodzących na górę. Zawróciliśmy, minęliśmy mieszkanie Isabelle i poszliśmy w stronę wyjścia przeciwpożarowego.

Pchnąłem drzwi.

Za nimi były ciemne schody. Rozległ się alarm przeciwpożarowy. Przeszywający, piskliwy dźwięk. Catherine przeszła na drugą stronę i spojrzała na mnie. W ciemności za drzwiami nie widziałem rysów jej twarzy. Była tylko konturem postaci.

Zawahała się.

– Łazienka... Coś jest w łazience...

– Idź do Carvera – powiedziałem. – Przekaż, żeby wyczyścił Fairview. Policja przeszuka mu dom.

Ścisnęła moją rękę i zniknęła na schodach. Zamknąłem drzwi i wróciłem korytarzem. Ludzie zaczęli wychodzić z mieszkań, zaskoczeni alarmem. Poszedłem w stronę kawalerki Isabelle.

Gdy funkcjonariusze dotarli na górę, stałem przed drzwiami, wstrzymując oddech. Wślizgnąłem się do środka, mając nadzieję, że zauważą mnie dopiero za chwilę.

Na Isabelle spojrzałem tylko po to, żeby nad nią przejść. Roztrzęsiony miotałem się po mieszkaniu. Wycierałem odciski palców z butelki.

Pomyślałem o telefonie.

O esemesie, który mi przesłała:

Zain wie.

Przeszukałem jej torebkę, ale telefonu tam nie było. Nigdzie go nie zauważyłem. Ostrożnie wszedłem do łazienki. Alarm rozbrzmiewał w niej tak głośno, jakby umieszczono go w mojej głowie.

Na widok lustra zastygłem w bezruchu. Było pęknięte pośrodku, ktoś w nie uderzył.

Widniała na nim wiadomość napisana przedtem grubą czerwoną szminką:

„NIKT NIE MOŻE SIĘ DOWIEDZIEĆ”

Nie byłem w stanie się ruszyć. W nocy tu tego nie widziałem. A teraz Isabelle już nie żyła. Jej telefon zaginął. Ktoś zostawił pogroźkę na lustrze. Nie słyszałem, jak wchodzi policjanci. Gdy mnie znaleźli, wciąż wpatrywałem się w wiadomość. Widziałem swoje odbicie w kalejdoskopie z potłuczonego szkła, słowa wypisane na mojej twarzy.

W drzwiach stał policjant w mundurze. Coś powiedział, lecz alarm zagłuszył jego słowa. Próbowałem czytać z ruchu jego warg, ale zniecierpliwiłem się i odwróciłem.

„NIKT NIE MOŻE SIĘ DOWIEDZIEĆ”

Krzyknąłem. Chciałem przekrzyczeć alarm i całym ciałem rzuciłem się na lustro, mając nadzieję, że uda mi się zrzucić szkło ze ściany. Zrobić scenę i dać Catherine czas na ucieczkę. Policjant podszedł do mnie i skoczyłem na niego z pięściami. Chwytał mnie za nadgarstki. W uszach był mi alarm. Szamotałem się, dopóki nie zjawiała się policjantka.

Spojrzała mi w oczy i zaczęła powoli mówić. Z początku myślałem, że ją znam, ale po prostu rozpoznałem ten wyraz twarzy.

Coś w rodzaju współczucia.

Przestałem stawiać opór i rozluźniłem się w ramionach policjanta. Funkcjonariuszka spokojnie uniosła pałkę. Nadal mówiła powoli, jakby objaśniała jakąś nieszkodliwą procedurę. Potem bardzo precyzyjnie uderzyła mnie pałką w czoło. Moje ciało sflaczało i przepłynęła przeze mnie ciepła fala ulgi.

Potem nastąpił drugi cios i wszystko ogarnęła czerń.

Szum. Zakłócenia i piski w policyjnym radiu.

„Aidan”.

Ktoś wymawiał moje imię, ale nie chciałem się do niego przyznać. Czułem, że przesuwają moje ciało i zastanawiałem się, czy Isabelle też przez to przeszła. Czy kiedy ją znaleźliśmy, była jeszcze świadoma, a potem powoli przestawiła się na inną częstotliwość.

Trzaski.

Przebiły się przez moją głowę i w końcu zmieniły w piski radia szukającego stacji. Ocknąłem się w obłędnej bieli szpitala Royal Infirmary.

Głowa pękała mi z bólu.

Komisarz Parrs stał nad łóżkiem, poszarzały na twarzy, z zaczerwienionymi oczami, i gapił się na ścianę. Gdy zobaczył, że jestem przytomny, spojrział mi w oczy, a potem powiedział coś przez ramię i znowu odwrócił wzrok. Policjant, który wcześniej usiłował mnie powstrzymać, stał w kącie i obejmował się rękami. Z obu dziurek w nosie wystawały mu chusteczki i pomyślałem, że pewnie uderzyłem go w nos. Miał zbolałą minę, jakby musiał się bardzo starać, by nie zabić mnie za pomocą wewnętrznej nadludzkiej siły.

Jego wzrok był wbity we mnie.

Gdy Parrs się odezwał, policjant odsunął się od ściany. Odwrócił się i wyszedł przez drzwi wahadłowe, cały czas obejmując się rękami. Więcej nie wrócił.

W końcu zjawił się jakiś młody lekarz o azjatyckich rysach. Wszedł do pomieszczenia ze swobodą kogoś, kto robi to, co kocha, i ma przed sobą całe życie. Był pogodny i miał wesoły uśmiech. Jego zęby wyglądały na sztucznie wybielone.

– Mógłby pan przestać mnie oślepieć? – spytałem. Agresywnie zaświecił mi latarką w twarz, a potem pokazał środkowy palec i spytał, ile palców widzę.

– Tylko ten jeden.

– Nic mu nie jest – powiedział lekarz, odwracając się i wychodząc.

Parrs spojrział na mnie z wściekłością.

– Masz mi coś do powiedzenia, synu?

Zaprzeczyłem i skrzywiłem się.

– Kiedy przyszedłem, już była w takim stanie. Znaleźliście coś?

– Stawisz się u mnie w gabinecie. Jutro z samego rana.

Pokiwałem głową. Zabolało.

Spojrział na mnie współczująco, a potem wyszedł.

Przez chwilę leżałem tam sam, wsłuchując się w dziwne rytmy budynku, wyobrażając sobie życie przebywających w nim ludzi połączone z ulotnymi głosami. Czułem się oderwany od rzeczywistości. Catherine była w ciąży. Kompromitowało mnie to pod każdym względem, moja hańba stała się faktem. Byłem zbyt oszołomiony, żeby wiedzieć, co myśleć, co robić. Pomyślałem, jaka musi być wystraszona. Prawie zepchnąłem ją ze schodów, gdy usłyszałem

o ciąży. Poczułem, jak przelewa się przeze mnie kolejna fala nienawiści do samego siebie. Potem sturlałem się z łóżka, postawiłem stopy na podłodze i pozbierałem swoje rzeczy.

Gdy wychodziłem, czekali na mnie detektyw Kernick i jego partnerka o wypłowiałych włosach, sierżant Conway. Kernick spojrział na mnie ze złością i o mało czegoś nie powiedział. Ostatecznie jednak tylko pokręcił głową i poprowadził mnie do samochodu.

Wszystko wokół mnie wirowało. Całkiem zdrętwiałem. Czułem się ogłupiały i skołowany. Po sobotnim wieczorze zostawiłem ją w tym mieszkaniu żywą. Między moim wyjściem a siedemnastą w niedzielę uprawiała seks. Ktoś zostawił wiadomość na jej lustrze, a potem je rozbił. Jej telefon zaginął. Wzięła ósemkę. Umarła.

Pojechaliśmy do jakiegoś ohydneho centrum biurowo-przemysłowego i zameldowaliśmy się w tanim hotelu. Ani na chwilę nie zostawiali mnie samego. Kernick ujął to delikatnie: „Nie chcielibyśmy, żebyś skorzystał z najłatwiejszego wyjścia, jasne?”.

Spaliśmy przy włączonym świetle. Powinienem powiedzieć, że byłem tym wszystkim tak zdruzgotany, że nie zmrzyłem oka. W rzeczywistości jednak byłem po prostu wyczerpany, głodny i wykańczał mnie pulsujący ból w głowie. Śnił mi się ruch uliczny. Gdy się obudziłem i usiadłem, bolała mnie żuchwa. Tak mocno zgrzytałem zębami, że obudziłem Kernicka. Siedział na krawędzi łóżka i gapił się na mnie, lekko marszcząc brwi. Gdy usiadłem, odwrócił wzrok.

– Kawy? – spytał.

Przy śniadaniu przeczytałem poranną gazetę. Poniedziałek, 16 listopada. Isabelle zajmowała całą pierwszą stronę szmatławca z czerwoną winietą, którego Kernick przyniósł do pokoju.

„ISABELLE ROSSITER ZMARŁA W WIEKU 17 LAT
Pomieszkiwała u niesławnego narkotykowego bossa z północy.
Wiodła niebezpieczne, destrukcyjne życie seksualne.
Zmagała się z chorobą psychiczną”.

Wkomponowano w to zdjęcie Davida Rossitera. Bez wątplenia pochodziło z archiwum, ale ukazywało go w chwili, gdy marszczył brwi i wydawał się zmartwiony. Podpis pod spodem informował: „Poseł i jego córka wiedli »smutne, osobne życie«”.

Dalszy ciąg artykułu znajdował się na czwartej stronie i sześciokrotnie wspomniano w nim o tym, że jej ojciec jest ministrem sprawiedliwości. Resztę tworzyły banalne fakty z życia Rossiterów. Że matka urodziła się jako milionerka, że ojciec był światowcem, że Isabelle była bystrym, pięknym dzieckiem.

Cytowane wypowiedzi przypisywane źródłu bliskiemu Rossiterom układały się w inną historię. Sugerowały, że w rodzinie panował obłęd i brakowało szczęścia. Ich ton dawał do zrozumienia, że nawet fortuna nie przyniosła Rossiterom nic dobrego. Gdy oderwałem wzrok od gazety, zauważyłem, że Kernick baczenie mi się przygląda. Wstałem i zacząłem się zbierać. Wziąłem prysznic. Tkwiłem nieruchomo pod ukropem, dopóki ktoś z nich nie załomotał do drzwi.

Zaparkowaliśmy kilka przecznic od komendy i resztę drogi pokonaliśmy pieszo. Gdy dotarliśmy do celu, zrozumiałem dlaczego. Dziesiątki pismaków i fotoreporterów wykrzykiwały pytania i robiły zdjęcia każdemu, kto tamtędy przechodził. Z daleka słyszałem bez przerwy powtarzane te same hasła:

- Seks?
- Narkotyki?
- Samobójstwo?

Skierowaliśmy się do południowego wejścia. Wchodząc tamtędy, nigdy wcześniej nie czułem strachu. W komendzie wszystkie mijane przez nas osoby miały telefony przyciśnięte do ucha. Mimo to w tle nieustannie dzwoniły inne. Funkcjonariusze w mundurach wylewali się ze wszystkich drzwi, ludzie gorączkowo chodzili we wszystkich kierunkach. Odeskortowano mnie do windy i zawieziono na czwarte piętro. Do gabinetu komisarza Parrsa. Nikt się już nie przejmował, że zostaną zdemaskowani. Gdy mijaliśmy biurko jego wymęczonej sekretarki, zdążyła połączyć trzech rozmówców. Detektyw Kernick zaprowadził mnie prosto do drzwi i zapukał.

- Wejść – zabrzmiał głos po drugiej stronie.

Kernick otworzył drzwi.

- Waits – powiedział.

Parrs siedział za biurkiem zwrócony plecami do okna. Wyglądał mizerniej niż zwykle, linia jego żuchwy przypominała strzałkę zwróconą w dół. Miał przed sobą dwa telefony i w obu mrugały światełka. Na wszystkich liniach ktoś czekał na połączenie.

- Dzięki – powiedział, gdy wszedłem.

Kernick zamknął za mną drzwi, a sam został na zewnątrz.

Naprzeciwno Parrsa siedział David Rossiter. Miał opuchniętą od niewyspania twarz i wygnieciony garnitur. Rozpiął guzik pod szyją. Dziwnie wyglądał bez krawata.

Gdy wszedłem, wstał i poszedł w najdalszy kąt pokoju, gdzie odwrócony do nas plecami, oparł się o ścianę. Nawet w żałobie wyglądał inaczej niż zwykły człowiek. Przygarbił się, skurczył. Pomniejszył. Już wiedziałem, że tę polityczną teatralność ma we krwi, że niekoniecznie gra pod publiczność.

Na trzecim krześle siedział człowiek, którego nie rozpoznałem. Jego oficjalny, bezpretensjonalny wygląd od razu przywodził na myśl wziętego prawnika. Mógł mieć trzydzieści kilka lat, na pewno był starszy ode mnie, ale z jakiegoś powodu wydawał się młodszy. Nie miał cieni pod oczami, w ogóle nie miał zmarszczek, a jego włosy wyglądały idealnie. Jakby przez całe życie kładł się spać o dziewiątej. W jego obecności czułem się jak wrak.

Parrs zwrócił w moją stronę przekrwione oczy.

- Siadaj – powiedział. Usiadłem. Ani Rossiter, ani ten drugi mężczyzna nie spojrzeli na

mnie. – Powiedz mi, co się stało.

– Kiedy tam wszedłem, była martwa.

– Sam wszedłeś?

– Zapukałem i zobaczyłem, że drzwi są otwarte.

Trzeci mężczyzna w gabinecie głośno wypuścił powietrze.

– Detektywie Waits, to jest Christopher Tully – powiedział Parrs. – Adwokat pana Rossitera.

– Przyjaciół pana Rossitera – poprawił go Tully. – Oraz jego adwokat.

Skinąłem do niego głową, ale on tylko gapił się przed siebie. Wszyscy mówiliśmy ściszym głosem, z szacunku dla Rossitera, który zrozpaczony stał pod ścianą.

– Zacznijmy od początku – powiedział Parrs. – Dlaczego w ogóle tam byłeś?

– Jak pan wie, pan Rossiter poprosił mnie, żebym miał jego córkę na oku. – Rossiter odwrócił się od ściany, ale się nie odezwał. – Widziałem ją poprzedniego wieczoru. Była pijana, więc zawiozłem ją do domu. – Wiedziałem, jak to brzmi. Nagle w pokoju zapadła cisza. Jakby w powietrzu zawisło coś niewypowiedzianego i niedobrego. Szybko ją przerwałem. – Kiedy wychodziłem, poprosiła, żebym przyszedł następnego dnia wieczorem. I wtedy ją znalazłem.

– Dlaczego chciała, żebyś przyszedł? – spytał Parrs.

– Chciała ze mną o czymś porozmawiać.

– O czym?

Czułem, jak wwierca się we mnie spojrzenie Rossitera. W gabinecie znowu zaległo ciężkie milczenie.

– Nie wiem.

– Nie kłam, chłopcze – powiedział Parrs.

Patrzyłem na niego bez słowa.

– Dobrze – powiedział. – Porozmawiajmy o tym, co wiemy. – Miał pod ręką notatki, ale mówił z pamięci. – Wczoraj Isabelle Rossiter została znaleziona martwa w wynajętym mieszkaniu przy Fog Lane. Zadzwoiłeś na policję o siedemnastej dwadzieścia. Na miejscu zabezpieczono strzykawkę zawierającą najprawdopodobniej jakiś opiat. Badania jeszcze trwają, ale przypuszcza się, że to on był przyczyną zgonu. Są dowody, że przed śmiercią doszło do czynności seksualnych. – Na chwilę zamilkł. – No więc o czym chciała z tobą porozmawiać?

Milczałem.

– Detektywie – powiedział Tully, odwracając się do mnie po raz pierwszy. – Jeśli milczy pan przez wzgląd na uczucia pana Rossitera, to powinien pan wiedzieć, że nie ma takiej potrzeby. Chyba mogę oświadczyć w jego imieniu, że jest gotów narazić na szwank swoją dumę, reputację, a nawet swoje serce, byleby tylko mógł pan rzucić trochę światła na to, co się stało z Isabelle.

– Nie mogę.

Zmarszczył brwi.

– Komisarz Parrs twierdzi, że patolodzy i specjaliści z zakresu medycyny sądowej będą potrzebowali trochę czasu, i my to rozumiemy. W strzykawce mamy prawdopodobną przyczynę śmierci. Nie mamy jednak informacji na temat dostawcy. Nie mamy wiedzy na temat stanu jej umysłu. Nie mamy motywu. Mówił pan, że piła. Wiedział pan, że zażywa narkotyki?

– Nie ósemkę.

– Ósemkę? – powiedział Tully, rozglądając się.

– Heroinę – wyjaśnił ponuro Rossiter. Odezwał się po raz pierwszy, odkąd wszedłem do gabinetu.

Tully udał zdeorientowanego.

– Więc pana zdaniem nie brała heroiny, tylko coś innego?

Spojrzałem na Parrsa. W jego nieprzeniknione czerwone oczy.

– Piła, czasami brała jakieś pigułki. Odreagowywała.

– Odreagowywała? – zapytał Tully.

– Była nastolatką.

– Nastolatką – powtórzył. – I nie przyszło panu do głowy, żeby ją odseparować od dwa razy od niej starszego dilera narkotyków?

– Prawie zawiozłem ją do domu – powiedziałem, zwracając się do Rossitera. – Dzień przed jej śmiercią prawie zawiozłem ją do domu. – W jego spojrzeniu była szczerść. Na chwilę zapomniał o całej polityce i opuściła go premedytacja. Był tylko ojcem.

– I co się stało?

– Znalazłem w jej torebce pieniądze.

Przez chwilę nikt się nie odezwał, a potem wszyscy zaczęli mówić jednocześnie.

– Panowie – powiedział Parrs, uciszając pozostałych. – Jakie pieniądze, Waits?

– Pieniądze Franczyzy. Zbierała je.

Z ust Rossitera wydobyło się coś przypominającego powstrzymywany krzyk. Znowu odwrócił się do ściany.

– Przepraszam – odezwał się Tully. – Mówimy o pieniądzach za narkotyki?

Pokiwałem głową, nie patrząc na nikogo.

– A więc zgłosił się do pana minister sprawiedliwości, prosząc, żeby wypłacił pan jego siedemnastoletnią córkę z kłopotów. Zaobserwował pan, że ona pije, zażywa narkotyki, zbiera pieniądze za narkotyki. Że, jak pan to ujął, „odreagowuje”. I nie kiwnął pan palcem. – Odczekał chwilę, żeby to odpowiednio wybrzmiało. – Zrobił pan z tego jakąś farsę, Waits.

– Nie byłem tam po to, żeby ją z czegokolwiek wypłacić.

– Właściwie to racja – powiedział, udając entuzjazm. – Pan Rossiter prosił, by w ogóle nie zbliżał się pan do jego córki. Zgadza się? Bo z tego, co tu słyszymy, wygląda na to, że dość mocno się ze sobą zżyliście. Co w pana wypadku jest mało profesjonalne.

Spojrzałem na Rossitera.

Pomyślałem o zdjęciach.

– To ona zbliżyła się do mnie...

– Ona zbliżyła się do pana. A pan na to pozwolił.

– Wyglądałoby gorzej, gdybym ją zignorował.

– Nikt pana nie prosił, żeby ją pan ignorował.

– Nie da się zrobić jednego i drugiego. Nie można mówić, że zrobiłem źle, rozmawiając z nią, i jednocześnie że zrobiłem źle, nie namawiając jej, żeby stamtąd odeszła.

– Chodzi mi o to, Waits, że skoro i tak nawiązał pan z nią kontakt, skoro już pan widział, że bierze narkotyki, i skoro już pan widział, że zbiera pieniądze za narkotyki, to dlaczego po prostu jej pan stamtąd nie zabrał? – W czasie tej rozmowy Tully mówił coraz głośniej, ale teraz odwrócił ode mnie wzrok i dodał cicho: – Najwyraźniej potrzebowała pańskiej pomocy.

– W ten sposób do niczego nie dojdziemy – odezwał się Parrs.

Tully spojrział na Rossitera, który nadal stał odwrócony do nas tyłem. Jego plecy lekko drżały.

– Chyba ma pan rację – powiedział, wstając, żeby pocieszyć przyjaciela. Gdy dotknął ramienia Rossitera, poseł zatrząsł się, gwałtownie powstrzymując szloch. Zabrzmiało to jak agonalne rżenie, jak odgłos konania jakiegoś ogromnego zwierzęcia.

Rossiter strącił rękę Tully’ego, wyjął chusteczkę z kieszeni marynarki i wytarł oczy. Przez chwilę stał nieruchomo, a potem zaczął doprowadzać się do porządku. Obciągnął rękawy i poprawił kołnierzyk. Wyprostował się, przewyższając wszystkich obecnych o kilkanaście centymetrów, i spojrział na mnie z zaciętą miną wyrażającą bezgraniczną nienawiść.

– Coś pan przed chwilą powiedział, Waits. Że nie można oczekiwać obu rzeczy naraz. – Załamał mu się głos. – No cóż, byłem jej ojcem, więc ja mogę. Postąpił pan źle, rozmawiając z nią. I postąpił pan źle, nie namawiając jej do odejścia stamtąd. – Ruszył w stronę drzwi. Gdy gwałtownie je otworzył, agresywne odgłosy komendy policji znowu wypełniły gabinet. – Ratuje pan świat po jednej osobie? – powiedział. – Jak cholera. – Wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Tully spojrział na mnie surowo, ale zwrócił się do Parrsa.

– Panie komisarzu, mam nadzieję, że gdy spotkamy się następnym razem, pan detektyw będzie w stanie okazać nieco empatii człowiekowi pogrążonemu w żałobie. – Pozbierał swoje rzeczy. – Wie pan, Waits, gdy David przyszedł do mnie poradzić się w tej sprawie, przyjrzałem się panu. Powiedziałem, że powinien trzymać się od pana z daleka. Pańskie akta zaczynają przypominać jakąś cholerną kolekcję nekrologów. – Gdy nie odpowiedziałem, spojrział na mnie ze szczerym zdziwieniem. – Ale pana naprawdę to nie obchodzi. Prawda?

Zacząłem coś mówić.

– Niech pan się nie wysila. – Okrążył mnie, jakbym prznosił jakąś chorobę. – Będziemy w kontakcie – rzucił przez ramię i wyszedł w ślad za Rossiterem. Powietrze było ciężkie od gorąca, potu i kłótni.

Parrs i ja przez chwilę milczeliśmy.

– No tak – powiedział w końcu komisarz. – Brak wieści oznaczał tylko tyle, że pieprzone złe wieści czekają na właściwy moment. – Wypuścił powietrze, poluzował kołnierzyk koszuli i wyciągnął szyję. Byłem mu wdzięczny, gdy otworzył szufladę i wyjął z niej dwie szklaneczki oraz karafkę whisky. Nalał sobie do jednej, a ja wpatrywałem się w drugą.

– Nie patrz na szklanekę, synu – powiedział. – Ani dziś, ani jutro, ani w przyszłym tygodniu. Wszyscy czują od ciebie alkohol. Jesteś w takich tarapatach, że większych nie potrzebujesz. – Wypił do dna. – A tym bardziej nie potrzebuję ich ja.

– Tak jest, panie komisarzu.

– Co tak naprawdę tam robiłeś?

– Prosiła, żebym przyszedł.

– Już to, kurwa, mówiłeś. Dlaczego?

Przez chwilę milczałem. Zastanawiałem się, czy mogę zaryzykować i zaufać Parrsowi. Wtedy uznałem, że nie mam innego wyjścia.

– Dała do zrozumienia, że ojciec wykorzystuje ją seksualnie. – Głowa komisarza Parrsa powoli się odchyliła. Gdy znowu na mnie spojrział, mówił tak cicho, że musiałem czytać z ruchu jego warg.

– Czy powiedziała albo zrobiła coś, co mogłoby potwierdzić tę sugestię?

– Nie.

Utkwił we mnie przekrwione oczy.

– W takim razie radziłbym, żebyś nigdy więcej nie powtarzał tego na głos.

– Ale...

– Nie nuć tego nawet pod pieprzonym prysznicem.

– Ona od czegoś uciekała.

– Od siebie samej – powiedział stanowczo Parrs. Przez chwilę mierzył mnie wzrokiem, a potem otworzył szufladę i wyjął z niej teczkę. Popchnął ją w moją stronę. Otworzyłem ją. Były tam zdjęcia z miejsca zbrodni w mieszkaniu przy Fog Lane. Koncentrowały się przede wszystkim na ciele Isabelle. – Zacznij od tego z numerem siedem.

Przerzuciłem kilka zdjęć. To z numerem siedem ukazywało wewnętrzną stronę uda Isabelle. Gdy znalazłem jej zwłoki, wydawało mi się, że zauważyłem tam coś w rodzaju wysypki. Teraz zobaczyłem, że tak naprawdę były to cienkie kreski.

Dokładniej mówiąc, cienkie nacięcia, które sama sobie zrobiła.

Przejrzałem resztę zdjęć. Wszystkie nacięcia były głębokie, wryte w miękkim ciele po wewnętrznej stronie uda. Sądząc po precyzji wykonania, zrobiono je w różnym czasie i użyto do tego jakiegoś bardzo ostrego narzędzia. Pomyślałem o potłuczonych, zakrwawionych fragmentach luster, które widziałem w szufladzie.

– To karby – powiedział Parrs. Przyjrzawszy się, przyznałem mu rację. Nacięcia na ciele były pogrupowane piątkami. Więzień mógłby odliczać w ten sposób lata spędzone w celi. Większość już się zagoiła, przechodząc w pofałdowaną tkankę bliznowatą.

– Co one znaczą?

– Że była chora. Nie wiemy, co jeszcze.

Policzyłem kreski. Trzy skupiska po pięć i jedno niedokończone, z trzema nacięciami. Łącznie osiemnaście. Na ostatnim zdjęciu było zbliżenie ostatniej kreski. Ta wyglądała na świeżą, lekko krwawiła. Znałem Isabelle, nawet ją lubiłem, i byłem pewny, że te nacięcia coś znaczą.

Jednak pisała pamiętnik.

Odsunąłem teczkę z powrotem w stronę Parrsa, a on ją zamknął. Z jego punktu widzenia dowodziła, że miał rację.

– Ta dziewczyna cierpiała na chorobę psychiczną. Samookaleczanie i psychoza maniakalno-depresyjna. Nie przywiązywałbym zbyt wielkiej wagi do tego, co mówiła.

– I na tym koniec?

– Była kolejną ofiarą narkotykowej kultury naszego miasta. Jestem daleki od stwierdzenia, że „na tym koniec”. Patrząc na to z naszej perspektywy, musimy jednak wykorzystać nadarżającą się okazję.

Nie mogłem uwierzyć w to, co słyszę.

– Jaką okazję?

Uśmiechnął się.

– Córka posła umiera z rąk dilerki stwarzającego problemy.

– To nie Zain Carver dał jej tę ósemkę.

– Jak to?
– Nie chce umrzeć w więzieniu.
– To dla niego idealne miejsce.
– On tego nie zrobił.
– Skąd ta pewność?
– Nie pozwala swoim kurierkom brać. Czy w budynku były kamery?
– Z tego co nam wiadomo, nigdy nie podłączono tam systemu monitoringu. – Poczuję ulgę. Było za późno, żeby wyjaśnić mu sprawę Cath. – A jej przyjaciele? Z kim się zadawała?
– „Przyjaciele” to za dużo powiedziane. Wychowała się w luksusie, chciała przez chwilę popatrzeć, jak żyją zwyczajni ludzie. Wszyscy o tym wiedzieli.
– I?
– I z tego co zauważyłem, próbowali ją chronić.
– A co takiego zauważyłeś?
– Niewiele.
– Najwidoczniej – skwitował. – Synu, nie podobają mi się te wszystkie półprawdy. Zajeździe mi się nie podobają. Tully przyłapał cię na zaniedbaniu obowiązku opieki i na niestosownych relacjach. Lepiej żeby w tej szafce nic więcej nie pleśniało.
Pomyślałem o zdjęciach, o tym, że stałem przytulony do Isabelle w parnym, gorącym korytarzu. „Prawie dotykaliśmy się ustami”.
– To była nastolatka.
– Doskonale o tym wiem.
– Znaleźliście jej telefon?
Spojrzał na mnie.
– Jaki telefon?
– Miała komórkę. Poprzedniego dnia wieczorem, kiedy odwiozłem ją do domu, była w jej torebce.
– Jesteś pewny?
– Oczywiście.
– Jezu – powiedział, pocierając twarz. – Nie. Nie było żadnego telefonu. Znasz numer?
Pomyślałem o esemesie, który mi przysłała:

Zain wie.

– Nie – powiedziałem. – Nie podała mi go. – Mówiłem najnaturalniej, jak umiałem, ale czułem, że Parrs zagląda prosto do mojej głowy.
– Zainteresuję się tym.
– Mógłbym...
– Nie, synu.
– Potrzebuję jeszcze kilku dni, żeby to rozpracować.
– Jak miałbyś to rozpracować?
– Jestem już blisko tych ludzi...
– Zbyt blisko – powiedział. – Za kilka dni będzie pełne przesłuchanie. Do tego czasu masz

zniknąć.

Miałem złe przeczucia. Obsesja Parrsa na punkcie Franczyzy zmieniała Isabelle w cyferkę w statystykach. W coś, co mógł wykorzystać w swojej indywidualnej wojnie, bez względu na to, czy Carver ponosił odpowiedzialność, czy nie.

– Przecież pan wie, że niczego pan z nich nie wyciśnie.

– Nie rozumiesz, co się tu dzieje? Nie widziałeś, jak wygląda ulica przed komendą? – Pokazał w stronę drzwi. – Dzisiaj mamy tu najdroższe call-center w kraju. Jeśli ci się poszczęści i zdołam ukrzyżować za to Zaina Carvera, to będziesz mógł zachować stanowisko. Ale nie zaufałbym ci, nawet gdybyś miał rozmawiać ze ścianą. Bo mógłbyś ją, kurwa, wypić albo zwalić sobie na głowę. Jeśli nie uda nam się dopaść Carvera, nadkomisarz Chase zażąda ode mnie głowy kogoś innego. – Spojrzałem na niego. – Jeśli ktoś sra na prześcieradło, Aidan, trzeba je potem rozwiesić, żeby wyschło.

– Tak po prostu.

– Tak po prostu? – powtórzył. – Tak po prostu? Miałeś za zadanie przekazać trefne informacje kilku łajzom, a zamiast tego... – szukał odpowiednich słów – zabawiłeś się w pieprzonego aktora.

Milczałem.

– Wydział do spraw specjalnych ściągnął cię z ulicy, dosłownie, a potem rozmawiałeś z posłem, będąc w stanie delirki, i zjawiłeś się tutaj z podbitym okiem.

– Nie byłem w stanie delirki. Ktoś uderzył mnie w głowę, kiedy wychodziłem z Rubika.

– Oj, daj spokój.

– To prawda. Zanim człowiek Rossitera zgarnął mnie po raz pierwszy. Ocknąłem się z twarzą na chodniku.

– I bez wątpienia zalany. Synu, kiedyś wychodziło ci to lepiej.

Przez chwilę żaden z nas się nie odzywał.

– Więc co teraz zrobimy?

– „My” to znaczy kto, Aidan?

– Co?

– Powiedziałeś „my”. Jacy „my”?

– No, my – powtórzyłem, nie do końca rozumiejąc, o co mu chodzi.

Podrapał się w ucho i otworzył szufladę biurka. Gdy wyjął mały cyfrowy magnetofon, od razu pojąłem swój błąd. Chciałem wyciągnąć rękę i go powstrzymać, ale nie poruszyłem się. Parrs wybrał któreś nagranie i wcisnął *play*. Gdy się zaczęło, przed oczami przepłynęły mi jasne plamy i poczułem, jak krew pulsuje mi w uszach. Słyszałem bicie własnego serca. W głośniku rozległy się moje własne słowa.

„Policja? Fog Lane dziewiętnaście. Trzecie piętro Grove Place. Mieszkanie trzydzieści sześć. – Nie chciałem słuchać dalej. – Znaleźliśmy zwłoki. Młoda dziewczyna przedawkowała”.

Parrs zatrzymał nagranie i utkwiał we mnie spojrzeniem przekrwionych oczu.

– Co to za „my”? – spytał.

Pomyślałem o Catherine. O pytaniach, które mogliby jej zadać i o odpowiedziach, których mogłaby im udzielić.

„Spojrzała na mnie z bardzo daleka. »Jestem w ciąży«”.

Parrs wciąż się we mnie wpatrywał.

– Synu, tu chodzi o coś więcej niż instynkt samozachowawczy. O coś więcej niż dobro i zło. Zginęła młoda dziewczyna i patrzy na nas cały świat. Kto z tobą był w tym mieszkaniu?

Milczałem.

– Carver? – spytał.

– Byłem sam.

– Jeśli wtedy nie byłeś sam, to teraz już jesteś. Zawieszam cię. Chcę mieć na biurku szczegółowe raporty najpóźniej jutro rano. Chcę cię widzieć tutaj, w moim gabinecie, w najbliższy poniedziałek. I ani sekundy wcześniej. A jeśli odkryję, że kłamiesz na jakikolwiek temat, synu, nawet na temat tego, jakiego koloru miałeś wtedy skarpetki, stracisz nie tylko pracę. Przekonasz się w więzieniu, jaki z ciebie zajebisty przystojniak. To twoja ostatnia szansa, żeby mi powiedzieć, co się dzieje.

„Spojrzała na mnie z bardzo daleka”.

Popatrzyłem w jego błyszczące, przekrwione oczy.

– Nic się nie dzieje.

Szedłem bez celu przez miasto. Zawsze cierpiałem na bezsenność i kiedyś takie chodzenie mi pomagało. Teraz jednak, ilekroć podnosiłem głowę, okazywało się, że nogi niosły mnie w jakieś znajome miejsce.

Pamięć mięśni.

Widziałem neony barów, w których kiedyś piłem, i myślałem o spotykanych tam ludziach, których znałem zaledwie przed pięcioma laty, gdy jeszcze się wydawało, że mogę osiągnąć wszystko.

Mój umysł się przestawiał. Dostosowywał do śmierci Isabelle. Zachodziłem w głowę, o czym chciała ze mną porozmawiać. Myślałem o osiemnastu kreskach wyciętych na jej udzie. Było ich za dużo, by mogły oznaczać przeżyte lata. Myślałem o roztrzaskanym lustrze, o esemesie, o zaginionym telefonie. Czułem, że Parrs już obraca jej śmierć na swoją korzyść.

Na myśl o Isabelle ruszyłem w innym kierunku. Wyszedłem na ulicę, ku nadjeżdżającym samochodom. Zepchnięcie jej w głąb umysłu wysunęło Catherine na pierwszy plan. Dziecko. Okłamałem ją, skłamałem o niej, zniszczyłem dowody i postawiłem nas oboje w sytuacji bez wyjścia. Zastanawiałem się, gdzie jest, czy może czuć się jeszcze gorzej niż ja.

Przelotny deszcz zamglił ulice i kałuże lśniły w świetle jak wrota do innych wymiarów. Nogi zaprowadziły mnie do domu. Do wynajmowanego mieszkania, które było tylko elementem mojej przykrywki.

Światło w korytarzu migotało od wielu dni, było u kresu sił, i w końcu się poddało. Trudno było wspinać się po schodach w ciemności, ale mobilizowała mnie obietnica snu. Zatrzymałem się na pierwszym piętrze. Drzwi do mojego mieszkania były uchylone. Przesunąłem po nich ręką, poczułem wystające drzazgi w miejscu, gdzie sforsowano zamek.

Otworzyłem je cicho.

Światło dobiegało jedynie z ulicy, ale widziałem, że wszystko zostało przewrócone do góry nogami. W salonie wypatroszono kanapę. Roztrzaskano stolik kawowy. Nieliczne książki w miękkiej oprawie, które ze sobą przyniosłem, zrzucano z półek i podarto na kawałki.

Spojrzałem w stronę aneksu kuchennego.

Powyciągano szuflady i wymieciono zawartość szafek. Wszystko, co się w nich znajdowało – opakowania, talerze, szklanki – leżało roztrzaskane albo wybebeszone na podłodze. Ucieszyłem się, że nie było mnie wtedy w domu.

Przeszedłem w stronę sypialni, spodziewając się trochę, że kogoś tam znajdę. Materac pocięto nożem. Pokrojono go i wygrzebano zawartość. Na koniec zajrzałem do łazienki. Mimo ciemności zauważyłem, że ktoś roztrzaskał lustro. Ale najpierw napisał na nim w poprzek jaskrawoczerwoną szminką:

„NIKT NIE MOŻE SIĘ DOWIEDZIEĆ”

Stałem odwrócony plecami do ściany i zastanawiałem się, kto zostawił wiadomość na lustrze

Isabelle. I dlaczego zostawił ją także na moim. Czy ja i martwa siedemnastolatka mieliśmy jakichś wspólnych wrogów? Zain Carver tu nie pasował. Podobnie jak jego zbiry i dziewczyny. Moje myśli popłynęły w stronę Davida Rossitera i zamknąłem oczy, czując, jak targają mną różne emocje.

Skądś dolatywało chłodne powietrze. Starłem się sobie przypomnieć, czy wchodząc, zamknąłem drzwi do budynku. Wydawało mi się, że tak.

Byłem pewny, że tak.

Zanim znowu otworzyłem oczy, zdążyły przywyknąć do ciemności i zrobiłem krok do przodu. Podmuch się nasilił i słyszałem odgłosy dobiegające z ulicy. Najszybciej jak mogłem wyszedłem z łazienki i przez sypialnię dostałem się do salonu. Gdy dotarłem do drzwi, wstrzymałem oddech. Wyszedłem na korytarz i spojrzałem na wejście do budynku.

Drzwi znowu były otwarte.

Zobaczyłem sylwetkę jakiegoś człowieka stojącego u stóp schodów i patrzącego na mnie spode łba. W kuchennym nożu w jego lewej ręce odbiło się światło. Przez chwilę żaden z nas się nie poruszył, a potem rzuciliśmy się do biegu jednocześnie.

Kształt gładko wyslizgnął się za drzwi, a ja pogałem za nim po schodach. Niezdarnie wylądowałem na dole, szybko się podniosłem i wypadłem na ulicę.

Jakiś cień skręcił za róg w oddali, ruszyłem za nim. Taksówka gwałtownie odbiła w bok, próbując mnie ominąć, i ktoś pociągnął mnie za ramię z powrotem na chodnik. Mocno uderzyłem o ziemię, a potem bez tchu leżałem na plecach, wpatrując się w nocne niebo.

Jakiś kształt zasłonił mi światło latarni. Nade mną stał Grip. Spojrzał w stronę rogu, za którym zniknął tamten człowiek, i pociągnął nosem. Potem popatrzył w dół i podał mi zdrową rękę.

– Chodź – powiedział. Pomógł mi wstać i poprowadził mnie z powrotem do mieszkania. Nie odzywałem się, ale uważnie mu się przyglądałem. Zastanawiałem się, czy widzi je po raz pierwszy.

– Zaproponowałbym ci coś do picia, ale... – powiedziałem, mijając go i wchodząc do zdemolowanego pokoju. Włączyłem światło i podszedłem po chrzęszczących kawałkach szkła do kanapy. Obicie ocalało tylko na poręczy. Grip stał w drzwiach. Uświadomiłem sobie, że jeśli nie będzie chciał, żebym wyszedł, to nie wyjdę.

– Znasz jakiś sposób na usunięcie śladów butów z podłogi?

– Odrobina benzyny lakowej załatwi sprawę. – Rozejrzył się. – Chyba że wolisz połączyć ją wszystko i rzucić zapałkę.

– Niewykluczone. Co tu robisz, Grip?

– Przyjrzałeś się temu pojebowi?

– Nie – powiedziałem. Wypuścił powietrze. Odsunął się od drzwi, wetknął głowę do aneksu kuchennego i zagwizdał. Potem oparł się o ścianę i patrzył na mnie. Wydawał się bardziej pokrzywiony, niż kiedy go poznałem, a było to nie lada osiągnięcie. Już za pierwszym razem wyglądał jak zwłoki przywrócone do życia. Teraz przypominał coś, co zbudowano po ciemku z trzech albo czterech różnych ciał. Poszczególne elementy ubrania nie pasowały do siebie. Jego ręce były różnej wielkości. Nogi miał wychudzone, wręcz zabawne pod nadmiernie rozbudowanym korpusem. Nawet jedna strona jego twarzy nie pasowała do drugiej. Wyglądał na chorego, wyczerpanego, ale był jedyny w swoim rodzaju.

– A ty? – spytałem.

– Hę?

– Przyjrzałeś mu się?

Pociągnął nosem.

– Nie.

– Co tutaj robisz, Grip? – powtórzyłem.

– Mówił coś?

– Co tutaj robisz, Grip?

Spojrzał na mnie z wściekłością i zdałem sobie sprawę, że na niego krzyknąłem.

– Chce się z tobą spotkać – powiedział.

– To nie jest dobry moment.

– Stary, ten moment dla nikogo nie jest dobry.

– Wam też potłukli kubki?

Spochmurniał. Przypomniałem sobie, kim i czym jest, i przerwałem kontakt wzrokowy w sposób, który, miałem nadzieję, sugerował przeprosiny.

– Isabelle – powiedział. Jej imię dziwnie zabrzmiało w jego ustach. – Co się stało?

– Cath pewnie już ci powiedziała.

– Chcę to usłyszeć od ciebie.

– Wiem tylko, jak ją znaleźliśmy. Policja uważa, że to przedawkowanie. Trefna partia towaru albo coś takiego.

- Policja?
- Przesłuchiwali mnie cały dzień.
- Uśmiechnął się.
- Ma to sens.
- A to dlaczego?
- Jestem tu od jakiegoś czasu – powiedział. – Widziałem, jak przyszli i zajęli się mieszkaniem. Więc chyba ma to sens, skoro wiedzieli, że nieprędko wrócisz...
- Wskazałem w stronę pokoju.
- Policja tak nie robi.
- Robi, jeśli jesteś po naszej stronie. – Odwrócił wzrok. – Więc nie zapominaj, po czyjej jesteś stronie.
- Przyszedłeś tu po to, żeby mi przypomnieć?
- Przyszedłem dlatego, że on chce cię widzieć. Żadnych gier.
- Dzięki za to, co przed chwilą zrobiłeś – powiedziałem. Znowu pociągnął nosem. – Mówię poważnie, wpadłbym pod tę taksówkę. Kto za tym wszystkim stoi, Grip?
- To się zaczęło mniej więcej wtedy, kiedy się zjawiłeś.
- Nie powiedział tego serio, więc czekałem.
- Wiesz, kto za tym stoi – dodał.
- Ale dlaczego teraz?
- To jej rocznica, no nie?
- Co?
- Rocznicą Joanny Greenlaw. Zaginęła w listopadzie dziesięć lat temu.

Jechaliśmy w milczeniu. Grip przemieszczał się nadspodziewanie schludnym, podrasowanym samochodem o klasycznym wyglądzie. Ciemnym mustangiem hatchbackiem. Silnym, mocnym i kompaktowym jak jego właściciel. Nawet oprychy chcą być jak James Dean. Zauważyłem, że prowadzenie chorą ręką wymaga skupienia. Chyba był zdenerwowany i spięty.

– Grip, widziałeś tego mężczyznę w moim mieszkaniu?

Nie odpowiedział.

Dotarliśmy do Fairview, zaparkowaliśmy i ruszyliśmy ścieżką. Ze środka dobiegały podniesione głosy. Grip wystukał umówiony rytm i ucichły. Później otworzył drzwi.

Carver siedział na krześle w korytarzu. Trzymał telefon, ale tym razem nie był nim pochłonięty.

Sarah Jane wchodziła po schodach. Zatrzymała się w pół drogi i odwróciła, żeby zobaczyć, kto przyszedł. Miała podkrążone oczy. Na mój widok cicho parsknęła pozbawionym wesołości śmiechem, a potem odwróciła się i poszła dalej.

Carver podniósł głowę.

– Co się, kurwa, stało? – powiedział. Usłyszałem, jak Sarah Jane zatrzaskuje za sobą drzwi. Zabrzmiało to jak kropka na końcu jej związku z nami wszystkimi.

– Powiniennem ci zadać to samo pytanie – powiedziałem.

Zamknął oczy.

– Cath mówi, że ją znalazłeś.

– No.

– I?

– I była naga. Pachniała seksem. Miała igłę w żyłę.

– Poprzedniego dnia wieczorem odprowadziłeś ją do domu. – Spojrzał na mnie. – Sam, kurwa, widziałem.

– Kiedy od niej wychodziłem, nic jej nie dolegało. – Była to przynajmniej połowiczna prawda.

– Sarah Jane mówi, że prosiła, żebyś odstawił Izzy do jej mieszkania.

– Nie powinna się obwiniać.

– Ona obwinia ciebie. Dlaczego tam byłeś następnego dnia, kiedy zjawiała się Cath? – Podczas gdy Carver zadawał mi pytania, Grip stał i gapił się na moją głowę. Zacząłem mieć złe przeczucia co do powodu, dla którego mnie tu przywiózł.

– Izzy poprosiła, żebym przyszedł. Chciała ze mną o czymś porozmawiać.

– O czym?

– Nie wiem – powiedziałem.

– Dlaczego miałyby prosić, żebyś do niej przyszedł następnego dnia, a potem przedawkować?

– Nie jestem pewny, czy przedawkowała. Coś było nie tak z tym, co wzięła. Zsiniła jej od

tego ręka. Poza tym nie wiadomo, czy wzięła to dobrowolnie.

Przełknął ślinę i spojrzał na podłogę.

– Zsiniąła? – spytał Grip. – W takim razie to przez ciebie, stary. – Wycelował palec w stronę Carvera.

– Nie teraz, stary.

– No to kiedy?

– Po prostu nie teraz, dobra?

– To było jeszcze dziecko. Kurwa, ona w ogóle nie powinna się tu znaleźć.

– Więc ty byś ją odesłał, tak?

Grip ruszył w stronę Carvera, ale się zatrzymał.

– Pozbyłbym się tego gówna, którym się naszprycowała. – Przez chwilę patrzył na szefa z wściekłością, a potem poszedł korytarzem w stronę kuchni i zatrzasnął za sobą drzwi. Cały dom zadrżał.

– Napijesz się? – spytał Carver, wstając i wchodząc do swojego gabinetu, który znajdował się obok. Poszedłem za nim. Byłem w tym pomieszczeniu po raz drugi, ale dopiero teraz miałem okazję się rozejrzeć. Najważniejszym elementem wnętrza było biurko. Imponujące, wykonane z ciemnego mahoni, zbyt solidne, by powstało niedawno. Zastanawiałem się, czy nie należało do jego rodziców albo nawet do dalszych przodków.

Nalał dwa duże koniaki, pierwszy podał mnie, a drugi wypił jednym haustem. Nalał sobie jeszcze i usiadł na najbliższym krześle, wracając do przygarbionej pozy z korytarza. Usiadłem naprzeciwko niego i czekałem. Nie pamiętałem, że bym pił swój koniak, ale gdy spojrzałem na kieliszek, był pusty.

– Dobrze się spisałeś.

– Jak to?

– Wyprowadziłeś stamtąd Cath. Kiedy tu dotarła, była w zupełnej rozsypce.

– A teraz jak się czuje?

Spojrzał na mnie.

– Nie wiem. – Powiedział to tak, jakby nie przyszło mu do głowy spytać. – Ale przekazała mi twoją wiadomość. Żeby wyczyścić Fairview. Zaraz po niej zjawiły się gliny i oszczędziło mi to bólu głowy.

Zastanawiałem się, dlaczego go ostrzegłem. Wtedy pracowałem jeszcze pod przykrywką, ale chodziło o coś więcej. Wraz ze śmiercią Isabelle skończyłoby się moje drugie życie. Uświadomiłem sobie, że nie chcę tego.

– Co powiedziała policja?

– Przede wszystkim miała nakaz przeszukania. Zabrała parę rzeczy. Spisała nieoficjalne zeznania. – Wzruszył ramionami. – Mogło być gorzej.

– Jakież kłopoty?

– Pytali, kiedy Izzy się tu zjawiła. Co kombinowała. Co mnie z nią łączyło...

Milczałem i spojrzał na mnie.

– Nic szczególnego. Pewnego razu zjawiła się z Sarah Jane. Jakaś łązawa historia.

Z Sarah Jane? Zastanawiałem się, czy Sarah Jane to przyjaciółka przyjaciółki, czy może ma jakiś związek z życiem Isabelle Rossiter.

– Jaka łązawa historia?

– Osobisty syf – powiedział.

– Chyba nie są zadowoleni, skoro nie mogą pochwalić się w gazetach aresztowaniem. Gdyby coś na ciebie mieli, już postawiliby zarzuty. Mogą powiązać z tobą jej mieszkanie?

– Nie byłoby to łatwe – odrzekł. – W każdym razie nie na papierze.

– A rozmawiali z kimś jeszcze?

Zaprzeczył.

– Sarah Jane ma głowę na karku, ale nie w takich gównianych sprawach. Myślała, że to my jesteśmy ci dobrzy.

– A nie jesteście?

– Chyba nikt nie jest. Słuchaj, w tej sytuacji mógłbyś mi oszczędzić następnego bólu głowy.

– Mógłbym.

– Piątka za wyciągnięcie Cath z tego gówna. Dycha tytułem zaliczki za to, co nas jeszcze czeka. Dycha za to, o czym rozmawialiśmy wcześniej. – Musiałem się zastanowić, zanim przypomniałem sobie tamtą operację. Dziś miałem zastawić policyjną pułapkę. W całym tym chaosie zapomniałem spytać o to Parrsa.

– Brzmi w porządku. Ale nie mogę się zgodzić, jeśli się nie dowiem, co knujesz. Co miał na myśli Grip, kiedy mówił o gównie, którym naszprycowała się Isabelle?

Carver upił kolejny łyk.

– Wiesz, co to są loty próbne?

– Szprycowanie się – powiedziałem. – Próbkami towaru.

Pokiwał głową.

– Latem mieliśmy problem. Pierwsza dawka z torebki zawsze trafia do kogoś z wewnątrz. Mamy system rotacyjny, żeby nikt się nie przegrzał ani nie uzależnił.

– Dużo tego jest?

– Woreczek – powiedział. – Sto miligramów. Prawie, kurwa, nic. Chodzi po prostu o to, żebyśmy wiedzieli, co dostajemy. Możemy wzmocnić słabą partię albo rozrzedzić mocną.

– Loty próbne.

– No więc Grip nie zawsze wyglądał jak frankenstein. Wstrzyknął sobie ósemkę... – Czekałem. Podjął ściszym głosem, jakby Grip mógł stać z uchem przy drzwiach: – Rozchorował się. To go rozwaliło. Spieprzyło mu rękę. Przez chwilę myśleli, że ją straci, ale skończyło się na uszkodzeniu nerwów.

– Farciarz.

Rzucił mi spojrzenie.

– Przez kilka dni był w śpiączce. Obudził się inny.

– Inny?

– Kłótlivy. Porywczy.

– Chcesz powiedzieć, że...

Carver pokręcił głową.

– Wręcz przeciwnie. On stracił serce do tej gry. Wątpię, żeby mógł kogoś skrzywdzić.

– Ale spuściłeś tę ósemkę w klozecie?

Nie odpowiedział.

– Zain...

– Chciałem się dowiedzieć, co poszło nie tak. Chciałem się dowiedzieć, czy sprawę spieprzył kucharz, czy może ktoś to czymś zaprawił.

– Kto jest kucharzem?

– A co cię to obchodzi?

– Jego produkt skończył w żyłach siedemnastolatki.

Zignorował mnie.

– Wycofałem to, żebyśmy mogli się dowiedzieć, co poszło nie tak.

– No i?

Znowu opróżnił kieliszek i zrobił sobie dolewkę.

– Więc kiedy dzisiaj zacząłem tego szukać, okazało się, że zniknęło.

– Zniknęło? A gdzie było?

Przez chwilę się nie ruszał. Potem wskazał głową w stronę swojego biurka. Zrobiło mi się niedobrze. Poczułem, jak ziemia osuwa mi się spod nóg. Próbowałem coś powiedzieć.

– Ja...

– Co?

– ... w przeddzień śmierci Isabelle zostawiłem ją w tym pokoju – powiedziałem. – Na pięć minut, żeby porozmawiać z Sarah Jane. Myślałem, że odwiozłem ją do domu, nie wiedziałem, że mieszka za rogiem...

– O kurwa. – Myślał przez chwilę. Zmarszczył brwi. – Znaleźli to?

– Co?

– Cegłę – powiedział. – Znaleźli ją w mieszkaniu?

– Nie. – Dotarł do mnie sens jego słów. – Czyli ten towar nadal gdzieś jest. Musiała go sprzedać albo komuś przekazać. – Obaj już staliśmy. – Trzeba się tego dowiedzieć. Jeszcze dziś wieczorem, natychmiast.

– Chodź – powiedział, zgarniając z biurka kluczyki.

Jechaliśmy od piętnastu minut. Nie rozmawialiśmy o tym, co może się stać, jeśli skażona ósemka trafi na rynek. Wcześniej czekałem w salonie, aż Carver odbędzie krótką, ostrą rozmowę z Gripem i Sarah Jane. Wróciwszy, popatrzył na mnie.

– A jeśli chodzi o tę zaliczkę... – powiedział. – Jesteśmy umówieni?

Pokiwałem głową.

– Od razu możesz zacząć na nią zarabiać.

Pomknęliśmy w stronę miasta. Miałem wrażenie, że Carver przygląda się miejscom ze swojej przeszłości. Tym, w których w czasach rozwoju jego imperium przyjaciele, kochankowie i rywale ładowali ósemkę. Wycofał się z ulicy tak dawno temu, że ci ludzie i miejsca, które pamiętał, już zniknęli.

– Przychodzi mi do głowy tylko jedna osoba, która na pewno wiedziałaby o krążącej po mieście podejrzaney partii towaru.

Carver rzucił mi przelotne spojrzenie.

– Wirus? Mówisz o Wirusie?

– A czemu nie?

– Chyba, kurwa, żartujesz.

Odpuszciliśmy, dałem mu chwilę.

– No więc dokąd jedziemy? – Zachowywał się, jakby mnie nie słyszał. – Zain...

– Do czarno-białego miasteczka – powiedział.

– Na Burnside?

Mruknął coś i dalej jechaliśmy w milczeniu. Miałem nadzieję, że pomyliłem się w sprawie smug farby w Fairview. W miarę jak oddalaliśmy się od centrum, ulice wydawały się coraz ciemniejsze, brzydsze, na chodnikach nie było ludzi. Nie było roześmianych dziewczyn ani chłopaków szukających szczęścia. Wzdłuż ulicy stały stare punkty przyjmowania zakładów albo zamknięte, zabite deskami puby. Wyjechaliśmy z miasta, kierując się wzdłuż rzeki Irwell na północ, w stronę tej paskudnej dzielnicy przemysłowej.

Miasto spisało Burnside na straty i policja trzymała się od niego z daleka. Najbardziej wymowne było to, że Franczyza też. Jadąc, uważnie się przyglądałem. Światło reflektorów przesuwano się po budynkach i ulicach, a znaki drogowe nie miały sensu. Były zerwane, przekręcone albo zamalowane. Wezwane radiowozy zabłądziłyby w labiryncie i w końcu utknęły w ślepych uliczkach, gdzie mogłyby zostać ostrzelane albo jeszcze gorzej. Wydawało mi się, że zauważyłem stare smugi czarnej i białej farby, ale tylko kątem oka. Były tam i w następnej chwili zniknęły.

– Co za popieprzone miejsce – powiedział Carver.

– Znasz tu kogoś?

– Wolałbym nie znać.

Spojrzałem na niego.

– Kiedyś pracowała dla mnie taka dziewczyna – powiedział, nie odrywając oczu od drogi. – Addie. Zbierała tu forszę. W gazetach piszą, że przemysł przeniósł się za granicę i wydarł serce takim miejscom jak to. Ale tak naprawdę od początku nie było tu żadnego serca. Z reguły zawsze jeździł z nią Grip. Nikt nie zapuszczał się tu sam. Siderzy nie byli już tacy jak kiedyś, ale nie powiedzieli jeszcze ostatniego słowa. A ćpuny złapałyby taką dziewczynę, jak tylko by ją zobaczyły. W każdym razie nie wiedziałem o tym, ale Addie brała. Myślała, że nad tym panuje, że robi to tylko w klubach, ale w końcu zawsze zaczyna się to przenosić na własne podwórko. Podbierała forszę z utargu. Musiałem po prostu przeprowadzić z nią rozmowę i na tym by się skończyło. Tylko że za długo zwlekałem. Pewnego wieczoru ją przypiliło i sama przyjechała tu po forszę.

– Jaka była?

– Pewna siebie, zabawna. Jedyna w swoim rodzaju. Jakiś człowiek śmiechu ją przytrzymał, a drugi wbił jej strzykawkę przez ucho. Wstrzyknął jej ósemkę w mózg, żeby zobaczyć, co się stanie.

Spojrzałem przez okno.

– Nigdy ci się to nie nudzi?

Nie odpowiedział, ale ciąg dalszy już znałem. Gdy Franczyza Carvera wycofała się z Burnside, na rynku powstała luka dla tanich, podłych dilerów takich jak Siderzy, którzy sprzedawali najgorszy towar, jaki można sobie wyobrazić.

Smołę.

Wypalała ludzi od środka. Sutty mówił, że widział nawet ćpunów drążących jaskinie we własnym cieple. Otwierali sobie jedną żyłę w ręce i nie dopuszczali do tego, żeby rana się zagoiła. Skóra wokół wypiętrzała się jak rozdziawione, wydęte usta. Wtedy myślałem, że przesadza, ale gdy teraz tędy jechaliśmy, nie byłem już taki pewny.

Mijaliśmy obszary posępnej, betonowej szarości upstrzonej czarnymi i białymi ciapkami. Były teraz zniszczone i opustoszałe, ale agresywna brzydota tego miasta mogła być wyłącznie celowa. Była elementem projektu z czasów, gdy działał tu jeszcze przemysł. Wiadomością dla pracowników, że są tu po to, żeby pracować, i po nic innego.

– Zrównałbym to z ziemią – powiedział Carver. – Do ostatniej pieprzonej cegły.

Zatrzymaliśmy się obok wielkiego opuszczonego magazynu. Nie wiem, czy Carver znał ten budynek, czy po prostu wybrał najbrzydsze miejsce, jakie zdołał znaleźć. Przyglądając się, zauważyłem, że ściany są gdzieś tam pomazane wyblakłą, popękaną czarną i białą farbą.

Sutty miał rację.

To, czy Burnsiderzy nadal działali, było kwestią dyskusyjną, ale ich znak najwyraźniej wyszedł z użytku. Nasuwało się zatem pytanie, kto go zostawia przed domem Carvera. Carver zgasił silnik i rozprostował dłonie na kierownicy. Wysiedliśmy i ruszyliśmy w stronę magazynu. Jego samochód wyglądał w takim otoczeniu niedorzecznie, jak jakieś rzadkie zwierzę przeniesione z egzotycznego miejsca do ponurej, bezbarwnej klatki.

Gdy szliśmy, słyszałem coś, co brzmiało jak dalekie wycie zwierząt. Przystanąłem na chwilę, uświadomiwszy sobie, że to dźwięki wydawane przez ludzi. Magazyn zbudowano z arkuszy cienkiej blachy. Tam gdzie odpadły albo zostały zerwane, w ścianach były dziury. Widzieliśmy przez nie blask płomieni w prowizorycznych kominkach, wokół których siedzieli narkomani, próbując się ogrzać. Odnosiło się wrażenie, że jest tu zimniej niż w mieście. Listopad rozgościł

się tu na dobre.

W drzwiach siedziała bezzębna, pijana kobieta ze swoim chłopakiem. Płakała, wydając z siebie gardłowe, pełne rozpaczy dźwięki, a on się z niej śmiał. Carver wszedł do budynku, przechodząc między nimi, a ja ruszyłem jego śladem.

Magazyn był więcej niż olbrzymi, trudno było sobie wyobrazić, że zanim go opuszczono, w ogóle był czymś wypełniony. Krótki korytarz poprowadził nas obok czegoś, co kiedyś musiało być recepcją, w stronę kolosalnej głównej hali.

Rozświetlały ją tylko ogniska palone w trzech różnych miejscach. Każde z nich rzucało światło na cztery albo pięć wyniszczonych, potwornie chudych osób. Leżały albo intensywnie wpatrywały się w płomienie, ale gdy weszliśmy, żadna z nich nie spojrzała w naszą stronę. Carver podszedł do najbliższej grupki, a ja ruszyłem za nim. Pochylił się nad mężczyzną, który nieprzytomny leżał przy ognisku, i odwrócił go na plecy. Człowiek śmiechu. Miał bliznę po obu stronach ust. Carver uniósł jego rękę do światła, szukając jakiegoś znaku, który mógłby świadczyć o tym, że dotarła tu zaginiona partia towaru.

– Ej – powiedział mężczyzna. Była to jedyna forma protestu, na jaką udało mu się zdobyć. Patrzył beznamiętnie, jak Carver wyjmuje mu z ręki pakiecik z folii aluminiowej. Zain otworzył go, zajrzał do środka i z obrzydzeniem rzucił na podłogę.

Przerastało go to. Przerastało nas obu. Powtórzył tę procedurę przy drugim ognisku, znajdując jedynie smołę i kiepskich rozmówców. Gdy już sprawdzał przy trzecim, nagle usłyszeliśmy jakieś poruszenie obok drzwi. Ktoś coś mówił do bezzębnej kobiety, którą minęliśmy przy wejściu.

– Nareszcie – powiedział Carver.

Przerwał rewidowanie ćpunów i szybkim krokiem poszedł w stronę drzwi, złaźniony konfrontacji. Zjawiły się trzy postacie. Mężczyzna z przodu był łysy i krępy. Był biały, ale nawet w słabym świetle widać było, że jego skórę pokrywa gruba warstwa starego brudu. Miał złote zęby i tatuaże na twarzy. Jakieś trzy metry za nim stali dwaj młodszy mężczyźni. Byli od niego więksi, lecz raczej za sprawą tłuszczu niż mięśni. Obaj mieli zmęczone, ponure twarze. Trzymali się na dystans, ale łysy do nas podszedł.

– Zain Carver – powiedział. – Czemu zawdzięczamy ten zaszczyt?

– Znam cię?

Mężczyzna się roześmiał. Brzmiał jak dziurawy akordeon.

– Nie, stary – powiedział. – Założę się, że nie znasz. Traktuj mnie jak nocnego stróża.

– Jak tylko wyjdę tymi drzwiami, stary, chyba nigdy więcej o tobie nie pomyślę.

– No to muszę jak najlepiej wykorzystać tę okazję. Co cię tu sprowadza?

– Od tygodni staracie się zwrócić na siebie moją uwagę – powiedział Carver.

– Staramy się?

– Czarna i biała farba w Fairview.

– No i?

– No i minęło dziesięć lat od zaginięcia Joanny.

Łysy się uśmiechnął.

– Ach, więc chodzi o sprawy sercowe...

– Do tych mam, kurwa, najmniejszy sentyment. Przyjechałem zadać ci jedno pytanie, a potem wszyscy możemy wracać do domu.

– Więc nadal możesz wrócić do domu?

– Co masz na myśli?

– Słyszeliśmy, że stałeś się sławny. Jak jakiś pieprzony Michael Jackson w Nibylandii. Policja i dziennikarze biwakują przed twoimi drzwiami. Tak słyszeliśmy, nie, Billy?

– Sławny – potwierdził Billy, większy z tamtych dwóch. – Piszą o nim w gazetach.

– Piszą o tobie w gazetach – powtórzył łyśy.

– Nie wierz we wszystko, co słyszysz.

– Jasna sprawa – powiedział mężczyzna. Ilekroć kończył zdanie, odliczał je na palcach, jakby ich pula była ograniczona i nie chciał stracić rachuby. – Jak Sheldon się dowie, na pewno w to nie uwierzy.

Carver zrobił krok do przodu i spojrzał na niego.

– A to czemu?

– Nie dzwonisz. Nie piszesz... – Mężczyzna oblizał wargi. – Odkąd przyprawiliśmy tę twoją dziewczynę o ból ucha.

Carver jednym ruchem chwycił mężczyznę za ramiona i rąbnął go głową. Usłyszałem głośny, mokry trzask i zobaczyłem, jak w powietrzu eksploduje krew, która na chwilę zawisła w nim jak mgła. Głowa mężczyzny odskoczyła tak szybko, że myślałem, że Carver złamał mu kark. Gdy ich dopadłem, już go dusił.

– Zain – powiedziałem. Spojrzałem na Burnsiderów, którzy stali za łyśym. Żaden z nich się nie poruszył. Billy, ten większy, nawet nie patrzył. Drugi bez słowa gapił się na Carvera duszącego jego szefa. Wydawał się znudzony. Carver tak mocno wbijał kciuki w szyję faceta, że aż pobielaly.

– Zain – powiedziałem. – Przestań.

Jeszcze przez kilka sekund trzymał go w żelaznym uścisku, a potem rzucił go na podłogę. Mężczyzna wydał z siebie okrzyk bólu, z trudem chwytając powietrze. Miał skasowany nos i twarz zalaną krwią.

– Wychodzimy – powiedział Carver, wycierając ręce w spodnie. Wstał i podszedł do młodych Siderów. Stanął przed Billym, tak że prawie zetknęli się nosami. – Słyszałeś o tej dziewczynie? O Isabelle Rossiter? – Billy pokiwał głową. – Towar, który ją zabił, nadal gdzieś krąży...

– Tutaj krąży tylko to, co pochodzi od nas – powiedział Billy.

Carver mruknął i wyszedł tą samą drogą, którą przyszliśmy.

– Pozdrów od nas Sheldona – zawołał przez ramię.

Nie mogłem się zmusić, żeby spojrzeć na gościa na podłodze, ale słyszałem, jak z trudem chwyta powietrze, wdychając i wydychając przy tym odłamki kości. Dwaj Siderzy powoli ulotnili się z magazynu. Po raz drugi w ciągu dwóch dni zadzwoniłem pod 999 i wezwałem karetkę. Podałem adres, przewróciłem faceta na bok i poszedłem za Carverem.

– Tylko po to tu przyjechaliśmy? Żeby coś, kurwa, udowodnić?

– Że co?

– Myślałem, że szukamy ósemki.

– Szukamy – powiedział, wycierając krew z czoła i wsiadając do samochodu. – Jakieś błyskotliwe pomysły?

Wsiadłem od strony pasażera.

– Tylko jeden. Postaraj się, żeby więcej ci nie odpiędało. Nie zostawiaj złamanych nosów w miejscach, w których byliśmy. – Włączył silnik i wcisnął gaz.

– To się nazywa podaż i popyt. Ktoś o coś prosi i ktoś to dostaje. – Patrzyłem na jego dłonie ściskające kierownicę. Spojrzałem na zegarek. Odkąd wyruszyliśmy w drogę, minęła ponad godzina, i wyjeżdżaliśmy z Burnside z pustymi rękami.

Próbowałem się skupić.

– Gdyby Siderzy mieli cokolwiek wspólnego z zaginioną ósemką, na pewno nie sprzedaliby jej na własnym terenie.

Zastanowił się nad tym.

– Sprzedaliby ją na moim. – Pochylił się i wystukał w komórkę jakiś numer.

W głośniku odezwał się głos Gripa.

– Dobre wieści?

– Nie na Burnside – powiedział Carver. – Sprawdź wszystkie bary, zaczynając od Rubika. Jeśli chcą nas wrobić, sprzedają to w mieście, a nie tutaj.

– Nikt nic nie wie. Albo nikt o tym nie rozmawia. Mamy za to inny problem.

– Co?

– Jestem na głośnomówiącym?

Carver wyjął telefon z uchwytu i przycisnął go do ucha.

– Zniknął? – powiedział. Zakładałem, że rozmawiają o menedżerze baru w Rubiku. O narkotykach, które spuściłem w klozecie. Prawdopodobnie uciekł, żeby ocalić życie. Musiałem porozmawiać z nim o tym, co go łączyło z Isabelle, i zastanawiałem się, jak to zrobić.

– Zawiadam wszystkich – mówił cicho Carver. – Wszędzie. Wyznacz nagrodę pieniężną. Znajdź to. – Rozłączył się i przez kilka minut jechaliśmy w milczeniu.

Wziąłem oddech.

– Wirus. – Tym razem Carver nic nie powiedział, więc ciągnąłem dalej. – Towar codziennie dzieli się i sprzedaje. Na czarnym rynku robi się na ósemce świetne interesy.

Nadal milczał.

– Gdyby ktoś próbował opchnąć cegłę, on na pewno by o tym słyszał.

– To pieprzony psychol.

– Co mamy do stracenia?

Carver spojrzał na mnie.

– Moją cierpliwość. – Jechał przez chwilę. – Grip może z tobą pojechać.

– Pan Rozsądny? Jego w to nie mieszaj.

– Chcesz gadać z Wirusem sam? Bracie, widocznie masz w sobie coś, czego nie zauważyłem.

– Skręć tutaj w lewo – powiedziałem. – Tak, znamy się od dawna.

Więcej się nie odezwał. Nie wiedziałem, czy jest zniesmaczony, czy pod wrażeniem.

Wirus był w tym mieście żywą legendą. W swoim czasie bohatercko brał heroinę, doskonaląc styl znany jako kanibalizacja. Był tandeciarzem tej sceny, zbierał towar, jakim nie chciałyby się szprycować nawet hardcorowe ćpuny, i znajdował dla niego nabywców. Używanie cudzej igły uważał za rodzaj haju i mieszał ze sobą męty z różnych strzykawek, zmieniając je w koktajl.

Swoją ksywkę zdobył jednak dopiero kilka lat później, kiedy wytrzeźwiał. Wstrzykiwanie zawsze miało dla niego zabarwienie erotyczne i odkąd przestał to robić, spędzał z ćpunami jeszcze więcej czasu. Zwłaszcza z młodymi.

Nazywali go Wirusem, bo kręcił się koło grupki dzieciaków i ślinił, patrząc, jak się szprycują. Potem, gdy już były na haju, pochylał się i delikatnie całował je po rękach, zmierzając w stronę żyły, w którą się wkłuży. Następnie wysysał ranę, wydając z siebie niskie, pełne zadowolenia pomruki. Największym fizycznym zagrożeniem z jego strony były zarazki. Chełpił się tym, że ma we krwi cały alfabet zapalenia wątroby.

Stał się kultową postacią gejowskiej sceny, wykonując w nielegalnych saunach i seksklubach transseksualny akt BDSM pod pseudonimem Długonogi Tatko. Tworzył egzystencjalną pornografię studyjną. Pisał tanie, ale poczytne książeczki z poezją, a jego obrazy kupowano za setki funtów za sztukę.

Był słynną postacią w subkulturze znanej jako łowcy wirusa. Ci młodzi mężczyźni uważali HIV za symbol statusu i zabiegali o niego z samobójczym wigorem, który był smutny i zarazem fascynujący. Uprawiał seks bez zabezpieczenia z ludźmi, którzy zainfekowanie przez niego uważali za dar. Pogłoski na jego temat były oburzające, paskudne i – czasami – prawdziwe. Był wygadany, nosił ubrania szyte na miarę i upajał się sprzecznościami swojej osobowości.

Mieszkał w dawnym kościele obok Alexandra Park. Carver zatrzymał się po drugiej stronie ulicy, nie patrząc na ten budynek.

– Jeśli nie wrócę za dziesięć minut...

– To lepiej w ogóle nie wracaj – powiedział.

Wysiadłem z samochodu i przeszedłem przez ulicę. Minęła już północ i po tych dziesięciu bezstresowych sekundach, w czasie których oddychałem zimnym powietrzem, zakręciło mi się w głowie. Dotarłem do drzwi i zadzwoniłem domofonem. Budynek został wyremontowany i unowocześniony. To był zupełnie inny świat niż Burnside i cieszyłem się z tego.

– Taaaak? – zabrzączał znudzony, mechaniczny głos.

– Waits.

Na kilka sekund zapadła cisza.

– Wejź, przystojniaku.

Wnętrze urządzone w stonowanych pastelowych kolorach zadających kłam potwornej reputacji Wirusa. Salon był olbrzymi i przestronny, ciężar sufitu podtrzymywały olśniewające, solidne belki. Przy fortepianie siedział nastolatek nagi od pasa w górę i grał sonatę. Jakiś mniej pompatyczny utwór Beethovena, jak zgadywałem.

Na łóżku na środku leżała młoda para w majtkach, całując się i powoli wwiercając w siebie nawzajem. Początkowo myślałem, że to chłopcy, ale zobaczyłem, że dziewczyna ma po prostu krótkie włosy, kanciastą androgyniczną twarz i płaską klatkę piersiową. Łóżko było niskie, w japońskim stylu, a nad nim paliło się jaskrawe światło. Gdy wszedłem, żadne z nich nie spojrzało w moją stronę.

Na kanapie naprzeciwko łóżka siedział wymizerowany mężczyzna żłopiący czerwone wino z kieliszka. Wyglądał jak szokująca parodia kobiecości. Miał olbrzymią różową perukę, ciasny gorset i minispódniczkę. Całości dopełniały gruba, lśniąca warstwa makijażu, połyskliwe rajstopy i czerwone szpilki.

– Detektyw Waits – powiedział, nie odrywając wzroku od całującej się pary. – Proszę wybaczyć, że nie wstanę na powitanie.

– Muszę porozmawiać z Wirusem. – Oparłem się o ścianę, czując pod ubraniem zimny pot.

– Nie ma go – powiedział mężczyzna. – Tego małego paskudnego zasańca. Wyszedłeś z szafy?

– Obawiam się, że nie.

– Nie dla facetów Aidan Waits – powiedział, patrząc na mnie po raz pierwszy. – Powinieneś spróbować. Mówią, że to bardzo wyzwalające...

– Wiem, że tak mówią. I w pełni to popieram. Poza tym wiem, że on tu jest, więc zawołaj go, skarbie.

Mężczyzna uśmiechnął się, usilnie udając zawstydzenie.

– A co będę z tego miał?

Zepchnąłem ze stojaka drogo wyglądający wazon. Roztrzaskał się na podłodze i fortepian zamilkł. Para nastolatków spojrzała na mnie z łóżka, nadal się obejmując.

– Muszę porozmawiać z Wirusem – powtórzyłem.

– Potrzebujesz kataryniarza – powiedział mężczyzna. – W porządku, pójdę po niego, ale

ostatnio jest taki poważny, że nie wiem, czy będzie miał ochotę zakręcić twoją korbką. – Po tych słowach wstał, puścił do mnie oko i wyszedł z pokoju, głaszcząc po drodze chłopaka przy fortepianie. Dzieciaki na łóżku wpatrywały się we mnie tępo i przez kilka minut czekaliśmy w milczeniu.

Gdy mężczyzna wrócił, nie miał już peruki, na gorset narzucił bezkształtny sweter i starł część makijażu. Jego twarz przypominała stłuczone kolano.

Był teraz boso. Siadając, spojrział na mnie i mruknął.

– Dick – powiedział do chłopaka przy fortepianie. – Dom – dodał, zwracając się do tego na łóżku. – Zostawcie nas na chwilę. – Podnieśli się ospale. Chłopak na łóżku ze dwa razy pociągnął swoją dziewczynę za rękę, ale ona leżała nieprzytomna. Wzruszył ramionami i zostawił ją leżącą z twarzą do poduszki, po czym poszedł za przyjacielem w głąb mieszkania.

– Nie ma pośpiechu – powiedziałem.

– Wybacz, że zwlekałem, ale nigdy nie przynosisz dobrych wieści.

– Gdyby to zależało ode mnie, w ogóle bym tu nie przychodził.

– W takim razie to zabawne, że tak często się widzimy.

– Potrzebuję pewnych informacji.

– Jak zwykle.

– O narkotykach.

– Nu-da – powiedział Wirus, wstając.

– Siadaj. Niedawno Zainowi Carverowi podprowadzono pół kilo ósemki. Muszę się dowiedzieć, gdzie ona jest.

Pochylił się, zafascynowany.

– Dlaczego nie przysłała tu policja? – Milczałem. – To prawda? Faktycznie przeszedłeś na ciemną stronę. Do samego końca.

– Słyszałeś coś?

– Słyszałem, że kradniesz dowody. Słyszałem, że jadasz amfę na śniadanie, obiad i podwieczorek. Słyszałem nawet, że idąc po podjeździe, grzechoczesz jak paczka tic taców. – Milczałem. – Słyszałem też, że ta popieprzona Isabelle Rossiter wpakowała w siebie trochę złej ósemki – powiedział z uśmiechem. – Z pewnością jedno nie ma nic wspólnego z drugim, prawda?

– Nie ma.

– Szkoda – powiedział do siebie. – Byłoby po prostu wspaniale...

Czekałem.

– Przestałeś być zabawny. Pamiętasz, jak się poznaliśmy? – Wirus dorastał w domu dziecka The Oaks, tak jak ja. Był wtedy wrażliwcem dziesięć lat starszym ode mnie i właśnie zaczynał sobie uświadamiać, że jest gejem. Pożyczał mi książki i płyty, nie oczekując niczego w zamian. Myślałem, że próbuje mnie przekonać, że poza domem dziecka istnieje jakieś życie, jakaś nadzieja. Teraz rozumiem, że prawdopodobnie próbował o tym przekonać samego siebie.

Uśmiechnął się.

– Mówiłem coś szokującego, a ty odpowiadałeś mi jakimś zgrabnym powiedzonkiem. Zabawnym i okrutnym. Już przestałeś tak robić, prawda? Skończyły ci się zabawne teksty. – Upił łyk wina. – Bardzo się na tobie zawiodłem.

– Jeśli cię zawiodłem, to znaczy że robię coś dobrego.

Wirus rzucił kieliszek z winem przez ramię, roześmiał się i klasnął.

– Od razu lepiej. Coś dajesz, coś dostajesz. Znam takiego jednego dzieciaka – powiedział, rzucając mi szczere spojrzenie. – Ma osiemnaście lat, przysięgam, panie władzo. No i dziś rano bardzo mu się poszczęściło. Nie tylko widział się z twoim uniżonym sługą, ale gdy potem leciał na Burnside, natknął się na kogoś, kto próbował opchnąć pół kilo ósemki. Kupił je za pół ceny.

– Nazwisko?

– Och, Slimmer, Swimmer czy jakoś tak. Wiesz, że dziś nikt nie pyta o nazwiska. Ale pochodzi z bardzo dobrej rodziny. Mieszka przy Sycamore Way.

– W West Dids?

Wirus pokiwał głową.

– Mamusia i tatuś wyjechali na weekend, więc Długonogi Tatko wpadnie zabawić żołnierzy.

– Miał na myśli siebie.

– Numer domu? – Wirus nie odpowiedział. Ruszyłem w stronę następnego wazonu.

– Trzydzieści jeden.

– Zostań dzisiaj u siebie. Wyświadczam ci przysługę.

– Wolałbym nie być twoim dłużnikiem.

Skinąłem w stronę nieprzytomnej dziewczyny na łóżku.

– Wezwij dla niej taksówkę i będziemy kwita.

Gdy dotarliśmy do celu, było już po pierwszej. Wzdłuż Sycamore Way rosły olbrzymie stare drzewa. Kiedy byłem młody, inne dzieciaki ze szkoły pielgrzymowały tu parami, żeby ryc w korze swoje imiona w miłosnych serduszkach.

Ja znałem to miejsce tylko z opowiadań.

Zanim przyjechaliśmy, listopad zdążył już rozebrać drzewa z liści i w zimowym mroku gałęzie wyglądały jak ogromne ręce kościotrupa wyciągnięte ku niebu.

Ulica była szeroka i imponująca, natychmiast budziła skojarzenia z bogactwem i sukcesem. Po obu stronach stały odrestaurowane wiktoriańskie rezydencje.

Gdy powiedziałem Carverowi, dokąd jedziemy, przez chwilę wpatrywał się w ulicę. Chyba już wiedział, że zbliża się jego koniec. Wylanie się zaprawionej ósemki na Burnside było czymś zupełnie innym niż jej dotarcie do zamieszkaną przez klasę wyższą, nieskazitelnej Sycamore Way. Jechał w milczeniu, aż w końcu zatrzymaliśmy się przed ogromną posiadłością.

– Trzydzieści jeden – powiedział.

Nie widzieliśmy numeru na bramie, ale obaj liczyliśmy od początku. Dom stał na końcu bocznej uliczki, schowany za rzędem drzew, jednak dach był dobrze widoczny.

– No tak – powiedziałem. – Chyba powinieneś tu zaczekać.

Spojrzał na mnie.

Obaj wysiedliśmy z samochodu i ruszyliśmy w stronę posiadłości. Podjazd kończył się imponującą automatyczną czarno-złotą bramą. Była uchylona albo z powodu usterki, albo z powodu czyjś błąd, przez co zakłócała idealną symetrię tego miejsca.

Przeszliśmy przez nią i ruszyliśmy po podjeździe. Wzdłuż trawnika stały zaparkowane samochody, żaden z nich tu nie pasował. Były to małe hatchbacki, prawdopodobnie pierwsze samochody należące do nastolatków. Z głośników w domu dobiegał stłumiony, uporczywy rytm.

Carver wskazał głową w stronę rezydencji.

W oświetlonym oknie było widać młodą dziewczynę. Stała w kuchni przy zlewku. Gdy podeszliśmy, jej twarz rozciągnęła się w idealnie białym uśmiechu. Obaj się zatrzymaliśmy, ale po chwili zdaliśmy sobie sprawę, że ona nas nie widzi. Uśmiechała się do swojego odbicia w oknie. Miała obcisłą, błyszczącą białą koszulkę, opalone ciało i popielate włosy. Emanowała zdrowiem i dobrym samopoczuciem.

Carver ruszył ścieżką w stronę drzwi. W środku monotonny rytm z głośników rozbrzmiewał głośniejsz. Był gęsty i ciężki.

Drzwi prowadziły do olbrzymiego korytarza. Był tam stolik usiany gazetkami reklamowymi, rachunkami, a obok stojak na płaszcze obwieszony sztucznie postarzonymi kurtkami dzinsowymi. Skręciłem za Carverem w prawo, w stronę kuchni, w której widzieliśmy dziewczynę.

Zatrzymał się.

Stał w drzwiach i nie widziałem, co jest za nimi. Gdy podeszedłem, muzyka zadudniła

głośniej.

Dziewczyna stała w olbrzymiej kałuży krwi. Z wysiłkiem przeniosłem wzrok na jej twarz. Nadal uśmiechała się do swojego odbicia, jakby nas tam nie było. Wyglądało to tak, jakby niosła tacę ze szklankami i ją upuściła. Od jakiegoś czasu chodziła tam i z powrotem po odłamkach szkła na zakrwawionych białych płytkach na podłodze, nie czując bólu.

Dziewczyna odwróciła się do nas, rozdeptując bosymi stopami kolejne kawałki szkła i powtarzając idealnie biały uśmiech, który widzieliśmy przez okno. Pokazała nam rękę, w którą się wkłuła. Ręka bezwładnie zwisała z boku, niebieskie żyły odznaczały się na niej jak autostrady na mapie.

Przecisnąłem się obok Carvera, przeszedłem po szkłe i przytrzymałem ją. Spojrzała mi w oczy i lekko skinęła głową, nadal się uśmiechając, jakby nad tym nie panowała. Podniosłem ją, podszedłem do kanapy w głębi kuchni i posadziłem ją na niej.

Odwróciwszy się, żeby spojrzeć na Carvera, zauważyłem, że kierując się rytmem muzyki, podszedł do zamkniętych drzwi. Odkąd weszliśmy do kuchni, dźwięki wydawały się mocniejsze, ale gdy otworzył drzwi, głośno przecięły powietrze.

Wszedł do środka i nie wyszedł stamtąd. Spojrzałem na dziewczynę, a ona utkwiała oczy w moich. Nadal się uśmiechała, ale jej usta zaczęły się wykrzywiać w inny grymas.

– Wszystko w porządku – powiedziałem zduszonym głosem. Obok kanapy umieszczono lampkę do czytania, która oświetlała dziewczynę bardziej, niżbym chciał. Z bliska widziałem, że lewa strona jej ciała przybierała blady, niemal pastelowy odcień błękitu. Jej stopy lśniły od krwi i zatopionych w nich odłamków potłuczonego szkła.

Wyszedłem z pomieszczenia i skierowałem się ku drzwiom, za którymi zniknął Carver. Zawołałem go po imieniu, ale nie odpowiedział. Rytm rozbrzmiewał głośniej i agresywniej. Uderzył mnie zapach wymiocin. Pokój wyglądał jak zakład dla obłąkanych, pełen bólu i lśniących od potu, splątanych nagich kończyn. Naliczyłem pięć dziewczyn i trzech chłopaków. Sama młodzież. Niektórzy leżeli twarzą we własnych rzygach, inni mieli wykrzywione niebieskie twarze. Jeszcze inni spokojnie spali.

Wszyscy to sobie wstrzyknęli.

Carver stał pośrodku. Był odwrócony do mnie plecami, miał nisko spuszczoną głowę. Wyprostował się i ruszył naprzód. Myślałem, że chce się przyjrzeć jednej z dziewczyn drgającej na podłodze. On jednak ominął ją i podszedł do sprzętu muzycznego. Przez chwilę na niego patrzył, a potem go wyłączył.

Gdy ucichła muzyka, dały się słyszeć ciche jęki. Nie wiedziałem, co robić. Carver odwrócił się, wyjął telefon z kieszeni i zaczął wybierać numer.

– Do kogo dzwonisz?

Milczał.

– Odłóż to – powiedziałem, ruszając w jego stronę. Wyciągnął rękę, chwycił mnie za kark i przytrzymał na odległość ramienia. Nie patrzył na mnie, czekając, aż ktoś odbierze.

– Dzwonię na policję – powiedział. – Po karetkę i na policję.

Carver szybko się rozłączył i wyszedł. Słyszałem rżenie i jęki odurzonych dzieciaków. Niektóre skuliły się w pozycji embrionalnej. Jeden leżał na plecach z kolanami podciągniętymi tak jak Isabelle. Niedługo wszystkie zaczęły przyjmować tę pozycję, a ich twarze robiły się coraz bardziej błękitne.

Dziewczyna najbliżej mnie wymiotowała krwią. Przekręciłem ją na bok, żeby się nie udławiła, i poszedłem z powrotem do kuchni. Zamknąłem za sobą drzwi. Ciągnąłem je, dopóki nie usłyszałem szczęknięcia klamki.

Wstrzymywałem oddech i musiałem się oprzeć o ścianę, chłonąc napływ powietrza do płuc. Podeszedłem do okna, próbowałem przez nie spojrzeć. Widziałem jednak tylko własne odbicie. Uświadomiłem sobie, że dziewczyna, którą widzieliśmy za szybą, zapewne patrzyła na siebie i zastanawiała się, czy jej twarz zmienia kolor tak jak twarze innych. Słyszałem, jak dygocze.

Potem zobaczyłem światła.

Reflektory i niebieskie koguty zlewające się ze sobą, oświetlające pomieszczenie. Usłyszałem trzask zamykanych drzwi samochodu. Głosy. Mężczyźni i kobiety w butach z cholewami wtargnęli w ciszę.

Wychodząc, byłem lżejszy niż powietrze. Oddaliłem się tylnymi drzwiami, w czarną jak smoła noc, przez ogród. Początkowo szedłem ostrożnie, a potem wśród drzew, przez krzaki, sadzawki, w ogóle nie zwracając uwagi, którądy biegnie ścieżka. Przeszedłem przez płot, przeciąłem następny trawnik i znalazłem się na sąsiedniej ulicy. Najpierw powłóczyłem nogami, potem szedłem, potem biegłem.

III
CLOSER

Światło dzienne jest straszne. Przyłapuje i odsłania wszystkich obłąkanych i śmiertelnie chorych, puszczonech wolno wieczorem, śmiejących się, płaczących i sikających w majtki na ulicach. Tak jak włączenie światła w barze przed przyjęciem ostatnich zamówień, które zmienia kobiety z pięknych w zwyczajne, a mężczyzn ukazuje w ich najgorszym wydaniu: brzydkich, identycznych.

Był poniedziałkowy rano, od wydarzeń przy Sycamore Way minął prawie tydzień. Tydzień, odkąd po raz ostatni wziąłem amfę. Słyszałem barowe rozmowy o tym, że bramkarze Franczyzy dostają łomot. Że ktoś obrabia taksówki Carvera. Siłą zabiera forsy kurierkom. Nikt jednak nie mówił zbyt głośno i nie wiedziałem, kto dokładnie został napadnięty albo skrzywdzony. Myślałem o Catherine.

Jeżdżąc po mieście, zauważyłem nowe zjawisko. Gwałtownie zwiększono liczbę umundurowanych patroli policyjnych i odblaskowe kamizelki były po oczach na każdym rogu. Policjanci mieli zatrzymywać i przeszukiwać podejrzanych, bratać się ze stadem i karmić je uzgodnioną wersją wydarzeń. To była głównie funkcja kosmetyczna. Szminka na pitbullu.

Wybierając się na przesłuchanie do Parrsa, włożyłem garnitur. Myślałem, że wciąż jestem w stanie go wypełnić. Wisiał na mnie jednak jak ciuch po dawnym znajomym. Szybko przeszedłem obok policjantów stojących na ulicy i zjawiłem się w komendzie głównej kilka minut przed czasem.

Panowała tam nietypowa dla tego miejsca cisza. Słyszałem klimatyzację nad głową. Po raz ostatni byłem tu po znalezieniu Isabelle Rossiter, gdy odnosiło się wrażenie, że budynek może pęknąć w szwach. W ten poniedziałkowy rano przypominał dom duchów. Kto żyw był na zewnątrz, by uspokajać mieszkańców.

Pokazałem odznakę i wpisałem się.

Podpis wykonałem automatycznie, ale wyglądał, jakby złożył go ktoś obcy. Wpatrywałem się w niego przez chwilę, aż funkcjonariusz w recepcji uprzejmie chrząknął. Przyjąłem od niego przepustkę dla gościa i przeszedłem dalej. Myślni byłem gdzie indziej, ćwiczyłem już to, co musiałem powiedzieć komisarzowi Parrsowi. Wjechałem windą na czwarte piętro, mając nadzieję, że nie spotkam nikogo znajomego. Gdy już prawie byłem przy jego drzwiach, zadzwonił mój telefon.

– Waits – usłyszałem. – Musimy porozmawiać.

– Właśnie miałem wejść do Parrsa...

– Wiem – powiedział. – Spotkajmy się na schodach. – Nie odzywałem się. – Podziękujesz mi.

Rozłączyłem się, ruszyłem dalej, ale po chwili się zawahałem. Zatrzymałem się i spojrzałem na zegarek. Potem wróciłem tą samą drogą, którą przyszedłem, i przepchnąłem się przez drzwi przeciwpożarowe. Na klatce schodowej biegły od góry do dołu odsłonięte rury. Przez to powietrze stało ciężkie i ciepłe. Oświetlenie też wyglądało ciekawie, długie rzędy żarówek wypalały się w różnych miejscach i nigdy ich nie wymieniano.

Zobaczyłem męską sylwetkę schodzącą z piątego piętra. Zatrzymała się trzy kroki ode mnie.

– Witaj, Aidan – powiedział detektyw Kernick.

– Witaj, skarbie.

Wszedł w plamę światła. Po raz pierwszy zauważyłem, że jego kruczoczarne włosy są poprzetykane szarością i bielą. Zastanawiałem się, czy to niedawna zmiana. Jakby postarzał się o pięć lat.

– Cieszę się, że cię złapałem – powiedział.

– Od razu zauważyłem.

– Jakiś ty, kurwa, spostrzegawczy. Chodzi mi o twoje przesłuchanie u Parrsa. Będziesz miał dużo do opowiadania...

– No więc jeśli nie masz nic przeciwko temu...

– Jasne – powiedział, odsuwając się od źródła światła. W mroku znów stał się tylko kształtem. – Właśnie to jest w tobie wspaniałe, Waits. Zawsze tak chętnie pakujesz się w gówno.

– A w co się pakuję tym razem?

Wyciągnął szyję z powrotem ku światłu. Spiorunował mnie wzrokiem.

– Nie masz tu żadnych przyjaciół, prawda?

– W co się pakuję tym razem?

Zszedł dwa stopnie niżej i nachylił mi się do ucha.

– Oni wiedzą – syknął. Zrobiłem krok do tyłu. Był teraz całkiem oświetlony. – O dragach – podjął. – O piciu, o pieprzeniu. Za kogo ty się, kurwa, uważałeś? – Próbowałem go ominąć, ale zatrzymał mnie, kładąc mi rękę na klatce piersiowej. – Sekundę, synu. – Czuję, jak pot z jego dłoni przesiąka mi przez koszulę. Obaj staliśmy już w świetle i spojrzał mi prosto w oczy.

– Posuwałeś ją?

– Kogo? – spytałem, zdradzając więcej, niżbym chciał.

Mignął uśmiech.

– Isabelle.

– Nie.

Patrzył na mnie przez chwilę.

– Te zdjęcia – powiedział. – Te, na których ty i Izzy kleicie się do siebie w domu Carvera. Zapominamy o nich.

– A co z Rossiterem?

– Tak w ogóle to właśnie on mnie poprosił, żebym je zdobył. Chciał cię sprawdzić. Wie, jaki wpływ na jego i moją robotę miałyby ich ujawnienie. Pomyślałem, że powinieneś się o tym dowiedzieć, zanim porozmawiasz z komisarzem. – Odkleił rękę od mojej klatki piersiowej. – Będziesz miał o jedną sprawę mniej do omówienia.

– Kto zrobił te zdjęcia?

Uśmiechnął się.

– Pierdol się.

Ruszyłem do wyjścia.

– On nie musi wiedzieć – powiedział Kernick do moich pleców.

Zatrzymałem się w drzwiach.

– Nie musi wiedzieć, że nielegalnie prowadziłeś własne dochodzenie?

– Ty...

– Kernick, nie nazywaj instynktu samozachowawczego dobroczynnością. Źle to wygląda.

– Synu, odrobina instynktu samozachowawczego mogłaby ocalić ci życie – powiedział, idąc za mną. Zatrzasnąłem drzwi tuż przed jego nosem.

Zanim dotarłem do gabinetu Parrsa, zrobiło mi się niedobrze. Wziąłem głęboki oddech, wszedłem do małej poczekalni. Stojąc wtedy w tym nowiutkim budynku w swoim starym garniturze, czułem, że jestem w niewłaściwym miejscu. Jakbym w ogóle nie powinien był tu wracać. Widząc spojrzenie jego sekretarki, z jakiegoś powodu pomyślałem: uciekaj, kurwa.

Gdy wszedłem do gabinetu, Parrs wstał.

– Waits – powiedział, wskazując mi krzesło. Usiadłem naprzeciwko, a on przesunął jakieś papiery na biurku i ponownie zajął swoje miejsce. Wyglądał, jakby nie spał od śmierci Isabelle. Mogłem sobie jedynie wyobrazić, jak podziałała na niego historia z Sycamore Way. Mówiono o tym w ogólnokrajowych serwisach informacyjnych. Jego wzrok przeszywał mnie na wskroś, a głos, zawsze niski i trudny do zrozumienia przez ten szkocki akcent, odgradzał go ode mnie jak ceglany mur.

– To nieoficjalna rozmowa. Służę przede wszystkim przekazaniu i zebraniu informacji na temat twojej pracy związanej z Franczyzą. Mam nadzieję, że...

– Dopadliśmy go? – spytałem.

– Jak wiesz...

– Dopadliśmy go? – powtórzyłem.

– Nie. – Parrs zamrugął. – Jak wiesz, szykowaliśmy pułapkę na poniedziałek, szesnastego listopada...

– Dzień po tym, jak znaleźliśmy Isabelle Rossiter.

– Dysk został wyczyszczony. Nasz człowiek z pewnością tam był. Niestety z powodu zwiększonego obciążenia pracą tamtego dnia pokój 6.21A został bez mojej zgody przydzielony komuś innemu.

To zakrawało na żart.

– Nie rozumiem. Przecież pokój miał być pusty...

– Do 6.21A skierowano dodatkowy personel pracujący nad śmiercią młodej Rossiter. Trzydzieści pięć osób kursowało tam i z powrotem, z tego dwadzieścia trzy służą dość długo, by każda z nich mogła być naszym człowiekiem. Nie – podsumował. – Nie dopadliśmy go.

Zaniemówiłem.

– Wierz mi, wiem, jak się czujesz. – Miałem ochotę wstać i wyjść, ale nie mogłem poskładać myśli. – Porozmawiajmy o tobie, synu. O twojej przyszłości.

– Odniosłem wrażenie, że nie mam przyszłości.

– To w pewnym stopniu zależy od ciebie.

Sięgnąłem do kieszeni marynarki i podałem mu zaklejoną kopertę.

– W takim razie powinienem od początku postawić sprawę jasno. – Nie byłem zainteresowany wysłuchiowaniem kolejnych pogrózek. Chciałem wyrwać mu broń z ręki.

Podniósł list.

– Co to jest?

– Dostał pan moje raporty?

– Tak. Były bardzo jasne.

– Chciałbym, żeby posłużyły jako podstawa mojego odejścia.

Parrs spojrział na kopertę, którą trzymał w powietrzu między nami.

– To twój pieprzony list pożegnalny?
– Moje wypowiedzenie.
Odłożył kopertę na biurko.
– Myślisz, że możesz sobie pozwolić na odejście ze służby?
– Jeśli postawi mi się zarzuty w związku z wyniesieniem narkotyków z magazynu dowodów, zmierzę się z nimi.
Przesunął kopertę na bok, tak że wpasowała się w narożnik biurka.
– Śmiała decyzja. Korupcja. Kradzież. Zamiar podmienienia dowodów. Pięcioletni wyrok? Trzy, cztery lata za kratkami? Z taką ilością szkła, jaką będziesz wysrywał, trudno ci będzie wyjść za dobre sprawowanie.
– W porządku – powiedziałem, wstając, żeby wyjść, i myśląc, że wciąż jeszcze mógłbym uciec.
– Siadaj – powiedział. – O co ci tak naprawdę chodzi?
Usiadłem.
– Zniknięcie Joanny Greenlaw. Zain Carver. Franczyza. Skażone narkotyki. Nie ma sprawy.
– Spojrzałem na niego. – Ale nie będę tuszował śmierci Isabelle Rossiter. To o jeden kompromis za wiele, nawet dla mnie.
– Co zamierzasz? Poza trudną odsiadką?
– Mógłbym wyjechać – powiedziałem. W mojej głowie brzmiało to sensownie, jak coś, co Parrs chciałby usłyszeć. Wypowiedziane na głos przypominało jednak dziecinną mrzonkę. – Wyjechałbym najdalej, jak to możliwe.
– Nie chcesz zobaczyć, jak to się skończy?
– Nie chcę wiedzieć, jak to się skończy.
Zmrużył oczy. Podczas przesłuchań Parrs zadawał proste, bezpośrednie pytania, a potem czekał. Nawet jeśli przesłuchiwany już odpowiedział. Ludzi to krępowało, zmuszało ich do przerwania ciszy i mówienia dalej.
Nie odezwałem się.
– Synu, dopilnowałbym, żeby to wszystko popłynęło za tobą. Dokądkolwiek byś poszedł.
– Co mogę zrobić? – spytałem. – Co pan chce, żebym zrobił?
Parrs spojrzał na mnie ze złością.
– Pytałeś kiedyś o Joannę Greenlaw. Odesłałem cię do apelu opublikowanego w „Evening News”. Poznałeś fakty, ale nie do końca poznałeś prawdę.
– A jaka jest prawda?
– Jeśli patrzysz i słuchasz, zauważasz bardzo dużo prawdy poza faktami. Dziesięć lat temu Joanna Greenlaw zgodziła się zeznawać przeciwko Carverowi i Burnsiderom, to fakt. Jej przyjaciółkę zamordowano na Burnside, to fakt. Prawdą jest też to, czego nie dowiesz się z gazet. To, że to ja ją przekabaciłem. Z gazet nie dowiesz się, że pracowałem nad tą dziewczyną codziennie, miesiącami. Mrówcza robota. Co trzy dni zmienialiśmy schemat komunikacji. Zorganizowaliśmy rotacyjny zespół agentów. Zadbaliśmy, żeby żaden inny funkcjonariusz nie znał zakresu i skali operacji. Więc kiedy mówię, że wiem, jak się czujesz...
– Po co to wszystko?
– Już wtedy się domyślałem, że gdzieś jest przeciek, bo Carverowi upiekło się zbyt wiele razy. To prawda, ale nie fakt.

- Musiał pan kogoś podejrzewać.
- Całą masę ludzi, synu.
- Co tak naprawdę stało się z Joanną Greenlaw?
- Wiem tyle co ty. Na miejscu znaleziono czarną i białą farbę. A po Greenlaw ani śladu.
- Szukał jej pan?

– Wstyd przyznać, ale nie. Mój przełożony uznał, że po prostu się wystraszyła. Dała nogę, zanim zdążyła powiedzieć albo zrobić coś zbyt obciążającego jej dawnego szefa. Odsunięto mnie od sprawy i wyraźnie zabroniono dalej się nią zajmować. Już i tak zmarnowałem wystarczająco dużo czasu. Gdy pył opadł, próbowałem zrobić coś więcej, ale jej ostatnimi znanymi współpracownikami byli Zain Carver i Sheldon White, a żaden z nich nie jest rozmowny. Trop, jeśli w ogóle jakiś zostawiła, zdążył się już wtedy zatrzeć. – Na chwilę zamilkł. Potem podjął cichym głosem: – Chyba miałem nadzieję, że uciekła. A potem, gdy mijały kolejne lata, a ona nadal się nie pokazywała, zrozumiałem, że to coraz mniej prawdopodobne...

– Grip, czyli Danny Gripe, myśli, że Sheldon White robi zamieszanie z powodu rocznicy. Od zaginięcia minęło dziesięć lat...

Parrs zastanowił się nad tym.

– Wojna psychologiczna wydaje się trochę zbyt wyrafinowaną metodą jak na Burnsiderów. Tak się składa, że White właśnie wyszedł, ale to wszystko. Nie jest typem, który miałby kalendarz, a tym bardziej z niego korzystał.

– Kto jeszcze mógłby za tym stać? – Nie poruszył się. – Nie wydaje się panu, że Joanna Greenlaw nadal żyje?

Zignorował pytanie.

– Chodzi mi o to, że czasami trzeba być gotowym na długą rozgrywkę. Możesz jeszcze z tego wybrnąć. – Nie odezwał się, więc mówił dalej: – W porządku. Masz jakiś miesiąc niewykorzystanego urlopu. I tak miałem zaproponować, żebyś go wziął, a biorąc pod uwagę okoliczności, chyba jestem skłonny się zgodzić, żebyś poszedł na urlop i dał sobie spokój z wypowiedzeniem.

– A zarzuty?

– Nad zarzutami jeszcze się zastanowimy. Ale dopiero po zadowalającym przesłuchaniu.

– Moje raporty...

– Są, jak już powiedziałem, bardzo jasne. Pełne faktów. Myślę, że byłoby dobrze, gdybyśmy przeszli od tych faktów do twoich reakcji i wrażeń. Synu, zawsze widzisz w ludziach tylko to, co najgorsze. – Obdarzył mnie swoim diabelskim uśmiechem. – Chyba postąpię fair, jeśli to wykorzystam, nie?

– Tak jest.

Parrs podniósł kartkę leżącą na biurku. Zobaczyłem, że to część mojego pisemnego raportu. Mimo że na niego nie spojrział ani nie nawiązał do jego treści, było jasne, że w pełni ją sobie przyswoił. Podczas spotkań często robił szczegółowe notatki, a potem dyskretnie wyrzucał je do kosza. Miał doskonałą pamięć i przypuszczałem, że robi te zapiski, by pokazać innym, że traktuje poważnie ich i ich pracę. Pewnie z tego samego powodu trzymał teraz mój raport, w ogóle na niego nie patrząc.

– Odwożąc Isabelle taksówką do domu Carvera, przeszukałeś jej torebkę. Dlaczego?

– Wiedziałem, że w Rubiku piła, a przypuszczałem też coś brała, więc postanowiłem ją

odwieźć do domu. Do jej prawdziwego domu – uściśliłem. – Nie byłem pewny, gdzie dokładnie mieszkają Rossiterowie. Pomyślałem, że gdzieś w torebce znajdę ich adres.

– Wymień, co było w środku.

– Pieniądze. Mnóstwo pieniędzy. Uświadomiłem sobie, że kiedy spuściłem ją z oka, odebrała forszę dla Franczyzy. Pomyślałem, że jeśli nie zawiezie tych pieniędzy Carverowi, znajdzie się w większym niebezpieczeństwie.

– Co jeszcze było w torebce?

– Kosmetyki, portmonetka, komórka. Kiedy odstawiłem ją do domu, nadal miała telefon. Ten, kto go zabrał z mieszkania, musiał być ostatnią osobą, która widziała ją żywą.

– Nie podniecaj się. Znaleziliśmy ten telefon.

Staralem się nie reagować. Pomyślałem o esemesie od Isabelle. O tym, który widziałem w jej skrzynce z wysłanymi wiadomościami.

Zain wie.

Przygotowałem się na konfrontację. Wcześniej powiedziałem Parrsowi, że nie dostałem jej numeru. To dowodziło, że jestem kłamcą.

– Jej ojciec miał numer i udało nam się namierzyć aparat – ciągnął Parrs. – Gdy zobaczyliśmy, że ostatni sygnał pochodził z jej mieszkania, rozebraliśmy je na części. Telefon był ukryty. Przyklejony taśmą do dna szuflady biurka.

Nie brzmiało to dobrze. Miałem ochotę spytać, co w nim znaleźli. Dlaczego został ukryty. Czy natknęli się na wiadomość, którą do mnie wysłała. Wiedziałem, jak to może wyglądać z perspektywy kogoś niewtajemniczonego: „Zain wie o nas”.

Parrs niezdolnie milczał.

Pomyślałem o zdjęciach.

Wreszcie powiedział:

– Jak zareagowano, kiedy przywiozłeś ją z powrotem do Fairview?

– Powściągliwie.

– Nie rozmawiałeś z Carverem?

– Drzwi otworzyła Sarah Jane.

– Ta jego ruda?

Przytaknąłem.

– Bardziej interesowała ją gotówka niż Isabelle. Chyba widziałem Carvera w oknie, kiedy wychodziłem. Szczerze mówiąc, zastanawiałem się, czy cała ta historia nie jest ukartowana.

– Jak to?

– Carver lubi grać z ludźmi w różne gierki i próbował ocenić, czy można mi zaufać. Kazał mnie śledzić. Mógłby kazać barmanowi upić Isabelle, żeby sprawdzić, co zrobię, gdy znajdę pieniądze. Po tym wszystkim miał do mnie o wiele większe zaufanie.

– Mówisz, że lubi grać w różne gierki. Dlaczego?

– Bo to część zabawy. Uważa się za dobrego stratega. Bez względu na to, czym się z pozoru zajmuje, tak naprawdę pracuje pewnie nad czymś innym.

– To silny facet. Czasami tacy jak on szanują tylko podobnych do siebie. Jakie zdanie ma o tobie?

– Lepsze, niż przypuszczałem.

– Mów dalej.

– Chyba mu się spodobało, że wałę prosto z mostu. I że nie zawsze mówię to, co należy. Ale wiedział, jak i kiedy mi pokazać, gdzie jest moje miejsce. Zdaje się, że lubi pogadać, a z tą swoją ekipą matołów raczej nie ma ku temu okazji. Jedyne, co powiedział i co naprawdę zabrzmiało szczerze, to to, że nie chodzi i nie bije ludzi. Nie musi.

– Opowiedz mi o tym całym Gripie.

– Mniej dyskusowania, więcej działania.

– Niebezpieczny?

– Pobiłby się z podłogą, gdyby dziwnie na niego spojrzęła. Gdy widzieliśmy się po raz pierwszy, splunął mi w twarz.

– Czasami ludzie tak na ciebie reagują.

Uśmiechnąłem się.

– Nie, to taki typ. Parę razy widziałem, jak Carver musiał go objechać.

– Interesujące – powiedział Parrs. – Jest wystarczająco szurnięty, żeby zaprawić ósemkę? Albo sprzedawać towar, mimo że jest trefny? – Nie wspomniałem Parrsowi, że to właśnie Grip był pierwszą ofiarą skażonej partii.

– Carver użył określenia „porywczy”. Mówi, że Grip stracił serce do tej gry. Jak na mój gust jest taki sam jak reszta. Boi się czegoś innego.

– Powiedz mi coś więcej o domu.

– Szybko zmieniające się towarzystwo. Zwłaszcza jak jest impreza. Za drugim razem przenocowałem, nie było żadnego problemu. Dzieciaki kimały na podłodze prawie w każdym pokoju.

– Jakie dzieciaki?

– Białe z klasy średniej. Od wieku studenckiego wzwyż. Większość ma około dwudziestu pięciu lat. Chyba uważają się za ludzi kreatywnych.

– I są dwa wyjścia?

Spojrzałem na niego.

– Planuje pan nalot podczas następnej imprezy. – Nie poruszył się. – Ale te imprezy to dla Franczyzy kamuflaż w postaci jakichś dwustu pijanych dzieciaków.

– Zauważyłem.

– Stanie im się krzywda.

– Waits, wiem, że to dla ciebie mgliste pojęcie, ale ja wykonuję rozkazy. I biorąc pod uwagę okoliczności, tak się składa, że te rozkazy wydają mi się słuszne. Carver zbyt długo był na zbyt długiej smyczy. Jeśli jesteś dilerem i dzieciaki zaczynają umierać z powodu trujących partii towaru, ktoś wywala ci drzwi kopniakiem. Proste.

– Dlaczego nie pójść tam teraz, z nakazem?

– Poszliśmy. Czekał na nas. Skurwysyn wyczyścił cały dom od góry do dołu. – To ja go ostrzegłem. – A teraz mów o tych drzwiach.

– Z tego co zauważyłem, są dwa wejścia. Od frontu i od tyłu. To z tyłu to okno tarasowe z podwójną szybą prowadzące do ogrodu. Podczas wywalania frontowych drzwi kopniakiem będzie dużo hałasu, więc chyba warto pozwolić ludziom wyjść od tyłu i postawić kogoś obok furtki na końcu ścieżki ogrodowej.

– Wezmę to pod uwagę.

– Coś jeszcze?

– Słyszałeś o obrabianych taksówkach?

– Tylko barowe pogłoski. Chodzi o taksówki w liczbie mnogiej?

– Tak, najwyraźniej szykuje się zmiana władzy bez względu na to, czy aresztujemy Carvera, czy nie. Jedna taksówka w piątek wieczorem i jedna w sobotę. Oba przypadki niezgłoszone, ale zadzwonili świadkowie. W obie uderzyła wielka ciężarówka, zanim zdołały dotrzeć do Fairview, a potem ktoś z niej wysiadł i siłą zabrał pieniądze dziewczynie w taksówce.

– Kto jechał tymi taksówkami? Nic im się nie stało?

Parrs spojrział na mnie.

– O ile mi wiadomo, skończyło się na otarciach i siniakach. – Miałem nadzieję, że nie było tam Catherine. Czułem się jak gówno, bo przez ostatni tydzień się ukrywałem.

– To forsą Franczyzy. Nie będą zachwyceni...

– Pewnie i tak było tego niewiele. W „Guardianie” ukazał się długi artykuł napisany przez matkę jednego z tych dzieciaków z Sycamore Way. Jako marka ósemka jest skończona.

– Chodziło o ostrzeżenie.

– Raczej o gwóźdź do trumny. Nieważne – powiedział Parrs, wyczuwając moje nagłe zainteresowanie i kończąc temat. – To już wszystko.

Wstałem, żeby wyjść, czułem słabość w nogach. Parrs się nie podniósł, pożegnał mnie tylko skinieniem głowy. Przez moment miałem ochotę o wszystkim mu powiedzieć. Gdy otworzyłem drzwi, zawołał za mną.

– Chwileczkę, Waits.

Odwróciłem się.

Znowu ten diabelski uśmiech.

– Jest jeszcze jedna sprawa.

Wszedłem z powrotem do gabinetu, pozwalając, by drzwi się zamknęły. Miałem zupełną pustkę w głowie.

– Telefon Isabelle – powiedział.

„Zain wie”.

– Zastanawiałem się, czy nie mógłbyś rzucić na niego okiem.

„Zain wie”.

Pokiwalem głową. Krew pulsowała mi w uszach. Parrs otworzył szufladę biurka. Westchnął, zamknął ją i otworzył inną. Pogmerał w niej, ale ją także zamknął.

„On wie”.

Nie wierzyłem, żeby człowiek, który pamiętał moje raporty, zapomniał, w której szufladzie zostawił dowód rzeczowy. Potęgował napięcie. Wreszcie wyjął jaskraworóżową komórkę z dużym wyświetlaczem umieszczoną w przezroczystym foliowym woreczku.

– To ten?

To nie był ten. Nigdy wcześniej go nie widziałem.

– Tak jest.

Nic nie powiedział.

– W każdym razie tak mi się wydaje.

– Hm – mruknął, nie odrywając ode mnie oczu. – Dziwne. Chyba w ogóle nie był włączany, odkąd Isabelle uciekła z domu. Nie wygląda jak coś, co nosiła w torebce.

– Był tam – powiedziałem.

– Dzięki – odparł Parrs, uśmiechając się.

Łamałem sobie głowę, o co chodziło Parrsowi z tym telefonem. Wiedział, że to nie ta komórka, którą widziałem, a przynajmniej tak podejrzewał. Szedłem zygzakiem przez miasto, upewniając się, że nikt mnie nie śledzi. Znalazłem budkę telefoniczną. Przewinąłem listę esemesów w swojej komórce, szukając tego jednego od Isabelle. Wysłanego z telefonu, którego policja nie znalazła. Z telefonu, który po jej śmierci zniknął z jej mieszkania.

Spojrzałem przez ramię, wrzuciłem monetę do otworu i wybrałem numer. Sygnał zabrzmiał dwa i pół razy, po czym gwałtownie ucichł. Przełączyło mnie na pocztę głosową.

Ktoś mnie przełączył.

Pomyślałem o wiadomości głosowej, którą odsłuchiwałem z tamtego telefonu. W wieczór przed śmiercią Isabelle.

Ten charakterystyczny akcent z Oxbridge.

„Isabelle, chciałbym, żebyś odebrała telefon. Wiem, że jestem ostatnią osobą, z którą masz ochotę rozmawiać...”

Komisarz Parrs znalazł stary telefon Isabelle, dlatego że jej ojciec podał mu numer. W jaki sposób David Rossiter zdobył numer jej drugiego telefonu, tego, który kupiła już po ucieczce z domu? Dlaczego nie podał go Parrsowi? I kto zabrał telefon z mieszkania?

Gdy zacząłem iść, wciąż jeszcze było wczesnie. Próbowałem znowu zniknąć w mieście, stać się jednym z tych włóczęgów, po których wzrok się tylko prześlizguje, gdy przechodzimy na drugą stronę ulicy. Miasto roztopiało się w słabym, jasnoszarym świetle, samochody znów płynęły niczym krew w jego żyłach.

Miałem ochotę popłynąć razem z nimi i zapomnieć o wszystkim. Zobaczyć, jak moje odbicie zniekształca się i zmienia w butelkach za barem. To samo popołudniowe pragnienie dostrzegałem też u innych ludzi. Niewidzialne siły wciągały ich do pubów w bocznych uliczkach.

Gdy dotarłem do Rubika, był wczesny wieczór. Długo stałem na zewnątrz, zbierając się na odwagę, żeby wejść. Coś się tutaj zmieniło i wiedziałem, że to prawdopodobnie ja.

Zamówiłem drinka i usiadłem w kącie, w ulubionym boksie Catherine. Chciałem z nią porozmawiać, a było to jedyne łączące nas miejsce, w którym nie zjawiłby się Zain Carver. Przypuszczałem, że od czasu Sycamore Way Carver robi to samo, co ja. Nie wychyla się, ustala swoją wersję wydarzeń. Od tamtej pory zaglądałem do Rubika prawie codziennie, ale na razie nikt się nie pokazał.

Atmosfera w barze uległa jednak zmianie. Tolerowano zachowania, które wcześniej były niedopuszczalne, wręcz do nich zachęcano. Widziałem jawne zażywanie narkotyków, symulowany seks na parkietach i mężczyzn bijących się nadłuczonymi butelkami. Ludzie chodzili po ścianach. Nie wiedziałem, czy są na głodzie, czy po prostu biorą towar, do którego nie przywykli.

Nie chciałem się dowiedzieć.

Był wczesny wieczór i gdy piłem drugiego drinka, weszła Catherine. Zastanawiałem się, czy przysłała z nadzieją, że mnie spotka, ale nieznaczne pochylenie głowy, kiedy mnie zobaczyła, uświadomiło mi, że nie.

Uśmiechnęła się blado i lekko do mnie pomachała. Czekałem, aż złoży zamówienie, i powtarzałem w myślach to, co chciałem powiedzieć, zdając sobie sprawę, jak kiepsko to wypada. Zain mówił, że jego dziewczyny nie wiedzą, że jestem policjantem, ale Sarah Jane jakoś się domyśliła. Miałem nadzieję, że Cath jeszcze nie. Wiedziałem, że sam powinienem jej to oznajmić. W porównaniu z ubiorem, w jakim zazwyczaj zjawiała się w Rubiku, wyglądała skromnie. Skórzana kurtka, czarna wąska spódnica i półbuty. Jej brązowe włosy, zwykle opadające na ramiona, były związane na czubku głowy i przebite dwoma czerwonymi patyczkami przytrzymującymi je na miejscu.

Dotąd zawsze była tylko pewną ideą w mojej głowie. Iskrą życia i możliwą przyszłością. Po śmierci Isabelle, po Sycamore Way, przerażało mnie myślenie o niej jak o żywej osobie. Bezbronnej jak my wszyscy. Jak gdyby na potwierdzenie tego strachu, gdy szła ku mnie przez salę, wpadł na nią jakiś mężczyzna, o mało jej nie przewracając.

– Ej! – zawołałem za nim, podchodząc do Catherine. Nigdy wcześniej go nie widziałem, ale wyglądał równie niechlujnie jak człowiek, którego Carver znokautował na Burnside. Sider. Miał niemodne ciuchy i był starszy niż większość ludzi w barze. Na oko po pięćdziesiątce.

– Nic ci nie jest?

– Nie, wszystko w porządku.

– Kto to był?

– Nie wiem – powiedziała, spoglądając w ślad za nim. Mężczyzna przeszedł w stronę wyjścia i zatrzasnął za sobą drzwi.

– Zaczekaj tu.

– Aidan, proszę. – Wzięła mnie za rękę. – Nie możemy po prostu usiąść? – Poszliśmy do boks w kącie. Catherine zauważyła, że patrzę na jej napoczętego drinka.

– To sprite – oznajmiła. Pokiwałem głową, ale nie wiedziałem, co powiedzieć, nie

wiedziałem, jak zareagować. Ona też to zauważyła i pospiesznie dodała: – To nie znaczy, że zamierzam...

– Wiem.

– Po prostu jeszcze nie wiem, co zrobię...

– Jak się czujesz?

– Dobrze – powiedziała, podnosząc głowę i znowu ją opuszczając. – Źle. Szczęśliwa.

Przygnębiona.

– Jak czterech z siedmiu krasnoludków.

– Wtedy u Isabelle naprawdę mnie wystraszyłeś.

– Wiem. Przepraszam. Ty też mnie wystraszyłeś.

– Tak, odniosłam takie wrażenie. – Uderzyła mnie lekko pięścią w pierś. – Nigdy wcześniej nie zrobiłeś dziecka nieznanemu? – Jej ręka leżała teraz na stole i otarliśmy się o siebie małymi palcami.

– Właściwie to nie.

– Warto, jeśli za dobrze śpisz w nocy.

– Dzięki tobie w ogóle przestaję spać.

Poruszyła się niespokojnie.

– Potrzebujesz pomocy, Aidan?

– Co masz na myśli?

– Masz kłopoty?

– Dlaczego tak sądzisz?

– Mają je wszyscy, których znam. – Uśmiechnęła się. – Łącznie ze mną. Pewnego dnia po prostu zjawiłeś się nie wiadomo skąd z podbitym okiem. Nic o tobie nie wiem.

– A co chcesz wiedzieć?

– Czy jestem tylko czymś, co cię zbliża do Zaina Carvera?

– Nie przejąłbym się, gdybym nigdy więcej go nie zobaczył.

Wyglądała na zaskoczoną.

– A mnie?

– Mam nadzieję, że to nie jest nasza ostatnia rozmowa. Zaczęliśmy w niekonwencjonalny sposób. Prawdopodobnie nie mielibyśmy konwencjonalnego związku. Ale chciałbym spróbować, jeśli ty też byś chciała.

– Nie chcesz się czegoś o mnie dowiedzieć?

– Zgadzą się na wszystko.

Wyglądała na jeszcze bardziej zdziwioną.

– I nie chcesz mi powiedzieć, co tak naprawdę o tym wszystkim myślisz? – Mówiła o ciąży.

– Myślę, że cokolwiek postanowisz, będę z tobą. Bo właśnie tego chcę.

Przesunęła swoim małym palcem po moim, lekko go naciskając.

– Właściwie to jeszcze nigdy czegoś takiego nie słyszałam.

– Chciałem się z tobą skontaktować wcześniej. Ale nie miałem twojego numeru. Po Sycamore Way nie mogłem pójść do Zaina...

– Sycamore Way – powiedziała. Te słowa zyskały już taką moc, że sala jakby od nich pociemniała. Zmarło siedmioro nastolatków. – Co tam się stało?

– Nie wiem. Zostawiłem Isabelle samą w gabinecie Zaina. Chyba ukradła skażoną cegłę. Od chwili, kiedy wyszedłem z jej mieszkania, do momentu, gdy znalazłem ją martwą, minął cały dzień. Pewnie sprzedała większość towaru, a trochę zachowała dla siebie. Wstrzyknęła to sobie. Te bogate dzieciaki z West Dids też to sobie wstrzyknęły.

– Zain powiedział, że byłeś z nim, kiedy je znalazł. – Przytaknąłem. – Wyglądały tak jak Isabelle? Tak źle?

– Myślę, że wszystkie odeszły w spokoju – powiedziałem. Nie było większego sensu wyjawiać jej prawdy. Chyba jej ulżyło. – Czy Zain coś mówił?

Podniosła głowę.

– Na przykład o czym?

– Na przykład o tym, co było nie tak z tą cegłą. Dlaczego ci ludzie umarli.

Pokręciła głową.

– Towar pochodzi z importu. Zain tylko go dzieli. Wszystko oprócz tej partii było w porządku.

– Jest tego pewny?

– Po Sycamore Way wszystko przetestował.

– Więc źródłem problemu jest to, czym zaprawiono cegłę?

Pokiwała głową.

– A Zain powiedział, że domieszka była taka jak zwykle?

– Tak, i mówił szczerze. Naprawdę szczerze.

– W takim razie ktoś to czymś zaprawił. – Zmarszczyła brwi. – Widziałas, jak podziałało na Isabelle. To nie mógł być przypadek.

– Ale dlaczego?

– Zain na pewno ma więcej wrogów, niż może zliczyć. Zastanów się, kto korzysta na jego upadku. – Sam się nad tym zastanawiałem. Komisarz Parrs i jego gorliwość. David Rossiter i jego sekrety. Sheldon White i jego uraza. Nawet Gripa nie można było wykluczyć.

– Właśnie to go czeka? Upadek?

– Nie wiem. Gdyby mogli, już by go zapuszkowali.

– Raczej nie chcę być w pobliżu, kiedy to się stanie...

Ścisnąłem jej palec.

– Gdzie się podziejesz?

– Może w Londynie. Czasami smutno jest tkwić w czymś, co właśnie... – Zawahała się. – Co właśnie się kończy. – Uświadomiłem sobie, że jestem chyba ostatnią osobą, jaką chciałyby tego dnia spotkać, i że podjęła już decyzję w sprawie dziecka.

– Brzmi jak pożegnanie.

– Po prostu nie próbuj mnie bliżej poznać. – Odwróciła wzrok. – Będzie łatwiej, jeśli mnie bliżej nie poznasz. – Catherine zawsze trochę grała, ale gdy o niej myślę, gdy myślę o prawdziwej Catherine, myślę właśnie o tamtym wieczorze. O jej upiętych włosach, o tej kurtce, tej spódnicy, o tych sprzecznościach. Poczułem, że drugi drink zaczyna na mnie działać. Przywracał rytm muzyce i blask wszystkim przedmiotom. Nie wiedziałem, co ona myśli. Nie wiedziałem, co próbuje powiedzieć. Tak naprawdę nigdy jej nie poznałem.

Siedziałem tyłem do głównego wejścia i zobaczyłem tylko, że Catherine szeroko otwiera oczy. Zanim zdążyłem się odwrócić, jakiś mężczyzna ciężko usiadł obok niej. Ten sam, który wcześniej wpadł na nią przy barze.

Pachniał olejem silnikowym.

Widok kogoś takiego siedzącego przy dziewczynie, a już zwłaszcza obok Catherine, był rażący, niemal komiczny. Posłał mi szeroki, ohydny uśmiech, objął ją ramieniem, jakby była niczym, i pogmerał palcem pod odsłoniętym ramięczkiem stanika.

Jej szokowane spojrzenie wciąż było nieruchome, nie patrzyła jednak w jego stronę i wiedziałem, że stoi za mną ktoś jeszcze. Wydawało mi się, że nawet wiem kto. Teraz spoglądała na mnie z taką samą miną osaczonego zwierzęcia, jaką tydzień wcześniej widziałem w mieszkaniu Isabelle. Pierwszy mężczyzna, nadal ją obejmując, chrząknął.

– Może se klapniesz, Neil?

Odwrociłem się i zobaczyłem barmana, którego dwa tygodnie wcześniej zmusiłem do ucieczki z tego baru. Nadal uciekał. Nadal posługiwał się innym imieniem. Mocno ścisnąłem szklankę. Miałem ochotę rozwalić ją na jego pieprzonej gębie.

Był na haju. Jego klatka piersiowa wciąż była pękata jak beczka, ale modny kilkudniowy zarost stracił kształt, a pod oczami widniały ciemne worki. Usiadł koło mnie i przesunął się w bok, spychając mnie w stronę ściany. Wyglądało to agresywnie, ale pomyślałem, że po prostu źle ocenił ilość wolnego miejsca. Wydawał się zmęczony, powalony przez zbyt wiele kokainowych nocy z rzędu.

Widziałem połyskujące kropelki wilgoci na szklance, w powietrzu czułem zapach alkoholu, jednym uchem słuchałem rozmów wokół stolika. Nie zauważyłem, że w Rubiku zrobiło się tłoczno. Bar funkcjonował jak zwykle, nie dbając o nas. Robiło się późno i ludzie byli już pochłonięci swoimi wieczornymi drinkami. Zastanawiałem się, jak często byłem pijany i nieświadomy, że w tym samym pomieszczeniu dzieje się coś paskudnego.

– Chyba powinienem się przedstawić – powiedział mężczyzna obejmujący Catherine. Jego gniewna mina była jak maska. Taka, która zostaje na stałe, gdy ma się ciężkie życie. Teraz starał się wyglądać jak najrozsądniej, ale nie do końca mu to wychodziło. Nadawało to jego twarzy wyraz skupienia, przez który sprawiał wrażenie głępszego, niż przypuszczalnie był.

– Nazywam się Sheldon White – powiedział, wyciągając wolną rękę, żeby ktoś mógł ją ucisnąć. Ani Catherine, ani ja nie zrobiliśmy tego. Glen, Neil, były barman, siedział obok mnie i rwał na kawałki podkładkę do piwa.

– Miło mi cię poznać – powiedziałem. – Możesz mu dać gram czegoś mocniejszego? Działa mi na nerwy.

Sheldon znowu spróbował się uśmiechnąć. Widocznie kiedyś widział gdzieś z daleka jakiś uśmiech.

– Neila już znasz.

Na dźwięk swojego fałszywego imienia barman się ożywił.

– No – powiedział, odpowiadając za mnie. Ciągłe wykonywał głową szybkie ruchy kokainisty, jego oczy podążały za muchą, której nikt inny nie widział.

– No, dzieciaki, wiem, że coś was łączy, ale na razie o tym zapomnimy. – Nie odzywałem się. Catherine też milczała. – Czym się trujesz, koleś?

Wskazałem na wiercącego się barmana.

– Tym co on.

Sheldon przestał się uśmiechać.

– Jameson z wodą sodową – powiedziałem.

– Podwójny?

– Co najmniej.

– Chyba wezmę to samo. A co dla pani?

Gdy Catherine nie odpowiedziała, strzelił z jej ramiączka.

– Czerwone wino – rzuciła, wpatrując się w ścianę. Sheldon dźwignął się z miejsca. Był dużym facetem, starszym od Zaina Carvera i mocno zniszczonym.

– Tylko nigdzie się stąd nie ruszajcie – powiedział.

W barze było pełno ludzi i obok stolika widziałem tylko stłoczone ciała. Sheldon precyzyjnie się przez nie w stronę baru. Gdy zniknął, wstałem i skinąłem do Catherine.

Nawet nie drgnęła.

Barman też się nie podniósł. Nadal się wiercił, nadal zagradzał mi drogę. Pokazał mi rękę, którą trzymał pod stołem.

Nóż.

W tłumie zobaczyłem tępe, znudzone twarze skierowane w naszą stronę. Chyba rozpoznałem dwóch przygłupów, których widzieliśmy z Carverem na Burnside. Inni, podobnych rozmiarów i podobnie łypiący okiem, otaczali nas ze wszystkich stron. Usiadłem, starając się o tym nie myśleć.

Spojrzałem na Glana, Neila, czy jak mu tam.

– To ciebie widziałem obok mojego mieszkania?

Nie odpowiedział wprost, ale nacisk noża na mój brzuch wszystko wyjaśniał.

– Ten nóż nie jest tu potrzebny – powiedziała Catherine.

– Przecież działa jak serum prawdy, no nie? Źle zrobiłaś, że zadałaś się z tym typem.

Jej oczy na chwilę spotkały się z moimi.

– Dlaczego?

– Powiedz jej dlaczego, Aid.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Nie wie, na którym kłamstwie go przyłapano. Zacznijmy od tego, co się stało z Izzy.

– Umarła przez trefną ósemkę.

– Kto jej ją wstrzyknął?

– Sama albo ktoś inny.

– Tamtego wieczoru odwoziłeś ją do domu, nie? Gdzie byłeś, kiedy to się stało?

– W swoim mieszkaniu. A ty? – Przysunął nóż. Wydawało mi się, że przeciął koszulę.

– To ja zadaję pytania.

– Znalazłem ją następnego dnia. Zadzwoiłem na policję. Po co miałbym tam wracać,

gdybym ją zabił? – Tłumacząc się, próbowałem myśleć: barman był w rozsypce, prawdopodobnie nie miał nic wspólnego ze śmiercią Isabelle. Wydawał się równie skołowany jak ja.

– Mogłeś zostać na noc. Albo po prostu wrócić, żeby posprzątać.

– Był ze mną – powiedziała Catherine. – Znaleźliśmy ją razem, przysięgam. Przysięgam na swoje życie. – Wydawało mi się, że przesunęła rękę w stronę brzucha. – I uważam, Neil, że mamy prawo zapytać, gdzie ty wtedy byłeś. – Czułem nóż napierający na skórę na brzuchu.

– Macie prawo. – Roześmiał się. – Byłem z Mel.

– Z Mel?

Wskazał na australijską barmankę.

– Aid spuścił w kiblu kokę za kilka tysięcy. Zostawił mnie tu, żebym za to beknął. – Wypluwał z siebie słowa. – Wiedziała, że nie mogę pójść do siebie, więc mnie przenocowała.

– Po co Aidan miałby...

– To prawda – powiedziałem.

– Co...?

– Starąłem się chronić Isabelle...

– Gównu prawda – przerwał mi barman. – Chroniłeś, kurwa, tylko siebie. Tacy jak ty zawsze chronią tylko siebie.

– Tacy jak on? – spytała Catherine.

– Powiedz jej, Aid. – Poczułem, że ostrze wchodzi w skórę.

– Jestem z policji. – Na sekundę nasze oczy się spotkały, a potem znowu skierowała wzrok na ścianę. Jej twarz zrobiła się biała i pomyślałem, że zaraz zwymiotuje. Barman uważnie się jej przyglądał.

– A to niespodzianka, nie wiedziałaś. Aid mnie pogryza i odwozi Izzy do domu. Następnego dnia jest już martwa. Potem te dzieciaki z Sycamore Way. Potem Zain wpada przez to wszystko w gówno. Zastanów się – powiedział. – To odrębne sprawy czy może, kurwa, jedna wielka sprawa?

Catherine znowu patrzyła mi w oczy, tym razem dłużej.

– Kto to jest? – spytała, wskazując głową puste miejsce obok siebie.

– Sheldon White? – powiedział barman. – Burnsider ze starej gwardii.

Przymknęła powieki.

– Czy miałem inne wyjście? – ciągnął. – A poza tym nie zamierzałem odpuścić temu kutasowi. – Znowu przycisnął do mnie nóż. Poczułem, jak krew wsiąka mi w koszulę. – Powiedziałem Siderom, że mógłbym ich tu zainstalować, dopóki Zain nie stanie na nogi. Urobiłem ich...

Zaczęły mu się trząść ręce i spojrzał na mnie. Nie było potrzeby mu przerywać, mówić, że to jego urobiono. To wszystko było jasne, widoczne w jego własnej wersji zdarzeń.

Zastanawiałem się jednak, czy nie podawali mu czegoś więcej niż kokainy. Był wystraszony, głupi i uciekał, żeby ratować życie, więc Siderzy prawdopodobnie wydali mu się dobrym wyjściem. Mógł zyskać jakąś ochronę i zastanowić się, co dalej. Potem po prostu przez kilka dni podawali mu dragi, wydobywając z niego wszystkie szczegóły związane z handlem Franczyzy.

Z goryczą pomyślałem o narkotykach spuszczonej w klozecie. Mogłem go aresztować, ale wolałem się zemścić.

– Człowiek robi, co musi – podsumował oględnie. – Zain to rozumie.

Siedzieliśmy w milczeniu, dopóki Sheldon nie wrócił z drinkami. Z czterema szklankami w dwóch olbrzymich wytatuowanych rękach.

– Nie przerywajcie sobie z mojego powodu, dzieciaki – powiedział, stawiając szklanki na stole i ciężko opadając na miejsce obok Catherine. Znowu objął ją jedną ręką, a drugą sięgnął po drinka. – Jesteś Cath, no nie?

Pokiwała głową. Nagle wydała mi się bardzo młoda.

Mężczyzna spojrzał na mnie.

– A ty to kto?

– Aidan – powiedziałem.

– Racja, racja, Aidan Waits. Mieszkasz przy Newton Street.

Z wściekłością spojrzałem na barmana.

– To żadna tajemnica. Jesteśmy sąsiadami?

– Nie, stary, niestety. Ja mieszkam dalej od centrum. Bardziej w stronę Burnside.

– Miła okolica.

– To prawda. Niedawno złożyliście nam z Zainem wizytę.

– Słyszeliśmy o tej dzielnicy tyle dobrego.

Jego czoło zmarszczyło się w paskudne tektoniczne fałdy.

– Pyskuj tak, kurwa, jemu – powiedział, kiwając w stronę barmana. – Pyskuj tak Carverowi. Pyskuj tak tej dziwce, jeśli chcesz. Ale nie mnie. Jasne? – Skinąłem głową. – No, Burnside to miłe miejsce. Niewykorzystane, powiedziałbym. Trochę jak ten bar dzisiaj wieczorem.

Czekaliśmy.

– Ci wszyscy ludzie... – podjął, rozglądając się. – Cała ta forsa, te wszystkie cipki... – Odetchnął głęboko. – To po prostu woła o odrobinę zapomnienia. I nikt go nie sprzedaje? Toż to zbrodnia.

– Zain je sprzedaje – powiedziała Catherine.

– Sprzedawał, skarbie – poprawił ją Sheldon. – Ale chyba możemy się zgodzić co do tego, że jego złote czasy dobiegły końca. – Barman pokiwał głową, jakby głęboko się nad tym zastanawiał. Chyba zaczynało do niego docierać, co zrobił. – Jego gust w kwestii spódniczek się nie zmienił, prawda, skarbie? – Catherine milczała. – Chyba jak dotąd jesteś jego najładniejszą.

– Pracuję dla niego.

Roześmiał się, patrząc na mnie.

– Tak to się zaczyna, co, Aid? Tamta zdzira też dla niego tylko pracowała. – Catherine nie odzywała się, ale on drażył dalej. – Jak jej było?

Czy to ze strachu, czy przez lojalność Catherine załamał się głos.

– Nazywała się Joanna – powiedziała.

– Jo-anna – powtórzył White. – Właśnie o niej mówię. Ale była przed tobą, prawda?

– Nigdy jej nie poznałam.

White spojrzał na mnie.

– Cipa leży gdzieś zastygła w cemencie. Kiepska emerytura, nie?

– Pierdol się – powiedziała Catherine.

– Co takiego, skarbie?

Odwróciła się i powtórzyła mu to w twarz.

Mocniej ścisnąłem szklanę. Myślałem, że ją uderzy. Sądząc po jej spojrzeniu, ona chyba też tak myślała. Zobaczyłem mnóstwo twarzy w tłumie, obserwowały nas. Odniosłem wrażenie, że to od tej chwili zależy cała rozmowa, cały wieczór.

– Chciałeś z nami o czymś pogadać – powiedziałem. – Domyślam się, że nie o przeszłości.

– Patrzcie tylko – odparł Sheldon z uśmiechem. – Aid ma w dupie, co kto mówi. Od razu przechodzi do sedna. I dobrze.

– Po prostu mam inne plany na wieczór.

– I dobrze, stary, i zajebicie. Ale najpierw chcę cię na chwilę wypożyczyć.

– Po co?

– Nazwijmy to dbaniem o pokój.

Czekałem.

– Nie mogę tu tak po prostu wpadać, nie dając znać Carverowi, prawda? W końcu to jego bar. Możesz mu coś ode mnie przekazać. Szansę. Z tego co mówi Neil, ostatnio Franczyza działa za pośrednictwem Rubika. Towar przychodzi, jest tu sprzedawany i przenoszony w inne miejsca. Mam rację? – Barman pokiwał głową, wpatrując się w stół. – Ale skoro reputacja Zaina poszła się walić, a obecny tu Neil musi się ukrywać, w interesach nastąpił zastój.

– A ty możesz je znowu rozruszać.

Przycisnął palce do ramienia Catherine.

– No tak, mogę zadbać, żeby nie wystygły. – Pokręciłem głową, a on mówił dalej. – To propozycja nie do odrzucenia. Masz mu powiedzieć, że jestem gotowy zapłacić. – Uśmiechał się pogardliwie. Na górnej wardze miał gęstą, lśniąca warstwę potu. – Jeden procent wszystkich zysków.

– Mógłby się zgodzić tylko w jednej sytuacji.

– Leżąc na ziemi – powiedział Sheldon. – Jest w czarnej dupie. Nie ma wyjścia.

– Ale ma swoją dumę. Mogę mu przekazać, że tu sprzedajesz. To wystarczające upokorzenie. Jeśli zaproponujesz mu jeden procent, jego duma tego nie znieśie. Zamiast zysków będziesz miał wojnę. – Sheldon wydawał się znudzony. – Ma niewiele do stracenia – powiedziałem. – Zaproponuj mu dziesięć procent, a będzie mógł to nazwać decyzją biznesową. Przełknij to, zachowując twarz.

Cmoknął przez zęby, udawał, że się zastanawia.

– Może i masz trochę racji, Aids. – Świdrował mnie wzrokiem. – Zgodzę się na pięć.

– To o to w tym wszystkim chodziło?

– W jakim wszystkim?

– Mówię na przykład o czarnej i białej farbie przed domem Carvera.

Sheldon zmarszczył brwi, roześmiał się.

– Koleś, farba nie ma ze mną nic wspólnego. Ale dobrze wiedzieć, że Zain ma jakichś nowych wrogów. A naśladownictwo to najwyższa forma pochlebstwa.

Starąłem się dojść do siebie.

– A dlaczego miałbym być twoim posłańcem?

Barman przerwał nam, zwracając się do White'a:

– Mówiłeś, że będę mógł powiedzieć Carverowi...

– Ale to było, zanim spotkaliśmy Aida. Teraz improwuję. – Barman spojrzał na niego, ciężko oddychając. Jego plan wytłumaczenia się wziął w łeb.

– Przed chwilą mi przerwałś, Aid – podjął White – gdy mówiłem o pechowej Joannie. Powiedziałeś, że nie przyszedłem tu po to, żeby rozmawiać o przeszłości. Jesteś w błędzie. – Jego ręka przesunęła się w stronę piersi Catherine i chwyciła ją przez bluzkę. Cath zamknęła oczy. – Ty pójdziesz wyjaśnić sprawę Carverowi, a Cath tu ze mną zaczeka. Prawda, Cath?

Nie odezwała się.

Zbliżył kciuk i palec wskazujący, ściskając sutek przez bluzkę.

– Prawda, Cath?

– Tak – powiedziała, otwierając oczy.

Starłem się wszystko zapamiętać. Połyskujące kropelki wilgoci na stoliku, zapach alkoholu, łapanie jednym uchem rozmowy. Wyraz twarzy Catherine. Znowu wpatrywała się w ścianę, ale jej oczy wypełniały się łzami. Chciałem, żeby na mnie spojrzała, żeby znowu mi zaufała, ale wiedziałem, że to niemożliwe.

– Daj telefon – powiedział Sheldon.

Znalazłem komórkę w kieszeni i podałem mu. Skinął w stronę barmana, który niezdarnie mnie przeszukał, żeby sprawdzić, czy nie mam drugiej. Zobaczyłem czerwony krąg krwi na koszuli, gdzie nóż przebił mi skórę. Zadowolony pokiwał głową, patrząc na Sheldona. Ten podał mi tanią, starą komórkę.

– Możesz zadzwonić tylko pod jeden numer: mój. Carver ma po prostu powiedzieć jedno z dwóch słów: „tak” albo „nie”. – Upił łyk i cmoknął. – A jeśli będzie miał z tym problem, jeśli nie zgodzi się na pięć procent, jeśli nie dostanę odpowiedzi do dziesiątej, Cath zaginie. – Na jego twarzy zakwitły paciorki potu. – Znowu mi przerwałś, Aids. Nigdy nie myśl, że nie masz nic do stracenia, koleś. Będzie tak, jakby w ogóle, kurwa, nie istniała.

Catherine nadal nie chciała na mnie spojrzeć, a dziesięć sekund później przeciskałem się przez tłum w stronę wyjścia. Umysł miałem całkowicie spokojny. Całkowicie jasny. Całkowicie skupiony na Sheldonie Whicie i barmanie. Tylko daj mi szansę, pomyślałem. Daj mi szansę, kurwa, a zabiję ich obu.

Po wyjściu z dusznego Rubika poczułem uderzenie zimnego powietrza. Na ulicy ludzie ubrani w zimowe płaszcze zmierzali we wszystkich kierunkach, do swoich domów, rodzin, łóżek. Dwaj mężczyźni wyszli za mną z klubu i zacząłem się oddalać. Wyciągnąłem telefon, który dał mi Sheldon, wybrałem 999 i poprosiłem o połączenie z policją.

– Na parterze w klubie nocnym Rubik przy Locks jest przetrzymywana dziewczyna. Brunetka, dwadzieścia parę lat. Towarzyszy jej dwóch, a być może więcej białych mężczyzn. Jeden z nich to Sheldon White, około pięćdziesięciu lat, karany za ciężkie uszkodzenia ciała i przestępstwa narkotykowe. Drugi to Glen Smithson, trzydziestokilkulatek, ma na koncie gwałt na randce i przestępstwa narkotykowe. Są uzbrojeni i niebezpieczni. Uzbrojeni i niebezpieczni. – Upewniwszy się, że obudziłem dyspozytora, rozłączyłem się.

Idąc dalej, próbowałem skontaktować się z Parrsem, ale nie odpowiadał.

Wszystkie mijające mnie taksówki wiozły pasażerów i jechały w niewłaściwym kierunku. Mimo to próbowałem je zatrzymać. Pieszko do domu Carvera musiałbym iść godzinę. Samochodem pokonałbym tę odległość w piętnaście minut. Spojrzałem na telefon Sheldona.

Skurwiel nie ustawił czasu.

Minęły mnie dwie dziewczyny i zawołałem za nimi, pytając o godzinę. Gapiły się na mnie, jakbym był pijany.

– Jestem spóźniony – powiedziałem zdyszany.

Żadna z nich nie miała zegarka i jedna nieufnie sięgnęła do torebki po telefon. Zrobiłem krok do tyłu, żeby nie pomyślała, że chcę go ukraść.

– Za piętnaście – powiedziała.

– Dziesiąta? – Zanim potwierdziła, byłem już daleko.

Usłyszałem bożonarodzeniowy tłum na St Anne's Square, zanim go zobaczyłem. Jaskrawe światła i świąteczne dekoracje wisiały nad setkami ustawionych specjalnie na tę okazję drewnianych straganów, prowizorycznych barów i sklepików. Powietrze było gęste od wymieszanych zapachów piwa, grzanego wina i hot dogów.

Grała muzyka, wszędzie było mnóstwo ludzi. Rodziny z ospałymi, przejezdzonymi dziećmi, pracownicy okolicznych biur, flirtujące nastolatki na pierwszych randkach. Przedzierałem się przez potężne fale ruchliwego tłumu.

Sheldon szykował wrogie przejęcie. Barman słusznie powiązał wydarzenia ostatnich kilku tygodni.

Śmierć Isabelle.

Sycamore Way.

Obarczenie Carvera odpowiedzialnością za to, co się stało.

„To odrębne sprawy czy może, kurwa, jedna wielka sprawa?”

Trudno było sobie wyobrazić, że te zdarzenia były czymś innym niż wstępem do tego, co się właśnie działo. Miasto i Franczyza miały więcej niż tylko Rubika. Ale on był okrętem

flagowym. I bez względu na to, czy barman się rozciąpał, czy nie, przekazał ster Burnsiderom. Zapropozowanie Carverowi pięciu procent zysku było naprawdę gorzką pigułką. Odebrałby to dokładnie tak, jak miało zostać odebrane.

Jak zniewagę.

Mogłem jedynie powiedzieć mu prawdę albo coś zbliżonego do prawdy. Pomanipulować nim za pomocą wzmianki o jego ukochanej przeklętej Joannie. Zagrać na tej samej złości, którą widziałem na Burnside, na tej samej złości, przez którą o mało nie zabił człowieka za wspomnienie o jednej z jego dziewczyn. Nie mogłem dopuścić, żeby Catherine stała się krzywdą.

Zanim doszedłem do postoju, zobaczyłem jadącą w moją stronę taksówkę z włączonym napisem „WOLNA”. Wybiegłem na ulicę, w hałas ruchu ulicznego, i zacząłem machać. Kierowca się zatrzymał i podał mi adres Carvera.

– Pięćdziesiąt funciaków, jeśli dojedziemy tam w dziesięć minut.

– Masz szczęście, kolego, że udało ci się dzisiaj złapać taryfę.

– Czemu?

– Na Yarville Street wybuchł ogromny pożar. Jakies dwadzieścia taksówek poszło z dymem.

– Kiedy?

– Godzinę temu.

Przy Yarville mieściła się główna siedziba firmy taksówkarskiej należącej do Franczyzy. Kolejny ruch Sheldona White'a. Miałem nadzieję, że Carver jeszcze o tym nie wie.

– Słuchaj, kolego, czy mogę pożyczyć twoją komórkę? Dycha z góry za jeden krótki telefon.

– Spojrzał na mnie we wstecznym lusterku. – To wyjątkowa sytuacja – powiedziałem, wyciągając gotówkę. Pokiwał głową i zrobiliśmy wymianę. Zadzwoiłem do komisarza Parrsa.

Od razu przełączyło mnie na pocztę głosową.

– Zdemaskowali mnie – powiedziałem. – Pewna dziewczyna jest w niebezpieczeństwie. Cath. Sheldon White przetrzymuje ją na parterze w Rubiku. – Nie wiedziałem, co jeszcze powiedzieć. – Niech pan jej pomoże. – Rozłączyłem się i oddałem telefon kierowcy. Unikał kontaktu wzrokowego i przyspieszył, chcąc jak najszybciej się mnie pozbyć.

Zatrzymaliśmy się mniej więcej trzydzieści metrów od Fairview. Spojrzałem na zegarek na desce rozdzielczej: dwudziesta pierwsza pięćdziesiąt sześć. Wepchnąłem wszystkie banknoty z portfela przez okienko z pleksiglasu i wysiadłem, po czym pobiegłem w stronę domu. Popędziłem ścieżką i zderzyłem się z drzwiami wejściowymi.

Gdy nikt się nie zjawił, zacząłem w nie kopać. Waliłem, krzychałem i opierałem się na dzwonku, dopóki nie zabłysło światło w korytarzu.

Odsunąłem się, żeby Sarah Jane mogła mnie zobaczyć przez wizjer. Gdy drzwi się otworzyły, ruszyłem naprzód, ale ktoś mocno mnie odepchnął. Grip. Sarah Jane stała za nim, obejmując się rękami. Przez te jaskraworude włosy wyglądała blado. Niezdrowo i chudo.

– Muszę natychmiast zobaczyć się z Zainem.

Grip zagroził mi wejście.

– Co się, kurwa, dzieje?

– Siderzy mają Catherine. – Zrobił krok do tyłu i spojrzał przez ramię na Sarah. – Jeśli Zain nie porozmawia z nimi do dziesiątej, Cath zaginie. – Trzymałem w ręce komórkę. – Jest tu tylko jeden numer. Zain musi po prostu zadzwonić i powiedzieć „tak”.

– Co „tak”? – spytał Grip.

– Wiedzą, że w tej chwili nie może niczym kierować. Chcą sprzedawać w Rubiku, dopóki nie poradzi sobie z tym całym gównem.

– Właśnie podpalili jego samochody, nie zgodzi się.

– Aidan... – powiedziała Sarah Jane.

– Może się zgodzić, a potem się wycofać.

Grip zrobił krok do przodu.

– Nie zgodzi się.

– Aidan – powtórzyła Sarah Jane, stając między nami. – Jego tu nie ma.

Przez chwilę słyszałem tylko własny oddech.

– Która godzina? – spytałem.

Sarah Jane spojrzała na zegarek.

– Dwie po...

– Gdzie ona jest? – spytał Grip. Ale ja już byłem daleko. Telefon w mojej dłoni był śliski. Potrafiłem myśleć jedynie o Catherine, która nie chciała na mnie spojrzeć. Nie ufała mi. Odblokowałem klawiaturę i otworzyłem listę kontaktów.

Jedna pozycja.

„SZEŃ”.

Coraz bardziej oddalałem się od światła domu, idąc ścieżką i czując się niewidzialny. Mój palec zawisł nad przyciskiem.

Wszystko się zatrzymało.

Przez chwilę słuchałem wiatru świszczącego wśród drzew, a potem zadzwoniłem. Długo rozbrzmiewał sygnał. Przez ponad minutę. A potem rozległo się kliknięcie.

– Spóźniłeś się – powiedział Sheldon.

– Dotarłem o czasie. Carvera nie ma.

– W porządku.

– Mogę go znaleźć w ciągu godziny...

Na linii zapadła cisza.

Spojrzałem na telefon i zobaczyłem, że trzęsą mi się ręce. Czuję, że płuca płoną mi w klatce piersiowej. Nagle dotarło do mnie, że siedzę na ścieżce w ogrodzie i gapię się na drzewa. Wydawało mi się, że widzę i słyszę w nich ludzi przytulonych do gałęzi, obserwujących mnie.

Zadzwońnię jeszcze raz, ale nikt nie odbierał. Gdy ponownie wybrałem numer, od razu połączyłem się z pocztą głosową. Wysłuchałem wiadomości przekazanej automatycznym damskim głosem i czekałem na sygnał. Nie wiedziałem, co powiem, dopóki tego nie zrobiłem:

– Zgodzi się na jeden procent, oddzwon.

Rozłączyłem się i siedziałem, wpatrując się w telefon. Czułem, jak sekundy znikają na dobre. Staralem się nie myśleć o tym, jak czas upływa Catherine.

Nie chciałem wracać do Rubika, bo mógł zadzwonić Sheldon i może musiałbym dalej szukać Carvera, ale wstając, usłyszałem, jak z tyłu zatraskują się drzwi. Bez tej lekkiej poświaty wydobywającej się z domu ścieżkę spowijała ciemność. Odwróciłem się i rozróżniłem zarysy dwóch postaci, Sarah Jane i Gripa, idących w moją stronę.

– Co im powiedziałeś? – spytała Sarah Jane.

– Powiedziałem, że Zaina nie ma w domu. Rozłączyli się.

– Zadzwon do nich jeszcze raz.

– Od razu przełącza mnie na pocztę. Gdzie on się podziewa?

– Wyszedł. – Zawahała się. – Gdzie jest Cath?

– Była w Rubiku, ale wątpię, czy nadal tam jest.

– Przekonajmy się. – Wyjęła telefon z kieszeni kurtki i zadzwoniła do Catherine. Wszyscy czekaliśmy. – Jest sygnał – powiedziała. Podszedłem i usłyszałem, jak sygnał gwałtownie się urwał, gdy ktoś przełączył na pocztę głosową.

– Jadę do Rubika – powiedział Grip, omijając mnie i idąc ścieżką.

– Jadę z tobą.

– Nie, koleś. Ty możesz poszukać pieprzonego jaśnie pana i powiedzieć mu o tym syfie. A tak w ogóle to co z nią robiłeś?

– Rozmawiałem.

– Tylko do tego się, kurwa, nadajesz.

– Kto ją przetrzymuje? – spytała Sarah Jane.

– Sheldon White. Powiedział, że powinienem wspomnieć o Joannie Greenlaw. – Przez chwilę nikt się nie odzywał. Nie widziałem ich wyraźnie, ale odniosłem wrażenie, że wymienili spojrzenia. – Grip, kto był wtedy przed moim mieszkaniem?

Nie odpowiedział, ale słyszałem, jak oddycha.

– O czym on mówi? – spytała Sarah Jane.

– Ktoś splądrował moje mieszkanie. W noc Sycamore Way. On widział kto.

– Mówiłem ci. Psy.

– Kim był ten facet z nożem? – Nie odezwał się. – Myślę, że to był Glen, Neil czy jakie tam teraz imię nosi wasz były menedżer baru. Był dzisiaj z Sheldonem. Jest z nim od jakiegoś czasu. Gdybyśmy wiedzieli o tym wcześniej, moglibyśmy temu zapobiec.

Grip nadal był tylko kształtem w ciemności, ale gdy westchnął, zobaczyłem, jak opadają mu

ramiona.

– Znajdź Zaina – powiedział i zniknął na końcu ścieżki.

Spojrzałem na Sarah Jane, na zarys jej postaci. W mroku nie byłem w stanie zobaczyć jej twarzy, ale w świetle księżyca widziałem jej rude włosy. Trzymałem w ręku telefon i gdy zaczął dzwonić, obydwójmy utkwiliśmy w nim wzrok. Na rozświetlonym ekranie widniał napis:

„Połączenie: SZEŃ”.

Odebrałem i trzymałem telefon w przestrzeni między nami dwojgiem. Sarah Jane się przysunęła.

– Jeden procent – powiedział Sheldon ze śmiechem.

– W porządku.

– Masz czas do dziesiątej trzydzieści.

– Pozwól mi z nią porozmawiać.

Na linii znowu zapadła cisza.

Spojrzałem na Sarah Jane.

– Która godzina?

Podświetliła ekran swojego telefonu.

– Dziesięć po. – Wzięła mnie pod rękę. – Chodź, chyba wiem, gdzie on jest.

Dotarliśmy do końca ścieżki. Uliczne światła przynosiły względne odprężenie. Po raz pierwszy tego wieczoru zobaczyłem ją wyraźnie. Miała na sobie lisie futro i czarne dżinsy. Listopad prezentował nam swoje sroższe oblicze i zastanawiałem się, czy nie wzięła mnie pod rękę, dlatego że marża. Po paru krokach zauważyłem, że utyka. Minęło zaledwie kilka dni od napadu na jej taksówkę. Pomyślałem, że razem z pieniędzmi straciła część swojej pewności siebie. Szliśmy jak najszybciej, kuląc się z zimna.

– Zaczynam się zastanawiać, czy w ogóle możemy mieć jakieś problemy bez twojego udziału – powiedziała.

– Wygląda na to, że mieliście je w piątek wieczorem i nie było mnie w pobliżu. – Przez chwilę się nie odzywała, ale lekko przyspieszyła kroku, starając się ukryć utykanie. Dotarliśmy do końca ulicy i skręciliśmy w stronę kompleksu brzydkich nowszych budynków. Pomyślałem, że chyba wiem, dokąd idziemy. Gdy mijaliśmy mężczyzn na ulicy, widziałem, jak ich wzrok kieruje się w stronę Sarah Jane. Ona tego nie zauważała albo jej to nie obchodziło.

– Z tą taksówką to był wypadek.

– Jak cholera. O co w tym wszystkim chodzi?

Milczała.

– Kiedy byłem w Fairview po raz drugi, kłóciłaś się z Zainem. O to? Czy to się zaczęło już wtedy?

– Nie kłóciliśmy się.

– Uderzyłaś go. Nie przypuszczałem, że jesteś tego rodzaju kobietą.

Odsunęła rękę.

– Nie mów mi, kurwa, jakiego rodzaju jestem kobietą.

– Jesteś rozsądna. Co się zmieniło? Dlaczego utykasz?

Zatrzymała się, spojrzała na mnie.

– Właściwie to rozmawialiśmy o tobie. Tamtego wieczoru.

– To mi pochlebia.

– A nie powinno.

– Już wtedy w domu była kiepska atmosfera.

Znowu zaczęła iść.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Potem ktoś zaprawił cegłę – powiedziałem do jej pleców. – Umarło mnóstwo dzieciaków. Umarła Isabelle. Jakież hipotezy?

– Jesteśmy na miejscu – powiedziała.

Paskudny szary budynek spowity listopadową mgłą wyglądał jak ulotne wspomnienie. Dziobate, obłożone kamieniami ściany sprawiały wrażenie, jakby miały blizny po trądziku, a za anonimowymi oknami paliło się przemysłowe halogenowe światło. To był ten przerobiony biurowiec, w którym umarła Isabelle Rossiter.

Sarah Jane prowadziła. Przez pusty korytarz i po schodach. Szła metr przede mną. Patrzyłem na jej rude włosy i czułem perfumy. Wywołały we mnie jakąś tęsknotę. Jak znajoma woń, która sprawia, że zatrzymujesz się na ulicy w pół kroku i cofasz się do spraw, o których, jak ci się wydawało, już zapomniałeś. Nie potrafiłem jednak umiejscowić tego wspomnienia.

Nawet wtedy gdy szliśmy razem, sprawiała wrażenie, jakby szła osobno. Jakbyśmy nigdy wcześniej się nie spotkali. To nie było lekceważenie ani arogancja. Po prostu miała w sobie coś, co ją odróżniało. Poczułem, że nigdy jej nie znałem i nigdy nie poznam.

Nie wiedziałem, co Carver miały tu robić. Zastanawiałem się, czy sięgnął dna. Czy wynajął tu gdzieś pokój, żeby od tego wszystkiego uciec. Gdy wchodziliśmy coraz wyżej, mijając pierwsze i drugie piętro, domyśliłem się, że idziemy do dawnego mieszkania Isabelle.

Sarah Jane skręciła w korytarz. Im dalej szliśmy, tym gorzej się czułem. Na podłodze leżała zerwana taśma policyjna.

„Zakaz wstępu”.

Sarah Jane zapukała i odwróciła się. Stałem zbyt blisko. Cofnęła się w stronę drzwi i spojrzała na mnie. Delikatnie położyła dłoń na mojej piersi. Odsunąłem się, a ona wyjęła z kieszeni klucz. Gdy otworzyła drzwi, poczułem się trochę tak, jakbym za chwilę miał zobaczyć leżącą tam wciąż Isabelle.

Na korytarz wyleciało jednak ciepłe powietrze przecięte ostrym zapachem potu. W pokoju było ciemno, świeciła się tylko lampka na biurku. Wystudiowana anonimowość Isabelle ustąpiła miejsca chaosowi. Zobaczyłem ogólnokrajowe gazety i parę lokalnych szmatławców. Wszystkie były otwarte na stronach z artykułami o Isabelle Rossiter, Davidzie Rossiterze, Zainie Carverze i Sycamore Way. Na samym środku podłogi znajdował się policyjny apel o informacje w sprawie Joanny Greenlaw. Na niektórych stronach otoczono coś kółkiem, popodkreślano.

Zain Carver, mózg przestępczej działalności, spał na obrotowym krześle przy biurku. Oplótł się rękami i podkulił nogi. Wyglądał jak wampir, który spędził dzień bez krwi. Miałem ochotę nim potrząsnąć, żeby się obudził.

Sarah Jane odwróciła się do mnie.

– Zaczekaj tu.

– Nie mamy czasu na...

– Spokojnie – odparła, wchodząc do środka i zamykając drzwi. Nie potrafiłem czekać beczynn timer. Miałem wrażenie, że kości śwędzą mnie pod skórą. Słyszałem mamrotanie za drzwiami przerywane podniesionym głosem Sarah Jane.

Minęła minuta.

Spojrzałem na telefon.

Nic.

Popatrzyłem na korytarz, na inne drzwi na piętrze. Pomyślałem o ukrytym za nimi życiu. Minęła następne minuta. I kolejna.

Byłem już gotów wejść do środka i zacząć krzyczeć, ale Sarah Jane otworzyła drzwi. Delikatnie je za sobą zamknęła i powiedziała cicho:

– Testuje wszystko, co nam zostało. – Drżał jej głos. – Chyba próbuje się zabić...

Gdy wszedłem, Carver już się ocknął i patrzył przed siebie nieobecny wzrokiem.

Nie wstał.

– Telefon – wybełkotał.

Podąłem mu go. Poczułem lepkość jego dłoni. Dziwnie było go widzieć w takim stanie. Naprawdę mnie rozczarował. Przez chwilę wpatrywał się w aparat, a potem palcem wskazującym otworzył listę kontaktów. Zamrugał, bo ktoś natychmiast odebrał połączenie. Usłyszałem głos po drugiej stronie. Carver siedział i słuchał.

Głos umilkł.

Minęło kilka sekund i poczułem na sobie spojrzenie Sarah Jane. Wpatrywaliśmy się w siebie, żadne z nas nie śmiało się odezwać.

– Tak – powiedział Carver.

Carver upuścił telefon na podłogę. Sarah Jane ruszyła w jego stronę, a ja zawróciłem ku drzwiom. Gdy wychodziłem, żadne z nich na mnie nie spojrzało. Jaskrawe, agresywne żarówki w korytarzu bzycały mi nad głową. Chwiejnym krokiem zszedłem po schodach, trzymając się poręczy. Przebiegłem korytarzem i z hukiem wypadłem przez dwuskrzydłowe drzwi na ulicę.

Noc była ciągiem migających obrazów.

Zdarzenia nie układały się w żadną sekwencję i potem nie potrafiłem odtworzyć ich kolejności. Pamiętam to tak, jakbym był w dwudziestu pięciu różnych miejscach naraz. Byłem na głównej ulicy i zatrzymywałem samochody. Jechałem taksówką, wpadłem do Rubika. Minęła już północ. Drzwi były zamknięte i rozmawiałem z ludźmi na zewnątrz. Przerzywałem rozmowy, pytając, czy widzieli Cath. Byłem z tyłu, sprawdzałem wyjścia ewakuacyjne.

Oddalałem się od Locks w stronę centrum miasta. W klubach nadal tętniło życie. Przed większością z nich stały długie, kręte i gwarne kolejki.

Skórzane ubrania, śmiech, perfumy.

Kiedyś obserwowałem dziewczyny Franczyzy zbierające w tych klubach pieniądze, a teraz rozmawiałem z ludźmi stłoczonymi na zewnątrz i z bramkarzami.

„Nie znam jej, stary”.

„Nie znam go, stary”.

„Nie wydaje mi się, stary”.

Byłem w taksówce, jechałem do domu. Przetrzęsałem szuflady, wyrzucając rzeczy na podłogę, szukając czegoś.

Znalazłem swoją odznakę policyjną.

Wziąłem garść amfy.

Wyszedłem.

Znowu byłem w centrum miasta. Znowu chodziłem wzdłuż kolejek, wypatrując Cath, Sheldona, Gripa, barmana.

Wypatrując kogokolwiek.

W jakiejś alejce poprawiłem na sobie ubranie i odzyskałem równy oddech. Ćwiczyłem uśmiech. Straciłem rachubę, w których barach już byłem, i zrobiłem drugą rundę. Pokazywałem bramkarzom odznakę. Patrzyłem, jak zapamiętują moje nazwisko.

Wpuszczali mnie. Ryk basu, głosy, śmiech. W każdym barze starałem się przypomnieć sobie ulubione miejsce Cath. Zaglądałem w kąty. Przekrzykiwałem muzykę. Rozdzierałem pary, starając się ją opisać. Po drodze znajdowałem różne puby i kluby w bocznych uliczkach. Było już koło pierwszej i ludzie spoglądali na mnie inaczej. Ich uśmiechy stały się nieufne.

Czułem, że zastanawiają się, kim jestem.

Byłem na ulicy. Byłem w taksówce. Byłem przed domem Carvera i waliłem do drzwi. Byłem w mieście. Patrzyłem, jak kolejki topnieją i znikają. Znowu byłem w klubach. Rozmawiał ze mną jakiś facet ze słuchawką w uchu, przekrzykując muzykę.

– Mogę ci jakoś pomóc, stary?

Pokazałem mu odznakę.

– Szukam pewnej dziewczyny. – Wskazał głową w stronę stołków przy barze, gdzie muzyka była trochę cichsza. Usiedliśmy.

– Tej samej co wcześniej?

– Wcześniej?

– Ktoś od was już tu był. Pytał o brunetkę w skórzanej kurtce z dwoma starszymi mężczyznami.

– Jak wyglądał?

– Nie widziałem go, stary.

– A kto widział?

– Pat. Ma teraz przerwę.

– Przeprowadź go do mnie. – Uświadomiłem sobie, że wstaję.

– Zobaczę, czy uda mi się go znaleźć. – Wszedł w tłum, a ja się rozglądałem. DJ kończył występ wolnymi piosenkami i wszędzie wokół ludzie tańczyli, całowali się, owijali wokół siebie. W powietrzu unosił się zapach alkoholu i napojów energetycznych. Perfum i seksu.

– Wszystko w porządku? – spytała barmanka.

– Podwójna wódka z red bullem, dzięki. – Przez chwilę wydawała się zdezorientowana i dotarło do mnie, że nie o to pytała. Potem odwróciła się i zaczęła nalewać drinka. Gdy popijałem następną porcję amfy, przez tłum przecisnęli się do mnie bramkarz z kolegą.

– Ktoś już pytał o tę dziewczynę. Powiedz mi, jak wyglądał.

Był skołowany, powiedział coś do drugiego.

– Jak wyglądał? – powtórzyłem.

– To byłeś ty, stary.

Stałem przed Fairview w całkowitej ciemności. Na ulicy było tak spokojnie, że czułem się jak w jakimś wnętrzu. W ogromnym studiu telewizyjnym. Byłem na ulicy, byłem w taksówce, byłem w mieście, byłem w klubach i przed klubami.

Szedłem w stronę Burnside. Taksówkarz nie chciał pojechać do końca. Byłem obok magazynu, przed nim, w środku. Rozmawiałem z ćpunami, potrząsałem nimi, żeby się obudzili, mówiłem im o ładnej dziewczynie z brązowymi włosami.

Słabe, szare angielskie światło dnia. Dotarłem do Fairview, ale z pukaniem do drzwi postanowiłem poczekać godzinę, do ósmej. Czasami tak właśnie działa na mnie amfa. Wywołuje dziwną taktowność. Kilka razy okrążyłem kwartał. Słuchałem porannego śpiewu ptaków.

Od dwóch godzin padał lekki deszcz i miałem wilgotne ubranie. Zobaczyłem dwie roześmiane dziewczyny idące do pracy, trzymały gazety nad głowami, żeby nie zmoknąć. Ich spojrzenia prześliznęły się po mnie, jakby mnie nie było.

Zdecydowałem się zapukać trzy razy, niezbyt mocno. Postanowiłem, że zaczekam minutę, a potem zapukam jeszcze raz. Po następnej minucie wybiję szybę w oknie z tyłu i wejdę sam. Sarah Jane otworzyła prawie natychmiast. Jej rude włosy chwytają światło dnia i sprawiały, że skóra wyglądała na jeszcze bledszą niż zwykle. Zobaczyłem koc i poduszkę na białym krześle w korytarzu. Zastanawiałem się, czy przesiedziała tu całą noc.

– Catherine, Grip – powiedziała. – Żadne z nich nie wróciło.

Kazałem Sarah Jane zadzwonić na policję. Carver leżał nieprzytomny na górze. Grip miał wyłączony telefon i z nikim się nie kontaktował. Powiedziałem jej, żeby zgłosiła zaginięcie Gripa i Catherine.

– Jeśli chcesz, mogę tu z tobą poczekać.

Spojrzała na mnie z czymś w rodzaju bezsilnej nienawiści.

– Naprawdę wolałabym nie.

Zostawiłem ją stojącą w korytarzu. Gdy dotarłem do końca ścieżki, usłyszałem, jak coś krzyczy, ale się nie odwróciłem. Męczyło mnie słuchanie, co ludzie o mnie myślą. Pojechałem taksówką do miasta, w stronę Rubika. Na zewnątrz znalazłem budkę telefoniczną i zadzwoniłem do komisarza Parrsa. Przy trzecim sygnale pomyślałem, że coś jest nie tak. Zaczekałem, aż przełączyło mnie na pocztę głosową. Znowu. Odczekałem kilka minut i zadzwoniłem ponownie. Od razu włączyła się automatyczna sekretarka.

– Jedna z dziewczyn zaginęła – powiedziałem.

Gdy znowu zjawiłem się w Rubiku, było koło dziesiątej. Garstka mężczyzn już piła, ale trzymali się na uboczu i w sali było cicho.

Powitała mnie wesoła australijska barmanka.

– Wcześniej wstałeś.

– Jeszcze się nie położyłem.

– Już masz za sobą długi dzień? – Pokiwałem głową. – Co ci podać?

Pokazałem jej policyjną odznakę.

– Mam kilka pytań.

– Aha. – Zajął ją czymś ręce. – Nie wiedziałam, że jesteś policjantem.

– Niepraktykującym. Pracowałaś wczoraj wieczorem?

Zacząła wycierać nieskazitelnie czysty bar. Zawahała się.

– Nie obchodzi mnie ósemka. Zaginęła moja przyjaciółka. Cath, Catherine. Była tu koło dziesiątej. Pracuje dla Zaina Carvera. Na pewno ją znasz.

Odłożyła ścierkę.

– Znam. Obsługiwałam ją wczoraj wieczorem, ale potem już jej nie widziałam. Wszystko u niej w porządku?

– A przez resztę wieczoru? Zauważyłaś coś nietypowego? Kogoś nietypowego?

– Ja...

– To ważne i zostanie między nami. Muszę ją znaleźć.

Wzruszyła ramionami.

– Cath zamówiła lemoniadę. To było nietypowe.

– Coś jeszcze?

– Niespodziewanie zjawił się Neil.

– Dawny menedżer baru...

Przytaknęła.

– Wyglądał okropnie.

– Rozmawiałaś z nim?

– Znasz Neila?

– Tak, to kutas.

– Racja. Z nim w zasadzie się nie rozmawia, tylko się go słucha.

– Masz na imię Mel, prawda? – Potwierdziła. – Słyszałaś o Isabelle Rossiter?

– O córce tego posła? – Uniosła rękę do piersi. – Straszna historia.

– Neil powiedział, że spędził tamtą noc u ciebie. To była niedziela piętnastego.

Zarumieniła się i pokiwała głową.

– Był wściekły z jakiegoś powodu. Spał na kanapie.

– I został na całą noc?

– Od zamknięcia do dziesiątej, jedenastej następnego dnia. – Uświadomiła sobie, o co pytam.

– Zaraz, chyba nie miał z tym nic wspólnego?

– Najwyraźniej nie. – Usłyszałem rozczarowanie w swoim głosie. Barman prawie na pewno nie spał z Isabelle w noc jej śmierci. Nie zabrał jej telefonu. – Czy wczoraj działo się coś jeszcze? Cokolwiek?

– Przyszła policja. Ktoś zgłosił jakieś zakłócenie porządku. Niczego nie znaleźli, więc wyszli. Poza tym na ulicy jak zwykle ktoś się bił. Kiedy zamykaliśmy, widziałam karetkę.

Karetkę.

– Ostatnia sprawa: znaleziono wczoraj jakieś telefony? Albo dzisiaj rano?

– Zaczekaj chwilę, dobrze? – Posłała mi lekki, niewyraźny uśmiech i zniknęła na zapleczu. Nie było jej dwie minuty, podczas których przyglądałem się starym mężczyznom kontemplującym swoje drinki. Myślałem, co się działo o tej porze poprzedniego dnia. Poranny dźwięk budzika, prysznic, golenie i kawa. Spotkanie z komisarzem Parrsem.

Miałem wrażenie, że od tego czasu minął miesiąc.

Barmanka wróciła z trzema telefonami. Jeden z nich należał do mnie. Wziąłem go i spojrzałem na ekran. Brak wiadomości. Brak połączeń.

– Masz długopis? – Znalazła go, a ja zapisałem swój numer na serwetce. – Jeśli zjawi się tu Neil albo Catherine, jeśli wydarzy się coś, co nie będzie ci się podobało, zadzwoń do mnie, proszę. Obiecuję, że zachowam poufność.

– Jasne – powiedziała cicho.

Zacząłem obdzwaniać szpitale. Przedstawiałem się jako funkcjonariusz policji i rozmawiałem z dyspozytorami. Najpierw pytałem o zmarłych w drodze do szpitala. Noc była spokojna i jedyne przypadki dotyczyły starszych bezdomnych ludzi, którzy zamarli na śmierć.

Przywieziono jednak dwie żywe, niezidentyfikowane osoby, które wydawały się bardziej odpowiadać rysopisom. Jedna z nich, młoda kobieta, trafiła przed północą do szpitala Northern General.

Rany kłute w okolicach brzucha.

Na rękach ślady świadczące o tym, że się broniła.

Serce w piersi na chwilę mi zamarło. Drugą osobą był mężczyzna odwieziony do szpitala Royal Infirmary. Brutalnie go pobito.

Grip i Catherine nie byli razem i uznałem, że mogli wylądować w różnych szpitalach. Royal Infirmary znajdował się bliżej, ale pojechałem prosto do Northern General. Dziewczyna była w stabilnym stanie i odpoczywała. Przez sen uniosła ręce, żeby zasłonić mocno pozszywany, obandażowany tors. Zastanawiałem się, dlaczego nie podała nazwiska personelowi szpitala i dlaczego nikt przy niej nie czuwał.

To nie była Catherine. Wyszedłem, nie zakłócając jej spokoju.

W Royal Infirmary, w samym centrum miasta, było pełno ludzi z objawami przeziębienia, grypy i rozstroju żołądka. Byli tam także tacy, którzy znaleźli się w szpitalu na własne życzenie. Wypili o jednego drinka albo powiedzieli o jedno słowo za dużo.

Wiedziałem, jak to jest.

Był to ten sam szpital, do którego trafiłem po śmierci Isabelle. Powiedziałbym, że przywoływał złe wspomnienia, ale one tak naprawdę nigdy mnie nie opuściły. Podeszedłem do recepcji, pokazałem odznakę i zacząłem zadawać pytania.

– Pan z policji? – powiedział mężczyzna za kontuarem. – Wygląda pan, jakby za chwilę sam miał trafić na oddział.

Spróbowałem się uśmiechnąć.

Obawiałem się, że spotkam jakichś innych policjantów, zwłaszcza takich, którzy mogliby mnie rozpoznać, i odmówiłem, gdy zaproponował, że zaprowadzi mnie do pokoju rannego mężczyzny. Gdy dotarłem na oddział, pielęgniarka pokazała mi puste łóżko. Kończyła zmianę i ze znużeniem mówiła o tym pacjencie.

– Nie chciał z nami rozmawiać, ani z nikim od was, i rano wyszedł stąd ze złamaną nogą. Niektórzy ludzie sami proszą się o kłopoty.

Opisałem Gripa, ale pokręciła głową.

– To był duży facet. Wyglądał, jakby żył na ulicy. I jakby właśnie coś odstawił. Worki pod oczami, poplątana broda.

Glen Smithson. Neil. Barman. Sheldon White puścił go wolno. Spóźniłem się o godzinę. Miałem ochotę krzyknąć.

Pielęgniarka zmarszczyła brwi.

– Wybacz, że pytam, synu, ale dobrze się czujesz?

Zacząłem coś mówić, lecz ostatecznie tylko pokiwałem głową. Podziękowałem jej i wyszedłem.

Sheldon White dotrzymał słowa. Było tak, jakby Catherine w ogóle nie istniała. A teraz, gdy barman nie był mu już do niczego potrzebny, jego także się pozbył. Wracając do mieszkania, zobaczyłem na ulicy samochód. Granatowy ford zatrzymał się w miejscu, gdzie obowiązywał zakaz parkowania. Zanim zdążyłem podejść do drzwi, wysiedli z niego dwaj mężczyźni i stanęli obok mnie z obu stron.

– Aidan Waits? – spytał jeden.

– Sprzątam u niego. O co chodzi?

Pierwszy mężczyzna pogardliwie się uśmiechnął.

– Musimy ci zadać kilka pytań. Wejdziemy do środka?

– Odznaki – powiedziałem.

Sięgnęli do kieszeni. Pierwszy był podenerwowany, wysoki i chudy. Miał fanatyczne spojrzenie pijaka na odwyku. W białym garniturze wyglądałby jak ewangelicki kaznodzieja. Wyjął odznakę, zanim skończyłem o nią prosić. Nawet na nią nie spojrzałem.

Jego partner był przysadzisty, miał przekrwione oczy i minę winowajcy. Wyglądał jak facet zdolny do wymyślenia własnego przezwiska. Z kieszeni marynarki wypadł mu pękaty notes i na ziemię sfrunął z szelestem plik pomiętych paragonów. Zaczął grzebać w papierkach u swoich stóp. Po kilku sekundach, gdy już miał mi pokazać odznakę, gwałtownie się odwróciłem.

– Mniejsza z tym – powiedziałem. Poczulem spojrzenie, jakim obrzucił mnie z tyłu. Otworzyłem drzwi prowadzące do wąskiej klatki schodowej. – Zapraszam.

– Kiepska z siebie sprzątaczką – powiedział ten grubszy, rozglądając się po mieszkaniu.

Starannie ogarnąłem pokój. Wstawiłem nowy zamek, zmiotłem odłamki szkła i wyrzuciłem zniszczone przedmioty zaśmiecające podłogę.

Wypatroszona kanapa nadal jednak rzucała się w oczy.

Chudy zamknął za sobą drzwi i odwrócił się w stronę pokoju. Minął swojego partnera, a potem mnie, przechodząc nad opróżnionymi szufladami, w których poprzedniej nocy gorączkowo szukałem odznaki. Nic nie powiedział na temat tego nieładu, dając mi do zrozumienia, że wie, o co chodzi.

– Jestem sierżant Laskey – przedstawił się.

– A ja detektyw Riggs – powiedział ten grubszy.

Docierała do mnie podwójna wymowa ich wizyty. Przecięcie moich osobistych więzi z komisarzem oraz pokazanie, że w ogólnym rozrachunku Catherine się nie liczy. Pokazanie mi, gdzie jest moje miejsce.

– Przysłał was Parrs?

Spojrzeli na siebie ze zdziwieniem.

– W sprawie dziewczyny.

– Jakiej dziewczyny? – spytał Laskey, splatając ręce na piersi. Riggs wyjął z kieszeni marynarki opasy notes i zaczął powoli przerzucać kartki.

– Tej zaginionej – powiedziałem.

Riggs polizał palec wskazujący, znalazł właściwą stronę i przeczytał na głos:

– Dwudziestoparoletnia brunetka w skórzanej kurtce i wąskiej spódnicy w towarzystwie dwóch starszych mężczyzn. – Spojrzał na mnie. – O nią chodzi?

Laskey przejął stery.

– Nie ma sprawy, Waits, nie musisz wszystkiego pamiętać. Na odcinku od Locks do centrum miasta dotarliśmy do pięciu albo sześciu bramkarzy, którym wczoraj wieczorem pokazywałeś odznakę. Jeden z nich pamiętał nawet, że skazano cię za kradzież narkotyków.

A więc ci dwaj nie byli wtajemniczeni.

– Jeszcze mnie nie skazano.

– Ale prawie.

– Napijesz się? – spytałem.

– Dla mnie jest trochę za wcześnie, dzięki. Tamten bramkarz zastanawiał się, dlaczego zawieszony w czynnościach służbowych policjant biega po północy po mieście i szuka zaginionej dziewczyny. Ciekawe pytanie.

Riggsowi niczego nie zaproponowałem, ale podszedłem do lodówki i wyjąłem z niej zimne piwo. Nie było jeszcze jedenastej i Laskey się skrzywił. Zadbalem o to, żeby piwo lekko się speniło podczas otwierania, a potem pociągnąłem solidny, długi łyk, bardziej po to, żeby go rozdrażnić, niż z jakiegokolwiek innego powodu.

Spojrzałem na niego.

– Mówiłeś...

– Nie, to ty mówiłeś. Dlaczego zawieszony w obowiązkach policjant, którego czeka ni mniej, ni więcej, tylko proces w sprawie korupcji, posługuje się odznaką, żeby wypytywać ludzi o zaginioną dziewczynę.

– O zaginioną dziewczynę – powtórzyłem. – Przeszedłeś tu po to, żeby odpowiadać na własne pytania?

– Dlaczego nie zgłosiłeś zaginięcia?

– Zgłosiłem. To skomplikowane.

– Więc nam wyjaśnij – powiedział Riggs.

– Rano przyjaciółka zgłosiła jej zaginięcie. Moja relacja z tą dziewczyną jest niepewna.

– Niepewna?

– To znaczy nieokreślona i niepotwierdzona.

Powoli zaczął bić mi brawo.

– Skąd ją znasz?

– Z dawnej sprawy. – Spojrzałem na niego. – Sprawa to sytuacja, do której człowiek zostaje przydzielony, a potem próbuje ją rozwiązać. – Przez chwilę gapił się na mnie, a potem przeszedł na drugą stronę pokoju i oparł się o ścianę, trzymając w kieszeniach ręce zaciśnięte w pięści.

Zwróciłem się do Laskeya. Był taki chudy, że wydawał się prawie przezroczysty.

– Sprawę nadzorował komisarz Parrs, więc zgłosiłem to jemu. Wczoraj wieczorem.

– I co powiedział?

– Nie oddzwonił. Domyślam się, że jego odpowiedzią jesteście wy dwaj.

– Koleś, jesteśmy tu tylko z powodu twojej odznaki.

Teraz naprawdę się roześmiałem.

– Możemy załatwić to w prosty sposób albo...

– Proszę bardzo – powiedziałem, kucając obok szuflad na podłodze. Grzebałem w papierach, dopóki nie znalazłem tego, czego szukałem. Decyzji o zawieszeniu w obowiązkach, którą Parrs wydał w ramach mojej przykrywki, wraz z przypiętym do niej pokwitowaniem. Pokwitowanie obejmowało przedmioty, które oddałem policji do czasu, aż znowu będzie można mi je powierzyć. Świadczyło o tym, że oddałem odznakę, mimo że tak naprawdę jej nie oddałem. Minąłem Laskeya i podałem pokwitowanie jego partnerowi. W tamtej chwili nie zdołałem wymyślić niczego bardziej irytującego. Przeczytał pokwitowanie, a potem podał je koledze. Laskey też przeczytał, a następnie znowu spojrzał na mnie.

– Kiedy proces?

– Myślałem, że już się zaczął...

– Wiesz, to mogła być o wiele poważniejsza sprawa. Mogliśmy tu przyjść i rozwalić ci ten pieprzony łeb. Nadal możemy. Odznaka czy nie, na pewno coś kombinujesz. Ta dziewczyna... Co to za jedna?

– Nie wiem, jak ma na nazwisko.

– Adres?

Gdy im powiedziałem, spojrzeli na siebie.

– To dom Zaina Carvera – powiedział Riggs.

– No – potwierdziłem, siadając na wypatroszonej kanapie.

– I naprawdę zgłoszono zaginięcie?

– Dziś rano. Zrobiła to dziewczyna, która mieszka pod tym adresem. Pewnie zgłosiła też zaginięcie mężczyzny. Wczoraj wieczorem pojechał szukać tamtej i nie wrócił.

– Co to za jeden?

– Danny Gripe – powiedziałem. – Dla przyjaciół Grip. Mięśniak Franczyzy. Szukajcie mustanga hatchbacka czwartej albo piątej generacji. Czarnego z cienkimi czerwonymi paskami.

– Numer na tablicy rejestracyjnej?

– Na pewno też go podała.

– Wiesz cokolwiek, co mogłoby nam pomóc ich odnaleźć?

– Po raz ostatni widziano Catherine w Rubiku z Sheldonem White'em.

– Z Sheldonem White'em? – Laskey skojarzył to nazwisko. – Przecież Rubik należy do Franczyzy.

– Wczoraj zmienił właściciela.

Zmarszczyli brwi.

– Wygląda na to, że masz za sobą długą noc – powiedział Laskey. – Ta dziewczyna wpadła w tarapaty?

– Porozmawiaj z Parrsem – powiedziałem.

– Koleś, dlaczego zadajesz się z Zainem Carverem? Z Sheldonem White'em? To dlatego przyłapali cię na kradzieży.

– Jasne. Rozgryźłeś mnie. Już mówiłem, że znam ją z dawnej sprawy. Nie muszę wam tłumaczyć, że Franczyza się rozpada i sytuacja szybko się zmienia. Jeśli macie trochę rozumu, przekażecie to Parrsowi i powiecie mu, że to wszystko jest ze sobą powiązane.

Przez chwilę obaj milczeli.

– Jasne – powiedział w końcu Riggs. – Właśnie tak zrobimy. – Posłał mi promienny uśmiech kłamcy i wyszli.

Podszedłem do okna i patrzyłem, jak wsiadają do samochodu. Laskey powiedział coś, co rozśmieszyło jego partnera. Widziałem, jak Riggsowi trzęsą się obwisłe policzki. Gdy samochód odjechał, na ulicy zrobiło się cicho. W mieszkaniu też. Kiedy znowu spróbowałem zadzwonić do komisarza Parrsa, nie rozległ się nawet sygnał.

Następnego dnia przeczytałem, że aresztowano Zaina Carvera. Gazety wiązały go ze śmiercią Isabelle Rossiter. Wiązały go z Sycamore Way. Staralem się nie myśleć o tym, kogo powinni byli aresztować zamiast niego. Pociuszające było jedynie to, że do aresztowania doszło w dzień powszedni, a nie podczas którejś z imprez. Może jednak zdołałem dotrzeć do Parrsa.

Musiałem porozmawiać z barmanem. Był z Catherine, zanim zaginęła, a potem Sheldon White puścił go wolno. Poszedłem pod jego ostatni znany adres: do brzydkiego nowoczesnego wieżowca zbudowanego z jakimś rozmachem w centrum miasta podczas boomu na rynku nieruchomości. Obiecywał apartamenty w stylu penthouse'ów po przystępnej cenie, ale zabrakło funduszy i przedsięwzięcie porzucono na kilka lat. Dokończono je z mniejszym budżetem, niższymi oczekiwaniami i ze skromniejszymi, tańszymi mieszkaniami.

Raczej nie liczyłem na to, że go tam zastanę. Mieszkał sam, mniej więcej w połowie wysokości budynku. Żeby wejść do środka, pokazałem odznakę ochroniarzowi ze znużoną miną.

W mieszkaniu czuć było stęchły zapach taniego, samotnego życia. Zupełnie jak w moim. Wysprzątno je w pośpiechu, zostawiając mnóstwo ubrań i rzeczy osobistych. W kieszeni porzuconych dżinsów znalazłem zmieęte paragony za drinki. Ostatnio popijał w klubie Wiggle Room.

– Znalazł pan coś tym razem? – zawołał ochroniarz, gdy wychodziłem.

– Tym razem?

– Ktoś od was już tu był.

Czułem, że jest śmiertelnie znużony i aż się pali do rozmowy.

– Kiedy?

– Niech no się zastanowię – powiedział, pocierając brodę. – Co najmniej tydzień temu.

W mojej głowie zabrzmiał dzwonek alarmowy. Z tego co wiedziałem, nikt nie zgłosił zaginięcia barmana. W każdym razie nie policji. Przypomniałem sobie jednak, jak w noc Sycamore Way jeździłem z Zainem Carverem. Kazał Gripowi wysłać całą Franczyzę na poszukiwanie Glena Smithsona. Zastanawiałem się, czy polecenie dotyczyło też jego człowieka w policji.

– To był policjant w mundurze czy po cywilnemu?

– Po cywilnemu – powiedział ochroniarz. – Zwyczajny cham, jeśli mam być szczerzy. Kiedy przyszedł, było już późno. Warknął na mnie, żebym otworzył. Wszedł i wyszedł w pięć minut.

– Podał panu nazwisko?

– Nie przypominam sobie.

– Jak wyglądał?

– Tak jak powiedziałem, zwyczajnie. Biały. Średniego wzrostu. Nic szczególnego.

Wspaniale.

– Macie tu monitoring?

– Mamy, ale... – Zastanowił się. – To było w ubiegły poniedziałek. Pewnie już się podpisało. Dlaczego pan pyta?

– W oprogramowaniu na komendzie mają jakiś błąd – skłamałem. – Przydziela różnych ludzi do tych samych spraw. Wygląda na to, że ten drugi jest o krok przede mną, więc dobrze byłoby odsunąć jednego z nas od sprawy. Żeby nie marnować siły roboczej. – Miałem nadzieję, że naciągana bajeczka w stylu „Daily Mail” pomoże mi zjednać sobie tego człowieka.

– No... – powiedział. – Chyba zostawił jakiś numer kontaktowy...

Mężczyzna przetrząsnął stertę papierów na biurku i znalazł to, czego szukał: samoprzylepną karteczkę z numerem komórki. Przepisałem ten numer do telefonu, podziękowałem ochroniarzowi i wyszedłem. Na ulicy zapisałem numer pod nazwą „Człowiek Franczyzy”. Znalazłem budkę telefoniczną i zadzwoniłem.

Nikt nie odbierał.

Odkładałem to najdłużej, jak się dało, ale w końcu pojechałem na północ, na Burnside. Gdy tam dotarłem, było ciemno, lecz bez problemu znalazłem magazyn. W środku nic się nie zmieniło. W połowie obchodu usłyszałem łomot dobiegający od strony wejścia. Zawróciłem i zobaczyłem, że jeden z Siderów, którzy kiedyś mieli spięcie ze mną i Carverem, raz po raz uderza cegłą w dach mojego samochodu. Chyba mnie nie zauważył. Po prostu beznamiętnie robił wgniecenia w karoserii. Wyglądał, jakby pracował przy taśmie w fabryce. Gdy wsiadałem do samochodu, włączałem silnik i odjeżdżałem, nadal to robił. Pozostawało mi zatem tylko jedno miejsce.

Dom Greenlaw był oddalonym od centrum, zniszczonym szeregowcem przy opuszczonej ulicy w starej części Salford. Dziesięć lat temu Joanna Greenlaw wyszła z niego i zniknęła. Od tamtej pory stał pusty.

Otwory, w których kiedyś były okna, zasłonięto matowymi blachami. Mały skrawek ugoru przed domem w niczym nie przypominał ogródka. Chwasty szczeniały, a rdzewiejące puszki po piwie wtopiły się w trawę, jakby wyrastały z ziemi.

Przez cały dzień padał deszcz. Cegły, deski i krzaki były zupełnie mokre. Początkowo wydawało mi się, że blachy w oknach pokrywa graffiti, ale gdy podszedłem, zobaczyłem, że to po prostu napisane sprejem ostrzeżenia mające zniechęcić intruzów.

Przyniosłem łom, żeby sforsować drzwi, lecz okazało się, że ktoś mnie ubiegł. Ciężki zabezpieczający je zamek rozmontowano i zastąpiono prowizoryczną drucianą zasuwką. Spojrzałem na rząd domów. Pozostałe, jak okiem sięgnąć, miały zamki w nienaruszonym stanie. Rozwarłem druty i popchnąłem drzwi. Zablokowały się w połowie. Wykładzina napuchła od wilgoci.

Oświetliłem latarką ciemny, prosty korytarz. Były tam schody i dwoje drzwi prowadzących do pokoi. Tapeta zślizła ze ścian, a grzyb i zgnilizna ożywiały sufit. Zamknąłem za sobą drzwi i wszedłem do środka.

Greenlaw nie spędziła w tym domu zbyt dużo czasu, ale trudno było oddzielić jej obraz od tego dzieła rozkładu i zniszczenia. Gdy zaginęła, miała dwadzieścia sześć lat, była trochę starsza od Cath. Wiedziałem, że szukam raczej czegoś nieuchwytnego niż namacalnego, i choć dom stał pusty od dziesięciu lat, znalazłem to.

Samą esencję strachu.

Poświeciłem latarką prosto przed siebie, na to, co zostało z kuchni. Były w niej okna, ale je też zabito. Meble usunięto. Tam gdzie dawniej stała kuchenka, ziała teraz pusta dziura, a obok było miejsce na lodówkę. Po lewej zamknięte drzwi prowadziły do czegoś, co chyba było spiżarnią. Wstrzymałem oddech i cicho przeszedłem przez pomieszczenie. Drzwi otworzyły się, ukazując puste półki.

Wszedłem z kuchni i skręciłem w stronę innego pomieszczenia na parterze. Był to mały salon, także z zabitymi oknami. Widziałem tylko tyle, ile udało mi się oświetlić latarką, i odniosłem wrażenie, że z lewej i z prawej strony strumienia światła obserwują mnie ludzie. Że gdy poruszam latarką, gładko usuwają się z drogi.

Dopiero po chwili przypomniałem sobie, gdzie widziałem ten pokój.

W „Evening News”.

„POLICJA APELUJE O INFORMACJE W SPRAWIE ZNIKNIĘCIA GREENLAW”

Słyszałem swój oddech. W gazecie opublikowano zdjęcie Greenlaw stojącej przy kominku w tym pokoju. Zastanawiałem się, kto je zrobił. Czy to był komisarz Parrs. Jego opowieść

o ścisłej współpracy z Greenlaw nie wyjaśniała jego obsesji, jego dążenia do zmuszenia Zaina Carvera do jakiejś reakcji. Zastanawiałem się, czy coś ich łączyło.

Wróciłem na korytarz i wszedłem po schodach. Myślałem, że będą skrzypiały pod moim ciężarem, ale były tak zawilgotniałe, że tylko się uginały. Okna na piętrze zasłonięto takimi samymi blachami jak te na parterze i oprócz mojej latarki nie było tam żadnego źródła światła. U szczytu schodów znajdowała się brudna, zniszczona łazienka. Dwoje drzwi wzdłuż podestu prowadziło do pokoi niewiele większych niż więzienne cele.

W jednym było pusto.

W drugim zobaczyłem śpiwór. Były tam też resztki wypalonych świec, jakieś książki w miękkich okładkach i resztki jedzenia. Ani na moment nie spuszczałem oczu z drzwi.

Gdy zszedłem po schodach w stronę wyjścia, odwróciłem się i zacząłem gwałtownie wymachiwać latarką, próbując przyłapać jakiegoś wyimaginowanego obserwatora. Wyszedłem z domu i szybko ruszyłem ścieżką w stronę samochodu. Miałem wrażenie, że nie jestem sam.

Parrs milczał jak grób. Isabelle nie żyła. Catherine i Grip zaginęli. Nawet Zain Carver siedział w areszcie. Nagle świat stał się mniejszy. Bardziej pusty. Dni zrobiły się płaskie i rozciągały przede mną w nieskończoność. Próbowiałem odstawić amfę, ale mi się nie udawało. Szybko wróciłem do jednej pigułki dziennie. Myślałem, że dzięki temu będzie mi łatwiej trzymać się od nich z daleka na dłuższą metę. A skoro jedna pomagała, to całkiem sensownie było wziąć dwie, trzy, cztery. Potem znowu straciłem rachubę i dni zmieniły się w bezkształtną plamę. Mój umysł gnał, tworzył powiązania tam, gdzie w rzeczywistości ich nie było.

„Zastanów się”, powiedział barman. Joanna Greenlaw. Franczyza. Zamieszana w to wszystko córka posła. Zaprawione narkotyki, które ją zabiły. Skradzione Carverowi zaprawione narkotyki, które trafiły na Sycamore Way. Oferta Sheldona White’a dotycząca Rubika. Zniknięcie Cath. Zniknięcie Gripa. A gdzieś na obrzeżach tego wszystkiego czarna i biała farba. „To odrębne sprawy czy może, kurwa, jedna wielka sprawa?”

Zacząłem próbować innego życia. Była szósta wieczorem. Punkt, za którym nie ma powrotu. Ilekroć zostawałem w Rubiku po tej godzinie, zawsze wychodziłem ostatni. Działalność baru była tajemnicą poliszynela: łatwo było tam zdobyć pobudzacze na rano i uspokajacze na noc. Czasami jedne myliły mi się z drugimi, ale przecież czasami dni myliły mi się z nocami. Wszystko się ze sobą stapiało. Miałem nadzieję, że pewnego dnia Catherine znowu tu przyjdzie i sytuacja wróci do normy.

Ale nie przychodziła.

Siedziałem tam gdzie zwykle. Miałem dobry widok na okno, dobry widok na bar. Mel, australijska barmanka, zaczynała swoją zmianę. Przyszła z kwiatami. Dotarłem do baru w tym samym czasie co ona. Napełniła kufel wodą z kranu i włożyła do niego bukiet.

– Nie trzeba było, kochana – powiedział mężczyzna siedzący przy barze.

Był stałym klientem. Tym samym, który nagabywał Isabelle w wieczór przed jej śmiercią. Przychodził tu codziennie. Wiedziałem o tym, bo teraz ja też przychodziłem codziennie. Słyszałem nawet, jak mówi o Isabelle Rossiter i Sycamore Way. Kręcił głową tak jak wszyscy i wspominał coś o tym, że ten kraj schodzi na psy.

Wskazał na kwiaty.

– To dla mnie?

Barmanka się uśmiechnęła.

– Obawiam się, że nie. Po prostu potrzebuję czegoś, żeby ożywić mieszkanie.

– Taka ładna dziewczyna jak ty – ciągnął – nie powinna sama kupować sobie kwiatów. Ani ożywiać swojego mieszkania.

– Och, wcale mi to nie przeszkadza. – Spojrzała na mnie i uniosła brwi. – Słucham?

– Jamesona z wodą sodową – powiedziałem. – Dzięki.

Mężczyzna rzucił mi spojrzenie.

– Jak myślisz, synu?

– Nie wiem, staram się nie myśleć.

– Ta dziewczyna sama kupuje sobie kwiaty. Właśnie mówiłem, że potrzebuje jakiegoś mężczyzny. – Zapłaciłem za drinka i wróciłem na swoje miejsce. – Żałosny typ – mruknął.

Gdy byłem w połowie drinka, barmanka podeszła, żeby pozbiierać szklanki. Uśmiechnęła się. Nigdy nie pytała mnie o Catherine ani nie wspominała o poranku, kiedy szukałem jej w barze. Chyba było już jasne, że nie mam gdzie się podziać.

Krążyła po sali i zobaczyłem, że mężczyzna przy barze ją obserwuje. Kiedy zniknęła za rogiem, przechylił się i wyjął kwiaty z kufła. Dosięgnął ich z trudem i przy okazji kilka złamał. Potem wyprostował łodyżki, strząsnął z nich wodę i nisko opuścił bukiet, żeby nie zauważyła go po powrocie.

Przyszła z pełną skrzynką pustych szklanek i postawiła ją na barze. Mężczyzna obserwował, jak wkłada szkło do zmywarki. Dopiero gdy to zrobiła i obsłużyła kilku klientów, zorientowała się, że jej kwiaty zniknęły. Rozejrzała się niepewnie, a potem odwróciła do ludzi siedzących w pobliżu.

Mężczyzna uniósł kwiaty.

Wyciągnął je do niej jak kochanek.

Nie wzięła ich, więc potrząsnął jej nimi przed nosem. Sięgnęła po bukiet, ale nie chciał go puścić. Patrzył na nią i się uśmiechał. Po paru sekundach zwolnił uścisk, a ona się odwróciła, napełniła następny kufel i włożyła do niego połamane kwiaty. Przez chwilę stała plecami do klientów.

Przy barze czekało dwóch mężczyzn, a gdy jeden z nich ją zawołał, odwróciła się z kwaśnym uśmiechem. Mężczyzna przy kontuarze zauważył tę zmianę i przyjął przeproszającą pozę. Gdy składał kolejne zamówienie, barmanka obsłużyła go, wyraźnie ograniczając rozmowę do minimum, a on ostentacyjnie zostawił jej napiwek.

– Dzięki – powiedziała.

Wychylił piwo jednym albo dwoma haustami, po czym odsunął się od baru i poszedł do toalety. Wrócił na salę tylko po to, żeby wziąć kurtkę, a następnie wyszedł.

Kilka minut później oddalał się piechotą od Locks, idąc w kierunku obrzeży miasta. Chwiał się lekko na nogach, ale poza tym wydawał się trzymać fason. Zbliżywszy się do linii tramwajowej, przystanął. Pomyślałem, że się odwróci, ale i tak dalej za nim szedłem. Rozejrzał się i skręcił w uliczkę po prawej, rozpinając rozporek.

Poszedłem za nim. Było ciemno, ale widziałem, jak opiera się o ścianę i sika w przeciwną stronę. Nie usłyszał, jak się zbliżam, i chyba mnie nie zauważył. Gdy mój cios powalił go na ziemię, szczyny trysnęły w powietrze, mocząc mu spodnie. Potem kopałem go najmocniej, jak umiałem, raz po raz, raz po raz, aż rozboleły mnie nogi, stopy i kostki.

Wróciłem do Rubika i piłem dzin z tonikiem, aż straciłem mowę. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętałem, była skórka limonki unosząca się w mojej szklance jak rozjarzony, zielony uśmiech szaleńca.

Wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu obudziłem się, leżąc twarzą do dołu w łóżku. Czułem się tak, jakbym zamiast głowy miał matrioszkę. Jakbym miał sześć czaszek, każdą mniejszą od poprzedniej, umieszczonych jedna w drugiej. Gdy się poruszałem albo myślałem zbyt intensywnie, grzechotały, obijając się o siebie, i minęło dużo czasu, zanim zdołałem przewrócić się na plecy i otworzyć oczy.

Gdy to zrobiłem, aż podskoczyłem ze zdziwienia. Nad łóżkiem stali dwaj mężczyźni. Laskey i Riggs. W pokoju było ciemno, ale resztki światła i tak zdawały się przenikać przez przezroczystą skórę Laskeya. Riggs bez wątpienia miał kaca. Wolałem nie wiedzieć, jak sam wyglądam. Obaj się uśmiechnęli i Laskey rzucił mi koszulę.

– Pobudka, przystojniaku.

Przez chwilę nie mogłem wydobyć z siebie głosu.

– Nie wolno wam tak po prostu tu wchodzić.

– Drzwi były otwarte, koleś. – Całkiem możliwe. Nie pamiętałem, jak dotarłem do domu. – Zaczekamy w salonie, co? – Przeszli do pomieszczenia obok. Powoli wstałem, ubrałem się i poszedłem za nimi. Chodzili po mieszkaniu, oglądając wszystko, co było na widoku, i dłubali w wypatroszonej sofie. Odwracali się do mnie i uśmiechali, ale żaden się nie odzywał.

– Cath – powiedziałem. Głos mi drżał. Raczej ze strachu niż z powodu kaca. – Coś znaleźliście...

– Nie było nic do znalezienia – powiedział Laskey. – Powinniśmy cię przymknąć za marnowanie czasu policji.

– Jak to?

– Po raz ostatni widziałeś ją w Rubiku, prawda? – spytał.

– No.

– W towarzystwie niejakiego Sheldona White'a?

– No...

– No więc wyszła z nim z własnej nieprzymuszonej woli.

– Co?

Powstrzymał się od ziewnięcia.

– Widziano ją.

– Kto ją widział? Co mówi Parrs?

– My jesteśmy tym, co mówi Parrs – wtrącił Riggs.

– Ale ty tak bardzo się tym przejąłeś, że byłeś gotów zaryzykować odsiadkę – powiedział ten chudy. – Dlaczego?

– Ona ma powiązania z Zainem Carverem.

– Opowiedz nam o nim.

– Sam niewiele wiem.

– Słyszeliśmy co innego.

– Co z Catherine? – spytałem. – Proszę, powiedzcie mi.

– Dlaczego myślisz, że przyszliśmy tu z jej powodu?

Milczałem.

– Gdzie byłeś w piątek po południu? – Osaczali mnie z obu stron. Laskey się przesunął, żeby słońce wpadające przez okno zaświeciło mi w oczy.

– Jaki mamy dziś dzień?

Obaj się roześmiali i Riggs pokręcił głową.

– Pytasz, kurwa, jaki mamy dziś dzień?

– Powinno się nas wszystkich zawiesić w obowiązkach – powiedział Laskey. Spojrzał na mnie. – Jest niedziela, koleś. Dwudziesty dziewiąty listopada. Gdzie byłeś w piątek po południu?

– W Rubiku. Wczoraj też.

– Aha – powiedział Laskey do swojego partnera. – Więc to nie może być on.

– Raz na wozie, raz pod wozem – powiedział Riggs. – Przepraszamy, że zawracaliśmy ci głowę. – Odwrócili się i ruszyli w stronę drzwi.

– Myślisz, że ktoś mógłby to potwierdzić? – spytał Laskey przez ramię.

– Obsługa baru. I z sześciu pijaków...

– Rzecz w tym – powiedział, odwracając się – że w piątek jeden z tych pijaków spokojnie popijał sobie piwo.

– No i?

– No i – ciągnął Riggs – wyszedł po szóstej i jakiś drań rozwalił mu głowę.

Laskey się uśmiechnął.

– A on tylko szedł na tramwaj.

– Jak już mówiłem, byłem w Rubiku.

– To się stało tylko kawałek dalej. Widziano cię, jak wychodzisz zaraz po nim.

– Więc sprawa wydaje się oczywista.

– Sprawa – powiedział Riggs, podchodząc do mnie – jest poszlakowa.

– Ale czasami wierzymy w poszlaki – dodał Laskey. – Istnieją gorsze rzeczy niż prawo, Waits.

Spojrzałem na niego.

– Na przykład? – Nie odpowiedział. – Wróćcie, jak będziecie mieli jakieś dowody. A tymczasem wiecie, gdzie są drzwi. Podobno są otwarte. – Odwróciłem się i poszedłem do sypialni. Usiadłem, zrobiło mi się niedobrze. Po paru minutach usłyszałem, jak się zbierają. W ich kieszeniach brzęczały drobniaki.

– I takie je zostawimy – zawołał Riggs, kopiąc w drzwi dla lepszego efektu.

Podszedłem do okna i patrzyłem, jak wsiadają do samochodu. Potem ruszyłem do drzwi wejściowych, zamknąłem je i zaryglowałem. Wróciłem do łóżka i starałem się o wszystkim zapomnieć.

Bez skutku.

Joanna Greenlaw. Isabelle Rossiter. Catherine, Sarah Jane. Wyrzucałem je z myśli, ale wciąż wracały. Widziałem, jak się śmieją, marszczą brwi, umierają. Wstałem, poszedłem do łazienki i odszukałem torebkę z amfą. Spuściłem ją w klozecie, a potem dowlokłem się do wypatroszonej kanapy i usiadłem. Zmusiłem mózg do pracy.

IV
STILL

Nastawiłem budzik na siódmą rano, ale gdy zadzwonił, już nie spałem. Obserwowałem upływ czasu. Poniedziałek. Ostatni dzień listopada. Wstałem, ogoliłem się, wziąłem prysznic. Znalazłem czarny garnitur, wyprasowałem białą koszulę i ubrałem się. Założyłem czarny wąski krawat i po raz pierwszy od wielu dni spojrzałem w lustro.

Szkoda, że nie można było wyprasować także tej twarzy.

Widać na niej było tygodnie zarwanych nocy i niezdrowego trybu życia. Oczy zrobiły się mniejsze i bardziej przenikliwe. Wypastowałem buty, wziąłem głęboki oddech i wyszedłem na zewnątrz. Było nieco powyżej zera, a pogoda nasuwała myśl, że planeta próbuje nas wszystkich z siebie strząsnąć.

Po drugiej stronie ulicy stał zaparkowany samochód. To samo bmw, ten sam lśniący czarny lakier i chrom. Ruszyłem w przeciwnym kierunku. Ktoś włączył silnik. Słyszałem chrzęst żwiru pod kołami, gdy samochód podjeżdżał i sunął obok mnie.

Zatrzymałem się.

Kierowca skręcił w stronę krawężnika. Silnik pracował dalej. Szyba zjechała w dół z cichym szumem i detektyw Kernick wysunął łokieć. Podobnie jak ja miał na sobie elegancki czarny garnitur. Nie wiem, czy był to efekt porannego światła, czy stresu, który ostatnio przeżywał, ale jego siwe włosy wydawały się o ton jaśniejsze.

– Nie rób tego, synu – powiedział. W powietrzu widziałem jego oddech.

– Czego?

– Nie idź tam.

Milczałem.

– Wiem, że masz najlepsze intencje. Wiem, że to trudne. Ale dzisiaj muszę myśleć o Rossiterach. Nie chcą cię tam. I bez tego jest im ciężko... – Ruszyłem dalej. Przez chwilę jechał obok mnie. – Źle wyglądasz. – Westchnął. – Nie pozwól, żeby ta sprawa zniszczyła ci życie.

Nie odwróciłem się, ale usłyszałem, jak szyba z powrotem sunie do góry. Dojechał do końca ulicy i włączył kierunkowskaz. Zaczekałem, aż skręci za róg, a potem poszedłem dalej.

O pogrzebie Isabelle przeczytałem kilka dni temu w gazecie, którą ktoś zostawił w Rubiku. Choć ceremonia miała być prywatna i zorganizowano ją w Gorton Monastery, planowano wpuścić żałobników na teren kościoła, żeby mogli przyglądać się procesji i pożegnać zmarłą. Byłem ciekaw, kto się pojawi, ale nie miałem zamiaru tam iść. Wolałem skorzystać z okazji i zajrzeć w inne miejsce.

Szedłem równym krokiem, analizując to wszystko w myślach. Musiałem się dowiedzieć, kto zabrał telefon Isabelle z jej domu. Jej ojciec przekazał policji numer jej starego telefonu, tego, który był przyklejony taśmą do dna szuflady, ale słyszałem, jak zostawił jej wiadomość na nowym. Skoro wiedział o nowym telefonie, dlaczego o nim nie wspomniał? Dlaczego nie podał policji także drugiego numeru? I jak w ogóle go zdobył? Przede wszystkim musiałem się dowiedzieć, czy to on zabrał aparat z jej mieszkania, kiedy umarła. Musiałem się dowiedzieć,

dlaczego ta komórka zaginęła, co w niej było.

Dotarłem do Beetham Tower przed dziewiątą. Była tam grupa rozmemłanych mężczyzn w smokingach, właśnie wrócili po nocy spędzonej na mieście. Pogrzeb miał się zacząć za pół godziny, więc byłem pewny, że Rossiter i Kernick właśnie jadą do kościoła. Przeszedłem przez ulicę, kierując się w stronę rzędu automatów telefonicznych, znalazłem czysty i wybrałem 999.

– Policja? – powiedziałem. – Chciałbym zgłosić włamanie.

Wszedłem do holu wieżowca i skierowałem się w stronę recepcji. Ucieszyłem się, widząc tam tę samą młodą kobietę, która miała dyżur podczas moich wcześniejszych wizyt, kiedy byłem w towarzystwie detektywa Kernicka. Powitała mnie idealnym, białym uśmiechem.

– Dzień dobry panu. W czym mogę pomóc?

– Dzień dobry – powiedziałem, podając jej odznakę. – Jestem detektyw Waits. Czy mieliśmy już okazję się poznać?

– Och – powiedziała. – Chyba widziałam pana z panem... – Poprawiła się z uśmiechem: – Z detektywem Kernickiem.

– Możliwe, pracuję w ochronie pana Rossitera.

Zanim oddała mi odznakę, przyjrzała się jej.

– Tak mi przykro z powodu tej dziewczyny...

– Niestety, dziennikarze są mniej wrażliwi. Na pewno pani wie, że dziś rano jest pogrzeb.

Przytaknęła.

– Wydaje mi się, że w tym tygodniu pan Rossiter jest w domu z rodziną...

– Tak. Właśnie stamtąd przyjechałem. Obawiamy się, że różni przedstawiciele prasy mogą się tu zjawić. Nękać gości, personel i sąsiadów prośbami o komentarz. Poproszono mnie, żebym czuwał w holu i uprzejmie wypraszał ciekawskich.

– Oczywiście – powiedziała. – Czy mogę pana skierować do ochrony budynku?

– Właśnie do tego zmierzałem. Chyba nie miałem jeszcze okazji poznać pana...

– Reeda – podpowiedziała.

– Byłoby wspaniale, gdyby zechciała pani go zawiadomić.

Odsunąłem się od kontuaru, żeby mogła wyjaśnić sytuację. Mężczyzna, który zjawił się kilka minut później, wyglądał na byłego policjanta. Ciężki, zdecydowany krok i czujne, obserwujące oczy. Mimo że w holu stało z dziesięć osób, natychmiast poznał, że to właśnie ja jestem człowiekiem, którego szuka.

– Panie Reed – zacząłem, jakby detektyw Kernick wszystko mi o nim opowiedział – jestem detektyw Waits. – Uścisnęliśmy sobie dłonie. – Ma pan chwilę?

– Jasne – odrzekł, wskazując głową dwa krzesła po prawej stronie holu. – Podobno pracuje pan w ochronie pana Rossitera?

Podaliśmy mu odznakę.

– Oddelegowano mnie tu na czas dochodzenia w sprawie śmierci jego córki.

– Hm – mruknął, patrząc na moją odznakę. – Straszna historia.

– Koleżanka wyjaśniła panu, dlaczego tu jestem?

– Dziennikarze – powiedział. – Czasami są jak cholerne pasożyty.

– Pan też służył, prawda?

Wyprostował się.

– Przez dziesięć lat.

– Więc napatrzył się pan na te hieny...

– Szczerze mówiąc, synu, kręci się tu ich więcej niż w pobliżu większości miejsc zbrodni.

– Cena sukcesu – powiedziałem, patrząc w stronę luksusowego holu. – Liczyliśmy dzisiaj na odrobinę współczucia, ale widząc, co się dzieje w kościele, pomyśleliśmy, że jednak warto tu kogoś umieścić.

– Więc przysłali stażystę?

Uśmiechnąłem się.

– Odpocznę od podawania herbaty. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, będę tu siedział i czytał gazetę, mając oko na drzwi. Prawdopodobnie odwołają mnie tuż po pogrzebie.

Oddał mi odznakę.

– Brzmi to rozsądnie, synu. Mam teraz trochę spraw do załatwienia, ale w razie kłopotów poproś w recepcji, żeby nas zawiadomili.

Wstaliśmy i uścisnęliśmy sobie ręce.

– Jeszcze raz dziękuję, panie Reed.

Podszedł do kontuaru, krótko wyjaśnił recepcjonistce, co ustaliliśmy, i skinął do mnie na pożegnanie. Potem wszedł do windy i wrócił do swoich obowiązków. Usiadłem, otworzyłem jakąś bezpłatną gazetę i zacząłem obserwować drzwi.

Dzwoniąc kilkanaście minut wcześniej na policję, zgłosiłem podejrzaną hałas dobiegające z mieszkania sąsiada na czterdziestym piątym piętrze Beetham Tower. Wiedziałem, że wzmianka o Rossiterze mogłaby skłonić policję do zbyt szybkiego przybycia, więc powiedziałem tylko, że sąsiad wyjechał i z tego co wiem, jego mieszkanie powinno być puste.

Niespełna godzinę po tym, jak otworzyłem gazetę, do holu weszło dwóch umundurowanych funkcjonariuszy. Mieli na sobie odblaskowe kamizelki, a czapki włożyli pod pachy. Gdy podeszli do recepcjonistki, zobaczyłem, że spogląda w moją stronę, ale postanowiłem poczekać na swoim miejscu. Ściszyli głosy, wspominając o delikatnej sprawie. Gdy recepcjonistka okrążyła kontuar i skinęła na mężczyzn, żeby poszli za nią, wstałem i ruszyłem w ich stronę.

– Jakiś problem?

– Pan się nazywa...? – zwrócił się do mnie pierwszy funkcjonariusz.

– Waits.

– Detektyw Waits pracuje w ochronie pana Rossitera – powiedziała recepcjonistka.

Pokazałem im odznakę.

– Coś się stało, panowie...?

– Turner i Barnes. Odebraliśmy zgłoszenie o podejrzanym hałasach w apartamencie na czterdziestym piątym piętrze. To chyba tam, gdzie mieszka pan Rossiter?

– Zgadza się. Ale dzisiaj nikogo nie powinno tam być.

– Chyba warto zajrzeć.

– Nie... nie jestem pewny, czy wypada.

– Proszę pana – wtrącił się Barnes – jeśli ktoś zgłosił zakłócenie porządku, musimy się temu przyjrzeć.

– Doceniam to, ale jestem pewny, że dzisiaj nikogo tam nie ma.

– Był pan tam?

– Nie, dzisiaj nie.

– Ma pan dostęp do apartamentu?

– Nie – powiedziałem. Potem zwróciłem się do recepcjonistki. – Mogłaby pani tam zadzwonić? Oszczędziłoby nam to nieporozumień.

– Oczywiście – powiedziała. Wróciła za kontuar i wybrała numer, a potem poprosiła o połączenie z apartamentem pana Rossitera. Czekaliśmy minutę, telefon dzwonił. – Wygląda na to, że nikogo nie ma.

Funkcjonariusz zwrócił się do niej:

– Może pani zapewnić nam dostęp do mieszkania?

– Wydaje mi się, że mamy pana Rossitera w systemie kart magnetycznych.

– Chwileczkę – powiedziałem. – Nie wolno mi tak po prostu wpuszczać tam obcych. – Policjanci spojrzeli na mnie z niedowierzaniem. – Proszę poczekać – dodałem. Wyjąłem komórkę i zadzwoniłem pod nieistniejący numer.

– Z Kernickiem – powiedziałem. – Tak, zaczekam. – Pozwoliłem, żeby upłynęła nieznośnie długa chwila, podczas której cała trójka gapiała się na mnie w milczeniu. – Panie detektywie – odezwałem się w końcu. – Zgłoszono zakłócenie porządku w apartamencie pana Rossitera w Beetham Tower i... – Udałem, że mi przerwano. – Oczywiście, sir. – Ściszyłem głos. – Tak jest. Dziękuję. – Rozłączyłem się i powiedziałem do recepcjonistki: – Czy moglibyśmy dostać ten klucz?

– Zobaczą, co da się zrobić – odrzekła, odwracając się w stronę kontuaru.

– Przepraszam za niedogodności – powiedziałem do policjantów. – Na pewno panowie rozumieją, że sytuacja dzisiaj wymaga szczególnej delikatności.

– Jasne – odparli jednocześnie, unikając mojego spojrzenia.

Nalegałem, żeby jeden z nich zajął się kartą magnetyczną. Żaden z nas nie odezwał się słowem, gdy winda zbliżała się do czterdziestego piątego piętra. Nie przypominam sobie, żeby z głośników płynęła muzyka, ale na pewno tak właśnie było. Gdy drzwi się otworzyły, ruszyłem przodem, prosto do apartamentu Rossitera. By nie pozostawiać żadnych wątpliwości, że często tam bywam.

Gdy spojrzałem za siebie, zobaczyłem, że policjanci powoli idą za mną, zapamiętując wystrój i komentując rozkład. Funkcjonariusz z kartą magnetyczną, Turner, ruszył pierwszy, przesunął kartę i pociągnął za klamkę.

– Pan przodem – powiedział.

– Wy się rozejrzyjcie, a ja pójde porozmawiać z sąsiadami.

– Jak pan woli. – Otworzył drzwi i wszedł do środka. Odsunąłem się, robiąc przejście jego partnerowi, i patrzyłem, jak obydwaj wyciągają szyje. Gdy drzwi się zamknęły, usłyszałem, że jeden z nich gwizdże. Poszedłem korytarzem i przez chwilę stałem obok drzwi sąsiadów. Gdy znowu usłyszałem odgłos otwierania drzwi Rossitera, ruszyłem w ich stronę.

– Wszystko w porządku?

– No – odparł Turner. – Kto by powiedział, że szacowny dżentelmen tak dobrze zna życie zwykłych ludzi, nie?

– Wszystko w porządku? – powtórzyłem.

– Tak jest. Żadnych niepokojących śladów.

– Sąsiadka jest przykuta do łóżka – powiedziałem. – Jedyne niepokojące rzeczy dzieją się w jej głowie. Chce złożyć zeznania w sprawie sprzątaczkki, która kradnie jej talerze. Właśnie się przebiera.

Funkcjonariusze wymienili uśmiechy.

– Czy mamy...?

– Sam się tym zajmę. Dzięki.

Minęli mnie, przeszli korytarzem i wcisnęli przycisk windy. Obserwowałem ich, czekając, aż drzwi się otworzą, i dopiero wtedy powiedziałem:

– Panie posterunkowy.

Obaj odwrócili się w moją stronę.

– Klucz? – Turner wyszedł z windy, a jego kolega przytrzymał drzwi. – Dzięki. – Wziąłem kartę i odszedłem.

Usłyszałem, jak winda się zamyka.

Ruszyłem prosto do apartamentu Rossitera.

Otworzyłem go. Wszedłem.

Spojrzałem na zegarek: dziewięta pięćdziesiąt siedem.

Zamknąłem drzwi, zmrużyłem oczy i na chwilę oparłem się o framugę, głęboko oddychając. Zastanawiałem się, czy pochowano już Isabelle. Musiałem wejść do windy i zjechać na dół

najpóźniej o dziesiątej trzydzieści.

Dłuższe zwlekanie byłoby samobójstwem.

Rozejrzałem się. Byłem w olbrzymim, anonimowym salonie, gdzie wcześniej spotykałem się z Rossiterem. W dole, za ogromnymi taflami szkła sięgającymi od podłogi do sufitu, widać było miasto.

Zrobiłem w myślach plan, by przeszukać po kolei wszystkie pomieszczenia apartamentu.

Chciałem znaleźć drugi telefon Isabelle i musiałem działać sprawnie. Niedostępność apartamentu czyniła z niego idealne miejsce do przechowywania sekretów. Wiedziałem, że to moja jedyna szansa, żeby je odkryć. W tej ogromnej przestrzeni nie było jednak żadnych zakamarków. Przyjrzałem się koniakowi, którym Rossiter poczęstował mnie prawie miesiąc temu. Hennessy.

Ulubiona marka Zaina Carvera.

W salonie niczego więcej nie znalazłem i przeszedłem do kuchni, chyba największej, jaką kiedykolwiek widziałem. Wyglądała na nieużywaną. W lodówce stał tylko karton odtłuszczonego mleka.

Wróciłem do salonu i skierowałem się w stronę szerokich schodów. Prowadziły do sypialni, ale najpierw zajrzałem do gabinetu mieszczącego się u ich stóp. Mimo że roztaczał się stamtąd najlepszy widok, biurko stało w znacznej odległości od okna.

Pomieszczenie, w którym się pracuje.

Na biurku leżał zamknięty laptop. Nie było żadnych książek, notesów ani teczek. W dwóch dolnych szufladach niczego nie znalazłem. Wysunąłem górną i zobaczyłem szarą kopertę, którą dwa tygodnie wcześniej Rossiter mi pokazał. Wyjąłem ją z szuflady i przejrzałem schowane w niej zdjęcia.

Były kolorowe, ale zamazane. Zrobiono je pod dziwnym kątem, najprawdopodobniej komórką. Widziałem lśniącą warstewkę potu na skórze Isabelle. My dwoje podczas mojej pierwszej imprezy w domu Carvera.

Zastanawiałem się, czy nie zabrać tych zdjęć. Pewnie z ich powodu się tu znalazłem. Mógłbym zniszczyć obciążające mnie dowody i ocalić skórę. Poczuję obrzydzenie do samego siebie. Włożyłem zdjęcia z powrotem do koperty, kopertę do szuflady i wyszedłem z gabinetu.

Dotarłem do schodów i się zatrzymałem.

Wróciłem do gabinetu i jeszcze raz wysunąłem szufladę. Tym razem nie sięgnąłem po kopertę. Spojrzałem tylko na napis.

„I.R. 30 października”.

Ruszyłem po schodach w stronę ciemnego korytarza. Były tam dwie ogromne sypialnie, każda z nich większa niż całe moje mieszkanie. Jedna najwyraźniej należała do Rossitera, w łazience było kilka podstawowych przyborów toaletowych, szczoteczka do zębów i zestaw do golenia. W głębi korytarza znajdowały się dwa mniejsze pokoje gościnne. Pierwszy był tak samo anonimowy i pusty jak reszta mieszkania.

Drugi był inny.

Miałem wrażenie, że w kilka sekund cyfry na zegarku zmieniły się z dziesiątej dwadzieścia pięć na dziesiątą trzydzieści.

Na ścianach była jaskraworóżowa tapeta. Małe, wąskie łóżko przykryto różową pościelą i poduszkami. Siedział na nim rząd lalek i pluszaków. Troskliwie Misie i Barbie. Uciekając

z domu, Isabelle miała siedemnaście lat. Z tego co pamiętałem, jej siostra miała ponad dwadzieścia. Do kogo zatem należał ten pokój?

Podszedłem do garderoby i otworzyłem drzwi.

Kilka identycznych czarnych sukienek.

Dwie pary dżinsowych ogrodniczek.

Zamknąłem garderobę i podszedłem do komody. Znalazłem w niej kolorową, dziecienną bieliznę. Z pretensjonalnymi napisami i postaciami z kreskówek Disneya. Na moje oko wszystko było w rozmiarze Isabelle, ale nie w jej stylu. Ani trochę.

Dziesiąta trzydzieści cztery. Zastanowiłem się. Pomyślałem o telefonie schowanym w mieszkaniu Isabelle. Byłem ciekaw, czy częściej coś takiego robiła. Wyjąłem szuflady z komody. Na spodzie jednej z nich znalazłem przyklejony taśmą skrawek papieru. Sprawdziłem, która godzina.

Dziesiąta trzydzieści sześć.

Odkleiłem taśmę od papieru i delikatnie oderwałem go od drewnianej powierzchni. To był liścik. O dziesiątej trzydzieści osiem wsuwałem szuflady z powrotem. Zszedłem po schodach i przebiegłem przez salon. Pomyślałem, że mogę jeszcze wrócić po zdjęcia.

Powietrze przeciął przesywający, głośny dźwięk. Zamarłem. Odezwał się ponownie i uświadomiłem sobie, że to dzwonek. Wstrzymałem oddech i powoli ruszyłem przed siebie.

Otworzyłem drzwi i zobaczyłem pana Reeda z ochrony budynku. Był czerwony na twarzy i zasapany.

– Synu, do cholery, powinienesz być mnie wezwać. Co się dzieje?

– Przepraszam, panie Reed. Wiedziałem, że to nic ważnego, więc pomyślałem, że oszczędzę panu fatygi.

– Nie oszczędzasz mi fatygi, kiedy w budynku jest dwóch po... – zaciął się – po... policjantów, o których nic nie wiem. – W połowie zdania zabrakło mu powietrza.

– Oczywiście może się pan sam rozejrzeć, ale jestem pewny, że to fałszywy alarm.

Zmierzył mnie wzrokiem.

– Czy my się przypadkiem skądś nie znamy?

– Wątpię – powiedziałem, zbity z tropu. – Przed chwilą dzwonili, że pogrzeb się skończył, więc i tak muszę już jechać do domu państwa Rossiterów. – Ruszyłem korytarzem, czując, jak podąża za mną wzrokiem. Podszedłem do windy i siedem razy wcisnąłem przycisk.

Czekałem.

Obserwowałem koszmarnie powolne postępy windy na małym cyfrowym wyświetlaczu obok. Nie odwracałem się. Gdy dotarła na czterdzieste trzecie piętro, ogarnęło mnie nagłe przeczucie, że ktoś w niej jest. Kernick, Rossiter, dwaj policjanci.

Czekałem.

Drzwi się otworzyły. Winda była pusta.

Wszedłem do środka i wcisnąłem zero.

– Chwileczkę, synu – zawołał pan Reed, prawie do mnie biegnąc. – Chwileczkę. – Nienawidząc samego siebie, wyciągnąłem rękę i przytrzymałem drzwi. Wszedł do środka, dysząc i pocąc się. – A klucz? – powiedział.

– Oczywiście. – Pogmerałem w kieszeni i oddałem mu go. Wycofał się z windy, a ja odsunąłem rękę, żeby drzwi mogły się zamknąć. Na trzydziestym piątym piętrze uświadomiłem

sobie, że wstrzymuję oddech, i spróbowałem zacząć oddychać. Wyglądać normalnie. Gdy winda dotarła na poziom holu, obracałem w palcach znaleziony liścik. Drzwi się otworzyły. Wyszedłem i ruszyłem prosto do głównego wejścia, wydostając się na Deansgate. Czułem, że papier wypala mi dziurę w kieszeni.

Na ulicy zobaczyłem radiowozy. Zobaczyłem mężczyzn, których chyba znałem.

Na liścik spojrzałem dopiero dwieście metrów dalej, gdy skręciłem w wąską boczną ulicę. Zerknąłem przez ramię i oparłem się plecami o ścianę.

Wziąłem oddech.

Wyjąłem skrawek papieru z kieszeni drżącymi rękami. Widniał na nim napis zrobiony jaskrawym czerwonym atramentem:

„NIKT NIE MOŻE SIĘ DOWIEDZIEĆ”.

Mając osiem lat, zacząłem dążyć do wolności, zacząłem kłamać dla osobistej korzyści. Manipulowałem wszystkimi wokół. I mniej więcej właśnie wtedy po raz ostatni widziałem moją siostrę.

Annie nie widziała już w nocy cienia nad łóżkiem. Cień zmienił się w mężczyznę, który wyciągał rękę, żeby ją pogłaskać po głowie. Myślała, że powołała go do życia siłą własnej wyobraźni. Pamiętam, jak rano wystraszona pytała mnie szeptem: „Czy coś, co mi się przyśni, może stać się naprawdę?”

Trudno wyrazić bezsilność, jaką czuje mały człowiek w domu dziecka. Wszystko, poczynając od rozkładu dnia, a kończąc na miejscu, w którym śpi, może się zmienić w każdej chwili. Mieliśmy wrażenie, że jedynym stałym elementem są nasze imiona, które niezbyt dobrze do nas pasowały, podobnie jak cuchnące wilgocią używane ubrania, i kojarzyły się nie tyle z tożsamością, ile z bliźniami mającymi nam towarzyszyć do końca życia. Z podłą uwagą rzuconą nam na pożegnanie przez ludzi, którzy nas nie chcieli. Gdy oderwano mnie i Annie od dawnego życia i coraz bardziej traciliśmy jakiekolwiek poczucie bezpieczeństwa, zrozumiałem, że system opieki społecznej to tylko złudzenie.

Niewypowiedziane kłamstwo, w którym mieliśmy żyć.

Gdy po raz ostatni spotkaliśmy się z tamtą parą, byłem uparty i dumny. Kiedy zadawali mi pytania, wzruszałem ramionami, wzdychałem, mamrotałem coś w odpowiedzi. Odsunąłem się od siostry i nie chciałem na nią patrzeć. Czułem na sobie jej wzrok. Annie myślała, że jestem na nią zły, i podciągnęła opadniętą podkolanówkę, żeby mnie udobruchać. Gdy kazano nam iść się pobawić, poszedłem za nią w stronę pudła z zabawkami. Zajrzała do niego, żeby zobaczyć, co jest w środku.

Gdy już miała przechylić pudło, popchnąłem ją. Wylądowała na tyłku i spojrzała na mnie, wybałuszając oczy. Potem spuściła wzrok i zaczęła cicho płakać, zasłaniając twarz dłońmi, tak jak nauczyła nas matka. Rzuciłem w nią zabawką, uderzając ją w głowę, i krzyknąłem brzydkie słowo, które usłyszałem u starszych chłopaków. Odwróciłem się do niej plecami i bawiłem się sam. Tak mocno ścisnąłem w rękę plastikową figurkę, że się połamała. Mężczyzna, który siedział na kanapie, podszedł do Annie.

– Ej, nic się nie stało – powiedział, podnosząc ją.

Jeszcze tego samego dnia wszczęto odpowiednią procedurę i nowi rodzice Annie nie mieli poczucia winy, oddzielając ją od starszego agresywnego brata. Wkrótce potem ślad po niej zatarł się w mojej pamięci. Po jej wyjeździe z The Oaks przez lata widywałem ją wszędzie. Na ulicach, w przejeżdżających autobusach, w barach. Oglądałem się za każdą dziewczyną, która mogła być w tym wieku co ona. I nadal wszędzie ją widzę. Jest Joanną Greenlaw i Isabelle Rossiter. Jest Catherine i Sarah Jane. Gdy szkoliłem się na detektywa, ciągle chodziło mi po głowie, żeby sprawdzić, co się z nią stało, żeby ją odnaleźć i się wytłumaczyć. Nigdy nie posunąłem się dalej niż do ustalenia, że wciąż mieszka gdzieś w pobliżu.

Niestety, to ona mnie znalazła.

Poszukałem w kieszeni listu, który przekazał mi Sully. Listu, który przyszedł na komisariat po tym, jak mnie zawieszono. Napisała go moja siostra. Otwierając go, poczułem, że nadal nie jestem w stanie przyjąć do wiadomości jego treści. Czułem gorące fale wstydu. Anne – bo tak się podpisała – zobaczyła moje zdjęcie w gazetach.

„Skompromitowany detektyw Aidan Waits”.

Na pewno od razu się domyśliła, że to ja.

„Jesteśmy rodziną, mogę ci pomóc” – napisała, ale składając list z powrotem, wiedziałem, że na niego nie odpowiem.

Stojąc na ulicy, rozglądałem się i przez głowę przemykały mi czarne myśli. O robiących sobie krzywdę dziewczynach, z którymi się wychowałem. Czasami uciekały, a kilka dni, tygodni, miesięcy później przywlekano je z powrotem, upokorzone. O innych nigdy więcej nie słyszeliśmy.

Ponury szary poranek przeszedł w ponury szary dzień. Chodniki były blokami lodu pod moimi stopami i czułem zimno przez podeszwy butów. Pomyślałem o przeszłości, o plamach na słońcu. O przerażających zaćmieniach mojej młodości. Pomyślałem o tym, że już nigdy nie zobaczę siostry. Pomyślałem o Isabelle. Najpierw była wystraszona, potem sama, a na końcu martwa.

Pogrzeb prawdopodobnie już się skończył. Pojechałem do kościoła bardziej przez przypadek niż z rozmysłem. Znajdował się zaledwie pięć, sześć kilometrów za miastem, co – jako że cały czas myślałem o Isabelle – wydawało się zbyt krótkim dystansem, żeby go nie przebyć. Ciągle myślałem o liściku znalezionym w apartamencie Rossitera, o wiadomościach, które widziałem na roztrzaskanych lustrach. Zadawałem sobie pytanie:

Czego nikt nie może się dowiedzieć?

Niskie, tandetne budynki wokół kościoła zapewne nie pasowały do niego, gdy je stawiano. Dzisiaj jednak to kościół nie pasuje do reszty. Przeszarżała manifestacja mocy i wspaniałości Boga, który – jak nagle postanowiono – nigdy nie istniał. Niedawno wyremontowano gmach za grube miliony, lecz pieniądze pochodziły z funduszy na renowację zabytków, a nie od Kościoła. Teraz służył przede wszystkim jako centrum konferencyjne, a pochówek był świecki.

Gdy go mijiałem, stało tam jeszcze trochę ludzi. Jakieś dziewczyny mniej więcej w wieku Isabelle rozmawiały zbite w grupkę. Miały eleganckie czarne sukienki, jaskrawoczerwone usta, idealne przyciemnione woalki. Zastanawiałem się, jakiego rodzaju przyjaźń je łączyła. Na kogo wyrosną. Byłem ciekaw, czy nie zostały po to, żeby zwrócić na siebie uwagę jakichś fotoreporterów, wciąż robiących zdjęcia. Zobaczyłem, jak jedna z dziewczyn pociesza płaczącą przyjaciółkę i zacząłem się zastanawiać, co jest ze mną, kurwa, nie tak.

Kilku policjantów w mundurach odsuwało dziennikarzy. Odjeżdżając, zauważyłem starego pismaka o rysach psa gończego. Siedział w samochodzie i dyktował swój artykuł przez telefon. Mijając go, zobaczyłem, jak leniwie próbuje skojarzyć moją twarz.

Wczorajsze wieści.

Choć w prasie o tym nie wspomniano, bez trudu domyśliłem się, gdzie odbędzie się pogrzeb. Cmentarz Gorton, zaledwie kilka minut od kościoła. Gdy tam dotarłem, karawan jeszcze stał, podobnie jak czarne sedany, którymi przywieziono rodzinę i przyjaciół. Zaparkowałem trochę dalej i oddaliłem się pieszo od najbliższego wejścia. Czuję, jak rozgrzany do białości gniew wypala we mnie dziurę. Jakiś fotograf z teleobiektywem próbował robić zdjęcia żałobnikom.

Odbływały się dwa pogrzeby. Dzień był na to idealny. Dołączyłem do tego mniejszego. W pobliżu stało tylko z pięć osób, ale spuściłem głowę, spokojnie czekałem i nikt nie zwrócił na mnie uwagi.

Zobaczyłem, że jakieś trzydzieści metrów dalej Isabelle już pochowano. Część osób stała w grupach, rozmawiając albo obejmując się. Inni byli sami. Większość szła już z powrotem w stronę czarnych sedanów. Urzędniczka, która prowadziła ceremonię, zegnała żałobników, ściskając im ręce i składając kondolencje.

Pomyślałem o Isabelle, nieprzytomnej i z twarzą ukrytą w dłoniach. O tym, jak gmerała przy apasce wokół szyi. O tym, jak dawała mi kuksańca i wybuchała śmiechem. Pomyślałem o dniu, w którym znalazłem ją martwą: o jej wyrazie twarzy i szeroko otwartych oczach. Pomyślałem o żyłach w jej ręce, o tym nienaturalnie ciemnym kolorze pod białą skórą. O błękitnej połowie ciała, w którą wstrzyknęła ból. O zapachu seksu, o nacięciach po wewnętrznej stronie uda.

Z trudem przypomniałem sobie zdjęcia, które znalazłem w jej biurku. Siedemnastolatka śmiejąca się z przyjaciółmi.

Wśród nielicznych osób stojących wokół grobu rozpoznałem detektywa Kernicka. Myślałem, że zobaczę go raczej przy bramie, w ciemnych okularach i ze słuchawką w uchu. Zdziwiłem się, widząc, że najwyraźniej uczestniczył w pogrzebie jako przyjaciel rodziny. Stał z ciemnowłosą kobietą i młodą dziewczyną. Z rodziną, pomyślałem. Wiedziałem, że od lat pracował u Rossiterów, ale nie zdawałem sobie sprawy, że aż tak się żyli. Jego córka była mniej więcej w wieku Isabelle, wyglądała na wyraźnie przygnębioną i zastanawiałem się, czy się przyjaźniły.

Gdy Kernick objął ją ramieniem, poczułem dotkliwe wyrzuty sumienia. Przypomniałem go sobie na klatce schodowej w komendzie, świdrującego mnie wzrokiem, starającego się dowiedzieć, czy wykorzystałem Isabelle. Przypominał ojca bardziej niż Rossiter. Wcześniej złożył mi wizytę i nalegał, żebym trzymał się z daleka, dlatego że nie chciał dzisiaj pracować. Odwrócił córkę od grobu i skinął w stronę ciemnowłosej kobiety, pewnie żony. Ruszyli w stronę bramy.

Mój wzrok skierował się w stronę samotnej młodej kobiety stojącej przy grobie. Miała ciemnoszary płaszcz i mały czarny kapelusz, oplatała się ramionami i emanowała smutkiem. Jakaś przechodząca obok para rzuciła jej ukradkowe spojrzenie, a potem zaczęła o niej rozmawiać, jakby zobaczyła kogoś sławnego. Kobieta stała ze spuszczoną głową. Chyba nie zauważała, co się dzieje wokół. Miała takie same delikatne rysy jak Isabelle i włosy w podobnym jasnym kolorze, choć o ton ciemniejsze.

Starsza siostra, odnaleziona uciekiniarka.

Głęboko westchnęła i odeszła od grobu. Gdy wchodziła na ścieżkę, zjawił się David Rossiter. Jej ojciec. W pierwszej chwili go nie poznałem. Miał zmierzwione włosy, a jego twarz była spuchnięta, mizerna i zmęczona.

Niedawno płakał.

Spojrzeli na siebie. Dzieliło ich tylko kilka kroków, ale wydawało się, że więcej. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz nie padły żadne słowa. Twarz dziewczyny spochmurniała. Lekko pokręciła głową i ominąwszy go, poszła ku bramie. Rossiter nie odwrócił się, żeby odprowadzić ją wzrokiem, a gdy ugięły się pod nim kolana, myślałem, że upadnie. Wyprostował się jednak, niedbale otarł twarz rękawem i spojrzał na ludzi, którzy wciąż jeszcze byli na cmentarzu.

Poza tym jedyną osobą wartą uwagi była wysoka, atrakcyjna kobieta po czterdziestce. Pasma siwizny w jej włosach jedynie podkreślały ich jasny kolor, a woalka bynajmniej nie przesłaniała jej oszałamiającej urody. Dzięki doniesieniom o śmierci Isabelle wiedziałem, że to Alexa Rossiter, jej matka. Nosila żałobę z dumną, niemal wzorcową elegancją. Twarz miała nieruchomą, nieujawniającą emocji, i tylko zmrużone oczy dawały wyobrażenie o tym, co się dzieje w jej wnętrzu.

Wraz z mężem rzucali sobie nawzajem nienawistne spojrzenia.

Było widać, że jest otwarty na jakiś rodzaj komunikacji, jego oblicze wyrażało coś w rodzaju przeprosin. Wyraz twarzy pani Rossiter w ogóle się nie zmieniał. Patrzyła na męża, aż w końcu nie był w stanie dłużej tego znieść. Odwrócił się i ruszył ścieżką. Gdy był już wystarczająco daleko, poszła za nim.

Druga ceremonia pogrzebowa dobiegła końca, a ludzie zaczęli ścisnąć sobie ręce i odchodzić. Poszedłem ścieżką, trzymając się z daleka od każdego, kto mógłby mnie rozpoznać.

Pani Rossiter dumnym krokiem minęła męża, wsiadła na tylne siedzenie samochodu

i zamknęła drzwi. Powiedziała coś do kierowcy, a on wrzucił kierunkowskaz, żeby włączyć się do ruchu. Rossiter rozejrzał się, zagubiony. Obok niego zaraz zjawił się Kernick, oferując mu ramię. Poseł pozwolił się zaprowadzić do innego samochodu.

Przypomniałem sobie pierwsze spotkanie z Davidem Rossiterem. Przypomniałem sobie jego obrączkę, zimną dlatego, że dopiero ją włożył. Przypomniałem sobie, jak opowiadał mi o depresji córki. O jej próbie samobójczej. O tym, że wezwał karetkę. Że nie dopuścił, by mówili o tym w wiadomościach. Że osobiście poszedł do gazet i błagał.

Przypomniałem sobie, jak mówił mi o swojej znerwicowanej żonie. Pomyślałem o tym, jak na niego spojrziała. Jak obok niego przeszła. Jak odjechała z podniesioną głową, niczym uosobienie pewności siebie, bez niego.

Okłamał mnie.

W drodze powrotnej do miasta zatrzymałem się w pubie, żeby się rozgrzać. W telewizorze nad barem leciały wiadomości bez dźwięku, materiał na temat pogrzebu Isabelle. Tekst na pasku na dole ekranu przypominał widzom, że wcześniej podjęła aktywność seksualną, że przedawkowała.

Kamera z zoomem pokazywała grupkę osób stojących wokół trumny. Zjadłem trochę orzeszków, wypilem powoli dwa piwa i wyszedłem.

Zaparkowałem kilka ulic od swojego mieszkania i resztę drogi pokonałem piechotą. Było ciemno i budynki wisiały nade mną jak czarne myśli. Szedłem ze spuszczoną głową. Chodnik był oblodzony i pomyślałem, że to miasto mogłoby całkiem zamarznąć. Na kilka miesięcy wszystkich i wszystko ogarnąłby zastój, zło by się rozpląnęło, ludzie odzyskaliby oddech.

Pod moimi butami chrzęścił cienki lód. Trochę się zdziwiłem, gdy skręciłem w swoją ulicę, w ogóle nie myśląc o tym, dokąd idę.

Podniosłem głowę.

Zatrzymałem się.

Stał zaparkowany po drugiej stronie ulicy dokładnie przed moim budynkiem. Mustang hatchback czwartej albo piątej generacji. Czarna karoseria z cienkimi czerwonymi paskami. Silnik pracował i w świetle ulicznych latarni widziałem dym z rury wydechowej. Samochód Gripa.

Grip.

Wszedłem we wnękę przy pierwszych drzwiach do klatki i rozejrzałem się, wypatrując go na ulicy. Zauważyłem kilka sylwetek, kilka osób idących w stronę centrum albo w przeciwną, ale żadna nie poruszała się jego niezdatnym, ociążalym krokiem. Spojrzałem na budynek, w którym znajdowało się moje mieszkanie. Drzwi wejściowe były zamknięte, a w korytarzu panowała ciemność. Podniosłem oczy w kierunku okna wychodzącego na ulicę. Światło było wyłączone, ale nie mogłem sobie przypomnieć, czy wyłączyłem je przed wyjściem.

– Słucham?

Wzdrygnąłem się. Głos dobiegał z domofonu obok drzwi, widocznie się o niego oparłem. Rozejrzałem się i popatrzyłem w górę, na budynek, pod którym stałem. Jakaś młoda kobieta wyglądała przez okno kilka pięter wyżej, zastanawiając się, dlaczego ukrywam się we wnęcie przy drzwiach do jej budynku. Lekko machnąłem ręką w przeproszającym geście i oddaliłem się.

Powoli podszedłem do samochodu, idąc drugą stroną ulicy. Wciąż jeszcze mogłem go ominąć i pójść dalej. Gdy się zbliżyłem, usłyszałem ciche warczenie silnika. Zrównawszy się z mustangiem, zerknąłem na niego z ukosa. Potem się zatrzymałem i spojrzałem jeszcze raz. Siedzenie kierowcy było puste. Rozejrzałem się na boki – raczej ze względu na Gripa niż na przejeżdżające samochody – i przeszedłem przez ulicę.

Zobaczyłem przez szybę, że w samochodzie nikogo nie ma. Kluczyki były w stacyjce i czułem, że coś jest nie tak. Grip definiował się za pomocą tego samochodu. Nawet gdyby na chwilę chciał zajrzeć do mojego mieszkania, zabrałby kluczyki ze sobą.

Zamknąłby go.

Wziąłem głęboki oddech, otworzyłem drzwi po stronie kierowcy. Spodziewałem się odrobiny ciepła, ale wewnątrz było wyziębione, temperatura niewiele różniła się od tej na ulicy. Zobaczyłem, że ogrzewanie jest wyłączone. Nikt nie siedział w środku, czekając.

Znowu się rozejrzałem.

Wyciągnąłem rękę i przekręciłem kluczyk. Ciche warczenie silnika ustało. Zabrałem kluczyk i zamknąłem drzwi. Podszedłem do samochodu od tyłu i zatrzymałem się.

Znowu się rozejrzałem.

Było ciemno i w odległości dwudziestu metrów nikogo nie zauważyłem.

Przekręciłem kluczyk i uchylłem bagażnik. Gdy to zrobiłem, wewnątrz zapaliło się światło i zanim go zamknąłem, przez chwilę widziałem, co jest w środku.

Starąłem się wypuścić z płuc cały ten zapach.

Trzęsły mi się ręce i rozłożyłem je płasko na karoserii. Tylko dzięki temu utrzymałem się w pionie.

Znowu usłyszałem dźwięki ulicy i odwróciłem głowę. Chodnikiem szła w moją stronę grupa pijanych, śpiewających ludzi. Pary trzymające się pod rękę.

Sylwetki w drzwiach.

Dziewczyna, którą widziałem kilka minut wcześniej.

Nadal stała w oknie. Nadal na mnie patrzyła. Rozmawiała z kimś przez telefon. Okrążyłem samochód, wsiadłem za kierownicę i włączyłem silnik. Ruszyłem ulicą.

Silnik mustanga został tak zaprojektowany, żeby wydawać określony dźwięk nawet przy najmniejszej prędkości. Warczał cicho i uporczywie. Był głosem w mojej głowie. Jadąc, miałem wrażenie, że słyszę stukot i grzechotanie dobiegające z bagażnika.

Wiedziałem, że to niemożliwe.

Gdy dotarłem do Fairview, było po piątej. Zaparkowałem na równoległej ulicy, wysiadłem z samochodu i przez chwilę stałem, oddychając zimnym powietrzem. Podszedłem do domu ścieżką i zapukałem do drzwi.

W środku usłyszałem kroki.

Ucichły gwałtownie, gdy ktoś spojrział przez wizjer. Drzwi otworzyła Sarah Jane. Robiąc to, świadomie nadała twarzy łagodniejszy wyraz. Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby to robiła. Zastanawiałem się, czy nie czuje się samotna. Isabelle nie żyła. Zaina aresztowano. Grip zaginął. Catherine też. Posłała mi lekki, nerwowy uśmiech i pomyślałem, że musi być bardzo młoda.

– Cześć – powiedziała.

– Cześć – powiedziałem. Patrzyliśmy na siebie o sekundę za długo, a potem oboje zaczęliśmy mówić jednocześnie.

– Wejdiesz?

– Znalazłem Gripa.

Spojrziała przez moje ramię, wypatrując go.

– Nie tutaj – powiedziałem.

– Nic mu nie jest?

– Nadal jest w jednym kawałku. Mogę cię do niego zabrać. – Była wyczulona na okrucieństwo i chyba zaczęła się zastanawiać, dlaczego zabrzmiało ono w moim głosie. Dlaczego zjawiłem się bez zapowiedzi i dlaczego próbuję ją stąd zabrać.

– Nie – powiedziała, ale była to raczej reakcja na złe wieści niż odpowiedź. Widziałem, jak krew odpływa jej z twarzy.

Odsunęła się, by zamknąć drzwi.

Wsunąłem stopę do środka i popchnąłem je, a po wejściu zatrzasnąłem za sobą.

– Sarah, ja wiem.

Nie poruszyła się, ale jej wpatrzone we mnie oczy zaszyły mgłą. Stała oszołomiona, jakbym uderzył ją w twarz. Minąłem ją, znalazłem futro, w którym ją wcześniej widziałem, i zacząłem je nakładać na jej ramiona. Machinalnie wsunęła ręce w rękawy. Lekko popchnąłem ją naprzód, w kierunku drzwi, i poszła.

Nie otworzyła ich jednak. Stała tylko, opierając na nich obie dłonie, jakby sprawdzała, czy po drugiej stronie szaleje pożar. Gdy się do mnie odwróciła, w oczach miała łzy.

– Co wiesz? – spytała.

– Prawie wszystko.

– Aha.

Wyprowadziłem ją, trzymając za ramię, i zamknąłem za nami drzwi. Gdy dotarliśmy do końca ścieżki, musiała się o mnie oprzeć, żeby nie upaść. Przy samochodzie Grippa zasłoniła usta rękami. Próbowła się cofnąć. Zaprowadziłem ją do drzwi po stronie pasażera i wsadziłem do środka. Okrążyłem samochód, wsiadłem i włączyłem silnik.

Wiedziałem, że musimy pojechać w jakieś zaciszne, odludne miejsce, i kierowałem się poza granice miasta. Sarah Jane niespokojnie gmerała przy pasie bezpieczeństwa.

Mijaliśmy dziesiątki porzuconych, zapomnianych placów budowy i przy paru z nich zwalniałem. Spoglądała wtedy przez szybę, czasami przykładając rękę do szkła, i zastanawiała się, czy to tu skończyło się życie Gripa. Myślała, co teraz z nią będzie.

Gdy wyjechaliśmy z miasta, gdy przy drodze było już mniej latarni, przyłapałem ją na tym, że mi się przygląda. Raz po raz przesuwaly się po nas światła reflektorów, ukazując mi przelotnie jej rozjarzone oczy.

Jechałem dalej z kamienną twarzą. Szpital Barnes przetrwał od XIX wieku. Olbrzymi gotycki budynek z czerwonej cegły miał dwa skrzydła i wieżę zegarową z wieżyczkami, która nie podawała czasu od końca lat dziewięćdziesiątych, gdy lokalnemu budżetowi na ochronę zdrowia odebrano miliony funtów. Szpital został zamknięty i natychmiast wpisano go na listę miejsc o wartości historycznej i architektonicznej. Mimo to firma deweloperska, która go kupiła, pozwoliła mu popaść w ruinę.

Zjechaliśmy z autostrady. Przy budynku była czerwona tablica, na której trzy razy użyto słowa „okazja”, zachęcając zainteresowanych, żeby zadzwonili pod numer zaczynający się od 0800. Szpital otoczono ogrodzeniem z siatki, ale ktoś usunął słupki blokujące wjazd. Podjechałem bliżej. Gdy światło reflektorów padło na olbrzymi, opuszczony budynek, na jego kamienne schody i balustrady z kutego żelaza, zobaczyłem, jak ręka Sarah Jane przysuwa się do klamki.

Zatrzymałem samochód, wyłączyłem silnik i czekałem.

Wokół nie paliły się żadne światła i słyszeliśmy jedynie dźwięki autostrady. Po jakiejś minucie usłyszałem także oddech Sarah Jane.

– Pochowali dziś Isabelle – powiedziała, patrząc prosto przed siebie, starając się, żeby brzmiało to jak zwyczajna rozmowa. Starając się znaleźć ze mną wspólny język. Zbyt późno.

– Wiem, byłem tam – powiedziałem. Nie odezwała się, ale odwróciła głowę w moją stronę. – Poszłabyś, gdybyś mogła?

– Oczywiście, że bym poszła.

– Ciekawe, co cię powstrzymało?

– Dlaczego to robisz?

Nie odpowiedziałem.

– Gdzie on jest? Gdzie jest Grip?

– Grip jest tutaj, o to się nie martw.

– Zaprowadź mnie do niego – powiedziała, kładąc mi rękę na ramieniu. Jej dłoń była taka zimna, że poczułem to przez rękaw.

– Najpierw muszę ci zadać kilka pytań. To, co stanie się później, zależy od tego, jak na nie odpowiesz.

Cofnęła rękę.

– Wiesz, dlaczego nie mogłam tam pójść. Umarła przez nas.

– Przez nas?

Odwróciła się, znowu patrzyła prosto przed siebie.

– Przeze mnie.

– Ale nie dlatego nie mogłaś pójść na pogrzeb, prawda? – Milczała. – Ciągłe zadaję sobie pytanie, skąd David Rossiter wiedział aż tyle o Isabelle, nawet po jej ucieczce z domu.

Sarah Jane wyprostowała się. Gdy znowu przemówiła, w jej głosie pobrzmiwała odrobina dawnej szorstkości.

– Miała siedemnaście lat. Pilnowałam jej.

– Przed chwilą powiedziałaś, że ją zabiłaś, teraz mówisz, że jej pilnowałaś. – Nie odezwała się. – No więc jak to było?

Mruknęła coś.

– Słucham?

– Pilnowałam jej i nie zamierzam za to przeproszać.

– Nie chcę przeprosin. Chcę wyjaśnienia. Nie odpowiedziałaś jeszcze na moje pytanie.

– Jakie pytanie?

– Skąd David Rossiter wiedział aż tyle o życiu Isabelle po jej ucieczce z domu?

– Bo mu mówiłam – powiedziała.

Przez chwilę żadne z nas się nie odzywało. W samochodzie było ciepło.

Na szybach zbierała się skroplona para wodna.

– Donosiłaś mu o Isabelle. O mnie.

Milczała.

– Zrobiłaś nam zdjęcia. Dałaś mu je.

Milczała.

– Dałaś mu jej nowy numer.

– No i?

– Powiedziałaś mu, gdzie ona mieszka. I kiedy tam jest.

– No i? – powtórzyła, ale tym razem ledwie słyszalnie.

– Jak myślisz, dlaczego uciekła z domu?

– Małe problemy bogatej dziewczynki.

– Spróbuj jeszcze raz.

– Duże problemy bogatej dziewczynki.

– Jeszcze raz.

– Och, Aidan, przecież wszystko wiesz. Może sam mi powiesz?

– Dlatego że twój facet ją pieprzył.

– Co?

– Początkowo sam też w to nie wierzyłem. – Milczała. – Kiedy ją znaleźliśmy, była naga. Trochę wcześniej uprawiała seks.

– Co to ma wspólnego z...

– Z twoim facetem? Robiła sobie nacięcia po wewnętrznej stronie uda. Karby. Jedno po każdym razie, kiedy ją wykorzystywał. Była tam nawet świeża rana, za ten ostatni raz.

– Kiedy umierała, Zain był ze mną.

– A kto tu mówi o Zainie?

Nie poruszyła się.

– Mówiłem o twoim drugim facecie. Zakładam, że jest ich dwóch.

Sarah Jane otworzyła drzwi i wystawiła nogę z samochodu. Wewnętrzne światło rozbłysło automatycznie, zaskakując ją, i na chwilę zastygła bez ruchu. Nie zdawałem sobie sprawy, że płacze. Makijaż spłynął razem ze łzami. Chłodny wiatr zdmuchnął jej włosy na twarz. Jaskrawa rudocień na białej skórze. Rozmazany tusz.

– Nie wiem, o czym mówisz – powiedziała. Wsiadła z samochodu i zatrzęsnęła drzwi. Światło wewnątrz zgasło. Otworzyłem drzwi po swojej stronie i zaświeciło się ponownie. Zostawiłem je uchylone, żeby cokolwiek widzieć. Sarah Jane szła szybkim krokiem w stronę autostrady. Ruszyłem za nią, złapałem ją za ramię i zawlokłem z powrotem do samochodu.

– Nie wiem, o czym mówisz – powtórzyła, ale tym razem z mniejszą mocą.

Milczałem. Zmęczyło mnie walenie głową w mur. Zaprowadziłem ją do drzwi po stronie kierowcy i wyjąłem kluczyk ze stacyjki. Znowu spowiła nas ciemność.

Autostrada obok.

Jej oddech.

Jej lodowate palce na moim ramieniu.

Podeszliśmy do bagażnika i pogmerałem kluczykiem w zamku. Zaczęła panikować, wrywać mi się, ale trzymałem ją za kark. Skierowałem jej twarz w stronę samochodu. Otworzyłem bagażnik. Światło rozbłysło, rozjaśniło nas.

Sarah Jane mocno zacisnęła powieki.

– Proszę, nie...

– Patrz – powiedziałem.

Wzięła oddech, spojrzała, a potem oparła się o mnie, żeby nie upaść. Wpatrywały się w nas szeroko otwarte oczy Gripa. Wydawały się większe niż zwykle, wyłaziły z czaszki. Wcisnięto go w zbyt małą przestrzeń. Żeby to zrobić, połamano mu nogi i zgięto je w kolanach w niewłaściwą stronę. Zastygły grymas bólu na jego twarzy wskazywał, że kiedy to się działo, jeszcze żył. Ręce związane mu z przodu za pomocą kabla.

Na skórze widać było głębokie rany, świadczące o tym, że próbował się wyswobodzić.

Związali mu ręce z przodu, żeby mieć do nich łatwy dostęp. Żeby widział, co mu robią.

W lewym ramieniu miał strzykawkę, a miejsce wkłucia szerniało.

Lewa strona ciała Gripa była ciemniejsza. Ten sam koszmarny niebieski odcień widziałem u Isabelle. I na Sycamore Way.

Gdy Sarah Jane patrzyła na zmalretowane ciało przyjaciela, widziałem, jak jej oczy wypełniają się żalem. Spojrzawszy na jego twarz, osunęła się, oparła na mnie i zaczęła płakać. Przed śmiercią mocno wymiotował. Zmuszono go do wypicia ogromnej ilości farby. Wymiociny zastygły na jego klatce piersiowej, na ustach i wokół nich były czarno-białe.

Trzymając Sarah Jane za ramię, zaprowadziłem ją do drzwi po stronie pasażera. Otworzyłem je, wsadziłem ją do środka i okrążyłem samochód. Gdy zająłem swoje miejsce, przemówiła opanowanym głosem:

– Co mu się stało?

– Poszedł szukać Cath.

Ciaśniej owinęła się futrem.

– Czy ona...

– Znalazłem ten samochód przed swoim domem. Po niej ani śladu. – Pomyślałem o tym, co powiedział Sheldon w Rubiku: „Będzie tak, jakby w ogóle, kurwa, nie istniała”.

– Dlaczego przed twoim domem?

– Ostrzeżenie, gwarancja, że zostanie znaleziony. Słuchaj – powiedziałem, pochylając się nad deską rozdzielczą. – Musisz odpowiedzieć na kilka pytań.

– Nie włączaj światła. Pytaj, o co chcesz, ale nie włączaj światła. – Wiedziałem, że istnieje duże prawdopodobieństwo, że po wyjściu z tego samochodu nigdy więcej nie zamienimy ze sobą słowa, i z jakiegoś powodu chciałem ją widzieć. Opadłem jednak na oparcie i rozmawialiśmy w ciemności.

– Od jak dawna sypiasz z Davidem Rossiterem?

– Mniej więcej od roku. Jak się o tym dowiedziałeś?

– Wiedział więcej, niż powinien, ale informacje mógł zdobyć gdziekolwiek. Tak naprawdę domyśliłem się dzięki moim zdjęciom z Isabelle. Były zbyt sugestywne, żeby mógł je zrobić ktoś, kto nie rozumie seksu. A moment był tak dobrze uchwycony, że nie byłby w stanie tego zrobić mężczyzna.

– Więc byłem zbyt dobra?

– Nie, nie do końca. Kiedy tamtego wieczoru przywiozłem Isabelle do domu Zaina, poprosiłaś, żebym ją zabrał do mieszkania za rogiem. Zapisałaś jej adres. Ten sam charakter pisma zobaczyłem na kopercie, w której Rossiter trzymał zdjęcia. – Prychnęła. – Poza tym Carver i Rossiter pili koniak tej samej marki. Zastanawiałem się, czy nie dostali go od ciebie.

Pokiwała głową.

– Przepraszam, że wpakowałam cię w kłopoty.

– Z czyjej strony?

– Davida, Zaina, policji. – Wzruszyła ramionami. – Wszędzie masz kłopoty.

– Już nie pracuję w policji.

Znowu na mnie spojrzała, ale nie odezwała się.

– Jak poznałaś Rossitera?

– To nie ma nic do...

– Jeśli będę musiał spytać po raz drugi, wsadzę cię do bagażnika razem z Gripem i pójdę do domu.

Bałem się, że mówię poważnie.

– A jak inaczej taka dziewczyna jak ja mogłaby poznać takiego mężczyznę jak on? – Poczułem ukłucie zazdrości. Staralem się, żeby nie było tego słychać w moim głosie, ale nie do końca mi się udało.

– Gdzie to było?

Sarah Jane wychwyciła mój ton i zaczęła mówić szybciej, zadowolona z tego, że przynajmniej każda jej odpowiedź w jakiś sposób mnie rani.

– W Cloud – powiedziała.

W barze na dwudziestym trzecim piętrze Beetham Tower. Widok na miasto i drinki po cenach z czasów prohibicji. Mają tam czterometrowy balkon ze szklaną podłogą, żeby można było patrzeć aż na sam dół. Większość klientów to biznesmeni w podróży. Czasami młode kobiety dotrzymujące im towarzystwa. Całkiem inny świat. Wysoki poziom życia.

Z perspektywy Davida Rossitera bar znajdował się dwadzieścia dwa piętra poniżej jego poziomu. Miałem ochotę powiedzieć Sarah Jane, że było to także poniżej jej poziomu, ale słyszałem ton swojego głosu równie wyraźnie jak ona. Nie chciałem w to brnąć.

– Pracowałeś.

– Mówisz o kurwieniu się? W zasadzie nie uważam tego za pracę.

– Ale ci płacił?

– Fundusz reprezentacyjny nie ucierpiał.

– Płacił ci czy nie?

Przez chwilę milczała.

– Czasami.

– Opowiedz mi o nim.

– Jeśli chcesz, mogę ci nawet podać jego hasło bezpieczeństwa. – Nie odezwałem się. – Moje to „mocniej”...

– Zacznijmy od Cloud.

– Przyszłam tam tylko na drinka. Bywa, że ma się dość picia w okolicznych piwnicach. Zwłaszcza w spelunkach, w których handluje Zain. Czasami jakiś lepszy widok pozwala oderwać myśli od różnych spraw. Może miałam na sobie coś ładnego. Coś czarnego, pokazującego, jak się czuję, albo czerwonego, jeśli miało być widać, jak chcę się czuć. Chodziłam tam, kiedy byłam młoda. W godzinę zarabiałam więcej niż moja mama w miesiąc.

– Nadal jesteś młoda – powiedziałam. – Rossiter do ciebie podszedł?

– Możliwe, że ja też wykazałam inicjatywę. Bo ja kurewsko kocham pieniądze. Ale nie pamiętam dokładnie. Na pewno nasze oczy się spotkały i postawiliśmy sobie po drinku.

– Dokąd poszliście?

– Na sam szczyt.

– Do jego penthouse’u? Nie bał się, że żona może przyjść do domu i cię zobaczyć?

– Twierdzi, że jej noga nigdy tam nie powstała.

– A ty mu wierzysz?

– To chyba prawda. Paraliżujące zawroty głowy i więcej pieniędzy niż rozumu. Kupiła najwyżej położone mieszkanie w Anglii, żeby spróbować przezwyciężyć ten lęk.

– Jak to?

– Zamierzała mieszkać w Hiltonie przez czterdzieści pięć dni. Co wieczór wjeżdżać piętro wyżej, aż dotrze na samą górę. Na piętnastym piętrze dostała ataku paniki i więcej się nie pokazała.

– Więc David zaczął używać mieszkania do własnych celów?

– Mówił, że w domu mu się nie układa. Że tak naprawdę są małżeństwem tylko na papierze.

– Pomyślałem o tym, że po każdym wyjściu Sarah Jane wkładał obrączkę z powrotem na palec. Gdy usłyszała własne słowa, dodała cicho: – Wiem, że oni wszyscy tak mówią.

– Ale Isabelle nie cierpiała na zawroty głowy.

– Nie.

– I poznałaś ją w penthousie?

– Przychodziła tam od czasu do czasu, kiedy wiedziała, że Davida nie ma. Zaczęłyśmy na siebie wpadać.

– To musiało być krępujące.

– Trochę, na początku. Pewnego rano wyszedł rano do pracy, a ona wjechała na górę windą, na którą właśnie czekałam. Wagarowała. I przyprowadziła jakiegoś chłopaka. Wydawała się śmiertelnie przerażona.

– I o wszystkim wiedziała?

– Mniej więcej. Zaczęła odgadywać nasze zwyczaje. David lubi... – Na chwilę zamilkła, po czym się poprawiła: – David lubił wychodzić pierwszy. Ja wychodziłam dziesięć, dwadzieścia minut później. Przeważnie widziałam, jak Isabelle wychodzi z windy. Na czterdziestym piątym piętrze Beetham Tower nie spotyka się wielu ludzi.

– Powiedziałaś Rossiterowi?

Milczała.

– Sarah...

– Nie. Nie, ale myślę, że wiedział. Czasami zjawiała się już kilka minut po jego wyjściu. Przypuszczałam, że mijali się w holu...

– Jak to się stało, że w końcu zaczęłaś rozmawiać z Isabelle?

– Spędziliśmy z Davidem noc. Zwykle czułam się tam jak w domu, ale tym razem nie mogłam się odnaleźć. Kiedy rano wyszedł, poszłam zaraz za nim. Winda przyjechała, ale nie było w niej Isabelle. Zaskoczyło mnie to. Zastanawiałam się, czy to dlatego tak dziwnie się czułam. Dlatego, że coś było nie tak. Odczekałam kilka minut, ale się nie pokazała. Miałam okropne wrażenie, że przez całą noc ukrywała się w penthousie. Że nas obserwowała. Słuchała. Wróciłam, zapukałam do drzwi. I rzeczywiście, otworzyła je.

– Co było potem?

– Powiedziała, że po prostu chciała mieć pewność. Że nie ma do mnie żalu. Postawiłam jej drinka. Zrobiło mi się jej szkoda. Miałam wrażenie, że rodzice nie bardzo się nią przejmują. Jedno zawsze myślało, że jest z drugim.

– To dlatego minęło aż tyle czasu, zanim zdali sobie sprawę, że uciekła?

– A nie wiedzieli? – Na chwilę zamilkła. – Tak, chyba dlatego.

– Czy kiedykolwiek wspominała ci o ojcu?

– Raczej nie...

– Nie mówiła czegoś dziwnego? Czegokolwiek?

– Zapamiętałabym.

- A on? Mówił coś o niej?
- Na przykład co?
- Cokolwiek.
- Wiesz, te banały o facetach, którzy płacą kurwom, żeby się wygadać, nie mają nic wspólnego z prawdą.
- Przestań tak o sobie mówić, zrozumiałem. Jak to się stało, że zabrałaś Isabelle do Zaina?
- Nie zabrałam jej tam. Nie zrobiłabym tego. Zaczęła za mną łązić.
- A ty dla odmiany nie mogłaś potraktować jej chłodno? Przecież ciągle to robisz.
- Jej siostra wyjechała. Nie miała nikogo innego...
- To ci schlebiało.
- Chyba tak. Wcześniej nikt mnie tak nie traktował. Weszła do domu tak samo jak ty. Widywałam ją w barach, kręciła się tam przez kilka tygodni, a potem pewnego wieczoru zjawiła się u Zaina.
- I poczuł do niej sympatię?
- Jak już wiesz, ma w zwyczaju przyciągać zbłąkane dusze.
- O co kłóciłaś się z Zainem, kiedy przyszedłem po raz drugi?
- Na początku o ciebie, już ci mówiłam. Powiedziałam mu, że wpuszczanie ciebie to głupota.
- Skąd wiedziałaś, kim jestem?
- David wspomniał, że może tam węszyć jakiś policjant. Powiedział ci o Izzy tylko dlatego, żeby nie wyglądało dziwnie, że nie zgłosił jej zaginięcia, ale...
Czekałem.
- ... sama nie wiem, czasami miałam wrażenie, że nie chciał, żeby wróciła.
- Jeśli Rossiter dowiedział się o dochodzeniu, które przy okazji mogło ujawnić miejsce pobytu jego córki – córki, której zaginięcia w ogóle nie zgłosił – nieoficjalne zaangażowanie mnie w sprawę rzeczywiście wydawało się sensownym rozwiązaniem. Ograniczało moje kontakty z Isabelle. Miał ją na oku i jednocześnie jego sekrety pozostawały bezpieczne. W najgorszym razie mógł wykorzystać zdjęcia, żeby mi przypomnieć, gdzie jest moje miejsce.
- A Zain? Wiedział, kim jestem, zanim się przedstawiłem.
- Jeśli zobaczy jakąś twarz dwa razy, chce się dowiedzieć, do kogo należy. Kilkoro z nas widywało cię w barach.
- Ale kto mnie zidentyfikował?
- Przełknęła ślinę.
- Płaci komuś z policji. To on cię zidentyfikował...
- Ze zdjęcia czy na żywo?
- Nie odpowiedziała.
- Sarah, to ważne.
- Na żywo. Zanim przyszedłeś do Fairview tego pierwszego wieczoru.
- Ktoś mnie wtedy uderzył. Ocknąłem się na ulicy przed Rubikiem. – W ciemności zobaczyłem, że Sarah Jane przesuwa się, żeby na mnie spojrzeć. – Miałaś z tym coś wspólnego?
Pokiwała głową.
- Mów.
- Zain nazywał go po prostu przyjacielem. Powiedział, że jego przyjaciel zaczeka na ciebie

w Rubiku. Zidentyfikuje cię i da mu znać. Wiedziała, że masz coś wspólnego z Isabelle. Z Davidem. Powiedziałam Zainowi, że powinien cię przepłoszyć. – Gwałtownie zamilkła i zaczęła płakać. To był żal nie nade mną, tylko nad sobą albo nad kobietą, którą wcześniej była. – Kiedy zobaczyłam cię przed drzwiami z podbitym okiem, patrzącego na mnie w taki sposób...

– W jaki sposób?

Wytarła nos.

– Jakbym była kimś dobrym.

– Muszę poznać nazwisko przyjaciela Zaina z policji...

Przecząco pokręciła głową.

– To mężczyzna czy kobieta?

– Nie wiem. To jedna z niewielu spraw, w których zachowuje dyskrecję.

– Powiedziałaś, że na początku kłóciliście się o mnie. A potem?

– O Isabelle.

– Chciałaś, żeby stamtąd zniknęła?

– Doprowadziłam do tego, że stamtąd zniknęła. Na początku mieszkała w domu. Zmusiłam Zaina, żeby przeniósł ją do tamtego budynku.

– Dlaczego?

– Bałam się, że się wygada. O swoim tacie i o mnie.

– Czy mieszkanie, do którego się przeniosła, należy do Zaina?

Przytaknęła.

– Nie mówiłaś poważnie, prawda? O Davidzie i Isabelle?

Przez chwilę się zastanawiałem.

– Kiedy zbliżyłem się do Isabelle, dość szybko mnie przejrzała. Spytała, czy dla niego pracuję, dostała ataku paniki.

– Ale co to znaczy?

– Powiedziała, że miał obsesję na jej punkcie. Przesłuchiwał jej chłopaków, upijał ich i dowiadywał się różnych szczegółów na temat jej życia seksualnego. Czasami puszczał jej nagrania. – Gdy mówiłem, Sarah Jane zaczęła głęboko oddychać. – Muszę ci zadać jeszcze kilka pytań.

Pokiwała głową.

– Chodzi o seks z Davidem Rossiterem. Czy było w nim coś nietypowego? – Mimo ciemności czułem na sobie jej wzrok. – Muszę wiedzieć. – Słyszałem, jak skupia się na swoim oddechu. Minęła mniej więcej minuta, zanim uspokoiła się na tyle, żeby się odezwać.

– Zabawa w odgrywanie ról – powiedziała.

– Związanych z wiekiem?

Potwierdziła.

– Mundurki. Głosy. Nie wiedziałam...

– W apartamencie jest pewien pokój. Urządzony, jakby należał do młodej dziewczyny.

– Zwykle byliśmy właśnie tam. Lubi, jak nazywam go tatusiem. – Odwróciła się. – Zabił Isabelle?

– Powiedziałaś mu, że tamtego wieczoru odwoziłem ją do domu?

– Tak – odrzekła cicho.

– No więc wiedział, gdzie jest i w jakim stanie. Zobaczyłem się z nim następnego dnia i pokazał mi zdjęcia. Bał się, że się do siebie zbliżamy.

– Dlaczego w takim razie cię nie zabił? To znaczy...

– Jestem tylko jedną z kilkunastu osób, którym mogła coś powiedzieć. Zresztą doprowadził do tego, że odsunięto mnie od dochodzenia. Jego człowiek przypomniał mi o zdjęciach. – Sarah Jane bezwładnie opierała się o drzwi. – Jest jeszcze jedna sprawa. Kiedy znalazłem Isabelle, na lustrze w łazience była napisana wiadomość. „Nikt nie może się dowiedzieć”...

Miałem nadzieję, że Sarah Jane rozpozna to zdanie, ale ona powiedziała tylko:

– Aha...

– Po mojej ostatniej rozmowie z policją, z szefem, wróciłem do domu i zastałem mieszkanie przewrócone do góry nogami. Wszystko połamane albo pocięte. Ktoś napisał to samo na moim lustrze, a potem je roztrzaskał.

– Rozumiem...

– A kiedy byłem w apartamencie Rossitera, kiedy przeszukiwałem pokój, w którym ze sobą sypialiście, znalazłem to. – Sięgnąłem do kieszeni i podałem jej karteczkę. Spoglądała na nią przez chwilę, a potem wyjęła telefon. Podświetliła ekran i skierowała go w stronę papieru jak latarkę.

„Nikt nie może się dowiedzieć”.

– Rozpoznajesz charakter pisma?

Odłożyła telefon i pokręciła głową.

– Znasz charakter pisma Rossitera?

– Chyba tak.

– Masz gdzieś próbkę? Jakiś list? Podpis?

– Był ostrożny.

– Jak się przeważnie umawiacie?

– Mam telefon tylko dla niego. On ma telefon tylko dla mnie. Esemesy. Żadnych rozmów.

– Kiedy rozmawialiście po raz ostatni?

– W wieczór przed śmiercią Isabelle. Ty...

– Mów.

– Było od ciebie czuć alkohol. Isabelle była nieprzytomna. Martwiłam się o nią.

– Masz go przy sobie? – Pogmerła w kieszeni i podała mi telefon, jakby cieszyła się, że może się go pozbyć. – Potrzyj go jeszcze chwilę – powiedziałem. – Musisz coś dla mnie zrobić.

Wierzyłem Sarah Jane, ale musiałem mieć pewność. Gdy podyktowałem jej wiadomość, a ona ją wysłała, w milczeniu wróciliśmy do Fairview.

Muszę cię pilnie zobaczyć. Sx.

Moje relacje z Sarah Jane uległy zmianie. W pewnym sensie znowu staliśmy się sobie obcy. Przez całą podróż niespokojnie się wierciła. Szczypała, skubała i drapała się po całym ciele, jakby powoli rozpadała się na części.

Gdy wróciliśmy do Fairview, było już późno. Dałem jej wybór. Zgłosić się na policję albo wyjechać, mnie było wszystko jedno. Postanowiła wyjechać. Powiedziałem jej, że może przemocować i spakować się następnego dnia rano. Zamknąłem nas od wewnątrz, poprosiłem, żeby oddała mi swoje telefony i odłączyłem aparat stacjonarny.

– Tylko na noc – powiedziałem.

Wzruszyła ramionami i poszła do łóżka. Umyłem zęby, myśląc o nieprzytomnej Isabelle na podłodze łazienki. Gdy wypłułem pastę, była w niej krew.

W nocy obudziło mnie skrzypnięcie deski w podłodze. Na tle leciutkiej poświaty z ulicy zobaczyłem jedynie jej sylwetkę. Gdy zrobiła krok do przodu, zauważyłem, że jest owinięta narzutą, którą przytrzymuje jedną ręką, a w drugiej ściska coś ostrego o metalicznym połysku. Zrobiła następny krok i na jej twarz padł cienki pasek światła. Stała tak przez chwilę, nie wiedząc, czy śpię, czy nie, a ja widziałem wahanie w jej oczach. W końcu zawróciła i po cichu wymknęła się z pokoju.

Obydwoje obudziliśmy się wcześniej rano i Sarah Jane spakowała torbę. W nocy odpisał Rossiter – tak samo lakonicznie, jak my napisaliśmy do niego.

Grafton St. 11.

Gdy spytałem Sarah Jane o ten adres, powiedziała, że chodzi o wielopoziomowy parking w mieście. Jeśli chcieli się przejechać, wypuścić się gdzieś dalej, spotykali się właśnie tam, z dala od wścibskich oczu. Spojrzała na esemesa i wzruszyła ramionami.

– Nie ma całusa.

Wyniosłem z domu jej torbę i ruszyłem ścieżką. Sarah Jane stała opatulona futrem i choć taka kobieta jak ona nie mogła wyglądać bezbronne, to teraz niewiele jej do tego brakowało. Lekki wiatr zmierwił jej włosy, posyłając rude kosmyki w stu różnych kierunkach naraz. Obserwowałem ją przez chwilę, dopóki się nie odwróciła i mnie nie zobaczyła. Wskazała w stronę samochodu Gripa. Żadne z nas nie wspomniało o jego zwłokach wciąż leżących w bagażniku.

– Co z nim będzie?

– Zgłoszę to zaraz po twoim wyjeździe. Zostanie pochowany.

– Chyba wolałby kremację – powiedziała. Potem dodała cicho: – Nie lubił swojego ciała. – Ruszyła w stronę samochodu i położyła na bagażniku rękę w rękawiczce. – A co z tymi pieprzonymi zwierzętami? Z Burnsiderami? Z Sheldonem White'em?

– Postaraj się o tym nie myśleć.

– To okropne... – Załamał jej się głos. – To okropne, że więcej go nie zobaczę. – Odwróciła

się i spojrzała na dom. – Nikogo z nich więcej nie zobaczę, prawda? Też w pewnym sensie przez ciebie umieram. – Nie poruszyłem się i po chwili smutno się do mnie uśmiechnęła. – Wiem, przesadzam.

Pokiwałem głową. Wsiedliśmy do samochodu i pojechaliśmy w stronę centrum.

Na parking dotarliśmy krótko po dziesiątej, wjechaliśmy do środka i na trzecie piętro. Sarah Jane powiedziała, że to ich miejsce. Ponad połowa parkingu była wolna i wycofawszy, zatrzymałem się w punkcie z dobrym widokiem na wjazd. Przyglądała futro i odezwała się cichym głosem:

– Co mam mu powiedzieć?

– Nieważne, po prostu chcę to zobaczyć na własne oczy. Powiedz mu, że jest ci smutno z powodu Isabelle. Że chciałaś się z nim spotkać.

– Naprawdę jest mi smutno z powodu Isabelle – powiedziała. – A jeśli będzie chciał gdzieś jechać?

– Odmów.

– Bardzo się boję.

– Jeśli cię dotknie, zabiję go.

Spojrzała na mnie zaskoczona.

Tuż przed wpół do zobaczyłem znajome bmw wjeżdżające po rampie. Samochód miał włączone przednie światła, którymi omiótł ściany, po czym skręcił w prawo, ku drugiej stronie kondygnacji. Obydwoje zsunęliśmy się niżej w fotelach i Sarah Jane zaczęła szybciej oddychać.

Mój telefon zawibrował.

Ktoś dzwonił z nieznanego numeru. Odrzuciłem połączenie i powiedziałem do Sarah Jane:

– Stań na środku, żeby cię zobaczył. Nie podchodź do niego. Sam do ciebie podejdzie.

Lekko kiwnęła głową i wysiadła z samochodu.

Ruszyła na środek i udała, że rozgląda się za Rossiterem. Miała na sobie futro, spódnicę do kolan i czarne kozaki na obcasach. Nie widziałem samochodu, ale zobaczyłem, że miga światłami. Zmrużyła oczy, uniosła nad czoło rękę w rękawiczce i odwróciła się w tamtą stronę. Miała nieobecny wyraz twarzy, taki, któremu mężczyźni nie mogą się oprzeć i zawsze nadają mu jakieś znaczenie.

Usłyszałem trzaśnięcie drzwi. Zobaczyłem, że spokojnie zrobiła krok do tyłu, patrząc na kogoś idącego w jej stronę. Był to mężczyzna w długim ciemnym płaszczu. Pod spodem miał szary garnitur.

Sarah Jane zmarszczyła brwi, naprawdę zdziwiona, po czym wysłuchała, co mężczyzna ma do powiedzenia. Podał jej zwyczajną torbę prezentową i wrócił do samochodu. Gdy włączył silnik, znowu błysnęły światła. Sarah Jane zeszła mu z drogi, a kiedy bmw ją mijalo, odruchowo spojrzała w moją stronę. Samochód przejechał obok mnie i opuścił trzecie piętro. W środku siedziała tylko jedna osoba.

Detektyw Kernick.

Otworzyłem drzwi i ruszyłem ku Sarah Jane.

– Co powiedział?

Wydawała się zdezorientowana.

– David przesyła przeprosiny. Mówi, że to koniec.

Spojrzałem na torebkę.

– Mogę?

Podła mi ją. W środku były pliki nowiużeńkich banknotów. Odsunąłem je, szukając listu, czegoś, z czym mógłbym porównać charakter pisma na liściku znalezionym w penthousie Rossitera. Niczego takiego nie znalazłem. Podniosłem głowę i zobaczyłem, że Sarah Jane przygląda się, jak grzebię w gotówce. Oddałem jej torebkę.

– Odwiozę cię na dworzec.

Staliśmy w korku, czekając, aż będziemy mogli skręcić w Northern Quarter. Cały czas milczała, odruchowo dotykając torebki, którą trzymała na kolanach.

– Wyglądasz, jakbyś chciała coś powiedzieć.

– Czy kiedy Zain wyjdzie, powiesz mu? O mnie i Davidzie?

– Tylko wtedy mogę być pewny, że nie wrócisz.

– Aha. – Pokiwała głową. Odwróciła się w stronę szyby, a ja zastanawiałem się, za którym z nich będzie tęskniła. – Naprawdę byłoby tak strasznie, gdybym wróciła? – Spojrzała na mnie. – Albo gdybym nawet w ogóle nie wyjechała?

– Pomyśl o Isabelle. O Catherine, Gripie, a nawet o Zainie. Tu się dzieje coś złego i jeśli zostaniesz... Tak, mogłoby być strasznie. – Odwróciła się, znowu patrzyła przez szybę.

– A co będzie z tobą? – spytała cicho.

Znudzony chłopczyk siedzący z tyłu samochodu przed nami ułożył dłoń w pistolet. Podniosłem rękę, ale mnie zastrzelił.

Zaparkowałem za rogiem niedaleko dworca Piccadilly, bo wiedziałem, że tam nie ma kamer. Nie mogłem dłużej jeździć samochodem Gripa, ale nie chciałem, żeby widziano, jak któreś z nas z niego wysiada. Policja знаła już szczegóły i szybko mogła go znaleźć.

Na Piccadilly jest czternaście peronów. Nadają się idealnie do tego, żeby wybrać przypadkowy cel podróży i zniknąć bez śladu. Sarah Jane przez jakiś czas lustrowała tablicę odjazdów. W mojej kieszeni znowu zawibrował telefon. Spojrzałem na ekran – nieznanym numerem. Zignorowałem połączenie. Kilka minut później Sarah Jane pokiwała głową, bardziej do siebie samej niż do mnie, i zaczęła iść. Poszedłem z nią na piąty peron i postawiłem jej torbę. Trzymała torebkę, którą dostała od Kernicka.

– A więc to koniec – powiedziała, spoglądając nad moim ramieniem na dworzec.

– Co zrobisz?

– Kto wie? – Na chwilę zamilkła. Miała łzy w oczach. – Tak mi przykro.

Pokiwałem głową.

– Mnie też. – Obok przechodziło mnóstwo ludzi i ruszyliśmy w stronę pociągu. Wsiadła do niego, a ja postawiłem torbę obok jej stóp. Konduktor dał znak do odjazdu. Chyba w tym momencie obydwójce coś poczuliśmy.

– Gdybyś nie powiedział Zainowi o mnie i Davidzie, mogłabym zostać albo wrócić...

– Za parę tygodni nie będzie tu nic, do czego można by wrócić.

– Jak to? – Nad drzwiami rozległ się ostrzegawczy dźwięk i cofnąłem się, żeby mogły się zamknąć. Pociąg nie od razu ruszył i odchodząc, miałem wrażenie, że Sarah Jane mnie obserwuje. Gdy się odwróciłem, licząc na to, że zobaczę ją w oknie, nie było jej tam.

Opuściłem dworzec przed dwunastą. Kupiłem mocną kawę, przeszedłem po moście na zewnątrz i ruszyłem przez kompleks lśniących hoteli przy Auburn Street. Minąłem Gardens

i okrążyłem China Town.

Zachmurzone, nieruchome niebo wisiało nisko nad moją głową.

Był pierwszy dzień grudnia i właśnie wsadziłem ostatnią przyjaciółkę, jaką miałem, do pociągu wyjeżdżającego z miasta. Poczułem, że znowu wibruje mój telefon. Tym razem przyszła wiadomość, znowu z numeru, którego nie kojarzyłem.

On tu jest! Mel

Minęło kilka sekund, zanim sobie przypomniałem, że Mel to australijska barmanka z Rubika. Przeszedłem przez ulicę, wypełnioną w porze lunchu samochodami, i pobiegłem w stronę Locks.

W Rubiku było cicho, ale przy barze stało kilkanaście osób. Przepchnąłem się między nimi, rozglądając się w poszukiwaniu Mel. Nikt nie obsługiwał.

– Gdzie jest barmanka?

– Zniknęła już jakiś czas temu – powiedział jeden z klientów, pokazując mi pusty kufel. Wyjąłem komórkę i zadzwoniłem pod numer, z którego przyszedł esemes. Usłyszałem sygnał za barem i wszedłem tam, rozglądając się za telefonem.

– Dla mnie shandy, kolego.

– Spadaj – powiedziałem. – Mówię poważnie. Policja.

Mężczyźni wymienili spojrzenia i rozeszli się. Telefon Mel leżał na podłodze. Zakończyłem połączenie. Obok kontuaru były drzwi prowadzące na zaplecze. Spróbowałem tam wejść, ale ani drgnęły.

Zapukałem.

– Mel, jesteś tam? Tu Aidan.

Usłyszałem jakiś szmer.

– Jesteś sam?

– Tak. – Usłyszałem zgrzyt zamka i odsunąłem się od drzwi. Uchyliła je i spojrzała nad moim ramieniem. – Nikogo nie ma, już w porządku.

– Miał nóż...

– Chyba masz teraz przerwę. Chodź. – Wyprowadziłem ją z baru. Poszliśmy na moje ulubione miejsce. Był stamtąd dobry widok na salę i na ulicę. Przy drinku powiedziała mi, że mniej więcej godzinę temu Neil, Glen, były barman, przyszedł tu o kulach. Wyglądał i pachniał paskudnie. Pomyślała, że śpi na ulicy. Było to całkiem prawdopodobne. Miał złamaną nogę i ukrywał się teraz zarówno przed Burnsiderami, jak i przed Francyzą.

– Dobrze zrobiłaś, że dałaś mi znać.

Skuliła się lekko.

– To on mi kazał.

– Co?

– Poza tym szukała cię policja.

– Kiedy?

– To prawda, że pobiłeś jednego z naszych stałych klientów?

Milczałem.

– Mówili, że wyrzucili cię z pracy. Że kradłeś narkotyki z magazynu dowodów...

– Kiedy mnie szukali?

– Dwa razy. Przyszli spisać zeznania po tamtej napaści i wrócili dzisiaj rano.

– W sprawie napaści?

– Mówili, że ma to związek z jakimś morderstwem. – Drżał jej głos. Odwróciłem się do okna. Zastanawiałem się, czy to możliwe, żeby już znaleźli samochód Gripa.

- Co im powiedziałaś?
- Że cię nie widziałam. To prawda?
- Co? Nie. Dzięki.
- Zawsze byłeś dla mnie miły, ale nie będę więcej kłamać.

Rozejrzałem się.

– W porządku. Porozmawiam z nimi, już prawie wyszedłem na prostą. Dlaczego Neil kazał ci do mnie zadzwonić?

– Chciał ci to dać. – Wyjęła z kieszeni zmiętą kopertę i przesunęła ją po stoliku w moją stronę.

– Mówił coś jeszcze?

– Krzątał się tylko za barem, jakby był właścicielem. Otworzył kasę i wsypał zawartość do torby. Próbowалаm go powstrzymać i wtedy popchnął mnie na podłogę. Za każdym barem jest zamknięty schowek, więc się tam ukryłam. Trochę kopał w drzwi i ktoś spytał, co się dzieje. Potem zrobiło się cicho. – Drżącymi ustami upiła łyk drinka i wskazała głową kopertę. – Co w niej jest?

Była złożona na pół, brudna i cuchnęła potem. Domyśliłem się, że spędziła w jego kieszeni kilka dni. Nie miała żadnego napisu. Nie była zaklejona. Otworzyłem ją i wyjąłem znajomy wycinek z gazety.

Był to policyjny apel o informacje w sprawie zniknięcia Joanny Greenlaw. Ktoś pieczołowicie zaczernił markerem słowa w artykule, upodabniając go do zredagowanej informacji w starym pliku MoD. Niebieskim długopisem zakreślił zdjęcie. Zrobił to tyle razy, że w papierze powstały lśniące niebieskie wgłębienia. Odwróciłem kartkę, szukając czegoś jeszcze, jakiejś wiadomości, ale niczego nie znalazłem. Zastanawiałem się, co to znaczy. Dlaczego barman to miał. Dlaczego dał to akurat mnie.

– Co to jest? – spytała Mel.

Odwróciłem się do okna.

– Mówiłaś, że zmieniasz pracę?

– W piątek zaczynam w Fifth Avenue.

Rozejrzałem się.

– To dobrze. Nie powinnaś tu więcej przychodzić.

Jeszcze raz przyjrzałem się wycinkowi z gazety, starając się odgadnąć, co miałyby mi powiedzieć. Rozpoznałem zdjęcie Joanny. Puste spojrzenie, które wydawało się jakby znajome.

Gdy podniosłem głowę, barmanki już nie było.

Czy Joanna uciekła, żeby nie zeznawać przeciwko Carverowi i White'owi? A może była gdzieś bliżej? Zakreślenie zdjęcia sugerowało, że jest na nim coś, co powinienem zobaczyć, ale na Joannę Greenlaw nie padał żaden cień. W jej oczach nie odbijała się twarz mordercy.

Na zdjęciu była tylko dziewczyna w pokoju.

Rozejrzałem się po sali. Zerknąłem przez ramię. Popatrzyłem na tekst. Niektóre litery uchroniły się przed czarnym markerem. Układały się w napis:

„WEŹ KĄPIEL”

Znowu się rozejrzałem. Znowu zerknąłem przez ramię. Przez okno. Zobaczyłem, jak Laskey

i Riggs wysiadają z samochodu. Zgniotłem wycinek, wkładając go do kieszeni, po czym zbiegłem po schodach, szybko otworzyłem drzwi ewakuacyjne i wyszedłem.

Gdy skręciłem w Thursfield Street, już prawie zmierzchało. Światło moich reflektorów błysnęło w blachach, którymi zabito okna domu. Wróciło do mnie. Wyłączyłem je i przez chwilę siedziałem w ciemności, czekając, aż oczy przyzwyczają się do mroku. Dom Greenlaw, mimo że stał w rzędzie zaniedbanych, opuszczonych ruder, wyglądał na ważne miejsce.

Spojrzałem przez ramię. Wydawało mi się, że kątem oka widzę jakieś cienie. Ruszyłem ścieżką z latarką i łomem.

Włączyłem latarkę.

Zwyczajny drut, który poprzednim razem przytrzymał drzwi, zniknął. Gdy poświeciłem sobie na stopy, zobaczyłem, że leży przecięty na ziemi.

Drzwi były uchylone i trudno było je otworzyć szerzej. Wilgotna wykładzina za bardzo spuchła, unosząc się nad podłogą. Wślizgnąłem się do środka i poświeciłem latarką na korytarz. Wszystko wyglądało tak samo jak poprzednio. By się upewnić, że jestem sam, poszedłem prosto do kuchni.

Te same zabite okna.

To samo wypatroszone pomieszczenie.

Te same puste miejsca po sprzęcie elektrycznym. Sprawdziłem, czy nikogo nie ma w spiżarni, a potem wróciłem korytarzem i wszedłem do salonu. Wyglądał tak samo jak wtedy, kiedy z niego wychodziłem. Smutne pomieszczenie spowite mrokiem, mniej więcej cztery na trzy metry. Wykładzinę zerwano jakiś czas temu, odsłaniając ułożoną z różnych kawałków drewna, wypaczoną podłogę. Okna były zasłonięte i do środka nie dostawało się światło z ulicy.

Wyszedłem z salonu i wspiąłem się po schodach, czując, jak uginają się pod moim ciężarem. Minąłem łazienkę i zajrzałem do sypialni. Była pusta, tak samo jak poprzednim razem. W drugim pokoju, w tym, w którym przedtem widziałem śpiwór i resztki jedzenia, też nikogo nie było.

Ktoś starannie go wysprzątał.

Zawróciłem w stronę łazienki. Było tak zimno, że widziałem własny oddech przed nosem. Wyjąłem z kieszeni wycinek z gazety i poświeciłem na niego latarką.

„WEŹ KĄPIEL”

Położyłem latarkę, tak żeby światło padało na wannę, a potem wziąłem łom i klęknąłem obok. Spróbowałem wcisnąć go w róg obudowy. Była dobrze przymocowana i tak oblepiona wieloletnim brudem, że nie mogłem znaleźć krawędzi. Po dwóch minutach prób wziąłem zamach i uderzyłem. Potem znowu. Zrobiłem wgłębienie, a później dziurę. I następną.

W końcu zdołałem wsunąć łom. Odchyliłem się i wyłamałem deskę. Znieruchomiałem. Wydawało mi się, że za plecami słyszę jakiś dźwięk. Odczekałem chwilę i zamierzyłem się jeszcze raz.

Zrobiłem następne wgłębienie i dziurę. Odchyliłem się. Wyłamałem kolejną deskę. Znowu

wziąłem zamach. Wreszcie pojawił się duży otwór. Poczułem mdły zapach zgnilizny. Wsłuchałem się w swój oddech. Uderzyła we mnie fala paranoi. Rzuciłem łom na podłogę, sięgnąłem po latarkę i poświeciłem.

W środku leżały wciśnięte w zbyt ciasną przestrzeń między obudową a wanną zwłoki młodej kobiety. Śmierć, upływ czasu, wilgoć. Odsunąłem się gwałtownie, usiłując oddychać. Wyszedłem na podest schodów i zwymiotowałem.

Joanna Greenlaw nigdy nie opuściła tego domu.

Pomyślałem o Zainie Carverze, o Sheldonie Whicie. Jednego z nich zdradziła. Zgodziła się zeznawać przeciwko obu. Czarna i biała farba wskazywała na Sheldona, ale była to tylko poszlaka. Pomyślałem też o komisarzu Parrsie. O jego gorliwości. Jego bliskich relacjach z Greenlaw. Byłem przekonany, że co najmniej jeden z nich wiedział, gdzie się znajdowała przez ostatnie dziesięć lat.

Usłyszałem odgłos otwierania drzwi wejściowych. Kopniakiem. Rozległ się tupot i w drzwiach błysnęło światło latarek: najpierw jednej, a potem drugiej. Oślepiły mnie.

Podniesione głosy i przekleństwa.

Jakiś kształt ruszył w moją stronę. Uderzył mnie latarką w brzuch. Odwrócił i pchnął na ścianę. Zębami w cegły. Skuto mi ręce na plecach. Pomieszczenie wypełniło się sapaniem.

– Odwróć się! – krzyknął znajomy głos.

– ODWRÓĆ SIĘ, KURWA! – wrzasnął drugi.

Odwróciłem się. Nie widziałem niczego poza oślepiającą bielą latarki. Uderzyła mnie w twarz, szkło się roztrzaskało i wywleczono mnie z łazienki. Czuję w ustach krew, cegłę i wybite zęby. Popchnęli mnie w stronę schodów.

– Moje ręce... – powiedziałem. Nadal byłem skuty.

Wtedy jeden z mężczyzn znów pchnął mnie w stronę schodów. Stoczyłem się po nich i poobijany wylądowałem na dole.

– Jak już wiesz, jestem sierżant Laskey – powiedział chudszy z dwóch funkcjonariuszy, którzy wcześniej dwa razy byli w moim mieszkaniu. Domyśliłem się, że jesteśmy w pokoju przesłuchań w piwnicy komendy głównej. W niewentylowanym czarnym boksie bez okien i powietrza.

Nie wiedziałem, która jest godzina ani jaki mamy dzień. Ręce miałem skute z przodu i siedziałem przy biurku, na którym stał magnetofon i leżały jakieś teczki.

Byłem udupiony.

Sierżant Laskey stał pod ścianą w głębi, miał podwinięte rękawy koszuli i trzymał ręce w kieszeniach, podzwaniając monetami. Był blady. Chudy. Ściągana odznaczała się pod skórą szyi jak druty. Raz po raz zaciskał zęby, jakby coś żuł.

Szare, sztuczne światło wsączało się do pomieszczenia przez plastikową lampę w suficie. Gdy podniosłem głowę, żeby rozprostować szyję, zauważyłem uwięziony w niej kurz i niewyraźne zarysy martwych owadów.

– Posterunkowego Riggsa już znasz – powiedział Laskey.

Kiwnąłem głową.

Ten grubszy odsunął od biurka krzesło i usiadł na nim plecami do drzwi. Ktoś inny mógłby to odczytać jako znak, że nikt z tego pokoju nie wyjdzie. Ja odczytałem to tak, że nikt nie wejdzie do środka. Twarz Riggsa była tak czerwona z przepicia, że wyglądał jak poparzony słońcem, żyłki na jego nosie i policzkach były nabrzmiące do granic możliwości. Puścił do mnie oko i moją głowę przeszył tępy ból.

Tak, znałem go.

Myślałem, że źródłem gorąca i smrodu spoconego ciała jest Riggs, ale możliwe, że byłem nim ja sam. Cuchnęło stresem. Strachem. Próbowałem przeczesać palcami włosy, ale były posklejane krwią.

– Zapomnieliście mi odczytać moje prawa – powiedziałem.

Laskey przestał zaciskać zęby. Uśmiechnął się.

– Aid, przecież my tylko rozmawiamy. Chyba nie musisz słuchać o swoich prawach przed zwyczajną rozmową?

Riggs chrząknął.

– Jak długo pieprzyłeś Isabelle Rossiter przed jej śmiercią? – Z rumieńcem pijaka wyglądał, jakby się wstydził samego siebie, ale mówiąc to, uśmiechał się do mnie.

– Chyba nie pamięta – powiedział Laskey. – Cofnijmy się trochę bardziej. Jak ją w ogóle poznałeś?

Milczałem.

Riggs westchnął. Poczulem alkohol i papierosy.

– Daj spokój, Waits, cokolwiek się dzieje, zabawa skończona. Dzieci padają martwe. Pod wannami leżą kobiety. To nie ciebie chcemy dopaść i każdą spędzoną z tobą minutę moglibyśmy

przeznaczyć na ściganie pojeba, który ponosi za to winę. No więc zrób sobie przysługę.

Czułem, że coś tu jest nie tak. Właśnie znalazłem zwłoki kobiety, którą od dekady uznawano za zaginioną, a oni chcieli rozmawiać o Isabelle Rossiter. Miałem mętlik w głowie. Skuli mnie, ale nie aresztowali. Przeczuałem, że toczy się jakaś inna gra.

– Poznałem Isabelle Rossiter w domu Zaina Carvera – powiedziałem.

– Nietypowe miejsce dla dziedziczki wódczanej fortuny.

Wzruszyłem ramionami. Zabolalo.

– Skąd się tam wzięła? – spytał Laskey.

– Z tego co wiemy, wpuszczano tylko z zaproszeniami – dodał Riggs.

– Nie mam pojęcia. Kiedy się zjawiłem, była tam już od jakiegoś czasu.

– Od jakiegoś czasu?

– Od miesięcy.

– Więcej niż od jednego, nie więcej niż od dwóch – sprecyzował Laskey. – Tak twierdzi jej ojciec.

Riggs pochylił się i oparł łokcie na kolanach.

– W takim razie uciekła z domu mniej więcej w tym czasie, kiedy ciebie przyłapano na kradzieży narkotyków z magazynu dowodów...

A więc nie wiedzieli o mojej działalności pod przykrywką.

– Bez komentarza.

– Ciekawe, czy te dwie sprawy są powiązane. Wiemy, że lubiła narkotyki...

– Poznałem ją już po tym, jak mnie zawiesili.

– Ale przyznajesz, że kradłeś narkotyki?

– Bez komentarza.

– Masz problem z narkotykami?

– Jeśli nie mogę zdobyć wystarczającej ilości.

– Więc kradłeś je dla siebie?

– Bez, kurwa, komentarza.

– Widzisz, jej ojciec myśli, że brała coś, jeszcze zanim uciekła z domu. Ktoś wciągnął ją w uzależnienie, a potem popłynęła do źródła.

Jej ojciec. Nigdy wcześniej nie mówił, że była uzależniona. Albo on okłamał ich, albo oni okłamywali mnie.

– To jedno z możliwych wyjaśnień.

– Więc wyjaw nam inne – powiedział Riggs.

– Mogła uciekać od czegoś.

– Na przykład od czego?

Słysząc było jedynie bzyczenie żarówki.

– No dobrze – powiedział Laskey, odsuwając się od ściany. – Jesteś uzależniony, zawieszają cię. Kończą ci się zapasy. Kto pierwszy postanowił zgłosić się do Zaina Carvera po narkotyki: ty czy Isabelle?

– Żałosne – odparłem. – Przecież właśnie powiedziałem, że poznałem ją dopiero w Fairview. Cierpki uśmiech.

– Przepraszam, moja pomyłka.

– Które z nich poznałeś najpierw? – spytał Riggs. – Zaina Carvera czy Isabelle Rossiter?

– Isabelle. Była w domu, kiedy zjawiłem się tam po raz pierwszy.

– Co tam robiłeś?

– Zaliczałem.

Uniósł brwi.

– Piguły – powiedziałem. – Nie dziewczyny.

– Isabelle Rossiter też zaliczała?

– Była trzeźwa.

– Więc poszedłeś zaliczać...

– Piguły – wtrącił Laskey. – Nie dziewczyny.

– Racja. Poszedłeś zaliczać piguły, nie dziewczyny, a skończyło się na odrobinie jednego i drugiego. Dobrze się spisałeś, synu.

– Tylko rozmawialiśmy.

– A jakże, kurwa.

– Wygląda na to, że Isabelle Rossiter bardzo lubiła rozmawiać – powiedział Laskey. – Wydaje nam się, że właśnie dlatego uciekła.

– Od czegoś – dodał Riggs, prostując się. – Bo widzisz, ta dziewczyna rozmawiała, kurwa, z każdym. Zdażyła już porozmawiać ze wszystkimi chłopakami ze szkoły. Z tego co słyszeliśmy, z niektórymi dziewczynami też. Zabierała bezdomnych z ulicy i rozmawiała z nimi całymi nocami. Czasami wynajmowała pokój w hotelu i rozmawiała z dwoma albo trzema naraz.

Spojrzałem na niego.

Uświadomiłem sobie, że stoję.

Odwrociłem wzrok i usiadłem z powrotem.

Riggs zarechotał.

– Kiedy tylko zechcesz, synu. Kiedy tylko zechcesz.

– Kontynuuj, Waits – powiedział Laskey, wymieniając z nim uśmiechy. – Rozmawiałeś z nią i...

– Spotkaliśmy się w korytarzu. Zamieniliśmy raptem z dziesięć słów.

– Czasami nic więcej nie potrzeba.

– Do czego?

Wzruszył ramionami.

– Odpowiedz na jedno moje pytanie, a ja odpowiem na jedno twoje. – Milczałem. – Moje będzie łatwe. Jak długo dymałeś Isabelle Rossiter przed jej śmiercią?

– Nigdy jej nie dotknąłem.

Laskey wpatrywał się we mnie przez kilka sekund, po czym się pochylił. Otworzył pierwszą teczkę i przesunął ją po biurku.

– No więc co to jest?

Nie spojrzałem na nią.

Wiedziałem, co jest w środku. Zakręciło mi się w głowie. Przed oczami latały mi plamki. Riggs dźwignął się z krzesła i stanął za mną. Pochylił się nad moim ramieniem i mrużąc oczy, spojrzał na zdjęcie leżące na wierzchu. Kolorowe. Niewyraźne. Warstewka potu na skórze Isabelle.

– Wygląda na to, że jednak jej dotknąłeś, stary...

– Chciałbyś zmienić zeznania? – spytał Laskey.

– Byliśmy w zatłoczonym korytarzu. Rozmawialiśmy.

Riggs przysunął się jeszcze bardziej, przejrzał zdjęcia i rozsypał je na biurku. Woń alkoholu w jego oddechu była tak silna, że mógłbym odgadnąć jego markę.

– Już mówiłem. Ta dziewczyna rozmawiała, kurwa, z każdym.

Sarah Jane dobrze się spisała, robiąc te zdjęcia. Wykadrowała je tak, żeby obejmowały jak najmniej otoczenia. Każde kolejne ukazywało mnie i Isabelle trochę bardziej zbliżonych. Riggs ciężko oparł się na moim ramieniu.

– To wtedy się poznaliście?

Przytaknąłem.

– Nie marnujesz czasu, co?

– Skąd je macie?

Nie chciałem, żeby zabrzmiało to nerwowo, ale właśnie tak się stało.

– Anonimowy nadawca – powiedział Laskey. – Komuś zależy na tym, żeby zetrzeć cię na proch, Waits. Ciekawe komu?

Też o tym myślałem. Zdjęcia mogli przysłać Rossiter albo Sarah Jane. Podejrzewałem raczej Rossitera. Zastanawiałem się, dlaczego ich nie zniszczyłem, kiedy miałem okazję.

– Ile razy spotkałeś się z Isabelle Rossiter? – spytał Laskey.

Riggs nadal mocno opierał się na moim ramieniu. Ich koncentracja na Isabelle Rossiter i na zdjęciach zaczęła budzić we mnie złe przeczucia. To było gorsze niż ból w mojej głowie.

– Nie pamiętam.

– No to się zastanów.

Zastanowiłem się.

– Dwa, trzy razy w Fairview. Raz w Rubiku. Pewnego wieczoru odwiozłem ją stamtąd do domu. A o co chodzi?

– Opowiedz nam o tym wieczorze w Rubiku – powiedział Riggs, odsuwając się ode mnie. Zaczął chodzić wokół biurka. Połysk jego poliestrowych spodni raził mnie w oczy.

– Wpadłem na nią późno, niedługo przed zamknięciem. Była pijana i chciałem dopilnować, żeby bezpiecznie dotarła do domu.

– Bezpiecznie?

– Barman to menda.

– Ach tak? – spytał Laskey. – Jak się nazywa?

– Nie wiem – skłamałem. Laskey dziwnie na mnie spojrział.

– Odwiozłeś ją do jej mieszkania? – spytał.

– No.

– Taksówkarz mówi, że najpierw pojechaliście do Fairview.

Starłem się nie reagować.

– To prawda.

– Wpadliście po ósemkę?

– Nie.

– No więc po co?

– Isabelle była pijana...

– Podobno w taksówce straciła przytomność – powiedział Laskey. – Kierowca mówi, że bał się o jej bezpieczeństwo.

Skurwiel.

– Nic jej nie było. Zabrałem ją do Fairview, bo nie wiedziałem, że mieszka za rogiem. Nie byliśmy sobie aż tak bliscy.

Laskey rzucił mi powątpiewające spojrzenie.

– Więc odwozłeś ją do mieszkania i co potem?

– Wyszedłem, a ona poprosiła, żebym przyszedł następnego dnia.

– Po co?

– Chciała mi coś powiedzieć.

– Co?

– Nie wiem.

– Nie spytałeś?

– Następnym razem, jak ją zobaczyłem, już nie żyła.

– Czyżby? – powiedział Riggs.

Laskey usiadł naprzeciwko mnie, raz po raz zaciskając zęby.

– Zastanawialiśmy się, czy przypadkiem nie powiedziała ci czegoś, czego nie chciałeś usłyszeć.

– Na przykład czego?

– Na przykład że chce wrócić do rodziny.

– Jej sprawa. Powiedziałbym jej, że to dobra decyzja.

– Zabawne. Kiedy ruszyliście taksówką spod Rubika, najpierw pojechaliście w tamtym kierunku...

– Tylko że jak straciła przytomność – podjął Riggs – kazałeś taksówkarzowi zatrzymać się i zawrócić.

Bo znalazłem gotówkę w torebce Isabelle.

– Moje słowo przeciwko słowu taksówkarza?

– Trasa zapisała się w jego nawigacji – powiedział Laskey. – No więc dlaczego zmieniłeś zdanie?

Było jasne, że daję więcej, niż dostaję.

– Bez komentarza – powiedziałem.

Wymienili spojrzenia.

– Może ci powiedziała, że nie chce się z tobą więcej widywać? – podjął Laskey.

– Bez komentarza.

– Może ci powiedziała, że rozmawiała z tym barmanem, którego nazwiska nie pamiętasz? – Laskey znowu rzucił mi to dziwne spojrzenie, jakby chciał wy badać, co wiem. Zastanawiałem się, dlaczego barman tak bardzo go interesuje.

– Przecież lubiła rozmawiać z ludźmi – powiedział Riggs.

– Bez komentarza.

– Bez komentarza – powiedział Laskey do Riggsa. – Chyba nikt nie może się dowiedzieć...

Spojrzałem na niego.

– O, zareagował.

– Zareagował też na miejscu zbrodni – powiedział Riggs. – Złamał nos policjantowi.

– Dlaczego puściły ci nerwy na widok wiadomości na lustrze, Waits? O czym „nikt nie może się dowiedzieć”?

– Bez komentarza.

– Jak to możliwe, że to samo było napisane na lustrze w łazience w twoim mieszkaniu?

– To wy zdemolowaliście mi mieszkanie?

– Przeszukaliśmy je. Kiedy się zjawiliśmy, drzwi były otwarte. Ktoś napisał na lustrze w łazience: „Nikt nie może się dowiedzieć”, a potem je rozwalił. Myślę, że to byłeś ty.

– Bez komentarza.

– A jak to możliwe, że dzisiaj, kiedy cię złapaliśmy, miałeś przy sobie świstek z napisem o takiej samej treści?

– Bez komentarza.

– To nie twój charakter pisma – powiedział Riggs. – Twój jest pochyły jak u pieprzonego psychopaty. Może to liścik od Isabelle?

– Przysłała ci liścik, w którym informuje, że nikt nie może się dowiedzieć. W końcu umiera. Ty widzisz te słowa wypisane na lustrze w łazience i rzucasz się na funkcjonariusza policji.

– Bez komentarza.

– Piszesz to na własnym lustrze i demolujesz mieszkanie.

– Bardzo się mylicie...

– Kto był z tobą w mieszkaniu, kiedy znalazłeś zwłoki Isabelle?

– Nikt.

– Powiedziałeś: „znaleźliśmy zwłoki”. Słyszałem nagranie.

– Przejęczyłem się.

– O czym „nikt nie może się dowiedzieć”? – spytał Riggs.

Spojrzałem na niego.

– Ty mi powiedz.

– Odpowiesz na jedno moje pytanie, a ja odpowiem na jedno twoje.

– Musimy to zrobić?

– Jak długo pieprzyłeś Isabelle Rossiter przed jej śmiercią?

– Nigdy do tego nie doszło.

Riggs uniósł brwi i spojrzał na Laskeya. Laskey znowu kwaśno się do mnie uśmiechnął i podsunął mi drugą teczkę.

– Otwórz.

Był to raport z sekcji zwłok. Poznałem od razu. Na górze widniało nazwisko Isabelle Rossiter. Znałem ten formularz i szybko przyswoiłem sobie informacje. Poczułem puls tętniący w głowie. Krew buzującą w moich żyłach. Słyszałem własne serce.

Znowu spojrzałem na raport.

W chwili śmierci Isabelle miała w krwiobiegu heroinę. Tego można się było spodziewać. Poza tym od kilku tygodni była w ciąży. To mnie zmroziło. Całkiem znieruchomiałem. Laskey mocno chwycił mnie za ramię. Poczułem, jak jego kościste palce wbijają mi się w skórę. Drugą ręką podsunął mi woreczek z materiałem dowodowym.

Ze zdjęciem Isabelle, które dostałem od jej ojca. Było w mojej kieszeni.

Błada, ładna dziewczyna o płowych włosach i inteligentnych niebieskich oczach. Na zdjęciu wpatrywała się w kogoś, kto trzymał aparat. Była w tym jakaś bliskość. Zobaczyłem uśmiech Laskeya dwa centymetry od mojej twarzy. Znowu ścisnął mi ramię.

– Nigdy jej nie dotknąłeś, koleś. Nie masz się o co martwić.

Powtarzaliśmy tę samą rozmowę kilka razy, a temperatura w pomieszczeniu rosła, aż w końcu obaj postanowili wyjść, żeby coś zjeść. Straciłem poczucie czasu, w głowie kłębiły mi się kłamstwa i przemilczane fakty.

Wrócili wraz z wonią świeżego powietrza, smażonego jedzenia i papierosów. Wolności. Początkowo nie byłem w stanie się skupić ani nic powiedzieć. Słyszałem własne tętno. Dźwięki dobiegające z pomieszczeń nad nami i wokół nas. Klitka, w której byliśmy, wydawała się gęsta od gorąca, a powietrze ani drgnęło. Pomyślałem, że chyba mam wstrząs mózgu.

Laskey i Riggs się pocili. Ja się pocilem. Ściany się pocily. Widziałem, jak Laskey patrzy na mnie i porusza ustami, więc spróbowałem się skupić.

- Porozmawiajmy o Franczyzie – powiedział.
- Mogę dostać szklankę wody albo czegoś?
- Za chwilę, najpierw porozmawiamy o Franczyzie.
- Co chcecie wiedzieć? – Plątał mi się język.
- Powiedz nam, jak tam w ogóle trafiłeś.

Miałem wątpliwości związane z nimi obydwoma i postanowiłem grać zgodnie z powszechnie znanymi szczegółami mojej kompromitacji. Improwizowałem.

– To było po tym, jak mnie zawiesili. Właśnie szukałem jakiegoś miejsca, w którym mógłbym zaliczyć...

- Ale jesteś byłym gliną. Jak zdobyłeś zaproszenie do Fairview?
- W Rubiku poznałem dziewczynę. Catherine.

– To ta sama, która kilka tygodni później zniknęła z powierzchni ziemi? – Pokiwałem głową. Czulem się tak, jakbym miał tętniaka. – Mówiłeś, że znałeś ją z jakiejś wcześniejszej sprawy.

- Tak. W Rubiku znowu się na nią natknąłem.

Laskey i Riggs wymienili spojrzenia.

- Mów dalej – powiedział Laskey. – Spotkałeś ją znowu.
- Powiedziałem jej, czego potrzebuję, a ona mi powiedziała, jak to zdobyć.
- I jedyną osobą, z którą rozmawiałeś pierwszego dnia w Fairview, była Isabelle Rossiter?
- Tak.
- I właśnie wtedy zrobiono wam te zdjęcia?
- No. Słuchajcie, mogę dostać szklankę wody?
- Za chwilę – powiedział Laskey. – Brałeś coś tej nocy, kiedy odwiozłeś Isabelle do domu?
- Nie.
- Piłeś?

Tak.

- Nie.

– Sobota, czternastego listopada. Widziano, jak sprzeczałeś się z barmanem, którego nazwiska nie pamiętasz.

– Którego nazwiska nie znam – poprawiłem go.

Znowu Laskey. I barman. To samo spojrzenie. Jakby się zastanawiał, co wiem. Zaświtało mi, że być może nie ja jeden w tym pomieszczeniu mam sekrety.

– No cóż, mamy całą salę świadków, którzy twierdzą, że byłeś pijany. Wylałeś na siebie piwo. Następnego dnia Isabelle Rossiter została znaleziona martwa...

Milczałem.

Riggs trzepnął mnie w głowę.

– Jesteś pijany. Wdajesz się w kłótnię z barmanem i wychodzisz razem z Isabelle. Ruszacie do domu jej rodziców, prawdopodobnie na jej prośbę, ale gdy ona traci przytomność, każesz taksówkarzowi zawrócić i jechać do Fairview.

– Nie.

– Bo wiesz, że tam będziesz mógł zaliczyć – powiedział Riggs.

– Nie.

– Zaliczasz i idziecie do jej mieszkania – powiedział Laskey.

– Ale dochodzi do sprzeczki.

Pokręciłem głową. Złapałem się biurka, żeby nie zsunąć się z krzesła.

– Isabelle budzi się gdzieś, gdzie nie chce być.

– Z tobą.

– Zaczyna się to jak rozmowa po pijaku, ale ona przywykła do tego, żeby stawiać na swoim.

– Ech, te bogate cizie.

– Próbujesz ją po prostu uspokoić.

– Ale ona nie ma zamiaru się zamknąć.

– I odsłania ostatnią kartę.

– Asa w rękawie – prychnął Riggs. – Jest w ciąży. – Przez chwilę obaj milczeli, a potem Riggs pochylił się tuż nad moją twarzą i podjął: – Pół roku rozkładała nogi, chuj wie, czyje to dziecko.

– „Nikt nie może się dowiedzieć” – powiedział Laskey. – Czy nie właśnie o to tu chodzi? W takiej sytuacji każdemu facetowi puściłyby nerwy.

– Wyjaśnijmy to sobie, gościu. Jak długo ją pieprzyłeś przed jej śmiercią?

– Myślałem, że rozmawiamy o Franczyzie – powiedziałem. Patrzyłem na biurko, ale czułem, że obaj się we mnie wpatrują. Słyszałem swój oddech. Widziałem pot skapujący mi z twarzy.

– Nie ma sprawy – odparł Laskey. – Wygląda na to, że ostatnio Franczyza podupada. Dlaczego?

– Sheldon White wyszedł z więzienia i zaczęły się dziać różne rzeczy. Czarna i biała farba pojawiała się w miejscach, gdzie nie powinna. Potem były zaprawiona ósemka, śmierć Isabelle, Sycamore Way, napady na kurierki Carvera, ograbianie ich z zebranej forsy.

– Mówisz o tych taksówkach? – spytał Laskey.

– No.

– I o pożarze na Yarville Street?

Przytaknąłem.

– Byłeś na Sycamore Way? – spytał Riggs.

Tak. Zawahałem się.

– Nie.

– Był tam facet odpowiadający twojemu rysopisowi – powiedział Laskey. – Może masz sobowtóra?

– Bóg nie byłby aż tak okrutny, żeby dać taką gębę dwóm różnym pojebom – powiedział Riggs. Milczałem. Trzepnął mnie w twarz.

Laskey wstał.

Teraz stali już obaj, naprzeciwko mnie.

– Sytuacja osiąga punkt krytyczny, kiedy w Rubiku znowu spotykasz swoją przyjaciółkę Cath...

– Był tam White. Groził jej. – Mój głos brzmiał obco. Słabo. Błagalnie. – Powiedział, że jeśli nie dostarczę Carverowi wiadomości, Catherine skończy jak Joanna Greenlaw.

– Jakiej wiadomości?

– Że odtąd Rubik należy do Burnsiderów.

– To wtedy ci powiedział, gdzie jest Greenlaw?

Pokręciłem głową i pożałowałem tego. Pokój zawirował.

– Po prostu wykorzystał jej nazwisko jako pogrózkę.

– I spotkaliśmy cię następnego dnia – powiedział Riggs. – Wyglądałeś, jakbyś brał... – Milczałem. Trzepnął mnie w twarz. – Wyglądałeś, jakbyś chodził od klubu do klubu, żeby się nawalić.

– Nie.

– Wykorzystywałeś policyjną odznakę, żeby wpuszczali cię bez kolejki.

– Nie.

– Potem, kiedy zażądaliśmy od ciebie wyjaśnień, wymyśliłeś tę bajeczkę o narkotykowej rywalizacji i zaginionej dziewczynie.

– Nie. – Zastanowiłem się. – Zaginięcie Cath i Gripa zgłosił kto inny...

– Sarah Jane Locke. Następna kobieta w twoim życiu, która zniknęła z powierzchni ziemi. Jedna zaginiona dziewczyna to pomyłka, Waits. Dwie to po prostu niedbalstwo.

– Następnego dnia obdzwoniłem szpitale, szukając Cath. Sprawdźcie.

– Sprawdziliśmy.

– No i?

– No i to prawda, dzwoniłeś do kilku szpitali.

– Więc...

– Więc podszywałeś się pod funkcjonariusza policji, gratulacje.

Przez chwilę żaden z nas się nie odzywał, potem Riggs oparł się o biurko i spojrzał mi prosto w oczy.

– Powiedziałaś, że nigdy nie dotknąłeś Isabelle Rossiter. Kłamstwo. Powiedziałaś, że chciałeś, by wróciła do domu, do rodziców. Kłamstwo. Powiedziałaś, że kiedy znalazłeś jej zwłoki, byłeś sam. Kłamstwo. – Czuję bijący od niego żar. – Powiedziałaś, że znasz tę Catherine z jakiejś wcześniejszej sprawy. Kłamstwo. Powiedziałaś, że po raz ostatni widziano ją z Sheldonem White'em. Kłamstwo. Powiedziałaś, że oddałeś odznakę... – Pogrzebał w kieszeni i rzucił na biurko woreczek z moją odznaką. Była w mojej kieszeni. – Kłamstwo.

– Mówiłem wam. Pogadajcie z Parrsem.

– Gadaliśmy. Nie przypomina sobie tej dziewczyny. Ledwie pamięta ciebie. Jego zdaniem jesteś pieprzonym fantastą.

Wszystko się zatrzymało.

Opadłem na oparcie krzesła. Poczulem ucisk w piersi i z trudem oddychałem.

– Słuchajcie, powiem wam wszystko, ale potrzebuję trochę wody.

Laskey i Riggs spojrzeli na siebie. Obaj sapali, a na ich koszulach widniały plamy potu. Laskey skinął na partnera.

Riggs posłał mi złośliwy uśmiech.

– Nigdzie się stąd nie ruszaj – powiedział, odwracając się. Odsunął kopniakiem krzesło i otworzył drzwi. Wyszedł i przekręcił klucz w zamku. Z korytarza wpadło wentylowane powietrze. Zakłuło mnie w oczy.

Laskey znowu zajął pozycję w głębi pomieszczenia. Trzymał ręce w kieszeni i podzwaniał drobnymi. Patrzył prosto na mnie. Z pewną trudnością spowodowaną kajdankami przesunąłem ręką po twarzy i spojrzałem na dłoń. Była mokra od potu. Przeczesałem nią włosy. W miejscu gdzie Riggs uderzył mnie w domu Greenlaw były posklejane krwią, ale pot ją zmiękczył i wyczułem guza.

Pomyślałem o Laskeyu. O jego pytaniach. O jego zainteresowaniu barmanem. O jego minie pytającej: „Co wiesz?”. Pomyślałem, że jeśli miał jakiś sekret, to jego słabym punktem musi być barman. Próbowałem myśleć.

Laskey tylko się na mnie gapił.

Podzwaniał drobnymi.

Dotknąłem obolałego miejsca na czaszce. Pomyślałem o wieczorze, kiedy poznałem Davida Rossitera. O wieczorze, kiedy poznałem Catherine. O wieczorze, kiedy po raz pierwszy pojechałem do Fairview i o wieczorze, kiedy poznałem Isabelle. Gdy wychodziłem z Rubika, ktoś uderzył mnie w głowę.

„Przyjaciel Zaina”, powiedziała Sarah Jane.

Ocknąłem się z twarzą na chodniku. Jakaś młoda para przeszła na drugą stronę, żeby mnie ominąć, i usłyszałem podzwanianie monet w czyjejs kieszeni.

Podniosłem głowę i spojrzałem na Laskeya.

– Uderzyłeś mnie w głowę przed Rubikiem. – Jego twarz nawet nie drgnęła. – Zatajałeś dowody przeciwko Glenowi Smithsonowi, barmanowi Franczyzy, podczas tej jego rozprawy o gwałt na randce.

Znowu zabrzączał drobnymi i uśmiechnął się.

Mina Laskeya nie zmieniła się, dopóki nie usłyszeliśmy kroków za drzwiami. Riggs wszedł z trzema butelkami wody, a ja odetchnąłem podmuchem świeżego powietrza. Drzwi się zamknęły i został mi tylko smród potu Riggsa.

Laskey zdjął zakrętkę ze swojej wody i opróżnił butelkę jednym haustem, miażdżąc ją przy tym w rękę. Riggs zrobił to samo i żłopiając, zachlapał sobie koszulę. Woda po prostu zlała się z potem.

Miałem sucho w ustach. Wciąż czułem na zębach ceglany smak domu Greenlaw. Spojrzałem na swoją butelkę. Została wcześniej otwarta. Stary numer – tani – żeby, pijąc, nie czułem się zbyt pewnie. Nie tknąłem jej.

Wiedziałem, że moje życie zależy od tego, czy wydostanę się z tego pokoju.

– Riggs, mogę cię o coś spytać?

Zdziwiony, spojrzał na Laskeya, a potem usiadł naprzeciwko mnie. Wytarł nos rękawem i przytaknął.

– Jasne że możesz, Aid.

– Gdzie byłeś trzynastego października?

– Nie wiem, stary. A ty gdzie byłeś?

– W barze. W Rubiku. Nawiasem mówiąc, był piątek. Za dużo piję, podobnie jak ty. To dlatego wszystko zapisujesz. Trzymasz notes w kieszeni marynarki, możesz sprawdzić.

Spojrzał przez ramię na Laskeya.

Jego partner stał nieruchomy jak głaz, opierając się o ścianę. Riggs nie chwycił, o co chodzi, ale nie chciał dać tego po sobie poznać, więc odwrócił się do mnie, wzruszył ramionami i sięgnął po marynarkę. Włożył rękę do kieszeni, wyjął mój portfel, mój telefon i rzucił je na biurko. Potem wyciągnął swój notes.

Zanim zdążył go otworzyć, wtrąciłem:

– Niech zgadnę: jeśli koło szóstej wieczorem miałeś z nim służbę – wskazałem w stronę Laskeya – to albo znalazł jakiś pretekst, żeby wyjść, albo po prostu zniknął. – Riggs zawahał się i poczułem, że odświeżyłem mu pamięć. Przekartkował strony i znowu wzruszył ramionami.

– No. I co z tego? Ile razy pieprzyłeś Isabelle Rossiter przed jej śmiercią?

– Gdzie byłeś w poniedziałek szesnastego listopada?

– Co to ma znaczyć?

Laskey raz po raz zaciskał zęby.

– Powiedz mi – odezwał się spokojnie. Patrzył prosto na mnie. Z tym samym wyrazem twarzy. – Mamy czas.

Riggs przerzucił kilka kartek do przodu i znalazł właściwy dzień.

– Niech zgadnę – powiedziałem. – Poruszył niebo i ziemię, żeby przydzielono mu dochodzenie w sprawie śmierci Isabelle Rossiter.

– No i? – Riggs zmarszczył brwi. – Wyjaśnij.

– W piątek trzynastego października Zain Carver poprosił swojego człowieka w policji, żeby mnie poturbował. Około szóstej wieczorem detektyw Laskey znajduje jakiś pretekst i zostawia cię samego. Napadnięto mnie o siódmej. – Riggs poruszył się na krześle. – W poniedziałek szesnastego listopada ten sam człowiek dopilnowuje, żeby pokój 6.21A przydzielono innej sprawie, bo dzięki temu może do niego wejść i wyjść stamtąd niezauważony. Ktoś wyczyścił twardego dyska, na którym, jak sądził, znajdowały się obciążające go dowody.

Riggs wzruszył ramionami.

– To bez znaczenia.

Spojrzałem na Laskeya.

– Działalem pod przykrywką, żeby go wypłoszyć. Musisz tu przyprowadzić komisarza Parrsa. Natychmiast.

Riggs się uśmiechnął.

– Parrs uważa cię za kupę gówna...

– Powiedział ci to osobiście? Czy może przekazał przez Laskeya?

Nie poruszył się. Laskey też się nie ruszał.

– A ten dzień, kiedy po raz pierwszy zjawiliście się u mnie w mieszkaniu?

– Co konkretnie?

– Bramkarze Franczyzy za nic w świecie nie gadaliby z policją. Gdyby jakiś głupi sukinsyn posługiwał się policyjną odznaką, żeby się dostać do klubów Franczyzy, donieśliby o tym szefowi. Zainowi Carverowi. A on kazałby to sprawdzić swojemu człowiekowi w policji.

– Wszystko ci się poplątało...

– To jeszcze nie koniec. Glen Smithson.

– Powinienem go znać?

– To ten barman Franczyzy, w którego stronę ciągle skracają pytania Laskeya podczas tego przesłuchania. Kilka lat temu sądzono go za gwałt na randce, ale dowody zaginęły.

– No i?

– No i dwa tygodnie temu on sam też zaginął. Ale nigdy nie zgłoszono tego policji.

– A co to ma wspólnego z Jimem?

– Kiedy poszedłem szukać Smithsona, ochroniarz w jego budynku powiedział, że jestem drugim gliniarzem, który o niego pyta. Pierwszy wpadł w noc tragedii przy Sycamore Way. Wetknął głowę do pokoju i wyszedł. Tej samej nocy słyszałem, jak Zain Carver każe szukać Smithsona wszystkim ludziom Franczyzy.

– I mówisz, że to był Jim? – Riggs zastanowił się. – Udowodnij to.

– Ten człowiek zostawił strażnikowi numer swojej komórki, w razie gdyby Smithson się pojawił. Zapisałem go sobie w telefonie. – Laskey zrobił krok do przodu, ale Riggs zabrał mój telefon z biurka.

– Pod jaką nazwą go zapisałeś?

– Człowiek Franczyzy.

Riggs okrążył biurko i stanął po mojej prawej, zwrócony twarzą do Laskeya. Zmarszczył brwi i przewinął listę kontaktów. Znalazł numer i zadzwonił.

Zabrzmiała komórka Laskeya, przeraźliwy domyślny dzwonek. Laskey spokojnie wyjął ją z kieszeni marynarki i odrzucił połączenie. Jego twarz wykrzywiła się w uśmiechu. Gapiąc się na

mnie, powiedział cicho do swojego partnera:

– Może pójdziesz i obudzisz komisarza.

Riggs był skołowany.

– Jeśli zostawisz mnie samego z Laskeyem – zwróciłem się do niego – powie, że zdarzył się wypadek. Że próbowałem uciec...

Riggs spojrzał na mnie.

– Zupełnie ci odbiło?

– Idź po Parrsa – powiedział Laskey, nie odrywając ode mnie oczu.

– ... i nie możesz tu przyprowadzić dyżurnego, bo nie zgłosiliście tego przesłuchania. Musiałbyś się tłumaczyć.

– Idź po Parrsa – powtórzył Laskey.

– No tak – powiedział Riggs, wciąż myśląc, że to jakiś dowcip.

– IDŹ I GO, KURWA, PRZYPROWADŹ! – ryknął Laskey i na szyi nabrzmiały mu żyły.

Riggs gapił się na niego bez słowa. – To rozkaz.

Riggs odłożył telefon i odsunął się od biurka. Pogmerał przy klamce i wyszedł, pozwalając, żeby drzwi same się zamknęły. Laskey patrzył na mnie, gdy słuchaliśmy kroków cichnących na korytarzu.

Najpierw powolnych, potem przyspieszających do biegu.

Laskey po raz ostatni zabrzczał drobnymi, a potem wyjął ręce z kieszeni. Zrobił krok w moją stronę.

Wstałem.

– Tu są kamery – zablefowałem. – Monitoring, rejestracja czasu...

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Strażnik zidentyfikował cię na podstawie zdjęcia – skłamałem.

– Ssz... – Zrobił następny krok. Widziałem, jak obracają się trybiki w jego głowie. Działał spontanicznie. Sięgnął po mój telefon i rzucił nim o podłogę. Potem na niego nadepnął i zmiażdżył go obcasem. Zerwał sobie coś z szyi i rzucił to na biurko.

Spojrzałem.

Jego przepustka. Potem odsunął się i mocno wcisnął przycisk alarmu. Zabrzmiał dzwonek, ale nawet nie drgnąłem. Wzruszył ramionami, podniósł magnetofon i wyrznął się jego kantem w twarz.

Oparł się o przeciwległą ścianę i spojrzał na mnie. Krew płynęła mu z nosa do ust, ciekła po brodzie na koszulę. Podjąłem decyzję w sekundę. Wziąłem swój portfel, jego przepustkę, otworzyłem drzwi i pobiegłem korytarzem. Wypadłem przez jedne drzwi, przez drugie, po czym skręciłem w lewo na schody przeciwpożarowe.

Drzwi na parterze prowadziły na zamknięty parking należący do komendy. Uderzyłem w nie, żeby wyglądało, jakbym tamtędy wybiegł, i popędziłem na pierwsze piętro. Wstrzymywałem oddech. Gdy usłyszałem za sobą jakieś odgłosy, zacząłem biec. Pogałem wzdłuż odsłoniętych rur ku południowej stronie budynku. Zbiegłem piętro niżej i wypadłem drzwiami przeciwpożarowymi od strony stacji Central Park, myśląc: kurwa, kurwa, kurwa.

V
CONTROL

Siedziałem w taksówce i nie wiedziałem, dokąd jechać.

– Wie pan, gdzie jest Wiggle Room? – spytałem kierowcę.

Skrzywił się. Wiggle Room to półlegalny klub nocny mieszczący się w ruderze przy Sackville Street. Wystarczał pięciominutowy spacer, żeby znaleźć się w tętniącej życiem dzielnicy gejów, pełnej kolorów i niekontrolowanego szaleństwa. Wiggle Room to była druga strona tego medalu. Za dnia trudno go było zauważyć, wejście pokrywała skorupa ponaklejanych jeden na drugim plakatów kabaretu BDSM i trans-homo. Liczyłem, że w jakiś sposób uzasadni to mój wygląd. Nadal byłem skuty, wolałem nie myśleć, jakie robię wrażenie.

Sprośne śmiechy kolejki na ulicy mieszały się ze starymi estradowymi szlagierami dobiegającymi ze środka. Zapłaciłem taksówkarzowi i wygramoliłem się z samochodu.

Przy drzwiach stały dwie olbrzymie *drag queens* w jaskrawych boa z piór. Kołysały się na koturnach grubości cegły wykonanych z błyszczącego przezroczystego plastiku, wypełnionych wodą, a w każdym bucie pływało kilka żywych złotych rybek. To wszystko sprawiało komiczne i absurdalne wrażenie. Człowiek rzucał jedno spojrzenie na tę kolejkę, na skórzane ubrania i makijaże, i jego umysł natychmiast się wyłączał.

Można było się tam natknąć na gospodarza wiadomości nadawanych na niezależnym kanale albo na kogoś, kto śpiewał *Candle in the Wind* dla Lady Di.

Sama kolejka też była urozmaicona.

Część osób kręciła się po dzielnicy gejów, chcąc to zobaczyć na własne oczy. Inni nie kryli zamiłowania do BDSM, puchnąc w plastikowych gorsetach. Byli tu też ciekawscy mężczyźni o tępych twarzach, odwracający się od ulicy w nadziei, że nikt ich nie zauważy. Pierwszy wieczór każdego miesiąca miał zagwarantowany sukces kasowy dzięki występowi największej atrakcji.

Długonogiego Tatka.

Pseudonim sceniczny Wirusa był dla niego czymś więcej niż *alter ego*. W połączeniu z makijażem nadawał mu zupełnie inną osobowość. Wirus domagał się, by traktować jego wcielenia jak dwie odrębne jednostki. W niczym się ze sobą nie zgadzały i ogólnie rzecz biorąc, Wirus był rozsądniejszą z nich. Co prawda był już drugi grudnia, ale dopiero od niedawna, i show wciąż jeszcze trwał.

Stałem w kolejce za trzęsącym się mężczyzną w średnim wieku na szpilkach i w minispódniczce. Przesuwaliśmy się szybko, kilku facetów o tępych twarzach nagle przypomniało sobie o umówionych spotkaniach i zniknęło gdzieś na ulicy.

Zauważyłem swoje odbicie w drzwiach. Zaschnięty pot i zakrzepła krew skierowały moje włosy w najdziwniejsze strony. Dzięki kajdankom natychmiast jednak wstrzelełem się w klimat. Dałem piątką jednemu ze stutrzydziestokilowych paniopanów i zostałem bez wahania wpuszczony do środka. Byłem oszołomiony i skołowany. Przy wejściu skurczony starzec o złowrogim wyglądzie ubrany w garnitur w prążki odcisnął mi na ręce stempel. Błyskawicę.

W mieszkaniu Glana Smithsona znalazłem paragony z tego klubu. Musiałem z nim

porozmawiać, koniecznie. Nie tylko miał powiązania z Laskeyem, ale też przekazał mi wiadomość, która doprowadziła mnie do zwłok Joanny Greenlaw. Nasuwało to więcej pytań, niż przynosiło odpowiedzi.

Potrzebowałem wyjaśnienia.

Przeszedłem przez słabo oświetlony korytarz po cienkiej, chlupoczącej od wilgoci wykładzinie. W holu była szatnia, przy której stała następna kolejka różnorodnych typów. Czując na sobie wrogie spojrzenia, minąłem ją i wszedłem po schodach do głównej sali. Miasto traktowało ich wszystkich jak wyrzutków, więc przychodzili właśnie tutaj. Ja byłem w najlepszym razie turystą. W najgorszym oznaczałem kłopoty. Przeszedłem przez dwuskrzydłowe drzwi na szczycie schodów.

Uderzył we mnie zapach przetrawionego alkoholu i środka dezynfekcyjnego. Zbity tłum – dwieście albo trzysta osób wciśniętych w przestrzeń przeznaczoną najwyżej dla stu – falował w obłądnym świetle w takt muzyki.

Było gorąco jak w piekle.

Czułem skroploną parę wodną kapiącą z sufitu. Trudno było cokolwiek powiedzieć o liczebności przedstawicieli obu płci. Byli tam mężczyźni, kobiety i wszystkie formy pośrednie. Całujące się pary i trójki we wszelkich możliwych kombinacjach. Mniej więcej jedna trzecia klienteli miała na sobie wymyślne kostiumy jak z *Rocky Horror*, ale większość przyszła ubrana jak co dzień. To było ich prawdziwe życie.

Wszyscy krzyczeli, pocili się, napierali na scenę. W tle wisiała dekoracja z napisem: „Długonogi Tatko i Smakowite Kąski”.

Skręciłem w prawo i przeciskając się przez tłum, ruszyłem w stronę baru. Obsługiwała ładna młoda barmanka po operacji. Zamówiłem trzy duże burbony. Dwa czyste i jeden z lodem. Czyste wypłem przy barze i dziewczyna rzuciła mi lekko karcące spojrzenie. Dotknęła mojej ręki i przekrzykując muzykę, powiedziała: „Spokojnie, tygrysie”. Kiwnąłem głową, odwracając się z trzecim drinkiem w stronę sceny.

Długonogi Tatko jęczał do mikrofonu, wijąc się wokół stojaka. Towarzyszyły mu trzy olbrzymie czarnoskóre *drag queens*, Kąski, które wspierały go wokalnie. Tatko miał sięgające łokci rękawiczki z czarnej skóry i burleskowy kostium przypominający mundury nazistów z SS. Gdy przepchnąłem się do przodu, właśnie śpiewał ostatni numer, wypinając się do tłumy i symulując akt seksualny ze sztucznym penisem wielkości węża strażackiego.

Śpiewał barową wersję *Moon River*.

Gdy piosenka dobiegła końca, tłum oszalał i na scenie eksplodowały bomby z brokatem. Długonogiego Tatkę i jego chórek oblało różowe, mieniące się konfetti. Ktoś rzucił na scenę bukiet czarnych kwiatów owiniętych drutem kolczastym, a Tatko podniósł go i przycisnął sobie do piersi. Pochylił się w ukłonie, podnosząc przy tym z podłogi opróżnioną do połowy butelkę szampana. Odrzucił głowę do tyłu, nabrał szampana w usta i spryskał nim pierwszy rząd. Pokłonił się jeszcze raz, trzymając za ręce wokalistów z chórką, po czym zszedł ze sceny. Tłum prawie natychmiast zaczął topnieć. Pewnie przenosił się w inne miejsce.

Poszedłem zgnitym korytarzem za scenę, a potem po schodach do garderoby. Na drzwiach widniała gwiazda z napisem „Tatko”. Usłyszałem w środku jakąś rozmowę. Gdy zapukałem, gwałtownie ustała. Rozległy się kroki i ktoś uchylił drzwi.

– No? – powiedział jeden z Kąsków, zagrządzając przejście. Miał już na sobie zwyczajne ubranie.

– Mogę z nim porozmawiać?

– Tatko właśnie zmywa twarz – odrzekł niskim, aksamitnym głosem. – Nikogo teraz nie przyjmuje.

– Powiedz mu, że to Waits.

Zmarszczył brwi.

– Takie, które się podnosi*?

– Nie – odezwał się głos w głębi pomieszczenia. – Takie, które ciągną cię na dno. Wejdz, Aidan.

Mężczyzna odsunął się, odsłaniając schludną garderobę. Długonogi Tatko siedział odwrócony do mnie plecami. Miał przed sobą staromodną teatralną toaletkę okoloną żarówkami. Dalej zmywał makijaż i nawet na mnie nie spojrzał.

– Przyszedłeś po autograf czy wystarczy ci ślad szminki na kołnierzyku?

Podniosłem rękę i zabręczałem kajdankami.

– Pomyślałem, że jeśli ktokolwiek jest w stanie mnie od tego uwolnić, to właśnie ty. – Zobaczyłem w lustrze, jak marszczy brwi, a potem się odwrócił. Naprawdę wydawał się zaskoczony. – Potrzebuję przysługi – dodałem.

– Lewis – zaintonował Tatko, nie odrywając ode mnie oczu – mógłbyś zostawić nas na chwilę samych?

* Nazwisko Waits wymawia się tak samo jak ang. *weights* – ciężary, hantle.

Opowiedziałem mu swoją historię. Tyle, ile z niej zrozumiałem.

Zmył makijaż, ale wciąż miał na sobie kostium. Siedział na krześle naprzeciwko mnie. Założył nogę na nogę i obracał kajdanki wokół palca wskazującego. Klucz znalazł wcześniej w torebce.

Skończyłem mówić, ale on dalej bawił się kajdankami, dopóki coś nie zwróciło jego uwagi. Smutno pokręcił głową.

– Hiatts... – przyjrzał im się, mrużąc oczy – ... Model 2103. Zero finezji.

– Słuchałeś mnie w ogóle?

Rzucił mi nienawistne spojrzenie. Nie wiedziałem, czy się zgrywa, czy naprawdę jest zły.

– Aidan, dlaczego miałbym ci pomóc?

– Mogę ci załatwić forszę.

– Sam mogę sobie załatwić forszę. Dlaczego miałbym ci pomóc?

– Myślałem, że tam na Sycamore Way był twój przyjaciel.

– Mój kumpel – odparł z uśmiechem. Potem uśmiech zbladł i Tatko ciągnął dalej: – Nie pozwolili mi się z nim zobaczyć, zanim...

– Przykro mi.

– W twoich ustach te słowa nie mają żadnego znaczenia. „Przykro mi” to twoje ustawienie domyślne od dziecka. Ktoś powinien rozkręcić cię śrubokrętem i się pobawić.

– Innym razem.

– Nadal nie wiem, dlaczego przyszedłeś po pomoc akurat do mnie.

– Bo tylko ty mi zostałeś – powiedziałem. Mówiłem szczerze. – Nie wierzę w te wszystkie bzdury na twój temat, w tę twoją zgrywę. Kiedyś się mną opiekowałeś. – Milczał. – Mógłbyś teraz zadzwonić na policję i mnie wsypać. Byłoby to jedno z możliwych zakończeń tej całej historii.

– A drugie?

– Są w to zamieszani dilerzy narkotyków. Policja. Politycy. – Zamknąłem oczy. – Gdybyś mi pomógł, zrujnowalibyśmy życie wielu osób.

Kiedy na niego spojrzałem, wpatrywał się we mnie z twarzą pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu. Potem kącik jego ust lekko drgnął.

Potem drgnął drugi.

A później rozradowany Tatko parsknął histerycznym śmiechem. Pochylił się, dotknął mojego kolana i czule się do mnie uśmiechnął. Pokręcił głową, przechylił ją na bok i opadł na oparcie krzesła.

– Zawsze umiesz powiedzieć to, co należy.

Wirus prowadził. Przebrał się z kostiumu Długonogiego Tatka w zwyczajne ubranie. Siedziałem na miejscu pasażera. Jechaliśmy bocznymi uliczkami w stronę komórki, w której zostawiłem swoje dawne życie. W której zostawiłem pięć kawałków od Carvera. Próbowałem sobie wmówić, że zwrócenie się do Wirusa było sprytne. Nieprzewidywalne posunięcie niemożliwe do wykrycia. Prawda wygląda jednak tak, że gdyby nie on, nie wiem, dokąd bym poszedł. W dawnym życiu miałem równie mało przyjaciół jak w obecnym.

Nie wiedziałem, jak intensywnie szuka mnie policja ani czy w ogóle zaczęła mnie szukać. Laskey bez wątpienia bardzo chciał się mnie pozbyć, żeby ukryć, zmienić albo zagmatwać obraz tego, co się działo. Przywleczono mnie do komendy po godzinach. Nikt mnie oficjalnie nie zgłosił. Z prawnego punktu widzenia mogłem wyjść, kiedy tylko chciałem.

Napaść zmieniała postać rzeczy, ale tego, jak Laskey ją wytłumaczył – i komu – mogłem się tylko domyślać. Przypuszczałem, że będzie się starał ograniczyć krąg wtajemniczonych do siebie i Riggsa, aż zdoła zatrzeć dokładnie ślady swoich powiązań z Carverem albo aż Riggs wreszcie pęknie.

Miałem nadzieję, że dzięki temu zyskałem jeden dzień.

– To tu? – spytał Wirus.

– Skręć w lewo.

Samochód – ciemne, rozklekotane auto kompaktowe – pożyczył od Lewisa, jednego z Kąsków. Sam miał białego cadillaca, ale uznaliśmy, że mógłby rzucać się w oczy. Najbardziej zauważalną różnicą między Wirusem a jego drugim wcieleniem były chaotyczne ruchy i tiki, które zdawały się nękać całe jego ciało. Bez przerwy kopcił, ponieważ „Tatko tego nie znosi”. Gdy zdjął skórę i włożył czarny pognieciony garnitur, perspektywa pomagania mi natychmiast popsuła mu humor. Przypomniałem mu o pieniądzach. Po przekroczeniu pewnego punktu wszystkie kompromisy zdawały się warte tyle samo. Zastanawiałem się, na czym będzie polegał kolejny.

– Powiedz coś o Neilu, tym barmanie – rzuciłem od niechcena.

Wirus spokojnie prowadził dalej.

– O kim? O czym?

– O Neilu. Do niedawna był menedżerem baru w Rubiku.

– Nie piłbym tam, nawet gdyby z kranu leciała krew Zaina Carvera.

– Ale Neil pił w Wiggle Room.

– Aidan, nawet ludzie Franczyzy mogą mieć dobry gust.

– Wierz mi, on nie ma.

– Jestem pewien, że nigdy nie poznałem pracownika Franczyzy o imieniu Neil.

– Kiedyś był znany jako Glen...

– A, to co innego – powiedział uradowany, że może zdradzić sekret. – Och, znamy się z Glenem od dawna. Mamy ze sobą trochę wspólnego. – Pomyślałem o oczyszczeniu barmana

z zarzutów i chyba było to po mnie widać, bo się obruszył: – Och, nie mówiłem o tym, świntuszkę. Odchudzał dla mnie cegły Franczyzy.

– Zaraz, zaraz. – Szczerze się roześmiałem. – Okradałeś Zaina Carvera?

– Dobrze, co?

– Niezłe. Jak to się odbywało?

– Wszystko przechodziło przez Glena, Neila czy jak mu tam. Kiedy do Rubika dostarczano ósemkę, podbierał trochę i sprzedawał mi ze sporym upustem.

Pomyślałem o Glenie. Neilu. Barmanie.

Te jego oczy cwaniaka. Znajdował się w centrum tyłu wydarzeń. Laskey sabotował jego rozprawę w sądzie. Coś go wiązało z Isabelle Rossiter. Prawdopodobnie dostarczał jej narkotyki. Opierała się na nim cała działalność Franczyzy Carvera. Zdradził go dla Burnsiderów, a potem sam został zdradzony. Wiedział, gdzie ukryto zwłoki Joanny Greenlaw. A teraz okazało się, że wszystkich ogrywał, sprzedając Wirusowi podprowadzoną ósemkę.

Znowu pomyślałem o dragach, które spuściłem w klozecie w Rubiku.

Zmuszając go do przejścia do podziemia.

Pomyślałem o tym, jak stał przed moim mieszkaniem z nożem połyskującym w ręce. Z tym samym, który przyłożył mi do brzucha w wieczór zaginięcia Cath. Dlaczego wrócił? Skąd mu przyszło do głowy, że Joanna Greenlaw była ukryta pod wanną? I dlaczego przekazał tę wiadomość akurat mnie?

– Kiedy po raz ostatni się z nim widziałeś?

– W zasadzie to chyba w Wiggle Room...

– Rozmawialiście?

– Komunikowaliśmy się. Sytuacja nie wyglądała dobrze.

– Chciał pieniędzy?

– Nie aż tak bardzo jak tego, co można za nie kupić...

– Ósemki? – Spojrzałem na Wirusa. Prowadził dalej, obojętny, wierząc się i kurząc. Kiwnął głową. – Co mu powiedziałaś?

– No cóż, to on był moim dostawcą ósemki. Powiedziałem mu, że zabiera się do sprawy od dupy strony. Wiesz – dodał – w życiu osobistym tak właśnie lubię. Ale interesy to co innego.

– Powiedziałaś, że sytuacja nie wyglądała dobrze. Dlaczego?

– Był nerwowy. Ciągle spoglądał przez ramię. Wiesz, w życiu osobistym lubię, jak chłopak spogląda przez ramię. Ale interesy to co innego.

– Jak wyglądał?

Wirus cierpko się uśmiechnął.

– Jakby połknął coś paskudnego. Wiesz, w życiu osobistym...

– Tak, wiem.

– Miał wory pod oczami i potarganą brodę. Pomyślałem, że potrzebuje więcej ósemki tylko po to, żeby przenieść się na tamten świat.

– A kiedy to było?

– Przyszedł do Wiggle tydzień po Sycamore Way.

Miało to sens, zgadzało się z paragonami, które znalazłem w jego mieszkaniu.

– Widziałeś go potem?

- Tylko raz...
- W Wiggle Room?

Wirus przesunął się na siedzeniu.

- Nie, zadzwonił do mnie.
- Pojechałeś do niego?

Pokiwał głową.

- Leżał w Royal Infirmary. Potrzebował kogoś, kto go stamtąd zabierze.

W wieczór zaginięcia Cath. Miał złamaną nogę.

- Dokąd go zawiozłeś?
- Pokażę ci.
- Pokaż mi teraz.
- Dopiero jak... – Zaczął coś mamrotać pod nosem.
- Dopiero jak co?

Odrzucił głowę do tyłu.

– JAK TY POKAZESZ MI FORSE! – wrzasnął. Wypuścił kierownicę i wcisnął pedał gazu. Samochód odbił w lewo i chwyciłem za kółko, żebyśmy się nie rozbili. Wirus pozwolił mi przez chwilę prowadzić, a potem przejął kierownicę. – Wybacz, stary.

Gdy dotarliśmy do komórki, kazałem mu poczekać na zewnątrz. Było to ciemne, mokre pomieszczenie z kilkoma pudłami ułożonymi jedno na drugim. Zacząłem je odkładać na bok i zauważyłem, że jednak przyszedł za mną, że stoi obok drzwi i mnie obserwuje.

- To tutaj trzymasz swoje rzeczy? – spytał.
- No.

Zmarszczył brwi, prawie jakby zrobiło mu się mnie żal.

– A gdzie reszta? – Zignorowałem go i znalazłem torbę, w której schowałem pieniądze od Zaina Carvera. Podałem je Wirusowi, a on przejechał po banknotach kciukiem. Uspokojony, zarzucił torbę na ramię i kiwnął głową.

- Dokąd zawiozłeś barmana?
- To była nie byle jaka podróż – powiedział. – Chodź, pokażę ci.

Wróciliśmy do miasta. Minęła trzecia rano i na ulicach było prawie pusto. Zdziwiłem się, gdy zajechaliśmy przed Royal Infirmary, ale uświadomiłem sobie, że odtwarzamy podróż Wirusa z barmanem.

- Przyjechałem tu i zobaczyłem, jak kuśtyka ze złamaną nogą i podbitymi oczami.
- Powiedział, co się stało?
- Powiedział, że naraził się Burnsiderom. Zwłaszcza Sheldonowi White'owi.
- Był z dziewczyną, która zaginęła tamtej nocy, z Cath. Wspomnił o niej?
- Nie, nie mówił o żadnej Cath. – Poczulem, jak ściska mi się serce. – Za to o tobie wypowiadał się w niewybrednych słowach.

- Na przykład?
- Powiedział, że zabiłeś Isabelle Rossiter.

Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu.

- Mówił coś jeszcze?
- To prawda?

– Nie – odparłem. Po tym pytaniu poczułem, że muszę wziąć prysznic.

– Powiedziałem mu to samo – oznajmił Wirus. – Nie, poza tym niewiele się odzywał. Był wyczerpany. Bardzo go bolało. Nie brzmiał zbyt sensownie.

– Dokąd pojechaliście?

Wirus nerwowo się poruszył.

– Pokażę ci.

Sądząc po kierunku, w którym jechaliśmy, i po tym, co znalazłem w pustym pokoju, domyśliłem się, że zmierzamy do domu Greenlaw. Wirus zatrzymał się przy krawężniku i wyłączył światła.

Na ulicy kawałek dalej stały radiowozy.

Obok drzwi wejściowych rozbito biały namiot pracowników zakładu medycyny sądowej.

– Zabrał stąd swoje rzeczy. Nalegał, żebym wszedł z nim do środka, bo czegoś się bał. Miał tam tylko torbę podręczną. Wzięliśmy ją i pojechaliśmy do mnie. Przenocowałem go.

– A potem?

Wirus powstrzymał się od ziewnięcia.

– Rano powiedzieli w wiadomościach o aresztowaniu Zaina Carvera. To mu podsunęło pewien pomysł.

– Jaki?

– Na to, gdzie się zadekować.

– W Fairview?

Wirus przecząco pokręcił głową.

– W jakimś mieszkaniu należącym do Carvera. Kiedyś Carver umieszczał tam swoje dziewczyny. Glen powiedział, że skoro Franczyza się rozpadła, Carver siedzi w więzieniu, a jego dziewczyny zaginęły albo już nie żyją, mógłby się tam zatrzymać i odzyskać siły.

– Czy to mieszkanie jest przy Fog Lane?

– Znasz je?

Budynek, w którym umarła Isabelle Rossiter.

– No, znam. On tam dalej jest?

– Nawet jeśli nie – prychnął Wirus – to na tej nodze na pewno się za bardzo nie oddalił.

Włączył silnik i pojechaliśmy. Brutalistyczny, dziobaty blok z betonu widać było z daleka. Gdy skręciliśmy, Wirus zatrzymał samochód i szybko wyłączył światła.

Tu też były radiowozy.

Zacząłem się zastanawiać. Czy znalazły się tu przypadkiem, patrolując ulice w związku z handlem narkotykami, czy może barmanowi stało się coś złego? Musiałem z nim porozmawiać, ale nie protestowałem, gdy Wirus włączył silnik, zawrócił i odjechał.

– Nie tym razem – powiedział.

Pojechaliśmy do jego domu, dawnego kościoła obok Alexandra Park, i ulokował mnie w pokoju gościnnym. Nadal dzwoniło mi w uszach od wszystkich ciosów, jakie przyjąłem w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, wciąż kręciło mi się w głowie od tego, czego się dowiedziałem.

Spąłem jak kamień.

Następnego dnia wstaliśmy wcześniej rano. Sen chyba uwolnił Wirusa od nerwowych ruchów i tików, a i ja czułem się lepiej. Pod prysznicem zmyłem z włosów zaschnięty pot i zakrzepłą krew, a ślady po kajdankach na moich nadgarstkach zbladły. Patrząc na siebie w lustrze, przez chwilę zastanawiałem się, czy to wszystko naprawdę się wydarzyło.

Pojechaliśmy z powrotem na Fog Lane. Nie wiedziałem, czego się spodziewać tego ranka, i ulżyło mi, gdy okazało się, że nie ma tam policji. Było jednak wcześniej, przed dziewiątą, więc to wcale nie znaczyło, że nie ma jej gdzieś w pobliżu.

– Zaczekaj tu – powiedziałem, wychodząc z samochodu.

Wirus westchnął i teatralnie się ukłonił. Przeszedłem przez ulicę w stronę szarego, obłożonego kamieniami budynku z napisem „STUL KURWA PYSK”.

Trzy piętra głośów za drzwiami. Słabe, bzyczące żarówki. Pokonałem korytarz. Zatrzymałem się. Zacząłem nasłuchiwać. Bałem się. Jeśli barman był w środku, to nie wydawał żadnego dźwięku. Zastanawiałem się, czy on też nie żyje. Stałem z ręką na klamce, wahając się, czy zapukać, a potem pomyślałem o Isabelle i o tamtym wieczorze przed jej śmiercią.

Odsunąłem się i kopnąłem w zamek. Drewno było tanie i cienkie, poddało się z łatwością. Wszedłem do środka i zamknąłem za sobą drzwi.

W pokoju panował półmrok. Przez zasłony przesączało się słabe zimowe słońce. Pstryknąłem światło, włączając gołą, mocną żarówkę na środku sufitu, i upewniłem się, że naprawdę widzę to, co mi się wydaje.

Glena Smithsona. Neila. Barmana.

Leżał nieprzytomny na kanapie. Broda mu się rozrosła, zajmując większość twarzy i całą szyję. Brwi prawie spotykały się pośrodku. Prawą nogę miał w gipsie w kolorze pleśni. Pokój przypominał śmietnik. Tak jak w dniu, w którym znalazłem tu Zaina Carvera w podobnym stanie.

Gazety, opakowania po jedzeniu, notesy.

Gdy podszedłem, barman się nie poruszył. Zauważyłem drewniane pudełeczko zostawione pewnie przez Carvera. Obok barmana leżała strzykawka, ale tym razem ósemka musiała być czysta. Nie wyglądał jak Isabelle ani dzieciaki z Sycamore Way. Ulżyło mi.

Szturchnąłem go. Potem uderzyłem w twarz otwartą dłonią i cicho mruknął. W końcu podźwignąłem go i zawlokłem do łazienki. Wsadziłem pod prysznic, tak żeby zimna woda oblała górną część ciała, i odkręciłem kurek.

Strumień był lodowaty.

Wyprostował się, biorąc głęboki, gwałtowny wdech, jakby wstawał z martwych. Odczekałem kilka sekund, a potem zakręciłem wodę. Jego rozbiegane oczy cwaniaka omiotły łazienkę, a potem, wystraszone i zdezorientowane, zatrzymały się na mnie.

– Co to ma być, kurwa?

– Muszę ci zadać kilka pytań.

– Gdzie ja jestem?

– W mieszkaniu Zaina Carvera przy Fog Lane. – Na dźwięk tego nazwiska wystraszył się i próbował wstać, ale zsunął się z powrotem po mokrych płytkach. – Nie ma go tutaj. Siedzi w areszcie. Straciłeś przytomność. – Próbował dojrzeć, co jest za mną. – Przyszedłem sam.

– I tak samo możesz stąd, kurwa, wyjść.

– Nie mogę wyjść, dopóki nie odpowiesz na kilka pytań.

– Mam gówno do powiedzenia.

Przykucnąłem, żeby nie stać nad nim.

– Glen, masz gówno w żyłach. Gówno zamiast serca i gówno do powiedzenia. Ale możesz to wszystko zmienić.

– I kto to mówi! Przyłazłeś tu, żeby walić mowy motywacyjne? Zrujnowałeś mi, kurwa, życie. – Już płakał i zaczął się trząść. – Złamali mi nogę...

– Przykro mi – powiedziałem, wstając. Wtedy, gdy na niego patrzyłem, mówiłem szczerze.

Pozwoliłem mu chwilę popłakać, a potem poszedłem do pokoju po ręcznik.

– Masz.

Przez chwilę patrzył na ręcznik, mrużąc oczy, jakby podejrzewał jakiś podstęp, ale potem zaczął się wycierać. Gdy to robił, spojrzałem na jego gips. Miał dziwny kolor, coś między żółcią, brązem i szarością. Okropnie cuchnęła. Zauważył, że się przyglądam, i zawstydzony zaczął go wycierać ręcznikiem.

– Powinieneś iść z tym do lekarza.

– Przecież nie mogę się stąd ruszyć.

– Dlaczego?

– White mnie zabije.

– Gdyby chciał cię zabić, już by to zrobił.

Spojrzał na mnie.

– Jesteś zbyt mało ważny. – Usiadłem na podłodze w łazience. – Nie obraż się. Ja też jestem mało ważny. Glen, zostaliśmy tylko my dwaj. Isabelle nie żyje. Carver siedzi w więzieniu. Sarah Jane wyjechała z miasta, a Cath zaginęła.

– Co z Gripem?

– Nie żyje. White załatwił go tej samej nocy, kiedy złamał ci nogę. Więc gdyby chciał też twojej śmierci... – Twarz Glena straciła resztki koloru. Wreszcie jednak pokiwał głową.

– Ile... – Zmarszczył brwi. – Ile czasu minęło? Od naszego ostatniego spotkania.

– Kilka tygodni.

– Wyglądasz starzej – powiedział, jakbym próbował go oszukać.

Pokiwałem głową. Czułem to.

– Mam propozycję. Odpowiedz na kilka pytań, nieoficjalnie, i pomóż mi to naprostować. Na tym twoja rola się skończy. Później załatwimy ci coś do jedzenia. Zawieziemy cię do szpitala. Zajmą się tą nogą i doprowadzą cię do porządku, jeśli tylko chcesz.

Mocno zacisnął powieki. Nieoczekiwany pokaz życzliwości może być skuteczniejszy niż groźby i krzyk. Człowiek, który zbyt długo trwał w tej samej pozycji, może się rozsypać. Znowu zaczął płakać, przyciskając ręcznik do twarzy, a potem spojrzał na mnie ze strachem.

– Zabiłeś Isabelle?

– Nie. I wiem, że tej nocy byłeś u Mel. – Wstałem i wyciągnąłem rękę, żeby pomóc mu wstać. – Więc zastanówmy się, kto to zrobił.

Posadziłem go z powrotem na kanapie.

Zacząłem od pytania o jego związek z Isabelle Rossiter. Powiedział, że poznali się w Rubiku kilka miesięcy temu. To by się zgadzało ze słowami Sarah Jane, która twierdziła, że Isabelle przez jakiś czas kręciła się po barach, zanim uciekła z domu. Glen od razu poznał, że Isabelle jest niepełnoletnia, i nie chciał jej obsługiwać. Starał się jej jednak nie zrazić.

– Wyglądało na to, że nie ma dokąd iść. – Pociągnął nosem i wytarł twarz, chcąc ukryć jakieś emocje. Chyba nie było mu to obce.

– Sypialiście ze sobą? – Odwrócił wzrok. – Glen, ja nie oceniam. Po prostu muszę wiedzieć.

– Dlaczego? Dlaczego musisz to wiedzieć?

– Była wykorzystywana seksualnie. Jeśli ze sobą sypialiście, mogłeś coś zauważyć.

– Na przykład co?

Wzruszyłem ramionami.

– Co lubiła, czego nie, jakie miała doświadczenie...

– Chcesz mnie zrobić?

– Nie.

– Nie przypniecie mi tego.

– Niczego ci nie przypinam. To był ktoś z jej rodziny. Po prostu pomyślałem, że jeśli byliście ze sobą blisko, mógłbyś coś wiedzieć.

– Ktoś z jej rodziny? – Oklapł na kanapie i przesunął ręką po twarzy. – Jezu. Słuchaj, podobała mi się. Miała nie tylko wygląd, ale i coś do powiedzenia. Raz się całowaliśmy, ale nic więcej. Bo...

– Bo co?

– Zaczęła się dusić. Płakać.

– Miała coś w rodzaju ataku paniki?

– Chyba tak – odparł zamyślony.

– Wyjaśniła ci, o co chodzi?

– Nie pytałem. Zmartwiłem się, że to moja wina. Kto z rodziny? – Nie odpowiedziałem. – Jej ojciec?

– Wspominała o nim?

– E, nie – odparł, myśląc o czymś innym. – Ale kiedyś spytałem, dlaczego uciekła z domu.

– No i?

– Powiedziała, że tak naprawdę wcale nie uciekła.

– Jak to?

– Powiedziała: „On doskonale wie, gdzie jestem”.

Spytałem go o układ z Wirusem i potwierdził to, czego dowiedziałem się wcześniej. Sprzedawał na boku. Myślał, że w wieczór przed śmiercią Isabelle próbowałem ją upić. To był ten wieczór, kiedy wyrzucił na mnie całą górę szklanek po drinkach, a ja spuściłem w sedesie

jego narkotyki.

Potem uciekł.

Najpierw do Mel, potem do Siderów, a w końcu, gdy Sheldon White złamał mu nogę, do Wirusa.

– Opowiedz mi o tym wieczorze – powiedziałem. – Co się stało po moim wyjściu z Rubika?

– White mnie do siebie przyjął. Na początku traktował mnie przyzwoicie. Potem zaczął się domagać szczegółów na temat Franczyzy. Tego, jak działa. Idąc do niego, wiedziałem, że będę musiał coś wyjawić, ale to nie miało końca. Naciskał coraz bardziej. Na Burnside przez kilka dni nie pozwalali mi spać. Ciągłe kazali pić. Wciągać kreski. – Na chwilę zamilkł, a potem przełknął ślinę. – Powiedziałem im wszystko. Ostatniego dnia wsadzili mnie do vana. Trochę pokrzyżyli. Można się było wystraszyć. Zacząłem się zastanawiać, jaką będę miał dla nich wartość, jeśli już wszystko ze mnie wyciągną. W zasadzie to mi ulżyło, kiedy zatrzymali się przed Rubikiem. White chciał, żebym go oprowadził. Chciał to zobaczyć na własne oczy. Poszliśmy na zwiad, a potem cię zauważyłem, siedziałeś w ulubionym boksie Cath. Odciągnąłem Sheldona na stronę, opowiedziałem mu o tobie. Wszystko, co wiedziałem. – Spojrzał na mnie. – Kurwa, Waits, nienawidziłem cię. Wtedy on kupił nam po drinku i usiedliśmy po drugiej stronie sali, obserwując cię od tyłu. Powiedział, że cię nastraszymy. Nigdy nie przypuszczałem, że Cath stanie się krzywda...

– Co się z nią działo? Kiedy wyszedłem.

– Byłem pijany. Na haju. Nie pamiętam za dobrze – ciągnął cicho. – Ale się kłócili. – Pomyślałem o jej ręce przesuwającej się w ochronnym geście w stronę brzucha, gdy przysięgała dla mnie na własne życie.

– Glen, czy on ją skrzywdził?

Widziałem, że się koncentruje, stara się sobie przypomnieć.

– Rozmawiali o Joannie Greenlaw. Dawnej kobiecie Zaina.

– Co mówili?

Pokręcił głową.

– Nie wiem. Pamiętam tylko, że padło to nazwisko. W końcu chyba zgodziła się z nim wyjść. Pójść gdzieś. Byłem już wtedy naprawdę nawalony i wyszedłem razem z nimi. Ale White się odwrócił i powiedział do mnie: „No to cześć, Glen”. Szanowałem go. Zajebicie go szanowałem. Ale spytałem, czy przypadkiem nie jest mi coś winien. Za to, że mu pomogłem. – Glen dotknął swojej złamanej nogi. – No i tak to się skończyło.

Sheldon White pobił Glena na ulicy, a potem złamał mu nogę, raz po raz miażdżąc butem kolano.

– Chwycił mnie za gardło i zacząłem odpływać, ale wtedy Cath... – Trząśł się, przerażony na samo wspomnienie. – Ktoś jest na korytarzu? – spytał, próbując ominąć mnie wzrokiem.

Spojrzałem przez ramię.

– Nikogo tam nie ma, zapewniam cię.

– Słyszę kogoś.

– Nikogo tam nie ma. Mów dalej.

– No, Cath go uspokoiła. Położyła mu rękę na ramieniu, zaczęła go głaskać. Mówić mu na ucho. Skinęła, żeby poszedł za nią, i wtedy mnie zostawił.

Skinęła.

- Dokąd poszła?
- Z nim. Od razu.
- Na pewno powiedzieli dokąd.
- Nie.

– W jakim kierunku?

– Nie widziałem...

To było bez sensu. Jakby w ogóle niczego mi nie powiedział. Staralem się myśleć logicznie.

– Greenlaw – powiedziałem. – Jak wpadłeś na to, gdzie jest?

– Gdzie co jest?

– Joanna Greenlaw, była Zaina. Dałeś Mel z Rubika wycinek...

– To Cath.

– Cath?

– Kiedy White zostawił mnie w spokoju, wcisnęła mi ten świstek do ręki, powiedziała, żebym ci go przekazał. Zamierzałem go zatrzymać dla siebie. Ale nie wiedziałem, o co w nim chodzi. Kiedy usłyszałem, że Cath zniknęła, poczułem się podle. Zastanawiałem się, czy ten wycinek może się na coś przydać. – Spojrzał na mnie z nadzieją, bardzo chcąc usłyszeć, że zrobił coś dobrze. – Przydał się?

– W pewnym sensie – powiedziałem. – Glen, domyślasz się, dokąd mogli pojechać?

– Pewnie gdzieś na Burnside. Zawsze wozili mnie vanem. Myślisz, że ona...?

– Przychodzi ci do głowy jakieś inne miejsce, w którym mogłaby teraz być?

– Na przykład jakie?

– Jakiegokolwiek. Wspominała o kimś? O przyjaciółkach? Rodzinie?

– Mnie nie.

– A inne mety Carvera?

– Co?

– Jest właścicielem tego mieszkania, Fairview... Na pewno ma ich więcej.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Utkwiłem w nim spojrzenie.

Za drzwiami ktoś zakaszłał. Glen próbował wstać, ale oparł się na złamanej nodze i usiadł z powrotem, porażony bólem. Do mieszkania wszedł Wirus. Po nerwowych ruchach i tikach nie było już ani śladu. Przemówił do barmana niskim, spokojnym głosem.

– Glen, mnie powiedziałeś co innego.

Spanikowany Glen spojrzał na mnie.

– Mówiłeś, że jesteś sam.

– O czym on gada, Glen?

Barman zaczął płakać. Wirus podszedł do niego i utulił jego głowę.

– Szsz, no, musisz to z siebie wyrzucić. Powiedz Aidanowi to samo co mnie.

Smithson pociągnął nosem. Wytarł twarz.

– Cath dała mi klucz i w ogóle...

– Jaki klucz? – Nie odpowiedział. – Jaki klucz?

– Klucz do jakiegoś mieszkania w Londynie – powiedział Wirus. – Własność Carvera. Kryjówka, jak sądzę, w razie gdyby zrobiło się gorąco. Podała mu też adres. Prosiła, żeby ci

przekazać.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś?

– Bo...

– Najpierw chciał sprawdzić, czy nie ma tam czegoś, co mógłby sprzedać – powiedział Wirus.

Nawet nie potrafiłem się na niego rozzłościć. To był jakiś kierunek. Jakaś nadzieja.

– Klucz i adres – powiedziałem. – Natychmiast.

Pomogliśmy Smithsonowi wstać, zejść po schodach i wsiąść do samochodu. W drodze do Royal Infirmary żaden z nas nie odezwał się słowem. Wirus podjechał jak najbliżej wejścia i zwrócił się do Glena:

– Dalej już sobie poradzisz.

Glen kiwnął głową, jakby taka prognoza dodała mu otuchy.

– Mam nadzieję, że ją znajdziesz – powiedział, a potem wysiadł i pokuśtykał.

Wirus opadł na oparcie i westchnął. Potem wyjął adres z kieszeni marynarki i przystawił go pod światło.

– Kim właściwie jest ta Catherine? – spytał. Gdy nie odpowiedziałem, włożył karteczkę z powrotem do kieszeni, uśmiechnął się do siebie i włączył silnik. – Zabawne, ale słuchając, jak rozmawiasz z Glenem, można było odnieść wrażenie, że ci na niej zależy...

Wirus włączył się do ruchu na M56, nic już nie mówiąc. Dojechał do M6 i sunął dalej. Stoke. Birmingham. Milton Keynes. Setka miejsc bez nazwy. Przekraczał dozwoloną prędkość najwyżej o pięć, dziesięć kilometrów na godzinę i byłem mu za to wdzięczny. Byłem też zmęczony, ale jednocześnie nie mogłem się doczekać. Chciałem, żeby samochód jak najszybciej minął szary krajobraz, szare ulice i szarych ludzi. Podróż trwała cztery godziny i przez pierwszą żaden z nas się nie odzywał. Uświadomiłem sobie, że cieszę się z tego szaleństwa. Bez niego wspomnienia puchły, siniały i rozlewały się, aż zaczynałem mieć wrażenie, że noszę je na twarzy jak sińce pod oczami. Odwróciłem się i spojrzałem przez szybę.

Szara dobra Brytania.

Chcąc nie chcąc, zastanawiałem się, co zastaniemy w londyńskim mieszkaniu Carvera. Z jednej strony miałem nadzieję, że nie będzie tam Catherine. Tchórzliwie wyobrażałem ją sobie szczęśliwą gdzieś na drugim końcu świata. Pomyślałem o Gripie – zamęczonym, zastraszone, zamordowanym. Bałem się. Miałem nadzieję, że nigdy więcej jej nie zobaczę.

– No więc coś cię łączy z tą dziewczyną? – zagadnął Wirus. Zobaczyłem znak zapowiadający stację benzynową.

„ZMĘCZENIE MOŻE ZABIĆ”.

– Zatrzymamy się tutaj?

– Hm – powiedział Wirus. – Ty tu rządzisz.

Wrzucił kierunkowskaz. Musiałem zadzwonić do komisarza Parrsa. Dzwonienie z komórki byłoby głupie. Automat w mieście zbyt łatwo by namierzono. Namierzanie stacji benzynowej przy autostradzie wydawało się bardziej wkurzającym zadaniem.

Wciąż jeszcze było wcześniej. Minęła dopiero dziesiąta w czwartkowy ranek. Wirus pogrzebał na tylnym siedzeniu w poszukiwaniu neonowej różowej peruki.

– Pójdę nastraszyć heteryków – powiedział i ruszył w stronę baru.

Popatrzyłem za nim, a potem podszedłem do automatów telefonicznych obok wejścia i wybrałem numer. Sygnał zabrzmiał tylko raz.

Pstryk.

– Parrs.

– To ja.

– Waits – powiedział. – Gdzie jesteś?

– Nasz człowiek to Laskey.

Wziął wdech.

– Musisz tu przyjść, natychmiast.

– Nie mogę.

– Synu, grasz na dwa fronty. Podobno wczoraj wieczorem znaleźli cię w domu Greenlaw. Rzuciłeś się na Laskeya. Uciekłeś.

– Inaczej to wyglądało.

– Ale pieprzona jaśnie pani nadkomisarz myśli, że było właśnie tak. – Ściszył głos. – Masz szczęście, że w ogóle mnie zastałeś. Sprzątam biurko.

Odsunąłem słuchawkę od ucha, zastanawiając się, czy jej nie odwieścić.

– Riggs potwierdzi moją wersję, jeśli go pan trochę przyciśnie – powiedziałem w końcu. – Laskey wmówił mu, że działają zgodnie z pana rozkazami. Zakładam, że kłamał. Nietrudno go będzie na tym przyłapać.

Parrs milczał.

– Wczoraj po północy trzymali mnie w komendzie. O mało nie rozwalili mi łba.

– Przy Central Park? Sprawdzę w rejestrze.

– Nie zgłosili mnie, ale jeśli Laskey nie dorwał się jeszcze do nagrań, to czeka pana ciekawa projekcja.

– Założmy, że ci wierzę. Czego chciał?

– Chyba sprawdzić, ile wiem. Ile z tego może przekreślić na swoją korzyść.

– A ile wiesz?

– Glen Smithson zgłosił się dziś rano do Royal Infirmary ze złamaną nogą – powiedziałem. – Niech pan go znajdzie.

– Skąd ja znam to nazwisko?

– Kilka lat temu wytoczono mu sprawę o gwałt, która upadła z powodu zaginięcia dowodów. Robota Laskeya.

– Dlaczego?

– Smithson był wtedy menedżerem baru Franczyzy. Ostatnio się im naraził. Ostatnio naraził się wszystkim. Prawdopodobnie dużo się pan od niego dowie, jeśli uda się panu zapewnić mu bezpieczeństwo.

Parrs milczał.

– Teraz musi pan uziemić Laskeya. My tu rozmawiamy, a on sprząta.

Parrs odczekał chwilę. Mniej więcej pięć sekund, żebym zaczął się niecierpliwić.

– Nie, synu. Ja muszę iść do domu, a ty musisz się oddać w ręce policji.

Wyprostowałem się. Rozejrzałem.

– Co pana łączyło z Joanną Greenlaw?

– Słucham? – odparł cicho.

– Właśnie znalazłem jej zwłoki pod wanną. Niech pan, kurwa, odpowie na pytanie.

Spokojnie.

– Nie to, co myślisz.

– A co myślę?

– Chyba masz za sobą długą noc.

– To pan zrobił jej zdjęcie, które znalazło się obok apelu policji.

– Skąd taki wniosek?

– Stoi w kryjówce, więc mógł to zrobić tylko pan albo inny gliniarz. Ale ona wygląda, jakby towarzyszył jej ktoś zaufany. Jakby za chwilę miała się roześmiać albo zmarszczyć brwi.

– Aidan Waits chce mnie uczyć czegoś o ludziach.

Czekałem.

– Tak, to ja zrobiłem to zdjęcie.

– Sypiał pan z nią?

– Czy z nią sypiałem? Jezu Chryste, synu. Nie bądź taki, kurwa, cikliwy.

– Zabił ją pan?

– Nie.

– Przekazał pan informacje, dzięki którym Franczyza albo Siderzy zdołali ją znaleźć? – Słyszałem jego oddech. – Zgodziła się zeznawać przeciwko Carverowi. Od lat pracowała dla konkurencji Sheldona White’a. Mieliście wspólne sekrety...

– Dbałem o jej bezpieczeństwo – powiedział z nietypowym przejęciem w głosie.

– Jak to możliwe, że nie znalazł jej pan wciśniętej pod wannę?

– A ty jak ją znalazłeś?

– Nie rozmawiamy o mnie.

– Nie, synu, nigdy nie rozmawiamy o tobie.

– Miał pan coś wspólnego ze zniknięciem Joanny Greenlaw? – Mówiłem głosem pełnym napięcia, jak obłąkany.

– Nie.

– Niech pan poszuka nagrań z komendy. I przesłucha Glena Smithsona.

– Jeszcze nie skończyliśmy, Waits. Powiedz mi, gdzie jesteś.

– Nie mogę panu zaufać.

– A komu możesz?

Wirus właśnie wyszedł z baru, niosąc w jednej ręce różową perukę, a w drugiej reklamówkę. Jakaś czteroosobowa rodzina zatrzymała się i odprowadzała go wzrokiem. Młodsze dziecko schowało się za matką. Wirus przeszedł obok nich, odwrócił się i krzyknął:

– Uaa!

Wszyscy podskoczyli, a on ruszył dalej w stronę samochodu, śmiejąc się pod nosem.

– Muszę już kończyć – powiedziałem i odwiesiłem słuchawkę.

West Kensington. Dotarliśmy tam koło drugiej po południu. Jakbyśmy wjechali do innego świata. Budynki były wysmagane piaskiem, olśniewająco białe, a ludzie szczupli, opaleni. Szczęśliwi. Szukając adresu, skręciliśmy z North End Road ku ogrodzonej, luksusowej wiktoriańskiej kamienicy o nazwie Fitzgerald Avenue. Wirus zatrzymał się i mrużąc oczy, spojrzał na tabliczkę z numerem. Była tam dwumetrowa brama z domofonem. Od zdobionego budynku oddzielały ją jasny, zadbane ogród i podjazd wielkości kortu do tenisa.

Przyjrzałem się kluczom, które dał mi Smithson. Z breloczkiem na łańcuszku.

– Idziesz?

Wirus się skrzywił.

– Aidan, uwielbiam rujnować życie, ale gdy chodzi o moje własne, mówię pas.

– Nie gaś silnika.

Wysiadłem, przeszedłem przez ulicę i przyłożyłem breloczek do touchpada przy bramie. Furtka odskoczyła i ruszyłem w stronę budynku. Większy klucz otwierał drzwi wejściowe. Za nimi był cichy, zadbane korytarz.

Wszedłem po schodach na pierwsze piętro i znalazłem mieszkanie 1C. Adres, który podał mi Smithson. Wzięłem głęboki oddech i otworzyłem drzwi. Całkowita cisza i bezruch. Wszedłem do środka, rozejrzałem się. Stałem w małym przedpokoju prowadzącym do przestronnego salonu. Skierowałem się prosto do dwóch sypialni. Nikogo tam nie było. Wyglądało na to, że od jakiegoś czasu mieszkanie stoi puste. Zawróciłem w stronę salonu, gdzie na stoliku do kawy leżał jeden przedmiot niepasujący do otoczenia.

Telefon komórkowy.

Ten, który kiedyś należał do Isabelle Rossiter.

Podniosłem go osłupiały, a potem zastygłem w bezruchu.

Pod spodem leżała karteczka. Wyraźne, okrągłe pismo.

„Przepraszam”.

Przez chwilę nie byłem w stanie się ruszyć. Potem wyszedłem, cicho zamykając za sobą drzwi.

Wirus odpalił silnik i wyjechał na ulicę. Przez kilka minut lawirował między przecznicami, a w końcu zaparkował w rzędzie samochodów.

– Co tam było? – spytał.

Wyjąłem telefon, choć sam prawie nie mogłem w to uwierzyć.

– No i?

– Należał do Isabelle Rossiter. Po jej śmierci zniknął z jej mieszkania.

Gdyby Wirus miał brwi, wystrzeliłyby w górę.

Trzęsąc się, obejrzałem telefon. Włączyłem go. Natychmiast zaczął wibrować od nagromadzonych nieodebranych połączeń, esemesów, wiadomości głosowych. Starłem się nie zwracać na nie uwagi. Wszedłem w esemesy. W wysłane wiadomości. Od razu przeskoczyłem

do tego, który przysłała mi po północy, po tym jak po raz pierwszy ze sobą rozmawialiśmy.

Zain wie.

Skasowałem go.

Wróciłem do folderu z wysłanymi wiadomościami. Zacząłem od najstarszych i przesuwałem się w stronę najnowszych. Te pierwsze były zwyczajne. Gdzie i kiedy.

Dotarłem do wiadomości z nocy jej śmierci. Po tym jak wyszedłem z jej mieszkania, trwała intensywna wymiana. Pewne sprawy stały się dzięki niej bardzo jasne. Przewijałem te wiadomości, czytając je raz i drugi. Tonąc w nich. Wyszedłem z folderu.

Otworzyłem zdjęcia. Wcześniej widziałem tam jakieś pliki. Przypadkowe ujęcia z nocy na mieście. Wszystkie, na których byli Glen, Catherine, Sarah Jane, Zain i Grip zostały starannie usunięte. Zachował się tylko jeden plik wideo. Nagrany po moim wyjściu z mieszkania. W niedzielę 15 listopada.

W dniu jej śmierci.

Otworzyłem go. Suwak u dołu ekranu pokazywał, że nagranie trwa dwadzieścia trzy minuty. Pojawił się zamazany, ruchomy obraz mieszkania Isabelle.

A potem pojawiła się ona.

Miała przyspieszony oddech. Położyła telefon na jakiejś powierzchni. Chyba na kanapie. Potem go ustawiła, kierując kamerę w stronę drugiej połowy pokoju.

W stronę biurka.

Dał się słyszeć dźwięk zasuwki. Isabelle otworzyła drzwi. Potem podeszła do biurka, nadal mając na sobie te same ciuchy co wieczorem w klubie. Trzęsła się. Z zimna, ze strachu albo z obu tych powodów.

Później na kogoś czekała.

Nagranie trwało już dwie minuty. Rozległy się trzy sygnały i ekran zgasł. Wysiadła bateria. Obok siebie słyszałem ciężki oddech Wirusa.

– Co teraz? – Nie odpowiedziałem, więc zaczął mówić dalej: – Potrzebujesz ładowarki i...

– Możemy ją zdobyć po drodze.

– Dlaczego? Dokąd jedziemy?

– Z powrotem – powiedziałem.

Na północ.

Milton Keynes. Birmingham. Stoke. Po drodze natrafiliśmy na korki. Ludzie wracali z pracy, ospali i znużeni czterema dniami powszednimi, powolną regularną torturą kursowania tam i z powrotem. Ja sam cieszyłem się jednak, że dla odmiany mogę siedzieć i czekać. Po raz pierwszy od dawna zbierałem myśli.

Rozglądałem się, obserwowałem świat, widziałem różne rzeczy. Zapomniałem się.

Od dwóch godzin było ciemno. Gdy światło naszych reflektorów przenikało przez mroczne wnętrza samochodów wokół, najróżniejsze postacie ukazywały się jak na upozowanych obrazach. Niektóre patrzyły na nas pustym wzrokiem, zastanawiając się, jakiego rodzaju parę tworzymy. Inne tępo spoglądały prosto przed siebie. Gdy znowu ruszyliśmy, poczułem wewnątrz coś jakby szarpnięcie. Jakaś część mnie mogłaby zostać w tym korku już na zawsze. Koniec, pomyślałem. To tylko koniec.

Gdy wreszcie wjechaliśmy do miasta, zrobiliśmy pierwszy postój. Kupiłem ładowarkę do telefonu, sprawdziłem pewien adres i wróciłem do samochodu.

Drugi przystanek był trudniejszy. Gdy podałem Wirusowi wskazówki dojazdu, skrzywił się. Pojechaliśmy tam jednak. Pełna napięcia atmosfera przedmieścia. Na podjeździe był tylko jeden samochód.

– Cokolwiek się stanie, nie wchodź do środka – powiedziałem do Wirusa. – Tym razem mówię poważnie.

Kiwnął głową, nie do końca wiedząc, co się dzieje.

Poszedłem ścieżką. Byłem spokojny i opanowany. Zadzwoiłem do drzwi. Otaczała mnie jedynie bezkresna, cicha noc. Drzwi otworzyła dziewczyna. Bardzo ładna. Bardzo młoda. Przypomniała mi Isabelle i musiałem się powstrzymać, żeby o tym nie napomknąć. Milczałem, więc przechyliła głowę. Leciutki uśmiech. Nie wywoływałem w niej żadnych uczuć. Była tylko zdenerwowana. Spytałem, czy mogę porozmawiać z jej matką.

– O czym?

– Obawiam się, że mam złe wieści. – Odsunęła się o krok, zawahała, a potem zawołała matkę.

– Proszę wejść – powiedziała.

Wszedłem i zamknąłem za sobą drzwi.

Minęła prawie godzina, zanim wróciłem tą samą ścieżką. Ociężały. Przygarbiony. W gardle miałem gulę wielkości pięści.

Wsiadłem do samochodu.

– Wszystko w porządku? – spytał Wirus, przyglądając mi się uważnie.

– Do Beetham Tower – powiedziałem.

Kiwnął głową i włączył silnik.

Przyłożyłem rękę do piersi, poczułem bicie serca, a potem wypukłość telefonu Isabelle w kieszeni kurtki. Przycisnąłem go i macałem, aż znalazłem. Gładki, wyraźny zarys obrączki.

Detektyw Alan Kernick zaczął karierę jako funkcjonariusz policji. Pracował w różnych wydziałach. Ciężkie przestępstwa. Morderstwa. Obyczajówka. W końcu wylądował w służbie ochrony – w czymś, co wtedy było wydziałem do spraw specjalnych, a teraz jest powszechnie nazywane jednostką antyterrorystyczną. Jej funkcja to coś pomiędzy ochroną a robotą policyjną. Ci, którzy w niej służą, nie należą do wydziału kryminalnego, ale mają prawo używać tytułu detektywa i wielu z tego korzysta.

Nie miałem wątpliwości, że jest ponadprzeciętnym zawodnikiem, inteligentnym człowiekiem i twardym klientem. Dzięki pełnionej funkcji wszedł w kontakt z wieloma znanymi VIP-ami, posłami, ich rodzinami i przyjaciółmi.

Między innymi z Davidem Rossiterem.

Na nieszczęście pana ministra musiałem wykorzystać to powiązanie. Musiałem jeszcze raz pojechać do penthouse'u Davida Rossitera na czterdziestym piątym piętrze.

Detektyw Kernick żwawym krokiem zbliżał się do lśniącego czarnym lakierem i chromem bmw. Do tego samego samochodu, który miesiąc temu zabrał mnie z ulicy i zawiózł do Beetham.

Z deszczu pod rynnę.

Kernick pstryknął przycisk automatycznego otwierania przy kluczyku i otworzył drzwi. Wsiadł i sapnął z zadowoleniem. Odczekałem chwilę, uniosłem obie ręce nad jego głową i mocno zacisnąłem sznurek wokół jego szyi.

Pociągnąłem.

Podskoczył. Przez chwilę się szamotał, a potem zaczął panikować, waląc rękami w deskę rozdzielczą.

– Dosyc – powiedziałem, poluzniając lekko sznurek. Przyłożył obie ręce do szyi, próbując wsunąć palce pod pętlę. – Dosyc – powtórzyłem. – Ręce na kierownicę. – Natychmiast je odsunął. Podniósł je, żeby mnie udobruchać. – Na kierownicę.

Chwylił ją i mocno ścisnął obiema rękami.

Trochę poluzowałem. Pozwoliłem mu oddychać.

– Cze-czego chcesz? – wysapał.

– Muszę się zobaczyć z Davidem Rossiterem.

– Waits? – Zastanawiał się, odzyskując oddech. – Pierdol się.

Odchyliłem się do tyłu, pociągnąłem za sznurek i policzyłem do pięciu.

Znowu się szamotał, od razu złapał się za szyję, ale potem zaczął machać rękami, sygnalizując mi, żebym przestał.

Znowu poluzowałem.

– Za każdym razem będę dodawał pięć sekund.

– Pier... – Odchyliłem się, mocno pociągnąłem za sznurek i policzyłem do dziesięciu. Z głębi jego gardła wydobył się rozpaczliwy, ochrypły dźwięk, na który zużył mnóstwo powietrza.

Potem wyraźnie oklapł. Gdy poluzowałem ucisk, dostał ataku słabego, suchego kaszlu. Dałem mu chwilę na odzyskanie oddechu.

– Muszę się zobaczyć z Davidem Rossiterem – powiedziałem.

– Nie mogę tak po prostu...

– Głęboki oddech, Alan. – Odchyliłem się, mocno pociągnąłem. Po jakichś pięciu sekundach zaczął dyszeć, głośno przełykać ślinę. Próbował powiedzieć: okej, okej. Policzyłem do piętnastu. Gdy znów puściłem sznurek, zwiotczał razem z nim. Wziął dwa gwałtowne, głębokie oddechy, wdech i wydech, wdech i wydech. Potem zaczął wymiotować i poczułem woń rzygowin. Poluzowałem sznurek jeszcze trochę, żeby mogły mu spłynąć po koszuli.

– Muszę się zobaczyć z Davidem Rossiterem – powtórzyłem. Potem dodałem cicho: – Następnym razem dwadzieścia sekund, Alan.

Zanim cokolwiek powiedział, odczekał dwie minuty.

Grał na zwłokę, odzyskując oddech. Zastanawiał się, co mógłby zrobić. Tak naprawdę nie mógł zrobić nic. Nawet gdyby jakimś cudem zdołał się uwolnić, był tak osłabiony, że z łatwością bym go obezwładnił. Chrząknął. Mówienie przychodziło mu z trudem.

– Okej – powiedział w końcu. – Okej, okej... – Zwlekał jeszcze minutę, oddychając. – Cokolwiek się dzieje, możemy o tym porozmawiać...

Odchyliłem się, mocno pociągnąłem za sznurek i policzyłem do dwudziestu.

Histerycznie walił rękami w deskę rozdzielczą, w okno, a potem położył obie dłonie na kierownicy i zaczął naciskać klakson.

To był dobry znak.

Na pewno od początku wiedział, że to jego jedyna szansa, żeby podnieść alarm, a na ciemnym, podziemnym parkingu klakson brzmiał ogłuszająco głośno. Skoro go nacisnął, to znaczyło, że jest zdesperowany.

No cóż, w takim razie było nas dwóch.

Ciągnąłem najmocniej, jak umiałem, omal nie podrzynając mu gardła. Odsunął ręce od kierownicy i wydał z siebie dźwięk mrozący krew w żyłach, coś między bulgotem a krzykiem.

Później oklapł. Skończyłem liczyć i poluzowałem. Znowu dostał ataku kaszlu, ale potem leciutko kiwał się dalej. Płakał.

– Muszę się zobaczyć z Davidem Rossiterem – powiedziałem.

Tym razem milczał. Kiwnął tylko lekko głową i płakał dalej. Trzęsły mu się ręce, a w samochodzie śmierdziało moczem, wymiocinami i strachem. Tak jak powinno.

Uniknęliśmy przechodzenia przez hol i skorzystaliśmy z brudnych schodów prowadzących z parkingu na czwarte piętro, do innego wejścia do windy. Wziąłem kartę magnetyczną Kernicka. Wciąż oddychał z wysiłkiem i siedł o ciężale. Miał łzy w oczach.

– Przypłacisz to swoją pieprzoną karierą – wychrypiał.

– Jaką karierą? – Nie odpowiedział. – Słuchaj, możesz iść ze mną albo nie, ale gwarantuję, że zainteresuje cię, co mam do powiedzenia.

– O co chodzi?

– O Isabelle.

– Przecież dopiero ją pochowali, na litość boską.

– I o Zaina Carvera – dodałem.

Kernick zmarszczył brwi.

– Mam kłopoty. Wyjeżdżam. Chyba uda mi się przypisać mu całą winę i zamknąć tę historię. Ale najpierw muszę się zobaczyć z Rossiterem. Muszę mieć pewność, że nie będzie się to za mną ciągnęło.

Spojrzał na mnie z wściekłością.

– Mogłeś zwyczajnie poprosić.

– Odmówiłbyś. Jeśli za godzinę nadal będzie między nami jakiś problem, możesz zrobić, co zechcesz. Ja z tym kończę. – Użyłem jego karty magnetycznej, żeby przywołać windę, i czekaliśmy na nią w milczeniu. Gdy przyjechała, w środku nikogo nie było. Weszliśmy. Wcisnąłem przycisk czterdziestego piątego piętra. Kernick oparł się o poręcz, nawet na chwilę nie odrywając ode mnie oczu.

Jego tęczołki prawie całkiem wsiąkły w źrenice, przez co wydawał się czarnooki i niezwykle czujny. Nie patrzyłem bezpośrednio na niego, ale obserwowałem jego odbicie w lustrach i w otaczających nas stalowych powierzchniach. Podróż na górę nie miała końca.

– Idź przodem – powiedziałem, gdy dotarliśmy na czterdzieste piąte piętro.

Kernick wyszedł z windy i ruszył korytarzem. Mijając ostatnie drzwi przed apartamentem Rossitera, załomotał do nich, próbując podnieść alarm.

Pchnąłem jego twarz na ścianę.

Z nosa popłynęła mu krew.

Rozejrzał się gwałtownie, miał łzy w oczach. Potem uderzyłem go otwartą dłonią, odwróciłem i pchnąłem w stronę penthouse'u jego szefa. Wyprężył się, a ja odsunąłem się o krok.

– Nie rób tego – powiedziałem. – Po takim dniu jak dziś na pewno przesadzę.

Wytarł nos i znowu się przygarbił. Ruszyłem przed siebie, przesunąłem kartę magnetyczną i otworzyłem drzwi Rossitera. Kernick wszedł przede mną. David Rossiter siedział w fotelu, mając za jedyne źródło światła lampkę do czytania na stoliku do kawy. W połączeniu z niemal panoramicznym widokiem i poświatą miasta za oknem wywoływało to wrażenie, jakbyśmy stali

w powietrzu.

– Zapomniałeś cze... – zaczął Rossiter, zanim zobaczył, że stoję obok Kernicka.

– Nalej nam wszystkim po drinku, Davidzie. Musimy porozmawiać.

– Co to ma znaczyć?

– Nalej nam wszystkim po drinku, Davidzie – powtórzyłem. – Musimy porozmawiać.

Oczy Rossitera na chwilę pobiegły w stronę Kernicka. Dostrzegł jego stan.

– Tak – powiedział, wstając, po czym podszedł do barku i nalał nam trzem po mocnym drinku. Korzystając z okazji, żeby odzyskać kontrolę nad sytuacją, podszedł do nas pewnym krokiem i podał nam szklanki. Potem wrócił do swojego fotela. Lampka oświetliła mu twarz, czyniąc z niej centralny punkt w mrocznym pokoju. – Może usiądziecie? – spytał z wystudiowanym opanowaniem niewzruszonego męża stanu.

– Słyszałeś, co powiedział. – Popchnąłem Kernicka do przodu. Usiadł plecami do mnie, twarzą do szefa. Poseł po raz pierwszy przyjrzał się przyjacielowi, a potem spojrzał na mnie.

– Postradał pan rozum?

Przytaknąłem.

– Przy okazji dowiedziałem się czegoś o pańskiej córce.

– O kilka tygodni za późno – powiedział lodowatym głosem. Starał się ukryć zainteresowanie. – No, w takim razie niech pan mówi.

Kernick chrząknął, on także pragnął odzyskać utraconą pozycję.

– Waits mówi, że to wina Carvera. I że może to udowodnić.

Oczy Rossitera pobiegły w moją stronę.

– To prawda?

– Nie.

Kernick lekko się odwrócił.

– Przecież tak mówiłeś.

Nie odrywałem wzroku od Rossitera.

– Wiem, co mówiłem. Teraz mówię co innego.

Rossiter wpatrywał się we mnie, a na jego twarzy pojawił się gorzki grymas uśmiechu. Nie mógł się powstrzymać. Cicho, sardonicznie zachichotał.

– Nie rozumiesz, Alan? – zwrócił się do Kernicka. – Wszystkiemu jest winny ojciec. Właśnie do tego pan zmierza, prawda Waits?

– Niech pan mi to powie, panie Rossiter.

– Aidan, powiem ci dwie rzeczy. I wiem, że masz trudności ze słuchaniem, więc skup się. Po pierwsze, nie mam nic wspólnego ze śmiercią mojej córki. Po drugie, dam ci pewną radę.

Czekałem.

– Zejdź mi z oczu. Wynoś się z tego pokoju. Z tego budynku. – Powoli podnosił głos, który wypełniał się najczystszy jadem. – Wynoś się z tego miasta. A potem wypieprzaj z tej wyspy i nie wracaj. Jesteś skończony.

– Nie – powiedziałem.

– Za kogo ty się uważasz? Bijesz ludzi, wdzierasz się do mojego domu. Oskarżasz mnie... Ty! Ty oskarżasz mnie o skrzywdzenie mojej córki? – Wstał. – Wynoś się. Natychmiast. Nie będę prosił dwa razy.

– Panie Rossiter, tu nie ma żadnych kamer. Obejdę się bez takich scen.

– Zapewniam, że...

– Niech pan na chwilę usiądzie, wysłucha, co mam do powiedzenia, i wszyscy będziemy mogli stąd wyjść. Jeśli woli się pan bić, nie ma sprawy. Nie przejmę się, jeśli żaden z nas stąd nie wyjdzie.

Spojrzał na mnie, jakby zobaczył mnie w nowym świetle. Zmarszczył brwi, podszedł do barku i nalał sobie następnego drinka. Koniaku, który dostał od Sarah Jane. Uniósł go w toaście za mnie i usiadł.

– Zgłosił pan ucieczkę Isabelle dopiero po miesiącu. Dlaczego?

– Nie jestem pewny, czyby pan zrozumiał.

– Przekonajmy się.

– Jak już mówiłem, sytuacja była delikatna. Moja żona nie czuje się dobrze. Jest niezrównoważona. Dopiero po jakimś czasie zauważyła, że Isabelle zniknęła.

– Widziałem pana żonę i wyglądało na to, że nic jej nie dolega.

– Kiedy ją pan...?

– Byłem na pogrzebie Isabelle. Jak na moje oko tylko jedno z was wyglądało na niezrównoważone.

– Jak pan uważa.

– Kernick – powiedziałem do pleców detektywa. – Twoje zadanie polega na ochronie szefa. A co za tym idzie, jego rodziny. Gdzie się podziewałeś w ciągu tego miesiąca?

– Jak powiedział pan Rossiter, Alexa połapała się dopiero po jakimś czasie.

– Więc to nie miało nic wspólnego z Sarah Jane?

Twarz Rossitera stężała. Jego wzrok dyskretnie podążył w stronę Kernicka, który nadal siedział plecami do mnie. Wyglądało to tak, jakby próbowali uzgodnić wspólną wersję za pomocą telepatii. Minęło kilka sekund, potem obaj zaczęli mówić jednocześnie.

– To nie...

– Nie sądzę, żeby...

– Zacznijmy od początku. Od pierwszego wieczoru, kiedy się spotkaliśmy.

Kernick wyprężył szyję i wyprostował się, mówiąc:

– Od wieczoru, kiedy znalazłem cię nawalonego i nieprzytomnego na ulicy?

– Wsiadłem do twojego samochodu i pachniało w nim wanilią. Drogimi perfumami. Jakoś nie pasowało to do ciebie ani do twojej partnerki.

Milczał.

– Później poznałem dziewczynę, która używa tych perfum. Początkowo nie mogłem skojarzyć jednego z drugim. Była dziewczyną Zaina Carvera – spojrzałem na Rossitera. – Z jakiegoś powodu nie wyobrażałem sobie was razem.

– Perfumy – powiedział. – Żałosne.

– Potem, kiedy przyszedłem tu po raz pierwszy i ucisnął mi pan rękę, miał pan ciepłą skórę. Pańska obrączka była jednak zimna. Bo dopiero przed chwilą ją pan włożył.

– Nie mam na to czasu.

– Niech pan słucha. – Zrobił mi tę przyjemność i mówiłem dalej: – Kiedy po raz pierwszy pojechałem do Fairview, zrobiłem to na pańskie polecenie. Wszystko odbywało się jednak

nieoficjalnie, więc nie można byłoby tego sprawdzić. Ciekawe dlaczego?

Nie poruszył się.

– Po mojej wizycie miał pan kompromitujące zdjęcia. – Nadal siedział bez ruchu. – Wie pan, naprawdę myślałem, że zależy panu na bezpieczeństwie córki...

– Co pan sugeruje?

– Że zależało panu tylko na samym sobie. Wiedział pan, że nie może dłużej zwlekać ze zgłoszeniem zaginięcia. Gdyby sprawa się wydała, nie najlepiej wyglądałoby to w prasie. Ale bał się pan, co może znaleźć policja. Więc posłał pan tam mnie. Zdjęcia dawały panu możliwość wywarcia nacisku, w razie gdybym za bardzo zbliżył się do Isabelle. Gdyby powiedziała mi coś, czego nie powinna. Kernick, ująłeś to najlepiej przed moim przesłuchaniem u Parrsa. „On nie musi wiedzieć”, powiedziałeś. Wtedy myślałem, że martwisz się o procedury. O nielegalne prowadzenie równoległego śledztwa. Tak naprawdę nie byłeś pewny, co wiem. Co mogę mu wyjawiać.

– Synu, próbowałem oddać ci przysługę – powiedział Kernick.

– Czego miała mi nie mówić?

Żaden z nich się nie odezwał.

– Że poseł David Rossiter jest w związku z kobietą do towarzystwa? Że ma pewne szalone fantazje na temat odgrywania ról? Że jego ochroniarz z wydziału do spraw specjalnych pełni funkcję taksówkarza tej kobiety?

Nadal obaj milczeli.

– Kazał pan Sarah Jane zrobić mi zdjęcia. Wykorzystał je pan do szantażu. A co najlepsze – spojrzałem na Rossitera – zapłacił jej pan za milczenie.

Napił się koniaku, a potem chrząknął.

– Niczego takiego nie zrobiłem.

– Posłał pan swojego człowieka, żeby to zrobił. W każdym razie odbyło się to przed kamerą monitoringu na wielopoziomowym parkingu. Byłem tam, więc darujmy sobie te gierki.

Rossiter rzucił mi wściekle spojrzenie.

– Miał pan romans z Sarah Jane.

Opuścił głowę. Kołysał szklanką i słuchał, jak obijają się o siebie kostki lodu.

– Płacił jej pan za seks.

Spojrzał na mnie.

– Wiedział pan, że ona i Isabelle się poznały. – Zrobiłem krok do przodu. – Zwlekał pan miesiąc ze zgłoszeniem zaginięcia córki, dlatego że była powiązana z kobietą do towarzystwa, z którą pan sypiał, i bał się pan, że to może wyjść na jaw.

Rossiter skrzywił się i tępo patrzył przed siebie. Wreszcie pokiwał głową.

– Porozmawiajmy o pewnych konsekwencjach tej decyzji – ciągnąłem. Niespokojnie poruszył się w fotelu, ale nie zaprotestował. – Ponieważ nie zgłosił pan zaginięcia Isabelle i uparł się pan, że nie należy sprowadzać córki z powrotem wbrew jej woli, nawiązała znajomość z Glenem Smithsonem.

– Powinienem go znać?

– To diler Franczyzy. Zaczął karierę, sprzedając flunitrazepam w klubach nocnych. – Rossiter głośno przełknął ślinę. Wstał, nalał sobie kolejnego drinka, po czym usiadł z powrotem. Czekałem. – Wiedział pan, że Sarah Jane żyje z Zainem Carverem, kiedy zaczął się wasz

romans? – Rossiter zerknął na Kernicka, więc zwróciłem się do detektywa. – Więc?

Odwrócił się gwałtownie.

– Tak, śledziłem ją. Zadawała się z kryminalistą. Wielkie rzeczy.

– Naraził ją pan na śmiertelne niebezpieczeństwo – powiedziałem do Rossitera. – I siebie też. Oraz swoją córkę.

– Niech pan przestanie...

– Jak pan myśli, co robi człowiek pokroju Carvera, dowiedziawszy się, że jego dziewczyna sypia z innym? – Zauważyłem, że jego słabym punktem jest Isabelle. Sarah Jane była kimś, kogo mógł zlekceważyć, więc szybko odzyskał pewność siebie.

– Daje dziwce porządnie w skórę, jak przypuszczam.

– Mało powiedziane. Słyszał pan kiedyś o Joannie Greenlaw?

Wytężył umysł.

– Chodzi o ten niedawny apel policji? O tę zaginioną kobietę...

– O kobietę, której zwłoki znalazłem dwa dni temu wciśnięte pod wannę. O byłą Carvera. Popełniła ten błąd, że od niego odeszła.

Wyraźnie nim to wstrząsnęło. Chyba po raz pierwszy zdał sobie sprawę, z kim zostawił córkę.

– No cóż, Sarah Jane to duża dziewczynka, sama podejmuje decyzje.

– Isabelle powiedziała mi to samo o sobie.

– Nie sposób ich porównywać.

– Dlaczego?

– Isabelle miała przed sobą życie. Przyszłość. Sarah Jane była...

– Nikim?

– Tego nie powiedziałem. – Spojrzałem na niego. – Och, niech panu będzie: to przemiła dziewczyna, a ja jestem potworem, taaa. – Miał łzy w oczach. – Ja nie uważam, że ludzie są równi. To pogląd wygłaszany wyłącznie przez słabych. Dokąd to wszystko zmierza?

– Wiedział pan, że pańska córka się okaleczała? – Niechętnie pokiwał głową. – Robiła po wewnętrznej stronie uda zgrabne, proste nacięcia.

Zjeżył się na myśl, że je widziałem. Tego wieczoru była to pierwsza ojcowska reakcja z jego strony.

– Karby – powiedział. – Zaczęła to robić dwa lata temu. Kiedy weszła w okres dojrzewania. Według jej lekarza miało to coś wspólnego z wyjątkowo trudnymi cyklami.

– Moim zdaniem każde nacięcie oznaczało jedną napaść seksualną. W chwili śmierci miała ich osiemnaście albo dziewiętnaście.

– Wynoś się – powiedział Rossiter.

Kernick wstał, odwrócił się, ale milczał. Twarz miał nieruchomą i całkiem bladą, a jego nos krwawił.

Ominąłem go wzrokiem.

– Zabiorę panu jeszcze tylko chwilę. W wieczór przed jej śmiercią widziałem, jak Isabelle dostaje ataku paniki na myśl, że dla pana pracuję. Powiedziała, że ją pan śledził. Przesłuchiwał jej chłopaków. Puszczal jej nagrania i szantażował ją nimi. Zastraszanie. Nękanie.

Marszczył brwi, pocił się, kręcił głową.

– To nieprawda...

Kernick podszedł, pchnął mnie w stronę drzwi.

– Jeśli to już wszystko, Waits...

– Nie, to nie wszystko – powiedziałem. Potem dodałem, zwracając się do Rossitera: – Jak pan zdobył jej numer telefonu?

Był pogrążony w myślach.

– Co? Dała mi go Sarah Jane... – urwał, poprawił się: – Zmusiłem Sarah Jane, żeby mi go dała.

– Dlaczego nie podałeś go panu policji po śmierci Isabelle?

– Dowiedzieliby się – powiedział. – Odkryliby prawdę o mnie i Sarah Jane.

– Mógł pan oszczędzić nam obu mnóstwo kłopotów.

Kernick znowu mnie popchnął.

– Nie musimy tego słuchać.

– Znalazłem ten telefon – powiedziałem.

Wszystko znieruchomiało.

Została tylko poświata miasta, otaczająca nas, pochłaniająca nas wszystkich. Kernick się odsunął, a Rossiter wstał. Przeszył mnie wzrokiem.

– Doprowadzało mnie to do szaleństwa. W wieczór przed jej śmiercią widziałem ją z tym telefonem. Ale kiedy znalazłem jej zwłoki, w mieszkaniu już go nie było.

Wyjąłem komórkę z kieszeni.

– Byłem przekonany, że ten telefon zabrał morderca. Bo było w nim coś obciążającego. W rzeczywistości stało się inaczej. Wziął go ktoś z Franczyzy, kto po prostu nie chciał, żeby jego nazwisko wypłynęło w związku z narkotykami.

– Co jest w tym telefonie? – spytał Rossiter.

– Pokażę panu.

– Niech pan go nie słucha – powiedział Kernick. – Zmyśla te pierdoły na poczekaniu.

– Co jest w tym telefonie? – powtórzył Rossiter.

Mierzyłem Kernicka wściekłym spojrzeniem, dopóki nie zszedł mi z drogi. Przeszedłem przez pokój i stanąłem obok Rossitera. Znowu poczułem intensywną fizyczną obecność tego człowieka. W telefonie Isabelle znalazłem nagranie i wcisnąłem play.

Podąłem aparat jej ojcu.

Pojawił się zamazany, ruchomy obraz mieszkania Isabelle. A potem pojawiła się ona. Miała przyspieszony oddech. Położyła telefon na jakiejś powierzchni. Chyba na kanapie. Potem go ustawiła, kierując kamerę w stronę drugiej połowy pokoju. W stronę biurka. Dał się słyszeć dźwięk zasuwki. Isabelle otworzyła drzwi. Potem podeszła do biurka, nadal mając na sobie te same ciuchy co wieczorem w klubie.

Czekała.

Kilka minut później rozległ się dźwięk. Podskoczyła. Drzwi się otworzyły, a potem zamknęły. Isabelle odwróciła się, utkwiała spojrzenie w ścianie. Dały się słyszeć kroki i na ekranie pojawił się mężczyzna. Podszedł do niej. Przeczesał jej włosy palcami. Ciało Isabelle zeszywniało. Potem ją pocałował. Najpierw pieścił jej szyję, potem przesunął się w stronę brody. Całował ją w zamknięte usta, aż wreszcie zaczęła odwzajemniać pocałunki. Stałem obok

Rossitera, ale dalej już nie patrzyłem. W pewnym momencie on też odwrócił wzrok.

– Niech pan przewinie do trzynastej minuty.

Zrobił to. Isabelle przeszła przez pokój, podchodząc do telefonu. Wzięła go i zaniósła do łazienki. Pokazała lustro. Wiadomość, którą mężczyzna nasmarował na nim szminką.

„NIKT NIE MOŻE SIĘ DOWIEDZIEĆ”

Później obraz się zamazał. Telefon upadł i w coś uderzył. Rozległ się dźwięk tłuczonego szkła, a potem jej drżący głos: „Kiedy to się stało pierwszy raz, miałam piętnaście lat...”.

Rossiter odłożył telefon.

Utkwił spojrzenie w Kernicku.

Ten się nie poruszył.

– Ty...

Kernick nadal trwał w bezruchu.

Rossiter rzucił się przed siebie. Tamten zareagował instynktownie, wykorzystując siłę rozpędu Rossitera i odpychając go na ścianę.

Rossiter podniósł się, oszołomiony, i zachwiał się na nogach.

– Proszę, nie – powiedział Kernick.

Rossiter dał mu w twarz, mocno. Kernick ani drgnął.

– Dość – powiedziałem.

Obaj stali, spoceni, rozdygotani, nie będąc w stanie spojrzeć sobie w oczy. Telefon leżał na podłodze między nimi. Kernick wytarł oczy, a potem mocno pchnął Rossitera na ścianę. Jednym ruchem podniósł telefon, minął swojego szefa i ruszył do wyjścia. Rossiter siedział na podłodze i dyszał. Kernick gwałtownie otworzył drzwi, odwrócił się i popatrzył na nas. Był kompletnie przybity.

Rossiter zasłonił twarz i zaczął płakać.

– Dokąd się wybierasz? – spytałem Kernicka.

Spojrzał na mnie po raz pierwszy od dłuższego czasu, nagle przypominając sobie o mojej obecności.

– Nie było tak, jak to przedstawiasz.

– Alan, na tym nagraniu Isabelle wyraziła się bardzo jasno. Dokąd się wybierasz?

Ciężko oddychał, obracając telefon w dłoni.

– Do domu.

– Obawiam się, że...

– Że co? – Uniósł telefon. – Niczego nie masz.

– Ty też.

Przechylił głowę.

– Trzy godziny temu pokazałem to nagranie twojej żonie i córce. – Zachwiał się. – Obawiam się, że nie chcą cię teraz widzieć.

– Ty... – Uśmiechnął się, pokręcił głową, a potem się roześmiał. – Ty zaszrańcu. Przestań mi tu pieprzyć.

– Nie zastanawiałeś się, jak się dostałem do twojego samochodu? Kris dała mi zapasowe kluczyki. – Zamknął oczy, a ja włożyłem rękę do kieszeni marynarki. – Prosiła, żebym ci to dał.

– Co to? – spytał, otwierając oczy.

– Masz – powiedziałem, wyciągając rękę.

Pokręcił głową.

– Nie.

– Podejź i sam się przekonaj. – Czułem, że słabnie. Poziom adrenaliny spadał. – Nie będziesz miał wątpliwości.

Odsunął się od drzwi i przeszedł przez pokój. Uważnie mnie obserwował swoimi małymi, czarnymi oczami.

Otworzyłem dłoń. Pokazałem mu obrączkę jego żony.

– Zdejmowała ją z palca najszybciej, jak potrafiła. – Wziął ją, obejrzał i jego ciało zwiotczało. – Najprawdopodobniej więcej ich nie zobaczysz.

– Co?

– Umrzesz w więzieniu, Alan. Przecież wiesz. Przy wszystkich wyjściach z tego budynku czeka policja. Jeśli będziesz uciekał, po prostu umrzesz wcześniej.

Stał z nisko zwieszoną głową. Wziąłem od niego telefon i podszedłem do Rossitera. Pomogłem mu wstać. Spojrzał na Kernicka, potem na mnie.

– Jego rodzina? – powiedział. – Czy to naprawdę było konieczne?

– Może i nie, ale zazwyczaj taka wizyta w domu to najlepszy sposób, żeby wybić człowiekowi z głowy różne głupie pomysły. – Rossiter cofnął się o krok, szczerze przerażony ukrytą w tych słowach pogroźką. – Zapamiętam twój adres, Davidzie.

Wróciłem po Kernicka, wyprowadziłem go na korytarz. Żaden z nas się nie odwrócił. Potem wzięłem go za ramię i poszliśmy korytarzem w stronę windy. Gdy przyjechała, bez oporu wszedł do środka. Wcisnąłem parter i drzwi się zamknęły. Prawą rękę miał zaciśniętą w pięść, ale gdy po chwili ją otworzył, zobaczyłem, że wciąż trzyma w niej obrączkę swojej żony. Wydawał się zupełnie nieświadomy mojej obecności. Mniej więcej w połowie drogi na dół nagle przypomniał sobie, co go czeka. Otarł twarz rękawem, spróbował się uśmiechnąć.

– Oczywiście... mam pieniądze...

Spojrzałem na niego bez słowa. Ścisnąłem poręcz najmocniej, jak mogłem, aż w końcu odwrócił się do ściany. Widziałem jego odbicie w stali. Zamknął oczy, żeby samemu go nie widzieć. Gdy dotarliśmy na parter, odwrócił się i wyprostował. Stał na środku windy, przed drzwiami. Gotów do ucieczki. Patrzyłem na niego bez słowa. Ścisnąłem poręcz. Gdy drzwi się otworzyły, ukazało się za nimi mniej więcej dziesięciu policjantów. Oklapł z powrotem.

Wziąłem go za ramię i zaprowadziłem do pierwszego funkcjonariusza.

Policjant zrobił krok w naszą stronę.

– Detektywie Alanie Kernicku, aresztuję pana za napaść seksualną na Isabelle Rossiter. Nie musi pan nic mówić, ale jeśli podczas przesłuchania zatai pan coś, co później będzie chciał wykorzystać w sądzie, może to negatywnie wpłynąć na pańską linię obrony. Wszystko, co pan powie, może zostać wykorzystane przeciwko panu. – Kernick lekko kiwnął głową.

– Zabierzcie go stąd – powiedziałem.

Funkcjonariusz odwrócił Kernicka i wyprowadził go z holu. Przez chwilę eleganccy ludzie wchodzący do budynku i wychodzący z niego przystawali, żeby mu się przyjrzeć. Gdy ostatni policjant wyszedł, wszyscy poszli w swoją stronę i zapomnieli o tym zdarzeniu. W głębi holu stał komisarz Parrs, którego postać powoli ukazała się moim oczom, jakby się wyłaniała z dymu.

Podąłem mu telefon Isabelle.

– Wszystko jest w środku.

Przyglądał mi się przez chwilę, a potem spojrzał na komórkę.

– Dobrze się spisałeś w sprawie Laskeya – powiedział z tym swoim diabelskim uśmiechem.

– W ostatecznym rozrachunku.

Potem kiwnął głową i odwrócił się w stronę drzwi.

Minęło kilka tygodni, zanim znowu zobaczyłem tę dziewczynę. To było koło południa, w dzień powszedni, ale nie pamiętam dokładnie kiedy. Szedłem. Próbowałem pozbyć się myśli. Od wydarzeń w Beetham Tower źle spałem. Miałem męczące, ciężkie sny.

W tych snach byłem sam i wiedziałem, że część znanych mi osób umarła. Zacząłem zasypiać przy włączonym radiu, żeby w tle szemrały jakieś informacje, cokolwiek. Z czasem nauczyłem się śnić o aktualnych wydarzeniach.

O wojnie. Głodzie. Polityce.

Byłe nie o dziewczynach.

Dni przynosiły inne wyzwania. Początkowo w najgorszych chwilach po prostu kursowałem poza miasto i z powrotem. Tkwiłem w korku i patrzyłem. Ani razu jednak nie udało mi się osiągnąć tego spokoju co kiedyś. Dlatego wróciłem do spacerów. Tego dnia działałem machinalnie, raz po raz skręcałem w niewłaściwą stronę, aż w końcu dotarłem tam, gdzie za nic w świecie nie chciałyby się znaleźć pod koniec grudnia: na Market Street.

Poważnie myślałem o tym, czy nie pojechać za Sarah Jane. Chociaż nie całkiem o to chodziło. Nawet nie wiedziałem, gdzie się w końcu znalazła. Po prostu zastanawiałem się, czy nie pójść za jej przykładem.

Spakować walizkę, wsiąść w pociąg i wyjechać gdzieś na dobre.

Czułem, że wsysa mnie tłum, i próbowałem zawrócić. Za każdym razem pchano mnie jednak dalej do przodu, tam gdzie nie chciałem iść, aż w końcu się poddałem i popłynąłem z prądem.

Z początku jej nie poznałem. Była twarzą w tłumie, zupełnie nie przypominała dziewczyny, którą widziałem tamtego wieczoru. Szła w przeciwnym kierunku. Błada, chora i chuda. Całkiem zmieniona.

Mijając się, ledwie zarejestrowaliśmy swoje twarze. Kątem oka zobaczyłem przelotne spojrzenie. Mignięcie białka oka. A potem zniknęła. Odwróciłem się i popatrzyłem za nią.

Przystanąłem.

Zrobiła to samo, ale tłum coraz bardziej nas rozdzielał. Z wysiłkiem ustałem w miejscu jeszcze chwilę i zobaczyłem, że ona zмага się z prądem, próbując robić to samo. Otaczał nas gwar, było zbyt głośno, żeby coś powiedzieć. Patrzyła mi w oczy.

Próbowała mnie skojarzyć.

Obok przecisnęła się jakiś mężczyzna i zauważyłem pusty, podpięty rękaw jej płaszcza. Lydia Hargreaves. Dziewczyna, którą widziałem przy Sycamore Way. Najpierw wpatrywała się w swoje odbicie w oknie. Potem chodziła w tę i w tę po potłuczonym szkle. Amputowano jej rękę i jako jedyna ocalała.

Może właśnie to nas łączyło.

Mieliśmy podobne twarze, osłupiałe, ani zadowolone, ani smutne. Tłum zaczął ją znów wciągać. Próbowałem podejść, ale już jej nie było i w końcu pozwoliłem ponieść się dalej. Rozpoznając mnie, otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia. Cieszyłem się, że ją zobaczyłem.

W tłumie nie zauważyłem ich wcześniej. Nie zorientowałem się, że mam czyjąś rękę na ramieniu. I drugą rękę na drugim. Dopiero gdy wokół zrobiło się luźniej, obróciłem głowę.

Po jednej stronie zobaczyłem Billy'ego.

Po drugiej jego kumpla.

Dwóch młodych Burnsiderów. Cofnąłem się, ale mocno mnie przytrzymali i popchnęli w stronę vana czekającego przy krawężniku. Próbowałem się od nich uwolnić. Jeden wziął mnie za rękę i mocno wykręcił ją na plecach. Odsunęły się boczne drzwi. Ktoś w środku chwycił mnie za prawą nogę.

– Nie – powiedziałem. – Nie! Nie!

Przytrzasnęli mi nogę drzwiami.

Usłyszałem mokry trzask i krzyk. Wepchnięto mnie do środka. Byłem w szoku. Weszli za mną i drzwi zamknęły się z głuchym stuknięciem.

Było ciemno. Siedziałem na brudnej podłodze cuchnącej olejem silnikowym, otoczony przez trzy albo cztery osoby. Zarysy i zapachy mężczyzn. Wszystko wokół działa się w zwolnionym tempie i było jakby nierzeczywiste. Nie widziałem swojej nogi, ale miałem wrażenie, że odłączyła się poniżej kolana. Leżałem w czymś ciepłym i mokrym. Czułem woń moczu tworzącego pode mną kałużę.

Zacisnąłem zęby, połknąłem zóć. Wpadłem w panikę. Jeden z mężczyzn przeszedł na przód vana. Włączył silnik i odjechaliśmy.

Lawirowaliśmy ulicami, biorąc gwałtowne zakręty, podczas których boleśnie objąłem się z boku na bok. Wreszcie zabłysło światło.

– Witaj, Aidan.

– Zain...

– Wyglądasz na zaskoczonego, bracie. – Milczałem. Wzięliśmy kolejny gwałtowny zakręt i zaparłem się o ścianę. – Billy'ego i Alexa już znasz...

Kiwnąłem głową.

– Od kiedy dla ciebie pracują?

– Od niedawna. Od naszej małej wycieczki na Burnside. – Pogardliwie się uśmiechnął. – Klnę się na swój honor.

– A Sheldon White?

– Co z nim? Zgarnęli go twoi kumple z policji. Bo dalej jesteś w policji, prawda, Aidan?

Nie było sensu kłamać.

– Byłem – powiedziałem – kiedy po raz pierwszy do ciebie przyszedłem.

– Wciskałeś mi jakiś kit o policyjnej zasadzce...

– Bo to była zasadzka. – Zalała mnie fala bólu. – Miała wypłoszyć Laskeya.

I wypłoszyła.

Po moim telefonie Parrs poszedł prosto do Riggsa. Zmusił go do zeznawania przeciwko partnerowi. Gdy wpadli do Laskeya, właśnie się pakował. Miał pieniądze, których pochodzenia nie umiał wyjaśnić. Paszport ze swoim zdjęciem i cudzym nazwiskiem. Smithson stał się gwoździem do jego trumny.

Był skończony.

– Ciekawe, co zezna – powiedziałem. Starąłem się utrzymać stałą pozycję na podłodze vana,

żeby oszczędzać nogę.

Carver wzruszył ramionami.

– Ciekawe, jak długo pożyje za kratkami. – Po chwili dodał, po raz pierwszy poważnie: – Opowiedz mi o Isabelle. – Przed oczami wirowały mi białe plamki.

– Była molestowana – powiedziałem. – Przez ochroniarza swojego ojca z wydziału do spraw specjalnych. Kiedy była młodsza, próbowała się zabić. Jak podrosła, uciekła z domu. Ale on ją znalazł. Miał ją na oku. Przychodził do niej, kiedy była sama...

– Więc to on? To on dał jej tę herę?

– Nie wiem. Może po prostu doprowadził ją do takiego stanu, że po nią sięgnęła. Chyba ukradła cegłę, żeby zdobyć trochę gotówki i uciec gdzieś dalej.

– Dlaczego?

– Przeze mnie – powiedziałem. Przełknąłem ślinę. Po raz pierwszy spojrzałem na swoją wykręconą, zakrwawioną nogę. – W wieczór przed jej śmiercią zabrałem ją do domu i zrobiła mi awanturę. Myślała, że pracuję dla Kernicka, a ja nie zaprzeczyłem. Widocznie sprzedała cegłę na Burnside i zostawiła działkę dla siebie. Kiedy następnego dnia odwiedził ją Kernick, musiała się poczuć jeszcze bardziej zdradzona. O jeden raz za dużo. Pewnie naszprycowanie się po tym wszystkim wydało jej się dobrym pomysłem. – Zamilkłem, zastanowiłem się nad tym. – Nawet się nie ubrała.

Van jechał przed siebie, a my lekko kołysaliśmy się z tyłu. Starłem się przewidywać ruchy pojazdu, by siedzieć prosto.

– Ale dlaczego ja? – spytał Carver. – Dlaczego uciekła akurat do mnie?

Sarah Jane. Jej romans z Rossiterem. Musiałem jej powiedzieć, że zamierzam przekazać te informacje Carverowi, bo miałem nadzieję, że już tu nie wróci. Że przez resztę życia będzie trzymała się od niego z daleka. Nie chciałem jednak naprawdę narażać jej na niebezpieczeństwo. Mógł się sam domyślić albo nigdy się nie dowiedzieć.

– To było naprawdę sprytne. Fairview to jedyne miejsce, w którym Kernick nie mógł do niej przyjść. Była tam bezpieczna, dopóki jej nie przeniosłeś do tego mieszkania.

– A Cath? Sarah?

– Nie wiem. White powiedział, że jeśli do dziesiątej wieczorem nie uzyskam od ciebie zgody na warunki dotyczące Rubika, będzie tak, jakby Cath w ogóle nie istniała. Nie dotarłem do ciebie na czas, pamiętasz? – Wskazałem na dwóch Burnsiderów siedzących obok mnie. – Pewnie ci dwaj wiedzą lepiej niż ja, co spotkało Catherine.

Żaden z nich się nie odezwał i Carver przetłumaczył ich puste spojrzenia.

– Mówią, że zostawiła White'a z własnej nieprzymuszonej woli.

Przełknąłem ślinę.

– Fajnie byłoby w to wierzyć.

Van najechał na wybój i moją nogę przeszył potworny ból. Pomyślałem o Joannie Greenlaw, która przez dziesięć lat leżała wciśnięta w wilgotną dziurę, zanim ją znaleziono.

Chciałem, żeby mówił dalej.

– Powiedziałaś, że White'a aresztowano. Za co?

– Za zamordowanie Grippa – powiedział Carver. – Podobno zwłoki obłano czarną i białą farbą. Wszędzie były odciski White'a i ślady jego DNA.

– Jaki szczęśliwy zbieg okoliczności.

Carver się uśmiechnął.

– No, chyba tak.

– I podrzucano go pod moje mieszkanie, żeby policja na pewno go znalazła...

– Naprawdę? Nawet nie wiem, gdzie mieszkasz.

– Tylko jak miałbyś zdobyć DNA White'a? – Spojrzałem na dwóch byłych Burnsiderów. – Głupie pytanie... – Carver nawet nie drgnął. – Jeszcze szczęśliwszym zbiegiem okoliczności było to, że siedziałeś wtedy w areszcie, więc nie mogłeś tego zrobić osobiście. A tak przy okazji, kto cię aresztował?

– O ile dobrze pamiętam, niejaki detektyw Laskey – powiedział Carver. – No, to też był szczęśliwy zbiegiem okoliczności. Chyba nie myślisz, że miałem z tym coś wspólnego? Że zabiłem swojego najlepszego kumpla?

Grip stracił zamiłowanie do tej gry w tym samym czasie, w którym Sheldon White wyszedł z więzienia. Carver wykorzystał jeden problem, żeby rozwiązać drugi, wrabiając White'a w zamordowanie Gripa.

– Wiem, że miałeś – powiedziałem.

Van gwałtownie się zatrzymał i silnik zgasł.

Myślałem, że za chwilę umrę, więc postanowiłem być szczery.

– To samo spotkało Joannę Greenlaw?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Drzwi się odsunęły i dwaj Burnsiderzy podnieśli mnie z podłogi. Rzucili na beton. Wstrząsnął mną straszliwy ból w okolicy tego, co zostało z mojej nogi. Carver wysiadł z samochodu i stanął nade mną.

– Jedno mogę ci powiedzieć za darmo. Ocaliła ci życie.

– Co? – spytałem. Czuję, jak kłujący pot wypływa mi ze wszystkich porów. – Kto?

– Cath. – Carver wskazał w stronę vana. – Ci goście mówią, że White bardzo chciał cię wtedy zabić. Podobno zaproponowała, że da im wszystkim dupy, jeśli tego nie zrobi.

Billy spojrzał na mnie przez ramię i oblesnie się uśmiechnął.

Próbowałem wstać.

Upadłem z powrotem na ziemię i Carver się roześmiał.

– No to na razie, Aid.

Wszedł do vana i usłyszałem zapalenie silnika. Nie odważyłem się spojrzeć, dopóki nie odjechali.

Okolica wyglądała znajomo.

Była to ta sama ulica, przy której mieszkałem przez ostatnie kilka miesięcy. Leżałem na chodniku i patrzyłem w niebo. Obracało się. Najpierw zgodnie z ruchem wskazówek zegara, a potem zwolniło. Zatrzymało się. Zaczęło się obracać w przeciwną stronę, coraz szybciej. Zamknąłem oczy i zasłoniłem twarz. Płakałem, aż rozboleło mnie całe ciało.

VI
PERMANENT

Po tym wszystkim wróciłem na nocną zmianę. W świetle dnia nigdy więcej by mi nie zaufali. Czas upływał mi na odbieraniu telefonów alarmowych o czwartej nad ranem, wchodzeniu i schodzeniu po nieczynnych ruchomych schodach i na usilnym powstrzymywaniu się od myślenia. Kiedyś byłem w tym dobry. Kilka miesięcy później ledwie mogłem uwierzyć, że znowu widzę swój oddech w powietrzu. Wrócił listopad.

Po aresztowaniu Laskeya i Kernicka komisarz Parrs zachował stanowisko. Mój udział trzeba było jednak pominąć i znowu przeniesiono mnie na cmentarną zmianę, znowu korzystałem z ostatniej szansy. Przykuto mnie do dawnego partnera, inspektora Petera Sutcliffe'a. Czerpał sadystyczną przyjemność z mojego niskiego statusu. Gdy pokazał mi w gazecie artykuł o znalezionych zwłokach dziewczyny, szeroko się uśmiechnął.

Czas płynął. Początkowo powoli, a potem szybko. Mijały tygodnie i miesiące, i to wszystko wydawało się coraz mniej prawdziwe. Większość tego czasu spędziłem na rehabilitacji. To było paskudne złamanie. „Wściekle”, jak powiedział pierwszy fizjoterapeuta. Moja noga już nigdy nie miała być taka jak dawniej.

Piłem, ale nie jakoś przesadnie. Już nie. Carver niechący wyświadczył mi przysługę. Nie miał powodu kłamać, mówiąc, że Catherine ocaliła mi życie, i w pewien sposób nadało to temu życiu większą wartość. Zasługiwała na coś więcej niż to, żebym znowu je spała. Gdy prawie rok później zadzwonił telefon, byłem zaskoczony.

– Tak – powiedziałem. – Mogę się tam zjawić w ciągu godziny.

Głos Wirusa brzmiał, jakby chodziło o coś pilnego, ale sam spóźnił się o dwadzieścia pięć minut. Zobaczyłem go przez okno, wypalającego papierosa aż do filtra. Wszedł do kawiarni w trzyczęściowym garniturze i wyglądałby całkiem jak heteryk, gdyby nie jeden szczegół. Jego sztywna peruka z przedziałkiem na boku miała turkusowy kolor.

– To mój naturalny – powiedział, siadając, po czym zamówił niestworzoną mieszankę dwóch wymyślnych kaw. Roześmiałem się, a on spytał, co u mnie słychać.

– Nic ciekawego – powiedziałem.

– Jakoś nie chce mi się w to wierzyć.

– Żałuję, że nie rozgryzłem tej sprawy wcześniej.

– Do baru wchodzi gliniarz, ojciec i gwałciiciel, a barman patrzy na nich i mówi: „Dobry wieczór, Alan”. – Wirus wpatrywał się w stolik. – Ludzie mają wiele twarzy, ale nie tak łatwo je wszystkie dostrzec.

– Zwyczajnie nie potrafię przestać o tym myśleć. – Spojrzałem na niego. – Nie każdy może mieć dwie osobowości.

Popatrzył na mnie zdziwiony, ale i rozbawiony.

– Jasne, że każdy. – Podsunął mi jakiś świstek, puścił do mnie oko i wstał, zamierzając wyjść.

– Co to jest?

Wzruszył ramionami.

– Zdaje się, że pięć kawałków to bardzo dużo jak za podróż do Londynu i z powrotem. Może powinieneś to powtórzyć? – Wyszedł. Po chwili przyniesiono jego pieczołowicie zaparzoną wymyślną kawę.

– Dzięki – powiedziałem do baristy, upijając łyk, żeby nie pomyślał, że cała jego praca poszła na marne.

Na świstku widniał adres: 28B West Square, Londyn. Wyguglałem go. Było to mieszkanie na pierwszym piętrze georgiańskiej kamienicy. Z pierwszego linku dowiedziałem się, że jest na sprzedaż. Zadzwoiłem do agencji nieruchomości i umówiłem się na wieczorne oglądanie. Oznaczało to długą podróż tam i z powrotem, ale miałem czas. Przy odrobinie szczęścia mógłbym nawet spóźnić się na dyżur z Suttym.

Przyjechałem przed czasem, zaparkowałem za rogiem i poszedłem na plac piechotą. Cztery pierzeje georgiańskich kamienic otaczały mniej więcej półhektarowy bajeczny park porośnięty bujną roślinnością. Na środku siedziały w kółku dzieci z pobliskiej szkoły i trwała lekcja przyrody. Nie miałem pojęcia, co ja tam robię. Powoli, okrężną drogą, ruszyłem w stronę numeru 28.

Agent nieruchomości stał przed budynkiem, rozpoznawalny na pierwszy rzut oka: garnitur, różowy krawat i włosy zaczesane w czub zadający kłam grawitacji. Uścisnęliśmy sobie ręce i przedstawił się jako Marcus. Czułem, że jest dobry w tym, co robi, zwłaszcza gdy otaksował mnie jednym spojrzeniem. Mój czarny dyżurny garnitur. Koszula do kompletu. Cienie pod oczami, których sen nie był w stanie usunąć. Pomysł, że miałbym kupić mieszkanie przy tej ulicy, w tym mieście, musiał mu się wydać zabawny.

Poprowadził mnie po kamiennych schodkach, opowiadając o sąsiadach, historii placu, architektonicznych elementach z epoki. Prawie go nie słuchałem. Gapiłem się na napisy na domofonie: ten przy mieszkaniu 28B brzmiał „Cat G.”.

Gdy zawahałem się przed drzwiami, położył mi rękę na ramieniu i nacisnął dzwonek.

– Damy znać, że już jesteśmy – powiedział, szukając klucza w kieszeni marynarki.

Znalazł go i weszliśmy do środka, do ładnego, dobrze oświetlonego przedpokoju wypełnionego rzędami książek prawniczych i wyglądającego jak z katalogu Narodowego Funduszu na rzecz Renowacji Zabytków.

– Tu Marcus z Harvey Street! – zawołał.

Usłyszałem jakiś szelest na górze.

Wesołe, śpiewne: „Już schodzę”.

I zeszła.

Żywa. Zdrowa. Promienna. Podniosłem głowę. Przesunąłem wzrokiem po rzemykowych sandałach, skórze, jasnej, kremowej sukience. Gdy spojrzeliśmy sobie w oczy, to było jak cud. Zatrzymała się na schodach, lekko się cofnęła. Jakby moja obecność tutaj, fakt, że wszedłem tymi drzwiami, były dla niej fizycznym ciosem.

Marcus natychmiast to zauważył, spojrział na nią, a potem na swój zegarek.

– Chyba nie przyszliśmy za wcześnie?

– Nie. Nie, w porządku – powiedziała, nie odrywając ode mnie oczu.

Spoglądał to na nią, to na mnie.

– Znacie się?

– Z dawnych czasów – powiedziałem. – Catherine Greenlaw, prawda? – Spojrzała mi w oczy. To samo wystraszone spojrzenie widziałem w mieszkaniu Isabelle Rossiter. I w Rubiku.

– Zgadza się – odparła.

Dużo myślałem o tej chwili, ale teraz nie wiedziałem, co powiedzieć. Czym ją wypełnić. Zapadło milczenie i Marcus przejął kontrolę.

– A to jest Aidan, ee...

– Waits – powiedziała. – Tak, pamiętam.

– Aha – powiedział Marcus. – Może sama zechciałybyś nas oprowadzić?

– Mam parę spraw do załatwienia. – Już wracała na górę. – Zawołajcie, jeśli będę potrzebna.

– Dzięki, Cat – powiedział Marcus.

Oglądanie mieszkania nie trwało długo. Dom miał cztery piętra, a apartament 28B mieścił się na pierwszym. Obejmował dwa pokoje i salon. Wszystko tu było gustowne i dyskretne – wyposażenie, meble, kolory i odcienie.

Gdy weszliśmy do kuchni, Catherine spojrzała w naszą stronę. Wcześniej w zamyśleniu patrzyła przez okno. Na miniaturowy komplet ogrodowy za domem.

– Idealny dla dzieci – powiedział Marcus.

Popatrzyłem na Catherine.

– Ma pani dzieci, panno...?

Odwróciła się od okna.

– Greenlaw – powtórzyła. Równie wyzywająco jak kiedyś do Sheldona White’a. Słabe zimowe światło przenikało przez szybę, doskonale uwidaczniając jej rysy twarzy. Wyglądała raczej jak studentka akademii sztuk pięknych niż jak dilerka narkotyków, i zastanawiałem się, jak mogłem tego wcześniej nie zauważyć. – Mów mi Cat – powiedziała. – Proszę.

Czekałem. Nic więcej nie powiedziała.

– Masz dzieci, Cat? – W ciszy, która zapadła, nawet przyklejony uśmiech Marcusa zaczął blednąć.

– Nie – odparła w końcu. Rzuciła nam obu zdawkowe spojrzenie, wstała i wyszła. Marcus poprowadził mnie w przeciwną stronę i dalej pokazywał mieszkanie. Więcej jej nie zobaczyliśmy i zanim się obejrzałem, znowu staliśmy obok drzwi wejściowych. Wychodząc, Marcus zawołał coś do niej przez ramię i już po chwili byliśmy na ulicy, jakby to wszystko się w ogóle nie wydarzyło. Mówił coś do mnie, a ja odruchowo kiwałem głową, myśląc tylko o tym, żeby się go pozbyć.

– Do widzenia – powiedział i podał mi rękę.

Gdy się pożegnaliśmy, ja ruszyłem na skraj placu, a on do swojego samochodu. Po chwili usłyszałem, jak włącza silnik. Okrążył plac jednokierunkową ulicą i zniknął po drugiej stronie.

Wokół było cicho, nie licząc głosów bawiących się dzieci. Poszedłem z powrotem do wejścia i wyciągnąłem rękę, żeby nacisnąć guzik domofonu. Zanim zdążyłem to zrobić, drzwi się uchyliły. Catherine spojrzała na mnie.

– Wejdz – powiedziała.

Poszła korytarzem, potem po schodach, a ja ruszyłem za nią. Początkowo myślałem, że gra na zwłokę. Powtarza w głowie jakąś wersję wydarzeń, którą mogłaby mi przedstawić. Jej automatyczne ruchy skojarzyły mi się jednak z ludźmi, do których przychodziłem z wiadomością o śmierci bliskich. Była w szoku.

Gdy dotarliśmy na pierwsze piętro, wśliznęła się do mieszkania. Zauważyłem walizkę stojącą przy drzwiach. Wcześniej jej tam nie było. Zaprowadziła mnie do kuchni, nadal zachowując się jak robot, i stojąc tyłem do mnie, powiedziała to samo, co często słyszałem od ludzi, którzy właśnie stracili kogoś bliskiego:

– Napijesz się czegoś? Herbaty, kawy?

– Myślałem, że nie żyjesz.

Odwróciła się.

– Chciałam, żebyś tak myślał.

– Dlaczego?

Wzruszyła ramionami.

– Bo chciałam być martwa.

– No więc co się stało?

Widziałem, że próbuje sformułować odpowiedź. Powiedzieć coś nieszkodliwego.

– Po twoim wyjściu z Rubika...

– Co się stało z dzieckiem? – spytałem.

– A. – Odwróciła się do czajnika. Zakrzętnęła się przy kubkach. – Nie było żadnego dziecka.

– Przypominała wybitnego aktora, który w każdą rolę wkłada dokładnie tyle prawdy, żeby wypaść przekonująco. Nawet jeśli w połowie zdania zmieniała wcielenie, żadne z nich nie wydawało się fałszywe. Odwróciła się i spojrzała na mnie. – Bałam się. Nadjeżdżała policja. To było wszystko, co zdołałam wymyślić, żeby się stamtąd wydostać. W mieszkaniu Isabelle znalazłam test ciążowy. – Zamknąłem oczy. – Czy ona naprawdę była...?

Przytaknąłem.

– Z kim?

– Nie wiem. Neil mówi, że nigdy z nią nie był. Prawdopodobnie to Alan Kernick. – Catherine zmarszczyła brwi, nie kojarząc tego nazwiska. – Ochroniarz jej ojca.

– Ten facet z nagrania?

Znowu potwierdziłem.

Zaczęła obrywać suche liście z rośliny doniczkowej.

– To dlatego uciekła z domu?

– Mniej więcej. Gdzie znalazłaś telefon?

– W jej mieszkaniu, kiedy odkryliśmy jej zwłoki i poszłam zwymiotować. – Na chwilę zamilkła. – Przypominałam sobie, że czasami trzymała różne rzeczy w spluczce.

– Różne rzeczy?

– Trawę, kokę. Nic twardego. Chciałam to po prostu spuścić w sedesie, żeby nie znaleźli przy zwłokach narkotyków.

– Co tam było?

– Pieniądze. Na wierzchu mnóstwo pieniędzy, trochę dragów. Pod spodem leżał plastikowy woreczek z telefonem w środku. Wiedziałam, że są w nim moje esemesy, zdjęcia, więc go zabrałam. Test ciążowy też tam był. – Zamilkła i westchnęła. – Kiedy stamtąd uciekłam, zajrzałam do telefonu i znalazłam to nagranie. Tamtego dnia w Rubiku chciałam ci powiedzieć, wyjaśnić. A potem pojawił się Sheldon White i stało się to wszystko. Musiałam improwizować. Przydał się?

Udałam, że nie słyszę.

– Joanna Greenlaw była twoją matką.

Pokręciła głową.

– Niezupełnie. Pozbyła się mnie, kiedy byłam niemowlęciem. Wychowałam się w domu dziecka. – Spojrzała na mnie. – Nie masz pojęcia, co to znaczy, zwłaszcza dla dziewczyny. Człowiek uczy się grać. Udawać. Tak długo żyjesz w kłamstwach, że wkręcają ci się we wspomnienia. Zaczynasz w nie wierzyć.

– Przykro mi – powiedziałam.

– W pewnym momencie zmieniły się przepisy. Dano mi prawo do odnalezienia matki. Wcześniej niewiele o niej myślałam, ale kiedy przeczytałam, że zaginęła, coś we mnie po prostu pękło. Nie poszłam do Zaina, żeby się zemścić. Przyciągnęło mnie do niego coś innego. A on mnie polubił. – Roześmiała się. – Uważał, że jestem dobra. Sprawdzałam się w pracy dla Franczyzy. Chyba przypominałam mu mamę. – Na chwilę zamilkła. – Domyślałam się, że ona nie żyje, ale zaczęło mi bardzo zależeć na tym, żeby się dowiedzieć, gdzie jest. To znaczy jej ciało...

Czekałam.

Odwróciła się do mnie tyłem.

– Myślałam tylko o tym, żeby go wydymać. Zdradzić. Powiedzieć, że zamierzam pójść na policję, byleby tylko zobaczyć, co wtedy zrobi. Byle mieć pewność, co zrobił mamie. Śniło mi się, że mnie dusi, i naprawdę budziłam się szczęśliwa. Bo przynajmniej wiedziałam.

– Ale zmieniłaś zdanie?

– Żałuję tego. Zain i Grip testowali towar. Brali od kucharzy małe ilości, żeby sprawdzić, jaką mają moc.

– I wpadłaś na pomysł, żeby go czymś zaprawić.

– Zdziwiająca, co można znaleźć w internecie – powiedziała. – Pigułki z cyjankiem, strychniną, zakazane pestycydy...

Pomyślałam o biednej Isabelle.

– Właśnie to tam dorzuciłaś?

– Ostatecznie powstał cały koktajl. Ze wszystkiego, co zechciano mi sprzedać – odparła głucho. Potem jej oczy nieco się ożywiły. – Pożałowałam tego, jak tylko zobaczyłam Gripa. Zain nigdy nawet nie tknął tego towaru. Nie wiedziałam, że go zatrzyma. Potem Isabelle ukradła tę cegłę i wzięła sobie działkę. A resztę sprzedała. Te wszystkie dzieciaki – powiedziała. – Te wszystkie dzieciaki przy Sycamore Way...

– Nie mogłaś tego przewidzieć. To ty wylewałaś czarną i białą farbę przed drzwiami

Fairview?

– Chciałam, żeby ją, kurwa, pamiętali.

– Jak się dowiedziałaś, gdzie są jej zwłoki?

– Grip mi powiedział. Bardzo rzeczowo pewnego dnia, kiedy wybudził się ze śpiączki. Zain ją namierzył, po tym jak zgodziła się przeciwko niemu zeznawać.

– I po tamtym wieczorze w Rubiku wyjechałaś z miasta?

Pokiwała głową, spuściła oczy. Pomyślałem o tym, co mi powiedział Zain. „Ocaliła ci życie”.

– Szukałem cię – powiedziałem.

– Niepotrzebnie. – Podniosła głowę. – Przykro mi, ale niepotrzebnie. Prosiłam cię. Mówiłam, żebyś nie próbował mnie poznać. Chyba tak naprawdę mnie nie poznałeś. Czy na ulicy czeka policja?

– Oczywiście, że nie. Ale teraz powinnaś wyjechać, najdalej, jak ci się uda. Jeśli ja cię znalazłem, to on też znajdzie.

– Ale... – Spojrzała na mnie. – Nie rozumiem.

– Musisz wyjechać. Natychmiast. I nie mów mi dokąd. Jeśli mieszkanie należy do ciebie, możesz sfinalizować sprzedaż na odległość.

Przechyliła głowę, przez chwilę trwała bez ruchu. Potem podeszła, wypatrując w moich oczach okrucieństwa. Kłamstwa.

– Dlaczego nie mogę ci powiedzieć?

– Nigdy nie wiadomo, kto mógłby spytać. – Poczułem tępy ból w nodze. – Ani jak zadałby pytanie.

Podniosła rękę i przyłożyła mi ją do policzka jak ślepiec próbujący zapamiętać twarz. Czuję się tak, jakby całe moje życie mogło się zmienić. Podeszła jeszcze bliżej i lekko pocałowała mnie w policzek. Przesunąłem się, tak żebyśmy spojrzeli sobie w oczy, ale potem już tylko staliśmy, żadne z nas nie śmiało się poruszyć. To była tylko chwila. Potem się odsunęła i podeszła do drzwi. Usłyszałem, jak się za nią zamykają. Przez moment nadal czułem jej zapach. Podeszedłem do okna i czekałem. Był już zmierzch. Coś pomiędzy dniem a nocą.

Zgodnie z przewidywaniami Carvera Laskey nie dożył procesu. Detektywa Alana Kernicka skazano za gwałt na nieletniej. Między innymi. Trafił za kratki na resztę życia, czyli, jak się okazało, na niezbyt długo. Sekcja zwłok wykazała, że Grip – Danny Gripe – udławił się czarną i białą farbą, zanim zdążył poczuć potworne działanie zaprawionej ósemki. Nie byłem pewny, czy to dobrze, czy nie. Gdy go kremowano, w ceremonii nie uczestniczył nikt oprócz mnie. Za jego śmierć skazano Sheldona White’a, a Zain Carver znowu chodził ulicami wolny, jak nowo narodzony.

Sarah Jane wróciła do kurwienia się.

Odkryłem to rok po tym, jak wsadziłem ją do pociągu. Suttty pokazał mi artykuł w gazecie. Znaleźli ją uduszoną i wciśniętą do walizki w ponurym przemysłowym miasteczku, w którym się urodziła. Tę ładną dziewczynę, którą kiedyś znałem.

Obserwowałem Catherine przez okno, mocno naciskając dłonią na szybę. Powinno istnieć na to jakieś określenie. Na tę bezcielesną kończynę sięgającą w stronę czegoś, czego nigdy nie będziesz mieć. Przeszła przez ulicę rozkołysanym, wdzięcznym krokiem, a ja ciągle się zastanawiam, dokąd poszła. Gdy skręcała za róg, ostatni promień światła odbił się w jej włosach

jak koniec czegoś i początek czegoś innego. Zmierzch.
Nigdy więcej jej nie widziałem.

Tytuł oryginału: *Sirens*

Copyright © Joseph Knox 2017

Copyright © for the translation by Anna Gralak

Opieka redakcyjna: Olga Orzeł-Wargskog

Korekta: Aneta Tkaczyk / Wydawnictwo JAK,
Joanna Hołdys / Wydawnictwo JAK

Projekt okładki: Eliza Luty

Fotografia na okładce: © Jon Bilous / Shutterstock.com

ISBN 978-83-7515-690-4



OTWARTE

www.otwarte.eu

Wydawnictwo Otwarte sp. z o.o., ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink

woblink.com